

# Utracona



MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

# Utracona<sup>1</sup>

TŁUM. MAGDALENA TULLI

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Panna Albertyna wyjechała!” O ileż głębsze prawdy odsłania w nas ból niż cała psychologia! Zaledwie przed chwilą, badając własne uczucia, myślałem jeszcze, że nagle rozstanie bez pożegnań byłoby właśnie tym, czego sobie życzę. Porównywałem bladą nijakość zaznawanych przy Albertynie rozkoszy z przepychem pragnień, których z jej powodu zmuszony byłem się wyrzec, a które na powierzchnię wyniosła, współdziałając z moim wewnętrznym ciśnieniem atmosferycznym, pewność, że Albertyna zawsze będzie przy mnie. Lecz wobec wiadomości o jej wyjeździe żadne z tych pragnień nie mogło się ostać, po prostu wszystkie naraz się ulotniły. Podziwiając własną przenikliwość, uznałem, że nie pragnę już jej widoku, że już jej nie kocham. Tymczasem słowa: „Panna Albertyna wyjechała”, zadały mojemu sercu ból tak wielki, że nie wyobrażałem sobie, jak miałbym go znieść dłużej niż przez chwilę.<sup>2</sup> To, co zdawało się nic już dla mnie nie znaczyć, okazało się wszystkim! Jakże niewiele wiemy sami o sobie.<sup>3</sup> Musiałem czym prędzej położyć kres cierpieniu. Z tkliwością, jaką miała moja matka dla umierającej babki, zapewniałem sam siebie, pełen owej dobrej woli, która ogarnia nas, gdy chcemy oszczędzić bólu najbliższej osobie: „Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz znajdzie się jakieś lekarstwo, i nie bój się, nikt nie pozwoli, byś cierpiał tak strasznie”. Czulem już mgliście, iż wyobrażenie tego zdarzenia jako rzeczy obojętnej, a nawet pożądanej, wysnute na chwilę przed sięgnięciem po dzwonek, mogło zrodzić się jedynie dzięki temu, że odejście Albertyny miałem za absolutnie nieprawdopodobne. Oto, do jakich myśli lgnął mój zmysł przetrwania, szukając czegokolwiek, co da się przyłożyć do otwartej rany, by złagodziło ból<sup>4</sup>: „Nic się nie stało, bo zaraz, natychmiast sprowadzę ją z powrotem. Jakiś sposób się musi znaleźć, by najdalej dziś wieczorem znów tu była. Po cóż więc miałbym się zamartwiać”. „Nic się nie stało” — powtarzałem sobie, ale nie mogłem zaznać ulgi, póki nie narzuciłem owego mniemania Franciszce, przy czym nie wolno mi było dać jej poznać, że cierpię; bo nawet w tamtej chwili, kiedy ból targał mną z największą siłą, moja miłość chciała uchodzić za spełnioną i szczęśliwą, zwłaszcza w oczach Franciszki, która nie lubiła Albertyny i zawsze wątpiła w szczerść jej uczuć.

Otóż zanim zjawiała się Franciszka, zaledwie przed chwilą, obserwowałem swoje wnętrze z chłodną bezstronnością badacza, którego uwagi nie ujdzie żaden szczegół, i byłem pewien, że nie kocham już Albertyny. Sądziłem, że znam wszystkie zakamarki mojego serca. Ale umysł, nawet najbardziej przenikliwy, nie może zobaczyć substancji, która

<sup>1</sup>*Utracona* — nowy przekład szóstego tomu *W poszukiwaniu straconego czasu* powstał w oparciu o dwa wydania oryginału: (1) *La Fugitive* z trzytomowej edycji Bibliothèque de la Pléiade, pod redakcją P. Claraca i A. Ferré (Gallimard, Paris 1954) oraz (2) *Albertine disparue*, pod redakcją N. Mauriac i E. Wolffa (Grasset, Paris 1987), tekst częściowo poprawiony przez Prousta, opracowany na podstawie oryginału maszynopisu, który w roku 1986 odnaleziono w archiwum bratanicy autora, Suzy Mante-Proust. Obecne wydanie polskie zawiera zarówno fragmenty dopisane, jak i fragmenty skreślone w maszynopisie ze względu na to, że Proust nie redagował tekstu systematycznie ani nigdy nie ukończył tej pracy. Niektóre ustępy zostały przestawione zgodnie ze wskazówkami autora, a wszystkie jego poprawki odnotowano w przypisach. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup>„Panna Albertyna wyjechała!” (...) dłużej niż przez chwilę — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>3</sup>To, co zdawało się nic już dla mnie nie znaczyć, okazało się wszystkim! Jakże niewiele wiemy sami o sobie — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup>Czulem już mgliście (...) złagodziło ból — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

go wypełnia, nie może jej nawet odgadnąć, póki jakieś zdarzenie nie wytrąci jej ze stanu lotnego, w jakim przebywa zazwyczaj, i nie obróci w ciało stałe. Myliłem się, gdy wierzyłem, że potrafię czytać we własnym sercu. Wiedza o nim, która oparła się moim najwnikliwszym dociekaniami, objawiła mi się, niczym olśniewający, twardy kryształ nieznannej soli, pod nagłym ciśnieniem gwałtownego bólu.<sup>5</sup> Przywykłem mieć Albertynę zawsze w zasięgu ręki. A teraz, bez uprzedzenia, Przyzwyczajenie ukazało mi swoją drugą twarz. Przedtem dostrzegałem w nim tylko gnuśną siłę odbierającą przeżyciom świeżość, siłę, która może unicestwić wszelką zdolność przeżywania. Teraz jednak ukazało mi się jako groźna bogini o nieprzeniknionym obliczu, która potrafi zadomowić się w sercu, zapuścić w nim korzenie, lecz jeśli nagle je wyrwie, jeśli nas porzuci, to choć dotąd nie zważaliśmy na nią wcale, ściągnie na nas najstraszliwsze męki, jest bowiem równie okrutna jak śmierć.

Najpilniejszą rzeczą było teraz przeczytanie listu, musiałem wiedzieć, jakimi dysponuję środkami, by nakłonić Albertynę do powrotu. Łudziłem się, że wiele jest w mojej mocy, albowiem póki przyszłość istnieje tylko w naszych myślach, wierzymy, że nasza wola nada jej kształt, w ostateczności zaś odwróci nawet bieg zdarzeń. Lecz z drugiej strony przypominałem sobie, że nieraz bywałem świadkiem kształtowania przyszłości przez cudzą wolę, wobec której okazywałem się bezsilny, niezależnie od tego, ile czasu miałbym do dyspozycji. Cóż z tego, że godzina jeszcze nie wybiła, jeśli i tak nie mamy wpływu na to, co przyniesie? Kiedy Albertyna mieszkała w moim domu, postanawiałem, że co do naszego rozstania nie pozwolę sobie odebrać inicjatywy. A jednak to ona odeszła. Otworzyłem jej list, takiej treści:

„Mój drogi, wybacz, że nie odważyłam się powiedzieć Ci w cztery czy tych kilku słów, które za chwilę przeczytasz, ale takim jestem tchórzem i tak wielki czuję przed tobą respekt, że zabrakło mi śmiałości, by temu poddać. A oto, co powinnam była Ci powiedzieć: nasze wspólne życie stało się nie do zniesienia. Wiesz dobrze, że po tej kłótni ostatnio przez ciebie rozpiętanej coś pękło między nami. To, co udało nam się jeszcze posztukować tamtego wieczoru, rozpadłoby się wkrótce znowu, i byłoby już nie do sklejenia. Rozstańmy się więc właśnie teraz, pogodzeni, i pozostajmy przyjaciółmi. Dlatego, kochany mój, piszę te słowa, i proszę, byś był tak miły i wybaczył mi, jeśli trochę Cię zasmuciłam, bo ja smucić się będę dużo więcej. Mój drogi chłopcze, nie jestem twoim wrogiem, będzie mi bardzo ciężko pogodzić się z tym, że stopniowo, ale już niedługo, stanę Ci się obojętna. Ponieważ moja decyzja jest nieodwołalna, zanim oddam ten list Franciszce, poproszę ją o moje kufry. Żegnaj. To, co we mnie najlepsze, pozostanie przy Tobie. Albertyna”.

To wszystko nic nie znaczy, powiedziałem sobie, wygląda to nawet lepiej, niż mogłem sądzić, bo ona naprawdę wcale tak nie myśli, widać przecież, że napisała to jedynie po to, żeby mną mocno wstrząsnąć, żeby napędzić mi strachu. Trzeba czym prędzej zacząć działać, jeśli dziś wieczór Albertyna ma tu być z powrotem. Przykro pomyśleć, że państwo Bontemps w swej nikczemności skorzystają z tej okazji, by wyciągnąć ode mnie pieniądze. Ale co mnie to obchodzi? Choćbym miał oddać pani Bontemps połowę majątku za niezwłoczny powrót jej siostrzenicy, zostanie dość, byśmy oboje mogli żyć przyjemnie. I już zacząłem myśleć o tym, czy zdążę przed południem zamówić jacht i rolls-royce'a, rzeczy, o których marzyła; a wszystkie moje wcześniejsze obawy ulotniły się i natychmiast zapomniałem, że dawanie jej takich prezentów uważałem za rzecz nierozsądną. A jeśli już nawet współdziałanie pani Bontemps nic nie pomoże, jeśli Albertyna nie zechce posłuchać ciotki i zgodzi się wrócić tylko pod warunkiem, że odtąd zostawię jej zupełną swobodę, wtedy trudno! Choć z żalem, ustąpię i w tym. Będzie mogła wychodzić sama, kiedy zechce. Czasem trzeba ponosić ofiary, nawet bardzo bolesne, jeśli to, co chcemy osiągnąć, warte jest dla nas jeszcze więcej. Tym czymś była zaś obecność Albertyny, wbrew wnioskowi, do jakich tego ranka doprowadziły mnie moje wnikliwe, lecz oderwane od rzeczywistości rozważania. A zresztą, czy naprawdę cierpiałbym aż tak strasznie, gdybym pozwolił jej zażywać swobody? Upierając się przy tym, mijałbym się z prawdą. Już nieraz przeczuwałem, że gdybym nie bronił jej do woli oddawać się złu za moimi plecami, to ból byłby i tak łatwiejszy do zniesienia niż smutek, w jakim się pogrążałem, widząc ją znudzo-

<sup>5</sup>bo nawet w tamtej chwili (...) ciśnieniem gwałtownego bólu — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

na życiem u mojego boku, w moim własnym domu. Zapewne, gdyby zażądała ode mnie, bym pozwolił jej wyjechać tu albo tam, od razu zacząłbym się domyślać jakichś ukartowanych wcześniej orgii, toteż ofiarować jej wtedy swobodę byłoby dla mnie czymś nie do pomyslenia. Powiedzieć jej: „Weź jacht albo wsiądź do pociągu i wybierz się na miesiąc w strony, których nigdy nie widziałem, by robić tam rzeczy, o których się nie dowiem” — taka myśl czasami wydawała mi się kusząca, bo miałem nadzieję, że gdy z daleka poczyni korzystne dla mnie porównania, w końcu będzie zadowolona, że wraca. Chciałem wierzyć, że i ona właśnie tego pragnie. Że nadmiaru wolności wcale nie potrzebuje. I że potem, przekupując ją coraz to nowymi rozrywkami, bez trudu zdołam przywrócić pewne ograniczenia. Albertynie naprawdę zależało na czym innym, na tym — bym przestał być wobec niej nieznośny, a przede wszystkim właśnie na tym, czego kiedyś Odeta oczekiwała od Swanna — żeby się z nią wreszcie ożenić. Po ślubie od razu przestanie tęsknić za niezależnością! Będziemy żyli tu we dwoje, jak dotąd, i będziemy szczęśliwi. Co prawda, musiałbym wtedy porzucić myśl o Wenecji. Lecz jakże blade, obojętne i martwe staje się to, co było najbardziej upragnione — upragnione nawet bardziej niż Wenecja, jak kiedyś znajomość z księżną de Guermantes albo teatr — gdy serce przykute jest do innego serca raniącym boleśnie łańcuchem, który nie pozwala nam się oddalić ani na krok. Jeśli zaś chodzi o kwestię ślubu, to Albertyna ma całkowitą słuszność. Nawet w oczach mamy ta zwłoka była rzeczą niezrozumiałą i niepoważną. Ożenić się z Albertyną, oto co należało zrobić już dawno i co uczynię teraz bez ociągania, bo po to przecież pisała list, sama nie wierząc w ani jedno jego słowo. By osiągnąć swój cel, musiała na kilka godzin odmówić sobie tego, czego z pewnością pragnęła równie gorąco, jak ja: powrotu. Tak, oto jej właśnie chodziło, taki to zamysł kryły w sobie jej czyny, miłosiernie podszeptował mi rozum. Ale czułem, że praca mojego umysłu utknęła w martwym punkcie, zablokowana przyjętym na wstępie założeniem. I przeczuwałem coraz wyraźniej, że możliwe jest jeszcze inne założenie, dotąd nie rozważone. Bez wątpienia nie było sformułowane tak śmiało, by głosić bez ogródek, że coś łączy Albertynę z panną Vinteuil i jej przyjaciółką. Ale to ono pchnęło mnie w odmęty rozpacz w chwili, gdy wchodziłem z Albertyną na stację w Incarville, ono to wydawało się wówczas jedynie prawdziwe. Nawet ono nie prowadziło jednak do szalonego przypuszczenia, że Albertyna może odejść ode mnie z własnej woli, i to w sposób nagły, bez uprzedzenia, nie zostawiając mi czasu, bym jej w tym przeszkodził. I mimo że z owym założeniem zetknąłem się już wcześniej, rzeczywistość, jaka objawiła się teraz, po milowym kroku, narzuconym mi przez życie, była równie zaskakująca jak odkrycie fizyka, jak wynik dochodzeń sędziego śledczego, jak odsłonięte przez historyka podłoże przewrotu albo zbrodni. Rzeczywistość posunęła się dalej niż niepewne przewidywania oparte na owym drugim założeniu, i w ten sposób je potwierdziła. Nie miało ono żadnego logicznego uzasadnienia, toteż atak panicznego lęku, który przeżyłem owego wieczoru, kiedy Albertyna nie chciała mnie pocałować, albo tamtej nocy, kiedy usłyszałem łoskot otwieranego okna, przychodził spoza królestwa rozumu. Choć dalsze zdarzenia potwierdzą to, na co wskazuje już wiele z dotychczasowych obserwacji — że rozum jest narzędziem nieszczególnie subtelnym, niezbyt poręcznym i nie nadaje się do chwytania prawdy — to jedynie dodatkowy powód, by na początek oddać głos rozumowi, a nie intuicji, podświadomości i przecuciom. Samo życie poucza nas raz za razem, krok po kroku, że tego, co najważniejsze dla serca i ducha, nie dowiemy się za sprawą rozumu, lecz dzięki innym zmysłom. Rozum, świadomy ich wyższości, gotów jest z wyrachowania oddać im władzę, godząc się być pomocnikiem i sługą. Wiara płynąca z doświadczenia... Nieprzewidziana katastrofa, z którą musiałem się zmierzyć, tak samo jak fakt zażyłości między Albertyną i dwiema czcicielkami Safony, miała w sobie coś znajomego; zapowiadała ją wcześniej wiele znaków, z których (wbrew przekonaniom, jakie rozum powziął na podstawie słów samej Albertyny) wyczytać mogłem prawdę o znużeniu i żywiołowej niechęci, jaką budziło w niej miejsce uwięzienia. Ileż razy natykałem się na te znaki, zapisane niewidocznym atramentem w głębi pokornych i smutnych źrenic Albertyny, na jej policzkach oblewających się nagłym, niewyjaśnionym rumieńcem, w trzaśnięciu otwartego z impetem okna. Zabrakło mi odwagi, by przyjąć bez reszty ich przesłanie i wziąć w rachubę ten nagły wyjazd. Utrzymywany w równowadze ducha dzięki obecności Albertyny, mogłem sobie wyobrazić jej odejście jedynie jako rzecz postanowioną przeze mnie samego, kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, to znaczy w czasie, który nie

miał nigdy nadejść. Ulegałem zatem złudzeniu, że potrafię wyobrazić sobie ten wyjazd, tak jak ludzie, którzy wierzą, że wcale nie boją się śmierci, póki myślą o niej, mając się nieźle: próbują tylko dopisać jej ujemną wartość do wartości zdrowia, którym się wciąż jeszcze cieszą, nie pamiętając, że w miarę zbliżania się śmierci będą musieli i z nim się pożegnać. Zresztą, choćbym nawet i tysiąc razy wyobrażał sobie wyjazd Albertyny jako akt jej własnej woli, choćbym odmalował go sobie najdokładniej i najwyraźniej, to i tak nie zdołałbym przewidzieć, czym się ten wyjazd okaże dla mnie samego, a więc czym będzie naprawdę, jak niesłychanym, zaskakującym, strasliwym zdarzeniem, jak całkowicie nową udręką. Choćbym zawczasu myślał o nim przez całe lata, wszystkie te myśli nie dałyby mi nawet bladego pojęcia o piekle, którego wrota uchylili przede mną Franciszka, wypowiadając te słowa: „Panna Albertyna wyjechała”. By stworzyć sobie obraz jakiejś nieznannej sytuacji, umysł wypełnia ją szablonami rzeczy znajomych, i właśnie dlatego żadne wyobrażenia nie przybliżają nas do prawdy. Ale każde nowe zdarzenie, trafiając z mocą pioruna w naszą wrażliwość, także tę najbardziej zmysłową, na zawsze zostawia wyżłobioną koleinę, odcisnięty znak. Wahalem się przyznać sam przed sobą, że choćbym zdołał przewidzieć ten wyjazd, to i tak nie wyobraziłbym go sobie w całej jego grozie. Że gdybym nawet został o nim przez Albertynę uprzedzony, nie zdołałbym jej zatrzymać prośbą ani groźbą. Jakże odległe było w tamtej chwili marzenie o Wenecji! Jak kiedyś w Combray marzenia o znajomości z księżną de Guermantes, oddalające się z nadejściem pory, kiedy nie liczyło się dla mnie nic oprócz jednej rzeczy — żeby mama była przy mnie w moim pokoju. Oto wszystkie niepokoje, jakie kiedykolwiek przeżyłem w dzieciństwie i później, powracały przyzywane przez nową trwogę, by przelać się w nią i powiększyć ciężar, który mnie przygniatał. Tak, ten cios w samo serce — rozstanie bez pożegnań — za sprawą niewyobrażalnej łatwości, z jaką ciało pamięta ciosy, przywołuje ból każdej chwili naszego życia, w której cierpieliśmy. Cios w serce, zadany przez tę, która pragnie uczynić nasz żal jak najgłębszym, po części może i z wyrachowania, bo tak bezgraniczna jest w innych obojętność na nasz ból — ten cios spadł na nas może dlatego jedynie, że pozorując rozstanie, spodziewała się wymusić korzystne warunki powrotu; a może chciała, odchodząc na zawsze (na zawsze!), zranić, czy to przez zemstę, czy też po to, żeby przedłużyć trwanie mojej miłości. A może, by dodać mocy wspomnieniu, jakie po sobie zostawi, postanowiła rozerwać tę coraz grubszą pajęczynę znużenia i obojętności, której istnienie wyczuwała od dawna — otóż takiego ciosu w samo serce oboje zamierzaliśmy sobie oszczędzić, wierzyliśmy, że rozstaniemy się w zgodzie. Tylko że przyjazne rozstania nie zdarzają się prawie nigdy, bo póki panuje zgoda, nie myśli się o rozstaniu. Poza tym kobieta, nawet gdy okazujemy jej najgłębszą obojętność, mimo to jakoś wyczuwa siłę naszego przyzwyczajenia, które wtrąciło nas w nudę, lecz jednocześnie usidliło nas, zacieśniając pęta. Także dla niej istotnym warunkiem zgodnego rozstania jest zapowiedzieć je zawczasu. Lecz boi się, że zapowiedź utrudni sprawę. Każda kobieta wie, że w miarę jak wzrasta jej władza nad mężczyzną, ucieczka staje się jedynym możliwym sposobem odejścia. Władczyni-uciekinierka: historia zna takie przypadki. Rzecz jasna, przepaść rozpościera się między znużeniem, którego on dopiero co doznawał, a gwałtowną żądzą jej odzyskania, ledwie odeszła. Składa się na to wiele okoliczności wspomnianych wcześniej, oraz inne, o których będzie dalej mowa. Przede wszystkim jej wyjazd zazwyczaj następuje właśnie wtedy, kiedy jego obojętność — rzeczywista albo też udawana — osiągnęła najwyższy punkt, odchyłona od stanu równowagi niczym wahadło. Kobieta mówi sobie: „Dość, dłużej tak być nie może”, właśnie dlatego, że mężczyzna wciąż powtarza, że pragnie rozstania, albo bez przerwy o tym myśli. A jednak to ona go opuszcza. Wtedy wahadło zmienia kierunek i nim znów osiągnie najwyższy punkt, musi przemierzyć przepaść. Trwa to jedną chwilę i znów się wszystko powtarza, poza zasięgiem rozumu, z mocy natury! Serce wali jak młotem, tymczasem kobieta, która odeszła, jest już kimś innym, niż kiedy mieliśmy ją przy sobie. Jej życie u naszego boku, znane aż nadto dobrze, wplątało się nagle między obce losy i mieni się ich barwami. Być może właśnie po to, żeby się w nich zanurzyć, rozstała się z nami, a odbłask nieoczekiwanego bogactwa tej, która jest już daleko, pada wstecz, na żyjącą w naszym cieniu istotę, która myślała w skrytości o wyjeździe. Serii faktów wewnętrznych, dających się z tych zewnętrznych wydedukować, i składających się wraz z nimi na obraz jej życia przy nas, gdy oprócz naszej nazbyt widocznej obojętności znosić musiała także zazdrość (mężczyźni, którzy przeżyli wiele rozstań,

byli porzucani za każdym razem w podobny sposób, naznaczony piętnem ich charakteru i niezmienności zachowań, dających się dokładnie przewidzieć; każdy bywa zdradzany na swoją własną modłę, tak jak każdy ma właściwy sobie sposób łapania przeziębienia), tej serii, która nie kryje przed nami żadnych tajemnic, odpowiada, jak się okazuje, inna seria faktów, o których nie mieliśmy pojęcia. Nasza ukochana musiała od pewnego czasu wymieniać przez posłańców listy albo ustne wiadomości z tym lub tamtym mężczyzną, z tą lub tamtą kobietą, — i być może czekała na sygnał, który bezwiednie przekazaliśmy jej sami, mówiąc: „Pan X. był wczoraj u mnie”, podczas gdy ona umawiała się z panem X., że odwiedzi mnie poprzedniego dnia przed planowaną przez nich wspólną ucieczką. Ileż możliwych przypuszczeń! Możliwych, nic więcej. Umiałem po mistrzowsku wznosić gmachy prawdy, lecz tylko z niepewnych przypuszczeń. Zdarzyło mi się kiedyś przez pomyłkę otworzyć list do kobiety, z którą byłem związany, list najwyraźniej pisany szyfrem i brzmiący tak oto: „Nadal czekam znak jechać do margrabiego de Saint-Loup, uprzedzić jutro telefon”; wysnułem stąd podejrzenie, że zaplanowała ucieczkę. Widać było, że nazwisko margrabiego de Saint-Loup podstawiono zamiast innego, bo moja przyjaciółka nie była wcale jego znajomą, słyszała o nim tylko z moich ust. Nawet podpis robił wrażenie pseudonimu, obcego duchowi języka. Otóż w rzeczywistości list nie był adresowany do mojej przyjaciółki, nazwisko należało do pewnej kobiety mieszkającej w tym samym domu, lecz zostało źle odczytane. Nie był też napisany szyfrem, tylko kiepską francuszczyzną, bo przysłała go pewna Amerykanka, jak się potem dowiedziałem od Roberta de Saint-Loup, rzeczywiście jego znajoma. I niespotykany sposób pisania przez tę Amerykankę niektórych liter nadał obco brzmiącemu, lecz jej najprawdziwшему nazwisku postać pseudonimu. Myliłem się więc we wszystkim. Ale machina umysłu, która powiązała w całość dostępne fakty, z gruntu fałszywe, nadała wnioskowi kształt prawdy tak doskonale trafiającej w sedno, że kiedy po trzech miesiącach nagle mnie opuściła owa kochanka (która w chwili nadejścia listu zamierzała być ze mną aż po grób), wszystko odbyło się dokładnie tak samo, jak w wyobrażeniu, które stworzyłem sobie za pierwszym razem. Pojawił się zatem drugi list, noszący te same cechy, które błędnie przypisałem pierwszemu, lecz tym razem naprawdę kryjący zaszyfrowaną wiadomość, i tak dalej.

Spadło na mnie największe nieszczęście mojego życia. Lecz udreka, którą mi przyniosło, mimo wszystko ustępowała pasji dociekania, za kim Albertyna tęskniła, do kogo odeszła. Tymczasem przyczyny tych najważniejszych wydarzeń są niczym miejsca, z których rzeka wypływa: choćbyśmy szukali po całym świecie, nie znajdziemy jedyne źródła. Od jak dawna Albertyna przygotowywała ucieczkę? Nie wspominałem o tym (bo dotychczas myślałem, że to tylko zły humor, dąsy, w języku Franciszki zwane „muchami w nosie”), lecz od czasu, kiedy przestała całować mnie na dobranoc, była posępna jak chmura gradowa, trzymała się sztywno, ruchy miała powolne i ciężkie, o najzwyczajniejszych sprawach mówiła głuchym głosem i całkiem przestała się uśmiechać. Nie mogę twierdzić, że cokolwiek świadczyło o utrzymywaniu przez nią jakichś kontaktów poza domem. Wkrótce po jej wyjeździe dowiedziałem się od Franciszki, że wszedłszy na dwa dni przedtem do pokoju Albertyny, nie zastała tam nikogo, story były zaciągnięte, ale powiew powietrza i hałas uliczny wskazywały na to, że okno balkonowe jest otwarte. I w rzeczy samej, Albertyna była na balkonie. Ale nie wiadomo, z kim miałyby się tam porozumiewać; z drugiej zaś strony, zaciągnięte przy otwartym oknie story nietrudno było wyjaśnić moją wrażliwością na przeciągi, a jeśli to nawet niewiele pomagało, przynajmniej Franciszka nie mogła od razu zauważyć z korytarza, że okiennice są już otwarte mimo wczesnej pory. Nie, o niczym takim nie wiedziałem, jeśli pominąć pewien drobiazg wskazujący na to, że już w przeddzień powzięła zamiar wyjazdu. Z mojego pokoju zabrała niepostrzeżenie większą ilość papieru pakowego, po czym nocą pakowała swoje niezliczone peniuary i szlafroczyki, aby wyruszyć z rana. Tylko ten drobiazg, nic więcej. Nie przywiązywałem wagi do tego, że wieczorem uparła się zwrócić mi tysiąc franków, które była mi winna, nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego, bo w sprawach pieniężnych odznaczała się najdalej posuniętą skrupulatnością.

W przeddzień zabrała więc papier pakowy, ale przecież już wcześniej musiała wiedzieć, że wyjedzie! Nie smutek bowiem popchnął ją w drogę, tylko odwrotnie, powzięta decyzja wyjazdu, porzucenia tego życia, które kiedyś było szczytem jej marzeń, zasnęła jej spojrzeń smutkiem. Była poważna i wobec mnie pełna uroczystego niemal chłodu, oprócz

ostatniego wieczoru, kiedy pozostała w moim pokoju jak długo chciałem — zawsze zaskakiwała mnie w niej gotowość do spełniania życzeń — a potem powiedziała w progę: „Żegnaj, mój mały, żegnaj”. Ale wtedy mnie to nie zaniepokoiło. Zdaniem Franciszki Albertyna nazajutrz rano, gdy jej mówiła o swoim wyjeździe, była jeszcze o wiele smutniejsza, jeszcze bardziej zgaszona niż w ciągu minionych dni, i mogło się wydawać, że przy słowach „Żegnaj, Franciszko”, osunie się na podłogę. Choć można to łatwo wytłumaczyć zmęczeniem, skoro nie położyła się wcale, tylko przez całą noc się pakowała, mimo że kufrów nie miała w pokoju i musiała o nie potem poprosić Franciszkę. Kiedy dowiadujemy się o tego rodzaju sprawach, zaczynamy rozumieć, że kobieta, która ostatnio już podobała nam się o wiele mniej od innych, przypadkowo spotkanych na pierwszej lepszej przechadzce, że ta kobieta, dla której z żalem musieliśmy się wszystkich innych wyrzec, jest nam tysiąc razy bliższa od każdej z nich. W takiej chwili nie jest już ważne, czy rozkosze nazbyt wyblakłe od zużycia, albo też mdłe z powodu pospolitości obiektu, ustąpią miejsca nowym rozkoszom, od tamtych wspanialszym i bardziej kuszącym, jedne i drugie muszą bowiem zmierzyć się z czymś, co je przerasta, ze współczuciem wobec cierpienia.

Obiecując sam sobie, że Albertyna będzie tu z powrotem dziś wieczór, zwróciłem się ku nagłym sprawom i nową nadzieją wypełniłem pustkę pozostałą po istocie, z którą do dziś żyłem pod jednym dachem. Lecz mimo skwapliwości, z jaką odezwał się we mnie zmysł przetrwania, po słowach Franciszki nastąpiła chwila, podczas której naprawdę grunt usunął mi się spod nóg, byłem pozbawiony jakiegokolwiek oparcia, i choć teraz wiedziałem już o tym, że Albertyna będzie tu znowu dziś wieczorem, raz po raz kąsał mnie ten sam pierwszy ból, który zdążył mnie być dopaść, zanim o jej powrocie dowiedziałem się sam od siebie (ból tej sekundy, która nastąpiła po słowach: „Panna Albertyna kazała sobie przynieść kufrы, panna Albertyna wyjechała”). Ten ból wciąż odradzał się we mnie samorzutnie, równie gwałtowny jak za pierwszym razem, zupełnie jakbym nic jeszcze nie wiedział o rychłym powrocie Albertyny. Miała wrócić koniecznie, ale z własnej woli. Jakkolwiek przedstawiały się sprawy, gotowość do ustępstw i błagalne starania o jej powrót mogłyby tylko zaszkodzić. To prawda, nie byłem dość silny, by się jej wyrzec, tak jak niegdyś wyrzekłem się Gilberty. Jeszcze pilniej od widoku Albertyny, mój organizm domagał się uśmierzenia fizycznego bólu, którego serce, słabsze niż wtedy, mogło już nie wytrzymać. Poza tym przyzwyczailem się unikać wysiłku woli, zarówno gdy chodziło o zamierzone prace, jak we wszelkich innych sprawach, a przez to stałem się bardziej niż kiedyś gnuśny. Lecz przede wszystkim sam ból był teraz nieporównanie silniejszy z wielu różnych przyczyn, wśród których od tej, że nigdy nie zaznałem rozkoszy zmysłowej ani z panią de Guermantes ani z Gilbertą, ważniejsza była inna — iż nie mogłem ich widywać codziennie, o każdej porze, nie mając po temu sposobności, a zatem i nie odczuwając potrzeby; dlatego w historiach tamtych miłości przytłaczająca potęga bogini Przyzwyczajenia nie odegrała prawie żadnej roli. Moje serce, które było teraz bezwolne i słabe, nie zgadzało się cierpieć. Widziało jedno jedyne rozwiązanie możliwe do przyjęcia: powrót Albertyny, wymuszony na niej bez względu na koszty. To drugie wyjście (by wyrzec jej się na zawsze, stopniowo o niej zapomnieć) serce moje uznało za pomysł nazbyt literacki, za coś, co w prawdziwym życiu się nie zdarza — jak gdybym ja sam nie postąpił kiedyś w ten właśnie sposób wobec Gilberty. Wiedziałem, że owo drugie wyjście znów stoi otworem, zwłaszcza dla tego samego człowieka, bo przecież niewiele się od tamtej pory zmieniłem. Tyle tylko, że czas zrobił swoje, czas, który z jednej strony przysporzył mi lat, z drugiej przyniósł w darze nieustającą obecność Albertyny pod wspólnym dachem. I choć teraz już nie potrafiłem się jej wyrzec, po dawnej miłości do Gilberty i udrękach wycierpianych z jej powodu pozostało we mnie poczucie dumy, które wzbraniało mi poniżania się przed Albertyną żalonym błaganiem jej o powrót; wolałem tak wszystko urządzić, iżby nie mogła poznać, że mi na niej aż tak zależało. Już miałem zerwać się z łóżka, by nie tracić czasu, ale powstrzymał mnie dotkliwy ból: oto wstawałem po raz pierwszy, odkąd mnie opuściła. Wszelako musiałem ubrać się niezwłocznie, by zaraz udać się do stróża w domu Albertyny i rozpytać, czy coś wie.

Cierpienie, będąc przedłużeniem doznanego wstrząsu, szuka nowej formy. Mamy nadzieję, że da się je odpędzić snuciem planów, zbieraniem informacji. Chcemy, by poddało się swoim powolnym przemianom, bo to nie wymaga od nas tyle odwagi, ile trzeba jej

mieć, żeby zwalczyć je w zarodku. Jakże ciasne, twarde i zimne okazuje się łóżko, do którego kładziemy się razem z naszym bólem. Wstałem wreszcie. Stąpałem po pokoju z najwyższą ostrożnością, poruszałem się tak, by nie zawadzić wzrokiem o krzesło Albertyny, o pianolę, na której pedałach opierała złociste laczki, o żaden z przedmiotów, których używała, bo wszystkie nawoływały mnie w tym szczególnym języku, zapożyczonym od wspomnień, jakby chciały przekazać mi jeszcze raz, po swojemu, nową wersję wiadomości o jej wyjeździe. Ale nie patrząc, i tak je widziałem. Opadłem bez sił na jeden z tych foteli obitych błękitnym atlasem, którego chłodny połysk zaledwie przed godziną, w świetlocieniu sypialni przeciętej gaszącym niepokojem promieniem dziennego światła, skłaniał mnie do marzeń, tak wówczas rozkosznych, a teraz tak odległych. Ach! Kiedy ostatnio w nim siadałem, Albertyna jeszcze tu była. Nie mogłem usiedzieć, wstałem więc. I tak oto co chwilę zjawiało się jedno z tych niezliczonych, pokornych ja, które składają się na to, czym jesteśmy, i które nie słyszały jeszcze o wyjeździe Albertyny, więc należało je o nim powiadomić. Trzeba było — co bardziej nawet okrutne, niż gdybym miał do czynienia z osobami postronnymi, niewrażliwymi na mój ból — powiadomić je wszystkie po kolei o nieszczęściu, które na nie spadło, powiedzieć o nim z osobna każdemu ja, które nic jeszcze nie wiedziało. I po kolei każde z nich usłyszeć miało po raz pierwszy te słowa: „Albertyna kazała przynieść kufry” — te same kufry podobne do trumien, które zobaczyłem kiedyś w Balbec, gdy je zabierano razem z kuframi mojej matki — „Albertyna wyjechała”. Każda z tych istot musiała teraz dowiedzieć się o moim smutku. O smutku, który bynajmniej nie był tylko pesymistyczną konkluzją, wyciągniętą przez swobodny umysł z nagromadzenia fatalnych okoliczności, ale nieustającym i niezależnym od mojej woli odnawianiem się wstrząsu, wywołanego ciosem zadany z zewnątrz. W tłumie różnych ja pojawiły się i takie, z którymi już dość dawno się nie widziałem. Na przykład ja, którym stawałem się, kiedy miałem być strzyżony — albowiem był to właśnie, o czym zupełnie zapomniałem, dzień wizyty u fryzjera. Zapomniane ja swoim przybyciem przypawiło mi o szloch, jaki może nam się wyrwać na pogrzebie na widok sędziwego lokaja, posługującego kiedyś w domu tej, która właśnie odeszła. Potem uświadomiłem sobie zniecałk, że od jakichś ośmiu dni nękały mnie nagłe ataki panicznego lęku, o których nie chciałem nic wiedzieć. Stawiałem im opór, mówiąc sobie: „Po co w ogóle zajmować się przypuszczeniem, że ona może ni stąd, ni zowąd wyjechać? To bzdura”. Gdybym się zwierzył osobie rozsądnej i inteligentnej (co byłbym chętnie uczynił dla odzyskania spokoju, ale moja zazdrosna natura nie lubiła zwierzeń), odpowiedziano by mi najpewniej: „Oszalałeś chyba. To niemożliwe”. I w samej rzeczy, wczoraj nie wybuchła przecież żadna sprzeczka. „Nikt nie odchodzi bez powodu. Wykrzyczałaby ci ten powód. Wtedy i ty mógłbyś coś powiedzieć. Nie, nie zdarzają się niespodziewane wyjazdy. To niepoważny pomysł. Wybrałeś najbardziej absurdalne przypuszczenie spośród wszystkich możliwych”. A jednak co rano, kiedy sięgałem po dzwonek i stwierdzałem, że ona jest w domu, wyrывało mi się głębokie westchnienie ulgi. I gdy tylko Franciszka przyniosła mi list Albertyny, od razu wiedziałem, że stało się właśnie to, co stać się nie mogło, że ten w jakiś sposób przeczuwany na wiele dni naprzód wyjazd jednak nastąpił, wbrew logice i wszelkim uspokajającym argumentom. W głębi swojej rozpaczyci przeczulem to, niemalże uradowany własną intuicją, niby zbrodniarz, przekonany, że go nie złapią, lecz jednak trochę niespokojny — gdy nagle zobaczy teczkę akt opatrzonych nazwiskiem ofiary na biurku sędziego śledczego, który go wezwał.

Cała moja nadzieja była w tym, że Albertyna wyjechała do Turenii, do ciotki, pod której czujnym okiem nie zdąży się na dobre rozszaleć, nim ją stamtąd zabiorę. Obawiałem się raczej czego innego: że mogła pozostać w Paryżu, udać się do Amsterdamu albo do Montjouvain, krótko mówiąc, rzucić się w jakąś uknutą wcześniej intrygę, której zawiązanie przeoczyłem. Lecz myśląc o Paryżu, Amsterdamie, Montjouvain, Balbec i Trieście<sup>6</sup>, jednym słowem, o miastach najróżniejszych, miałem wciąż do czynienia z takimi, które były zaledwie prawdopodobne. Gdy więc od stróża w domu Albertyny dowiedziałem się, że wyjechała do ciotki, od razu uznałem to miejsce jej pobytu, które przedtem wydawało mi się najmniej niepożądane, za najniebezpieczniejsze, dlatego właśnie, iż rzeczywiście, i udręczony już pewnością co do chwili obecnej oraz niepewnością

<sup>6</sup>Balbec i Trieście — fragment dopisany. [przypis tłumacza]



jutra, zacząłem wyobrażać sobie Albertynę rozpoczynającą wymarzone nowe życie, odebrane od mojego, nie wiadomo na jak długo, być może na zawsze. Życie, w którym miały się ziszczyć jej nieznane pragnienia, przejmujące mnie dreszczem obaw już wówczas, gdy było mi dane szczęście posiadania, szczęście obsypywania pieszczotami łagodnego oblicza, choć skrywało tajemnicę, zawsze uległe i zarazem nieprzeniknione.

Przed bramą domu Albertyny spotkałem biednie ubraną dziewczynkę, której wyraziste oczy przyglądały mi się tak przyjaźnie, że zaprosiłem ją do siebie; tak samo postąpiłbym z psem o ufnym spojrzeniu. Poszła ze mną chętnie. W domu pohuściłem ją przez chwilę na kolanach, ale ta obecność, przypominająca mi boleśnie o nieobecności Albertyny, wkrótce mnie zmęczyła. Poprosiłem więc, żeby już sobie poszła, wsunąwszy jej przedtem banknot pięćsetfrankowy. Sama myśl, że mogę mieć obok siebie jakąś małą dziewczynkę, której niewinne towarzystwo wybawiłoby mnie od samotności, powracała jeszcze nie raz, i tylko dzięki niej jakoś znosiłem obawę, że Albertyna nie pojawi się przez jakiś czas.

Moja miłość do Albertyny żywiła się jej tajemnicą. Co do niej samej, istniała dla mnie przede wszystkim jako imię, które niemal zawsze po przebudzeniu pierwsze zjawiało się w moim umyśle, by nie opuścić mnie przez cały dzień. Gdyby myśli rozporządzały moim głosem, usta musiałyby powtarzać jej imię bez końca, i mowa stałaby się uboga, jednostajna, jakbym na podobieństwo postaci z pewnej bajki przemienił się w ptaka, by wykrzykiwać już tylko imię tej, którą kochałem, kiedy byłem człowiekiem. Bywa, że przepowiadamy sobie czyjeś imię, ale czynimy to milcząc, więc to raczej tak, jakbyśmy po raz kolejny zapisywali je w swoim umyśle niby kredą na murze, już zabazgranym od góry do dołu imieniem ukochanej osoby. Wypisujemy je wciąż na nowo w swoich myślach, kiedy jesteśmy szczęśliwi, i czynimy to jeszcze wytrwalej, gdy szczęście nas opuści. Powtarzamy to imię, nie niosące już żadnej treści, której byśmy nie znali, jedynie po to, by zaspokoić palącą potrzebę, która wciąż w nas odżywa — co z czasem okazuje się nader wyczerpujące. O rozkoszy cielesnej nawet nie pomyślałem w tamtej chwili; mój umysł utracił z pola widzenia ciało Albertyny, choć to ono zawróciło mi kiedyś w głowie; zapomniałem o ciele, a gdybym chciał z mego cierpienia wyłowić jego ideę w stanie czystym — albowiem każdą rzecz można sprowadzić do czystej idei — odnalazłbym niepewność, czy Albertyna wyjeżdżała z zamiarem powrotu, albo listę sposobów, by ją do siebie ściągnąć. W naszych obawach związanych z bliską nam kobietą ona sama zajmuje tak niewiele miejsca — czyż nie jest to prawdą znaczącą i symboliczną? Jej osoba okazuje się prawie bez znaczenia, ważny jest tylko przepływ wzruszeń i lęków niegdyś przeżytych z jej powodu, które kojarzymy z nią od tamtej pory siłą nawyku. Dowodzą tego, dobitniej nawet niż znużenie, jakie wywołuje w nas stan szczęścia, nasze własne odruchy; możliwość spotkania jej, podziw, jakim nas darzy lub nie, jej gotowość do spełniania naszych życzeń, wszystkie te okoliczności od razu okazałyby się dla nas nieważne i do tego stopnia obojętne, że w ogóle już niewarte zainteresowania — gdyby chodziło nam tylko o nią samą, gdybyśmy pominęli ów przepływ własnych wzruszeń i lęków (przynajmniej w stosunku do tej właśnie osoby, albowiem przepływ może znów ożyć, zmieniawszy obiekt). Póki kierował się ku niej, wydawało się nam, że to od niej zależy nasze szczęście; gdy tymczasem warunkiem szczęścia było właśnie wygaśnięcie naszego uzależnienia. Nieświadomość, bardziej dalekowzroczna od naszej świadomości, dążyła do pomniejszenia postaci ukochanej, przeciwdziałała jej zapisaniu się w naszej pamięci i sprawiła, że w obliczu straszliwego dramatu, kiedy od tego, czy ujrzymy tę kobietę, od tego, czy jej widok położy kres męce oczekiwania, mogło zależeć nasze życie — w gruncie rzeczy wiedzieliśmy o niej niewiele, dostrzegaliśmy w niej tylko przeciętność i banał. Owo stopniowe sprowadzenie osobowości do rozmiarów minimalnych towarzyszyło w sposób bezpośredni i nieunikniony rozwijającemu się uczuciu, jako czytelny wyraz jego subiektywnej natury.

Stan ducha, w jakim Albertyna wyjeżdżała, mógł przypominać nastroje narodu, którego armia szykuje się do demonstracji siły, by utorić drogę rokowaniom dyplomatów. Nie miała żadnego powodu do ucieczki, ten chyba tylko, że chciała wymusić korzystne warunki powrotu, więcej swobody, więcej kosztownych przyjemności. Jeśli tak było, to z nas dwojga ja właśnie miałbym się o co rozgniewać. Ale przedtem musiałbym udźwignąć ciężar oczekiwania na tę chwilę, kiedy ona, straciwszy nadzieję na uzyskanie czegokolwiek, z własnej woli powróci. O ile jednak w kartach czy na wojnie, gdzie liczy się tylko

jedno — kto kogo — łatwo jest stawić czoło bluffowi, to w kwestiach miłości i zazdrości, nie mówiąc już o tęsknocie, rzeczy się mają inaczej. Gdybym prowadząc „wojnę pozycyjną” i czekając spokojnie, pozwolił Albertynie przez wiele dni, a może i tygodni żyć z dala ode mnie, zniweczyłbym cel, do którego dążyłem od ponad roku: żeby nie spuszczać z niej oka ani na chwilę. Wszelkie zachowywane dotąd środki ostrożności poszłyby na marne, jeśli dałbym jej czas i pozwolił zdradzać mnie do woli, a gdyby w końcu nawet skapitulowała, to i tak nie mógłbym łatwo zapomnieć, że przez długi czas żyła bez nadzoru i robiła, co chciała, więc tak czy inaczej poniósłbym klęskę, kto wie, czy nie bardziej druzgocącą niż ta obecna.

Jeśli zaś chodzi o sposoby sprowadzenia jej z powrotem, mogły one być tym skuteczniejsze, im bardziej trafne okazałyby się przypuszczenie, że wyjechała po to jedynie, żeby coś wytargować. W oczach osób, które wątpiły w jej szczerość — przede wszystkim z pewnością w oczach Franciszki — przypuszczenie takie było jak najtrafniejsze. Lecz skoro już wtedy, kiedy o niczym nie wiedziałem, szukałem tylko przyczyny jej złego humoru i wrogich spojrzeń, mój umysł nie oparł się obawie, że Albertyna powzięła zamiar opuszczenia mnie na zawsze, tym bardziej teraz, kiedy rozstanie stało się faktem, odmawiał przyjęcia do wiadomości, że to był wybieg jedynie. Mój umysł, nie ja.

Im jednak mniej wiarygodnie brzmiało przypuszczenie, że wyjazd był wybiegiem, tym bardziej się do niego przywiązywałem; stawało się coraz mocniejsze, w miarę jak traciło na prawdopodobieństwie. Kto zawisł nad przepaścią i wydaje nam się rzeczą pewną, że Bóg go opuścił, wciąż jeszcze liczy na cud.

Przyznaję, że w całej tej sprawie jak na detektywa zachowałem się w sposób wyjątkowo bezwolny, choć i prawdziwie rozpaczliwy. Ucieczka Albertyny nie przywróciła mi tych umiejętności, które zanikły, gdy w czuwaniu nad nią zdałem się na osoby trzecie. Myślałem więc tylko o jednym: że muszę zlecić komuś poszukiwania. Tym kimś miał być Saint-Loup, który wyraził zgodę. Ledwie przerzuciłem na cudze barki trudy następnych dni, powróciła mi radość życia, i pewien już powodzenia, zacząłem krzątać się po pokoju; z chwili na chwilę dłonie znów miałem suche, jak zawsze, bez śladu owego zimnego potu, od którego zwilgotniały po słowach Franciszki: „Panna Albertyna wyjechała”.

Kiedy zdecydowałem się zamieszkać z Albertyną i byłem nawet gotów rozważać małżeństwo, chodziło mi głównie o to, żeby jej lepiej strzec, żeby znać każdy jej krok i raz na zawsze zapobiec odnowieniu jej związków z panną Vinteuil. Kiedy w Balbec opowiadała mi o tej zażyłości jak o rzeczy najzwyczajniejszej pod słońcem, zdołałem udać, że tak to właśnie przyjmuję — choć była to wiadomość rozdzierająca serce, która pograżyła mnie w rozpacz, jakiej jeszcze nie znałem, wiadomość, której nawet w najczarniejszych przewidywaniach nie mógłbym sobie wyobrazić. (To zadziwiające, że naszą zazdrość, na co dzień szukającą ujścia w fałszywych domysłach wywołanych przez jakąś blahostkę, stać na tak niewiele odwagi, kiedy dotyka prawdy). Miłość, zrodzona głównie z potrzeby powstrzymania Albertyny w jej złych skłonnościach, zawsze już miała nosić ślady tego, co jej dało początek. Nie musiałbym wcale tkwić uwiązany przy Albertynie, gdybym bez tego mógł okiełznać w niej niespokojnego ducha, wrywającego się tu albo tam. Żeby utrzymać go w ryzach, zdawałem się na czujność osób trzecich, które miały jej pilnować; liczyłem na to, że uspokajające sprawozdanie, które usłyszę wieczorem, usmierzy mój niepokój i ocali dobry humor.

Złożyłem samemu sobie obietnicę, że cokolwiek miałbym uczynić, sprawię, by Albertyna tegoż wieczoru znalazła się z powrotem w moim domu; w ten sposób na chwilę stłumiłem cierpienie, które ściągnęła na mnie Franciszka, zawiadamiając o wyjeździe Albertyny (dałem się bowiem zaskoczyć, i przez chwilę wierzyłem, że jej zniknięcie jest nieodwracalne). Ale po krótkiej przerwie powrócił i zawładnął mną, gnany własnym impetem, ten sam ból nie do zniesienia; dosięgnął mnie znów, ponieważ pojawił się wcześniej niż uspokajająca obietnica rychłego powrotu Albertyny, udzielona samemu sobie, a słów, które go usmierzyły, mój ból nie zapamiętał. Jeśli miałem podjąć jakieś działania, by zmusić ją do powrotu, musiałem udawać, że niewiele mi na tym zależy i że jej wyjazd wcale mnie nie zabolął. Nie dlatego, żebym kiedykolwiek coś na tym wygrał, ale że

czyniłem tak zawsze, odkąd pokochałem Albertynę, więc byłem już skazany na trwanie w kłamstwie. Mogłem walczyć o nią z tym większą determinacją, im bardziej obojętny wyraz twarzy zdołałbym przybrać. Wpadłem na pomysł napisania do niej pożegnalnego listu, w którym nazwałbym jej odejście ostatecznym, wysławszy tymczasem Roberta de Saint-Loup, by udając, że działa bez mojej wiedzy, jak najbrutalniejszym naciskiem skłonił panią Bontemps do niezwłocznego odesłania mi Albertyny. Co prawda, pamiętałem list wysłany do Gilberty i znałem niebezpieczeństwo czające się w udawanej obojętności, która w końcu przemieni się w obojętność najszczerszą. Podobne doświadczenia powinny mnie powstrzymać od wysyłania takich listów do Albertyny. Lecz to, co nazywamy doświadczeniem, jest jedynie uświadomieniem sobie jakiejś naszej szczególnej właściwości, która nieuchronnie znów się objawi, i objawi się z tym większą siłą, im więcej światła rzuciły na nią wcześniejsze przeżycia, tak że samoistnemu odruchowi, któremu ulegliśmy za pierwszym razem, za kolejnym dodadzą sił wspomnienia. Powtórka ludzkiego losu, przed którą tak trudno się uchronić jednostkom (a także narodom, gdy upierają się przy starych błędach i powtarzają je w coraz to bardziej niebezpiecznej formie), bierze się z naśladowania siebie samego.

Wiedziałem, że Saint-Loup jest w Paryżu, więc od razu po niego posłałem. Przybiegł, równie żwawy i energiczny jak niegdyś w Doncières, i zgodził się jechać zaraz do Turenii. Przedstawiłem mu następujący pomysł: wysiądzie w Châtellerauld, odszuka dom pani Bontemps i poczeka na wyjście Albertyny, bo mogłaby go rozpoznać.

— Więc ona mnie zna, ta dziewczyna, o której mówimy? — spytał.

Odpowiedziałem, że nie sędzę. Mój plan działania nappełnił mnie poczuciem bezgranicznej radości. Był on jednak w oczywisty sposób sprzeczny z tym, co przedtem zamierzylem: miałem przecież tak wszystko urządzić, aby nie wyglądało, że gonię za Albertyną. To zaś, co zamierzaliśmy zrobić, musiało nasuwać takie podejrzenia. Ale ten projekt miał nad innymi nieocenioną przewagę: mogłem już sobie powiedzieć, że ktoś przeze mnie wysłany znajdzie się blisko Albertyny i zapewne mi ją przywiezie. Gdybym lepiej umiał czytać we własnym sercu, wiedziałbym od początku, że wybiorę to właśnie rozwiązanie, ukryte dotąd w cieniu i w moich własnych oczach żalosne, odrzucę zaś wszystkie inne, wymagające wytrwałości i silnej woli, której mi zabrakło. Saint-Loup wydawał się trochę zdziwiony, że jakaś młoda osoba mieszkała u mnie przez całą zimę, a on nic o tym nie wiedział, a że wspominał nieraz o dziewczynie z Balbec, i nigdy nie powiedziałem mu: „Ależ ona właśnie tu mieszka”, mógł się poczuć urażony okazanym mu brakiem zaufania. Niewykluczone, że pani Bontemps napomknie o Balbec. Ale zbyt niecierpliwie oczekiwałem jego wyjazdu, a zwłaszcza powrotu, żebym chciał i mógł wziąć pod uwagę wszystkie możliwe skutki tej podróży. Nie obawiałem się, że rozpozna Albertynę, którą uparcie omijał wzrokiem, kiedy zobaczył ją u mojego boku w Doncières. Wszyscy bowiem mówili, że zaokrągliła się i zmieniła nie do poznania.

— Nie masz jakiej fotografii?<sup>7</sup> — spytał. — Bardzo by się przydała.

Odpowiedziałem, że nie mam, nie chciałem bowiem, żeby rozpoznał ją na tej, którą zrobiłem jeszcze w czasach Balbec, choć wtedy widział Albertynę tylko przez chwilę w wagonie kolejki. Na ostatnim zdjęciu nie była moim zdaniem podobna ani do Albertyny z Balbec, ani do tej dzisiejszej, uznałem zatem, że ani ta podobizna, ani widok żywej osoby nie przypomni mu dziewczyny, którą kiedyś widział. Kiedy szukałem dla niego tej fotografii, łagodnie dotknął mojego czoła, jakby chcąc mnie pocieszyć. Ujęło mnie współczucie, jakie znalazł dla moich cierpień. Wprawdzie dawno już rozstał się z Rachelą, ale to, co wtedy przeszedł, było w nim jeszcze na tyle świeże, iż żywił specjalny rodzaj sympatii czy też litości dla innych, którzy padli ofiarą podobnych przeżyć, niby dla towarzyszy niedoli, dotkniętych tą samą chorobą. Lubił mnie poza tym na tyle, że chciał mi oszczędzić bólu. A wobec tej, która mi go zadała, ogarnęła go mieszanina uczuć podziwu i niechęci. Miał mnie za wcielenie doskonałości, jeśli więc, jego zdaniem, ktokolwiek mógł mnie rzucić na kolana, to tylko istota jeszcze wyższa i doskonalsza. Sądziłem, że fotografia Albertyny przypadnie mu do gustu, choć nie spodziewałem się, że zrobi na

<sup>7</sup>Nie masz jakiej fotografii — tryb dialogu został przez Prousta wprowadzony w ramach poprawek. [przypis tłumacza]

nim takie wrażenie jak Helena na starcach trojańskich, więc ciągle szukając, odezwałem się skromnie:

— Och, nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego, to niezbyt udane zdjęcie, a i ona nie jest żadną nadzwyczajną piękną, za to jest miła.

— Ależ z pewnością jest piękna — odparł z naiwnym i szczerym entuzjazmem, próbując sobie wyobrazić ową istotę, która wpędziła mnie w tak wielką rozpacz i pomieszanie. — Mam jej to za złe, że cię skrzywdziła, lecz z drugiej strony było do przewidzenia, że ktoś taki jak ty, natura artystyczna w każdym calu, darząca piękno miłością tak szaloną, może cierpieć straszliwie, kiedy pokocha je w żywej kobiecie.

I wtedy znalazłem zdjęcie.

— Musi być cudowna — ciągnął dalej Robert, nie zwracając uwagi na fotografię, którą mu podsunąłem. Nagle ją dostrzegł, przez chwilę obracał w rękach. Jego twarz przybrała niemądry wyraz bezgranicznego zdumienia.

— To jest ona, ta dziewczyna, w której się kochasz? — zapytał w końcu tonem, w którym powątpiewanie tłumiała obawa, by mnie nie urazić. Powstrzymał się od uwag, zrobił rozsądną minę z domieszką protekcyjnego pobłażania, do jakiego mamy skłonność wobec chorego umysłowo, nawet jeśli dotąd zawsze uważaliśmy go za przyjaciela i człowieka godnego szacunku — póki nie odmienił go obłęd; zaczyna nam mówić o niebiańskiej istocie, która ku niemu zstąpiła, my zaś, zdrowi na umyśle, w miejscu wskazanym nam przez niego palcem widzimy tylko zarys puchowej kołdry. Pojąłem, co wprawilo Roberta w osłupienie, takie samo jak to, którego doznałem w swoim czasie na widok jego kochanki, z tą tylko różnicą, że widywałem ją wcześniej, Robert zaś sądził, że nigdy nie spotkał Albertyny. Lecz bez wątpienia przepaść między moim i jego wyobrażeniem o tej samej osobie była równie wielka w obu wypadkach. Minęły dawno czasy, kiedy w Balbec, poprzestając na małym, przyglądałem się Albertynie, a moje wrażenia wzrokowe z początku nader skąpo zasilane były odczuciami smaku, zapachu, dotyku. Potem przeżywałem doznania jeszcze słodsze i bardziej przejmujące, które jednak wymykały mi się i z czasem stawały coraz boleśniejsze. Albertyna tkwiła, niby głaz ukryty pod śniegiem, u podłoża skomplikowanej konstrukcji, przenikającej przestrzenie mego serca. Robert, dla którego kolejne nawarstwienia moich doznań pozostawały niedostrzegalne, widział jedynie tło, którego ja, przeciwnie, nie mogłem zobaczyć, bo ona mi je przesłoniła. Przyczyną zmieszania, w jakie popadł Robert na widok fotografii, nie był więc zachwyt, który kazał starcom trojańskim zawołać na widok przechodzącej Heleny:

Nasz ból niewart jednego jej spojrzenia,

lecz coś zupełnie przeciwnego, co wyrażają słowa: „Jakże to, z powodu kogoś takiego aż tyle gniewu, rozpacz i szaleństwa?!” Warto zauważyć, że taka reakcja na widok osoby, która ściągnęła cierpienia na tego, kogo lubimy, która wywróciła do góry nogami jego życie i niemalże wpędziła do grobu, zdarza się nieporównanie częściej niż zachwyt Trojan, i to właśnie ona jest zjawiskiem powszechnym. Nie tylko dlatego, że miłość jest sprawą tak indywidualną, albo że kiedy sami nie kochamy, to uważamy ją za chorobę łatwą do uniknięcia, i wówczas lubimy wdawać się w pełne rezerwy rozważania na temat cudzego szaleństwa. Miłość osiąga czasem takie nasilenie, że rodzi tylko ból, i wtedy sfera odczuć zmysłowych, ogniskujących się między obliczem kobiety i wzrokiem jej kochanka (ta bańka mydlana wypełniona bólem, który cały się w niej mieści, odcięty od świata) jest już rozdęta wystarczająco, by ów punkt, przykuwający jego wzrok, punkt przemiany szczęścia w cierpienie, znalazł się równie daleko od obrazu postrzeganego przez innych, jak rzeczywiste słońce od miejsca, w którym widzimy je, ulegając złudzeniu za sprawą zjawiska refrakcji. Ponadto jej twarz z wiekiem ulega najróżniejszym niekorzystnym przemianom, które przesłania oczom kochanka nawracający ból i niewygasła czułość. Toteż oblicze widziane kiedyś po raz pierwszy nie przypomina już prawie wcale tego późniejszego, oglądanego pośród powszednich cierpień miłości, od którego równie odległe jest jeszcze inne, znane ludziom obcym i obojętnym. (Co by to było, gdyby zamiast młodej dziewczyny Robert ujrzał na fotografii starzejącą się kobietę?) Możemy doznać podobnego zdziwienia niezależnie od tego, czy było nam dane widzieć w dawnych czasach późniejszą sprawczynię nieszczęść. Zdarza się często, że znamy ją z innej strony, tak

jak Odetę znał mój cioteczny dziadek Adolf. Różnice postrzegania wykraczają dalece poza powierzchowność, dotyczą nawet cech charakteru i formatu osobowości. Można się było założyć, że dręczycielkę zakochanego w niej mężczyzny dobrze zna jako osobkę zgodną i przymilną ktoś inny, komu na niej nigdy nie zależało. Tak też było z Odetą, która — bezgranicznie okrutna wobec Swanna — odwiedzała mojego ciotecznego dziadka Adolfa jako czarująca „różowa dama”. Zdarza się, że ta sama istota, której wyroków zakochany mężczyzna czeka z drżeniem, usiłując zawczasu je odgadnąć niczym kaprysy groźnego bóstwa, innym, którzy jej nie kochają, wyda się zbyt uległa, zbyt łatwo gotowa na wszystko, czego się od niej chce, tak jak ukochana Roberta de Saint-Loup, która w moich oczach była jedynie tylekroć mi proponowaną „Rachelą kiedy Pan”. Pamiętałem, że kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy z Robertem, wprawiła mnie w zdumienie myśl, że i taka kobieta może wpędzić kogoś w udrękę dociekania, co robiła w ten czy inny wieczór, co szepnęła na ucho temu lub tamtemu, dlaczego myślała o zerwaniu. Rozumiałem, że dla Roberta de Saint-Loup przeszłość Albertyny, wyzwalająca paroksyzmy bólu w każdym z włókien mojego biednego serca, które się ku niej rwało spragnione prawdy, musiała być równie pozbawiona znaczenia, jak dla mnie przeszłość Racheli. Przeczuwałem już, że i mnie z czasem zobojętnięją koleje losów Albertyny, że stopniowo wyzwolę się z obecnego stanu ducha, zmierzając tam, gdzie dotarł Robert; nie miałem bowiem złudzeń na temat tego, co mógł myśleć i co pomyślałby każdy człowiek, który nie byłby w niej, jak ja, zakochany. Nie z tego powodu cierpiałem. Zostawmy piękne kobiety mężczyznom bez wyobraźni. Dobrze wiedziałem, że kluczem do tragicznej biografii często bywa portret, genialny, lecz niepodobny, taki jak na przykład portret Odety pędzla Elstira, przedstawiający nie tyle postać kochanki, ile samą naturę miłości, która zniekształca rzeczywistość. Brakowało w nim tylko jednego — tego, co w portretach tak naturalne — by spojrzenie wielkiego malarza było zarazem spojrzeniem kochanka (lecz przecież krążyła nawet plotka, że Elstir był kochankiem Odety). Uderzający brak podobieństwa portretu do osoby może kryć w sobie wyjaśnienie zagadki całego życia człowieka takiego jak Swann, opętanego niezrozumiałą dla innych namiętnością. Ale dopiero gdy kochankiem jest malarz tej klasy co Elstir, następuje objawienie, naszym oczom ukazują się usta, jakich żaden profan nie dostrzegłby u tej kobiety, nieznany nikomu kształt jej nosa, bijące z jej twarzy wewnętrzne światło, dotąd uchodzące uwagi. Portret niesie przesłanie: „To, co kochałem, co było przyczyną moich cierpień i co zawsze miałem pod powiekami, tu oto widzicie”. Kiedyś usiłowałem w swoich wyobrażeniach uzupełnić postać Racheli o wszystko to, w co wyposażył ją Robert, teraz zaś chciałem na próbę odwrócić tę sztuczkę, odjąć od postaci Albertyny upiększenia, jakie dodało moje serce, bym mógł zobaczyć w niej to, co widział Robert, to, co ja sam widziałem w Racheli. Ale cóż z tego? Nawet gdybyśmy mogli ujrzeć różnicę gołym okiem, czy jesteśmy w stanie w nią uwierzyć? Kiedy w Balbec Albertyna czekała pod arkadami Incarville, by wskoczyć do mojego auta, nie tylko nie zdążyła jeszcze utyć, ale wprost przeciwnie, do przesady zażywając sportów, wychudła zanadto. Skóra i kości, w dodatku ujmował jej wdzięku nieładny kapelusz, pod którym można było dostrzec koniuszek pospolitego nosa i nieprzyjemną biel policzków; w tej postaci niewiele z niej mogłem rozpoznać, lecz skoro wskakiwała do mojego auta, docierało do mnie, że to ona, że punktualnie przyszła na umówione spotkanie i że nie wybrała się w tym czasie gdzie indziej; to mi w zupełności wystarczało. To, co kochamy, tak bardzo należy do czasu przeszłego, straconego we dwoje, że nawet nie musimy już postrzegać tej drugiej osoby w całej jej złożoności. Dość nam wiedzieć, że to właśnie ona; idzie nam o jej tożsamość, dla tego, kto kocha, ważniejszą od urody. Może i schudła ponad miarę, może policzki ma zapadnięte, lecz jeśli kiedyś jej kochanek zwykł się pysznić przed innymi urodą tej okiełznanej przez siebie istoty, w końcu wystarczy mu cień dawnego profilu, jakiś szczegół, do którego sprowadza się cała jej osobowość, to coś, co w niej trwałego, niezmiennego jak pierwiastek równania; i to już wystarczy, by człowiek rozrywany w wielkim świecie nie mógł rozporządzać ani jednym wolnym wieczorem, ponieważ pochłonięty jest bez reszty głaskaniem włosów ukochanej, póki ona nie zaśnie; nie odstępuje jej ani na krok, nie chcąc zostawić jej samej, lub raczej nie chcąc, by ona go zostawiła, czasem dlatego jedynie, by nie mogła być w tym czasie z kim innym.

— Jesteś pewien — spytał Saint-Loup — że wolno tak po prostu zaproponować tej kobiecie trzydzieści tysięcy franków na komitet wyborczy jej męża? Jest aż tak podła? Jeżeli się nie mylisz, to trzy tysiące powinny w zupełności wystarczyć.

— Proszę cię, żadnych oszczędności, ta sprawa nazbyt leży mi na sercu. Musisz powiedzieć jej to, w czym zresztą jest trochę prawdy: „Mój przyjaciel dostał te trzydzieści tysięcy franków od jednego z krewnych na komitet wyborczy wuja swojej narzeczonej. Podarowano mu te pieniądze z okazji zaręczyn. I poprosił mnie, abym dając je pani, uczynił to w taki sposób, by Albertyna o niczym się nie dowiedziała. Lecz właśnie wtedy Albertyna niespodziewanie go opuściła. Nie wie, co ma zrobić. Jeśli nie ożeni się z Albertyną, będzie zmuszony zwrócić swojemu krewnemu te trzydzieści tysięcy franków. A jeśli ma się z nią ożenić, to konieczne jest, żeby natychmiast wróciła, bo jej przedłużająca się nieobecność może zrobić złe wrażenie”. Sądziś, że zmyśliłem to na poczekaniu?

— Ależ skąd — odparł Saint-Loup, który miał dobre serce i był dyskretny, a ponadto wiedział z doświadczenia, że prawda bywa często bardziej dziwaczna, niż można się spodziewać. Tym bardziej, że historyjce o trzydziestu tysiącach franków nic nie można było zarzucić. Przeciwnie, tak jak mu powiedziałem, tkwiło w niej ziarno prawdy: coś takiego mogło się bowiem wydarzyć w rzeczywistości, choć się akurat nie wydarzyło; zatem tylko ten jeden drobiazg był w mojej historyjce kłamstwem. Ale przecież kłamaliśmy obaj, jak to zwykle bywa między przyjaciółmi, kiedy jeden z nich szczerze pragnie pomóc drugiemu, zakochanemu nieszczęśliwie. Przyjaciel, który chce być drugiemu podporą, doradcą i pocieszycielem, lituje się nad pogrążonym w rozpacz, sam w rozpacz nie będąc, toteż im lepsze ma intencje, tym więcej musi udawać. Ten drugi zaś wyznaje mu tyle tylko, ile jest nieodzowne, żeby można było przyjść mu z pomocą, ale właśnie dlatego, że potrzebuje pomocy, zechce ukryć całą resztę. Z nich dwóch ten jest w szczęśliwszym położeniu, który bierze na siebie trudy, wyrusza w podróż, podejmuje się misji: to ten, którego cierpienie ominęło. Ja sam wystąpiłem w takiej roli wobec Roberta w Doncières, kiedy rozpaczął po rozstaniu z Rachelą. — A więc będzie, jak chciałeś. Nawet gdyby mieli mi naubliżyć, jakoś to zniosę. Robię to dla ciebie. Trochę mi nieswojo tak bez ogródek proponować pieniądze, ale z drugiej strony, niejedna bogobojna księżna z najlepszego towarzystwa za trzydzieści tysięcy franków chętnie posunęłaby się do gorszych nikczemności niż odesłanie siostrzenicy do Paryża. Zresztą, cała przyjemność po mojej stronie, i to podwójna, bo potrzebując ode mnie przysługi, musiałeś wreszcie pozwolić, bym cię odwiedził. Czy będziemy się częściej widywali, jeśli się ożenię? Chciałbym, żebyś mój dom uważał za swój własny.

Urwał, jakby nagle pomyślał o tym, że teraz, być może, ja także się ożenię i że Albertyna to nie jest odpowiednia znajomość dla jego przyszłej żony. Przypomniałem sobie, co usłyszałem od Cambremerów o jego spodziewanym małżeństwie z córką księcia Gilberta. Tymczasem Robert zajął do rozkładu jazdy pociągów i dowiedział się, że może wyruszyć dopiero wieczorem.

— Czy wynieść łóżko panny Albertyny z gabinetu? — zapytała Franciszka.

— Przeciwnie, ma być posłane — odrzekłem. Miałem nadzieję, że jej powrót nastąpi lada dzień, i nie życzyłem sobie, żeby Franciszka podawała to w wątpliwość. Chciałem, by wyjazd Albertyny miała za rzecz postanowioną w porozumieniu ze mną, z której nie wynika w żadnym razie, że Albertyna już mnie nie kocha. Ale spojrzenie Franciszki wyrażało co najmniej powątpiewanie, jeśli nie zgoła niewiarę. Ona także rozważała swoje hipotezy. Jej nozdrza zwiertzyły zwadę, być może już od dawna coś przeczuwała. Jeśli brakowało jej jeszcze zupełnej pewności, to tylko dlatego, że tak samo jak ja nie dawała zbyt łatwo wiary tym najbardziej upragnionym nowinom.

Saint-Loup wsiadał może właśnie do pociągu, kiedy w przedpokoju wpadłem na Blocha, nie usłyszawszy, jak dzwonił do drzwi; w tej sytuacji zmuszony byłem go przyjąć. Niedawno spotkał mnie z Albertyną (znał ją z Balbec), kiedy akurat była nie w humorze.

— Jadłem obiad z panem Bontemps — rzekł — a że mam pewien wpływ na niego, mówiłem mu, jak mnie to smuci, że jego siostrzenica jest dla ciebie niedobra. Powiedziałem mu, że powinien wstawić się u niej za tobą.

Zakipiałem z wściekłości, bo jego jękiwy ton mógł zniweczyć efekty misji Roberta de Saint-Loup, stawiając mnie wobec Albertyny w sytuacji kogoś, kto śle do niej błagania. Na domiar złego Franciszka kręciła się w przedpokoju i wszystko słyszała. Wygarnąłem

Blochowi, co o tym myślę; dodałem, że nigdy go nie prosiłem o podobną przysługę i że w dodatku jest w błędzie. Wtedy do jego ust przykleił się uśmiezek, który nie zniknął już do końca wizyty, choć, jak sądziłem, wyrażał raczej zażenowanie Blocha, że się zachował nie po mojej myśli, niż satysfakcję. Ironizował, niby to zdziwiony, że aż takie gromy na siebie ściągnął. Może zamierzał śmiechem odjąć w moich oczach wszelkie znaczenie własnym niedyskrecjom, albo też, jako niegodziwiec, przyzwyczajony był żyć w oceanie fałszu, leniwie i beztrąsko jak meduza unosząc się na jego falach, a może też po prostu, przynależąc do szczególnego gatunku ludzkiego, do owych „innych”, zawsze niezdolnych wczuć się w nasze położenie, nie był w stanie zrozumieć, ile krzywdy można wyrządzić słowami rzuconymi od niechcenia. Ledwo zdążyłem się go pozbyć, nie znalazłszy sposobu naprawienia szkód, które mi wyrządził, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi i Franciszka przyniosła mi wezwanie do komisarza policji. Rodzice tej dziewczynki, która spędziła u mnie godzinę, zamierzali oskarżyć mnie o uwiedzenie nieletniej. W takich chwilach życie nieoczekiwanie ukazuje nam nowy rodzaj piękna, zrodzonego z nawały spadających na nas kłopotów, splątanych niczym wątki muzyczne u Wagnera, i z narastającej świadomości, że przyszłych zdarzeń nie pomieści ten kawałek lusterka, w które chce złowić ich odbicia intelekt; że rozwój wypadków wykracza poza moce rozumu, że uderza w nas nagle, z taką siłą, jakby chciał nas powalić. Nawet pojedyncza komplikacja zmienia charakter w zależności od tego, czy opresja ją potęguje, czy radość pozbawia ją wagi. Ale nieszczęścia zazwyczaj chodzą parami. Emocje zrodzone ze zdarzeń mogą się wytlumić nawzajem, przy czym strach, czego do pewnego stopnia doświadczyłem w drodze na komisariat, stanowić może krótkotrwały, ale skuteczny środek przeciwko rozterkom serca.

W komisariacie zastałem rodziców dziewczynki. Powitali mnie obelgami. Powiedzieli: „My takiego chleba nie jemy”, i chcieli zwrócić mi pięćset franków, których wzbraniałem się od nich wziąć. Komisarz, popisując się niezrównaną swobodą, zapożyczoną z sal sądowych, od sędziów przewodniczących trybunałom, którzy znani są z ciętych replik, brał z każdego mojego zdania po jednym słowie, na którym budował swoją dowcipną i miażdżącą odpowiedź. Przypuszczenie o mojej niewinności zostało odrzucone bez zastanowienia — z możliwych hipotez ta była jedyną, której nikt nie rozważał ani przez chwilę. Niemniej sporządzenie aktu oskarżenia nastęrczyłoby znacznych trudności, uszedłem więc cało, zmyto mi tylko głowę, tym hałaśliwiej, że w obecności rodziców. Lecz kiedy sobie poszli, komisarz, który sam widać lubił małe dziewczynki, zmienił ton i w duchu koleżeńkiej reprimendy powiedział mi: „Zalecam więcej ostrożności na drugi raz. Kto to widział, działać na wariata? Było pewne, że pan wpadnie. Zresztą pełno wszędzie dziewczynek ładniejszych od tej małej, i znacznie tańszych. Bez umiaru pan przepłacił”.

Wiedziałem, że ta prawda, którą mógłbym wyjawić, nie pomieści mu się w głowie, więc korzystając z przyzwolenia, oddaliłem się bez słowa. Przez całą drogę powrotną brałem każdego przechodnia za tajniaka, któremu nakazano zbadać, jak się prowadzi. Ale ten wątek, podobnie jak wątek złości na Blocha, niebawem się urwał, pozostawiając całą przestrzeń sprawie wyjazdu Albertyny.

I sprawa Albertyny powróciła, lecz tym razem w tonacji niemalże radosnej, skoro Saint-Loup został już wyprawiony w drogę. Podejmując się rozmowy z panią Bontemps, wziął na siebie ciężar, przytłaczający jeszcze chwilę wcześniej mój skołatany umysł. Gdy wyruszał, podniosła mnie na duchu myśl, że powziąłem właściwą decyzję: „Zrobiłem, co trzeba, i to z całą stanowczością”. I moje cierpienie się rozproszyło. Jak sądziłem, dlatego właśnie, że zacząłem działać; wierzyłem w to święcie, bo nigdy nie wiemy, co skrywa nasze serce. Ale owej pogody ducha nie zawdzięczałem wcale temu, że w swej niepewności mogłem oprzeć się na Robercie. Myliłem się, choć także nie do końca. Najlepszym lekarstwem na rany zadane nam przez nieszczęśliwe zdarzenie (trzy czwarte zdarzeń to właśnie te nieszczęśliwe) jest podjęcie decyzji. Ona bowiem odwraca w sposób nagły bieg naszych myśli, kładzie tamę tym, które ciągną się za minionym zdarzeniem i nie pozwalają mu przebrzmieć, daje miejsce przeciwnemu nurtowi myśli napływającym z zewnątrz, zanurzonych w czasie przyszłym. Ich działanie na ogół bywa dobroczynne (i tak też było z myślami, które mnie osaczyły), ponieważ, zwrócone ku przyszłości, przynoszą nadzieję. To właśnie pewność napełniła mnie poczuciem szczęścia, pewność, że misja Roberta de Saint-Loup nie może skończyć się porażką, a wobec tego Albertyna na pewno wróci.

Wkrótce to pojąłem. Albowiem nie otrzymawszy nazajutrz wiadomości od Roberta, na nowo pograżyłem się w cierpieniu. Źródłem mojej radości nie była zatem podjęta decyzja ani to, że przerzuciłem ciężar na barki Roberta, bo w takim razie radość trwałaby nadal, ale ta myśl: „Musi się udać”, która przelatowała mi przez głowę, gdy mówiłem: „Będzie, co ma być”. Inna myśl, że może się nie udać, zbudzona ze snu, kiedy wiadomości nie napłynęły w porę, była mi tak niemiła, że w jej obecności ulga zniknęła bez śladu. To tylko nasza nadzieja na szczęśliwy obrót spraw przepelnia nas niczym gaz rozweselający, którego efekt przypisujemy zewnętrznym przyczynom, a który uleci z nas wkrótce, razem z pewnością, że przyszłość spełni nasze pragnienia; wówczas znów opadniemy bezwładnie na samo dno smutku. Niewidoczny fundament mniemań przez cały czas podtrzymuje gmach naszego wewnętrznego świata, który bez niego rozchwiałby się niebezpiecznie. One to nadają walor rzeczom albo strącają je w nicłość i sprawiają, że gotowi jesteśmy za kimś szaleć, a towarzystwo innej osoby przyprawia nas o sennność i nudę. One też pomagają przetrwać smutek, który wydaje się nam nie tak wielki, póki wierzymy, że przyszłość położy mu kres; pomagają nam nawet znieść krańcową rozpacz, kiedy czyjaś upragniona obecność więcej dla nas znaczy od własnego życia.

Stało się wówczas coś, co poraziło moje serce bólem równie ostrym jak tamten, przeżyty w pierwszej minucie, który potem, trzeba to przyznać, zdążył już stępieć. A rzeczą tą było ponowne odczytanie listu Albertyny. Choćbyśmy najbardziej kogoś kochali, po jego utracie nasze cierpienie wydaje się nam znośne, póki przeżywamy je w samotności, bo wtedy nasz umysł nadaje mu swoją własną formę. Staje się zaś nie do wytrzymania, obce i nieobliczalne niczym katastrofa, która nawiedziła rejony naszego serca i zdruzgotała cały świat wewnętrzny, i to nie tyle ze względu na samo odejście tej osoby, ile na okoliczności, w jakich zostaliśmy powiadomieni o tym, że już nie zobaczymy jej więcej. O Albertynie mogłem rozmyślać wśród kojących smutek łez, pogodzony z tym, że dziś wieczór jej tu nie będzie, tak samo jak nie było jej wczoraj. Ale jeszcze raz przeczytałem: „Moja decyzja jest nieodwołalna”, to zupełnie co innego, to tak, jakbym zażył niebezpieczne lekarstwo i naraził się na zapaść serca, zagrażającą życiu. W przedmiotach, w zdarzeniach świata zewnętrznego, w pożegnalnych listach kryje się niebezpieczeństwo szczególnego rodzaju, niebezpieczeństwo spotęgowania i wynaturzenia bólu zadawanego nam przez innych. Ale ten ból wkrótce ustąpił. Mimo wszystko stawałem na zręczność Roberta, na powodzenie jego misji, i powrót Albertyny wydawał mi się rzeczą tak pewną, że w końcu ogarnęły mnie wątpliwości, czy naprawdę warto było o to zabiegać. Tak czy inaczej, przepelniała mnie radość.

Zamierzałem oprócz samochodu kupić najpiękniejszy jacht, jaki wtedy istniał. Był do sprzedania, ale tak drogi, że nie znajdowano kupca. Gdybym miał ten jacht, i gdyby pływał on choćby tylko przez cztery miesiące w roku, to roczny koszt jego utrzymania i tak przewyższałby sumę dwustu tysięcy franków. W ten sposób musiałbym przekroczyć o około pół miliona franków nasze roczne wydatki. Czy wytrzymałbym to dłużej niż przez siedem, osiem lat? Ale cóż to miało za znaczenie? Gdyby zostało mi pięćdziesiąt tysięcy franków stałego dochodu, mógłbym je zapisać Albertynie i zastrzelić się. Podjąłem taką decyzję. I oto zwróciła ona moją uwagę ku owemu ja, które we mnie żyło. Skoro zaś stale tkwiło ono po uszy w płątaniu bieżących spraw i całe było jedynie myślą o tych sprawach, ujrawszy z nagle zamiast nich własne oblicze, nie mogło w nim dostrzec nic prócz pustej formy; by wypełnić ją realną treścią, musiało posłużyć się wspomnieniem twarzy z lustra. To ten właśnie łagodny półuśmiech, naruszający symetrię wąsów, miał zostać unicestwiony. Gdybym się zabił za pięć lat, przeszkodziłoby mi to w rozmyślaniach o tym wszystkim, co teraz bez reszty wypełniało mój umysł. Odszedłbym z tego świata i nigdy już nie wrócił, moje myśli znieruchomiałoby na zawsze. I moje ja wydało mi się jeszcze bardziej puste, ujrzałem je po prostu jako coś, czego już nie ma. Czyż trudno byłoby dla tej, wokół której w nieustającym napięciu krążyły wszystkie moje myśli, dla tej, którą kochałem, poświęcić inną istotę, o której nie rozmyślałem nigdy: mnie samego? Z tej perspektywy wyobrażenie własnej śmierci, tak samo jak pustka mojego ja, przedstawiało się dość niezwykle i nie miało w sobie nic niemiłego. Nagle jednak ogarnął mnie bezgraniczny smutek: pomyślałem, że nie mogę dysponować odpowiednią sumą pienię-



dzy z tej przyczyny, że żyją jeszcze moi rodzice, co przypomniało mi od razu o matce. I nie mogłem znieść myśli o bólu, jaki sprawi jej moja śmierć.

Niestety, choć byłem pewny, że kłopoty z policją zostały zażegnane, Franciszka powiadomiła mnie, że przyszedł jakiś mundurowy i wypytywał, czy nie mam czasem zwyczaju sprowadzać do domu bardzo młodych osób — co odzwierny potwierdził w przekonaniu, że chodzi o Albertynę, po czym, jak się wydaje, wzięto nasz dom pod obserwację. Nie mogłem więc liczyć już na wizytę żadnej dziewczynki, której obecność pocieszyłaby mnie w moim smutku, bo zaraz zjawiłby się policjant, stwarzając kompromitującą sytuację i robiąc ze mnie złochnicę. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że zawsze żyjemy marzeniami, nawet o tym nie wiedząc; gdy zrozumiałem, że nigdy już nie będę mógł wziąć na kolana małej dziewczynki, życie naraz wydało mi się nic niewarte. Poczulem, że zaczynam rozumieć tych ludzi, którzy bez wahania rezygnują z majątku lub oddają życie, podczas gdy większość stawia interesy i lęk przed śmiercią na pierwszym miejscu, jako sprawy, wokół których wszystko się kręci. Kiedy wyobraziłem sobie wizytę policjanta, która okryje mnie hańbą w oczach jakiejś nieznajomej dziewczynki, przyszło mi na myśl, że lepiej od razu się zabić. Albowiem to drugie wydawało mi się boleć nieporównanie mniej niż to pierwsze. Ludzie prawie nigdy nie biorą pod uwagę, że ktoś, kogo chcą przekupić lub komu grożą, może mieć narzeczoną albo po prostu przyjaciela, na którego szacunku bardzo mu zależy, nawet jeśli niewiele wymaga od siebie. W zamęcie, który ogarnął mnie nagle, wyleciało mi z głowy, że Albertyna, będąc pełnoletnią, miała prawo u mnie mieszkać i nawet być moją kochanką, i zaczęło mi się wydawać, że zarzut sprowadzania dziewcząt na złą drogę ciąży nade mną także w jej przypadku. I wtedy poczułem się zapędzony w kozi róg. Sam dobrze wiedziałem, że ten związek nie był niewinny, toteż karę, jaka spotkała mnie za kołysanie nieznajomej dziewczynki, uznałem za przejaw wyższej sprawiedliwości, która niemal zawsze obecna jest w wyrokach sprawiedliwości ludzkiej; toteż żaden z ludzkich wyroków nie jest całkiem zasłużony i żaden nie jest w pełni omyłką; wina, jaką przypisano niewinnemu, pozostaje w równowadze z jego nigdy nie odkrytym występkiem. Obawiając się, że powrót Albertyny ściągnie na mnie hańbiący wyrok, że stanie się ona świadkiem mojego poniżenia i że jej samej wyrządzone zostaną krzywdy, o które potem będzie mnie obwiniała, ze strachu przestałem życzyć sobie jej powrotu. Już chciałem nawet depeszować, by nie przyjeżdżała. W tej samej jednak chwili do szaleństwa zapragnąłem, żeby wróciła, i wszystko inne stało się nieważne. Albowiem ujrawszy w nagłym błysku ową przyszłość, w której zabroniłem jej wracać i żyjąc bez niej, poczułem, że — na odwrót — gotów jestem wyrzec się wszelkich podróży, wszelkich rozkoszy, a nawet dzieł, które mógłbym stworzyć, byleby Albertyna była przy mnie.<sup>8</sup>

Ach, jakże inaczej kochałem Albertynę niż kiedyś Gilbertę, choć nieraz próbowałem z owej dawnej miłości wysnuć prognozy na temat tej obecnej! Jak bardzo nie do pomyslenia było dla mnie życie bez Albertyny! Każda czynność, choćby najmniejszej wagi, lecz jeszcze niedawno skąpana w blasku jej uszczęśliwiającej obecności, zmuszała mnie teraz, bym raz po raz, wciąż na nowo i zawsze z tym samym nieznośnym bólem, podejmował naukę życia w rozłące. Później napór najróżniejszych przejawów życia odsunął w cień nową odmianę bólu; w tych dniach, a były to pierwsze dni wiosenne, czekając na efekty spotkania Roberta de Saint-Loup z panią Bontemps, zacząłem znów rozmyślać o Wenecji, o nie znanych mi pięknych kobietach, i chwilami doznawałem pocieszenia. Kiedy tylko zdałem sobie z tego sprawę, wpadłem w popłoch. To ukojenie, którego wtedy doświadczyłem, było pierwszym zwiastunem obecności potężnych sił, które odtąd miały zmagać się we mnie z cierpieniem, z miłością, atakując raz po raz, aż do ostatecznego zwycięstwa. Wszystko to było jeszcze tylko przecuciem, lecz stwarzało przedsmak tego, co w przyszłości czeka mnie jako trwały stan rzeczy, jako życie, w którym nie będę mógł cierpieć przez Albertynę, bo już nie będę jej kochał. I moja miłość, rozpoznawszy wrogą

<sup>8</sup>Niestety, choć byłem pewny (...) Albertyna była przy mnie — akapit poprzednio następował po słowach *Tak czy inaczej, przepelniała mnie radość.* [przypis tłumacza]

siłę, jedyną potęgę zdolną ją zniszczyć, zadrżała niczym zamknięty w klatce lew, który nagle dostrzegł w kącie pytona i pojął, że nie ma ratunku.

Ani na chwilę nie zapomniałem o Albertynie, i gdy Franciszka wchodziła do pokoju ze słowami: „Listów nie ma”, nigdy nie padały one wystarczająco szybko, by oszczędzić mi udręki. Lecz od czasu do czasu pozwalałem, by prąd innych myśli przepłynął przez mój smutek i wniósł nieco świeżości w gnuśny zastój mojego serca. Jeśli wieczorem zasypiałem bez trudu, to dzięki temu, że wspomnienie Albertyny było jak lekarstwo, które się bierze na sen i którego działanie stopniowo słabnie, co prowadzi z czasem do przebudzenia. Śpiąc, myślałem dalej o Albertynie. Był to sen od niej otrzymany w darze i jej poświęcony, zresztą i tak, podobnie jak na jawie, nie mogłem myśleć o niczym innym. Senność i wspomnienie Albertyny tworzyły gotową do zażycia mieszaninę dwóch substancji, sporządzoną po to, bym mógł usnąć. Po przebudzeniu ból powracał i zamiast słabnąć, nasilał się z każdym dniem. Choć zapomnienie czyniło swą powinność, to zacierając w pamięci postać tej, której zabrakło, jednocześnie czyniło jej urok bardziej nieodpartym, i w taki sposób powiększyło mój początkowy ból o nowe cierpienie. To jeszcze byłbym w stanie znieść. Ale gdy mimo woli zaczynałem nagle myśleć o tym pokoju, w którym stało opuszczone łóżko, o fortepianie, o aucie, wówczas opuszczały mnie wszystkie siły, zamykałem oczy i głowa opadała mi na lewe ramię, jakbym miał zaraz zemdleć. Takież sam ból sprawiało mi skrzypnięcie drzwi, bo to już nie ona je otwierała. Kiedy wydawało mi się, że może przyniesiono telegram od Roberta de Saint-Loup, nie śmiałem nawet zapytać: „Czy przyszedł telegram?” Aż w końcu przyszedł, lecz wynikało z niego, że wszystko jeszcze bardziej się odwlecze: „Te panie wyjechały na trzy dni”.

Jeśli przetrwałem owe cztery dni, które upłynęły już od jej ucieczki, to właśnie dzięki temu, że mogłem sobie powiedzieć: „To tylko kwestia czasu. Przed końcem tygodnia ona znów tu będzie”. Lecz ani mojemu sercu, ani ciału roztropność tej myśli nie przynosiła ulgi. Jedno i drugie musiało czynić dalej to samo: żyć bez niej, wracać do pustego mieszkania, mijając drzwi jej pokoju, wiedząc, że jej tam nie ma (nie śmiałem ich nawet uchylić), wieczorem kłaść się do łóżka bez powiedzenia jej „dobranoc”. Oto okoliczności, które moje serce musiało unieść w całym ich porażającym splocie, zupełnie tak samo, jakbym nie miał już nigdy zobaczyć Albertyny. Lecz skoro już podźwignęło je czterokrotnie, to znaczy, że mogło wytrwać i dłużej. To, co pomogło mi ocaleć — nadzieja na rychły powrót Albertyny — wkrótce mogło okazać się zbyt słabe. Być może niedługo już miałem sobie powiedzieć ze spokojem: „Ona nigdy nie wróci”, i żyć dalej tak samo, jak przez te cztery dni. Niczym ktoś, kto wyleczył się z ran i znów stąpa o własnych siłach, odrzuciwszy kule. Wieczorami, wracając do domu, natykałem się jeszcze wciąż na wspomnienia niezliczonego szeregu podobnych wieczornych powrotów, kiedy witała mnie w progu Albertyna; czułem wtedy, jak dławi mnie pustka samotności. Ale teraz czekało już na mnie wspomnienie wieczoru wczorajszego i przedwczorajszego, i jeszcze dwóch poprzednich, to znaczy czterech wieczorów, jakie upłynęły od dnia wyjazdu Albertyny, kiedy to obywałem się bez niej, a mimo to żyłem; czterech wieczorów, które stanowiły już nowe pasmo wspomnień, króciutkie w porównaniu z tamtym, ale gotowe wydłużać się z każdym dniem.

Nie będę się rozwodził nad listem zawierającym wyznanie miłości, jaki właśnie w tych dniach dostałem od jednej z kuzyneczek pani de Guermantes — od panny uchodzącej za najładniejszą dziewczynę w Paryżu. Ani nad zabiegami, jakie czynił wobec mnie książę de Guermantes w imieniu jej rodziców, gotowych dla szczęścia swego dziecka zapomnieć o dzielącej nas różnicy stanów i przystać na to, co uważali za mezalians. Zdarzenia takie mile łechcą naszą próżność — chyba że kochamy, bo wówczas wzmagają nasz ból. Miałoby się ochotę, lecz delikatność nie pozwala, dać o nich znać tej, która znacznie niżej nas ceni, choć ona i tak nie zmieni swojej o nas opinii, nawet kiedy się dowie, że jest ktoś, kto ma dla nas o tyle więcej uznania. Otóż to wszystko, co wypisywała w swoim liście kuzyneczka pani de Guermantes, mogłoby w Albertynie wzbudzić tylko irytację.

Z chwilą przebudzenia podejmowałem na nowo wątek smętnych myśli, w tym samym miejscu, w którym wieczorem urwał się, gdy zasypiałem. Jakbym wracał do książki odłożonej tylko na chwilę i pozostawał już przy niej aż do wieczora; wszystkie moje zmysły odbierające wrażenia zewnętrzne bądź wewnętrzne nastrojone były na ten sam ton —

ton myśli o Albertynie. Gdy tylko zadzwonił dzwonek u drzwi, przelatywało mi przez głowę: „To list od niej, a może i ona we własnej osobie!” W takich chwilach, kiedy miałem się w miarę dobrze i nie czułem się zanadto obolały, byłem już wolny od zazdrości, od zadawnionych żalów; chętnie zobaczyłbym się z nią jak najprędzej, ucałowałbym ją, a potem żyłbym z nią długo i szczęśliwie. Zadepeszować do niej: „Przyjeżdżaj!”, wydawało mi się rzeczą całkiem prostą, jak gdyby nowy stan ducha odmienił nie tylko moje zamiary, lecz także okoliczności zewnętrzne, każąc im poddać się mojej woli. W przyplwach złego humoru odżywały we mnie wszystkie gniewne uczucia i wtedy już nie miałem ochoty jej całować. Sądziłem wówczas, że nigdy nie mógłbym być z nią szczęśliwy; jedyne, czego jeszcze chciałem, to zadawać jej ból i nie pozwolić, by związała się z kim innym. Ale dwie skrajności, w jakie popadałem, prowadziły do tego samego punktu: pragnąłem jej natychmiastowego powrotu. A przecież, jeśliby nawet sprawiła mi swoim powrotem odrobinę krótkotrwałej radości, wiedziałem, że prędzej czy później dadzą o sobie znać stare nieporozumienia. I pojąłem, że poszukiwanie szczęścia w spełnieniu pragnień było zamysłem równie naiwnym, jak bieg przed siebie w pogoni za uciekającym horyzontem. Im dalej posuwamy się w naszych pragnieniach, tym bardziej cel się nam wymyka. Jeśli więc szczęście, rozumiane choćby jako brak cierpień, jest w ogóle osiągalne, to nie przez poszukiwanie prawdziwego spełnienia, lecz jedynie dzięki stopniowemu ograniczaniu pragnień, aż całkiem wygasną. Chcemy być jak najbliżej tych, których kochamy, a powinniśmy starać się trzymać od nich z daleka, bo tylko niepamięć uwalnia nas od pożądań. Lecz jestem pewien, że gdyby którykolwiek z pisarzy dał wyraz tej prawdzie w swoim dziele, nie omieszkaby podarować go upragnionej kobiecie, wyznając: „Napisałem to dla ciebie”. W ten sposób opatrzyłby swe dzieło — głoszące samą prawdę — kłamliwą dedykacją, w rzeczywistości bowiem owo pragnienie, by ona miała jego książkę, nie potrwa dłużej niż jego przywiązanie do kamyka, który od niej dostał i o którym zapomni, gdy tylko przestanie ją kochać. Związki łączące nas z innymi istnieją tylko w naszych umysłach. Kiedy zbledną w pamięci, rozluźnią się, bo mimo pozorów, którym ulegamy aż nadto chętnie, pozorów, którymi próbujemy z miłości, przyjaźni, uprzejmości omanić innych — naszym życiem jest samotność. Człowiek to istota zamknięta w swoim ciele, poznająca innych tylko poprzez siebie, ten zaś, kto twierdzi, że z nim jest inaczej, kłamie. Najbardziej przerażałoby mnie — gdyby istniało — niebezpieczeństwo, że zostanę wyzuty z mej własnej potrzeby bliskości i miłości Albertyny, uwierzyłem bowiem, że uzależnienie od Albertyny jest istotą mojego życia. Sądziłem, że gdyby nazwy miast, przez które przejeżdża pociąg do Turenii, przestały wywoływać we mnie ból i oszołomienie, to utraciłbym część samego siebie (byłby to bowiem znak, że Albertyna stała mi się obojętna). To dobrze — myślałem sobie — że zastanawiam się nieustannie, co też ona robi, co myśli, czego pragnie, na co liczyła, odchodząc, i czy zamierza powrócić, bo dzięki temu utrzymuję w drożności kanał, który uTORowała we mnie miłość, i mogę nadal czuć, jak nurt jej życia przepływa przez otwarte śluzy, jak zasila zbiornik, nie dając mu pogrążyć się w gnuśnym zastoju.

Lecz w miarę jak przedłużało się milczenie Roberta de Saint-Loup, narastał we mnie inny rodzaj napięcia, oczekiwanie depeszy albo telefonu, i przesłaniał ten pierwszy, związany z niepokojem o sukces przedsięwzięcia, o to, czy Albertyna do mnie wróci. Wsłuchiwanie się w każdy odgłos, gdy bez wytchnienia oczekiwałem telegramu, stało się już nie do wytrzymania i zaczęło mi się wydawać, że nadejście tego telegramu, jedynej rzeczy, o której byłem jeszcze w stanie myśleć, niezależnie od jego treści z miejsca położyłoby kres mojemu cierpieniu. Dostałem w końcu telegram, w którym Robert donosił, że rozmawiał z panią Bontemps, ale mimo podjętych środków ostrożności, Albertyna niestety go widziała i to pokrzyżowało mu szyki; wówczas wybuchnąłem rozpaczą i furią, bo stało się właśnie to, czego pragnąłem za wszelką cenę uniknąć. Skoro Albertyna dowiedziała się o przyjeździe Roberta, mogła też odgadnąć, że mi na niej zależy, i przez to próba nakłonienia jej do powrotu spełniła na niczym. Groza, jaką budziła we mnie ta myśl, pozostała jedynym śladem mojej zaprzepaszczonej dumy z czasów miłości do Gilberty. Złorzeczyłem Robertowi, a po chwili obiecywałem sobie, że skoro jeden sposób zawiódł, chwycę się drugiego. Jeśli człowiek jest w stanie oddziaływać na świat zewnętrzny, to czemuż nie miałbym dzięki przebiegłości, inteligencji, uczuciu i pieniądзом przewyciężyć tej najstraszniejszej rzeczy — nieobecności Albertyny? Wierzmy, że uda nam się wpły-

nać na okoliczności i nagiąć je do swojej woli, wierzymy tym bardziej, że nie widzimy innego wyjścia. Nie bierzemy pod uwagę tego, co zdarza się najczęściej i co może okazać się dla nas tak samo zbawienne: że okoliczności co prawda nie ugną się wobec naszej woli, ale za to ona sama po trochu się odmieni. Sytuacje, którym pragniemy położyć kres, nie mogą ich dłużej znosić, z czasem nam obojętnieją. Nie zdołaliśmy pokonać przeszkody, choć pragnęliśmy tego ponad wszystko, ale życie pomogło nam ją ominąć, prześliznąć się obok niej i będąc już coraz dalej, tracimy ją wreszcie z oczu.

Usłyszałem fragmenty *Manon*, które ktoś grał piętro wyżej. Wyłynęły z pamięci znane mi słowa pieśni; odniosłem je do Albertyny i siebie, i przepełniło mnie wzruszenie tak głębokie, że zapłakałem. Była to aria:

Ten zbiegły ptak, co miał się tu za więźnia,  
Powraca w nocy rozpaczliwym lotem  
I bije skrzydłem w okna już zamknięte,

a po niej śmierć Manon:

Powiedz choć słowo, Manon, miłości ma jedyna,  
Dzisiaj dopiero poznałem słodycz twego serca.

Skoro Manon wraca do kawalera des Grieux, wyobraziłem sobie, że jestem dla Albertyny jedyną miłością jej życia. Niestety, było wielce prawdopodobne, że nie mnie ujrzałaby ona pod postacią kawalera des Grieux, słuchając tej samej arii. Gdyby zaś wspomniała o mnie przy tej muzyce, co prawda lepiej napisanej i subtelniejszej, ale przecież podobnej do tego, czego lubiła słuchać, jej wzruszenie przysłoby od razu.

Nie ośmieliłem się więc zaufać pełnej słodyczy myśli, że Albertyna mogłaby nazwać mnie „jedyną swoją miłością”, że mogłaby zrozumieć, jak bardzo się myliła, „mając się za więźnia”. Wiedziałem, że kiedy czytamy powieść, mimo woli nadajemy bohaterce postać tej, którą kochamy. Ale choćby najszczęśliwiej rozwiązała się w końcu intryga, naszej miłości to nie pomoże i kiedy zamknijemy książkę, ukochana osoba, która ukazała nam się na jej kartach — w życiu, tak samo jak przedtem, nie chce nas znać. W porywie wściekłości posłałem Robertowi telegram, żeby wracał natychmiast do Paryża. Dla zachowania pozorów trzeba było przeciwstawić się ośmieszającemu podejrzeniu, że chciałem ukryć swe machinacje i wielkie znaczenie, jakie do nich przywiązywałem.

Tymczasem zaczęły mnie nachodzić podejrzenia, że Albertyna nie jest u ciotki, tylko ukrywa się przede mną na przykład w mieszkaniu na zapleczu cukierni, do której parę dni przed jej zniknięciem wstąpiliśmy na podwieczorek. Poszedłem więc znów na podwieczorek do owej cukierni; schlebując właścicielce zapewnieniami o sympatii, jaką do niej czuję, uprosiłem ją, by uczyniła mi tę łaskę i pokazała swoje mieszkanie. Zechciała to uczynić. Ale trwał w nim remont, więc musiałem poczekać, aż trochę posprzątają, i gdyby Albertyna tam przebywała, czasu miałaby dość, by wycofując się z pokoju do pokoju, w miarę jak wkraczałem do kolejnych pomieszczeń, uniknąć spotkania. W ostatnim, jak powiedziała mi właścicielka cukierni, spała przygarnięta przez nią chora dziewczynka. Nastawałem mimo to. „Nie, obudzi ją pan”, powiedziała. Lecz w końcu wpuściła mnie i tam, i musnęła ustami czoło malej, nie przerywając jej snu. To nie była Albertyna. Naprzeciwko zauważyłem za kotarą jeszcze jedne drzwi, których mi nie otworzono, bo klucz się zapodział. Ponawiałem prośby, zaproponowałem, że pošlę po ślusarza. Ale nic nie wskórałem i utwierdziłem się w przekonaniu, że Albertyna jest właśnie tam, za tą kotarą.<sup>9</sup>

Zanim Robert zgodnie z moją wolą powrócił, nadszedł jednak telegram od Albertyny:

„Mój drogi, wysyłasz swojego przyjaciela Saint-Loup do mojej ciotki — cóż to za pomysł. Kochany, jeśli tak bardzo mnie potrzebowałeś, czemu nie zwróciłeś się wprost do mnie? Przyjechałabym z miłą chęcią. Nie rób już więcej tak szalonych głupstw”.

„Przyjechałabym z miłą chęcią”! Skoro tak napisała, to znaczy, że żalowała swojego wyjazdu, że brakowało jej tylko pretekstu, by wrócić. Trzeba mi więc to właśnie zrobić,

<sup>9</sup>Tymczasem zaczęły mnie nachodzić podejrzenia (...) za tą kotarą — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

napisać do niej, że jej potrzebuję. Wówczas ona przyjedzie. Odzyskam ją zatem, moją Albertynę z Balbec (albowiem od chwili wyjazdu znów się nią dla mnie stała; tak też muszła, na którą nie zwracaliśmy uwagi, póki leżała na zwykłym miejscu, na komodzie — zawieszona albo komuś podarowana — zaczyna przyciągać nasze myśli, i wtedy, za jej sprawą, odżywa w nas wspomnienie rześkiego piękna błękitnych fal podobnych do łańcuchów górskich). Nie tylko ona stała się bezcielesnym wyobrażeniem, istotą daleką i upragnioną, lecz także nasze wspólne życie, przeniesione w rejony wyobraźni, uwolniło się od wszystkiego, co było w nim trudne. I mówiłem sobie: „Będziemy tacy szczęśliwi!” Skoro byłem już pewny jej powrotu, nie powinienem postępować tak, jakbym chciał go jeszcze bardziej przyspieszyć. Przeciwnie, należało zatrzeć wrażenie, jakie wywołały starania Roberta de Saint-Loup, od których powinienem się przy okazji odżegnać, zapewniając, że działał na własną rękę, bo zawsze był zwolennikiem tego małżeństwa.

Tymczasem jednak na nowo odczytywałem jej list i czułem się trochę zawiedziony zbyt nikłą w nim obecnością tej, która go pisała. Pismo jest bez wątpienia zwierciadłem naszych myśli, tak samo jak oblicze; i tu, i tam odciskają one swój ślad. Dla nas jednak ślad czyjejś myśli jest czytelny tylko wtedy, kiedy maluje się na twarzy, otwartej przed naszym wzrokiem niczym kwiat nenufaru. Myśl bowiem odmienia rysy twarzy. Być może główną przyczyną naszych ciągłych miłosnych rozczarowań jest zawsze ten sam rozdźwięk między wielbionym wyobrażeniem a przybywającą na schadzkę osobą z krwi i kości, w której z własnych marzeń odnajdujemy już tak niewiele. A jeśli czegoś więcej się jeszcze od niej domagamy, przychodzi w odpowiedzi list, w którym jej osobowość jest już prawie nieobecna; podobnie w wyrażeniach algebraicznych zaciera się rzeczowość arytmetyki, choć przecież i w niej nic już nie zostało z namacalności owoców lub kwiatów, będących przedmiotem rachunku. A jednak ta sama rzeczywistość, której fragmentami są „miłość” i „ukochana istota”, wyraża się także przez list (choć zastąpienie osoby znakiem zawsze rozczarowuje). List może się nam wydać niewystarczający, ale dopiero w chwili, gdy mamy go już w rękach, a przecież oczekując go, umieraliśmy z niecierpliwości, bo się spóźniał; kiedy zaś nadszedł, uśmierzył niepokój, choć i tak nie mógł nasycić naszych pragnień małymi czarnymi znaczkami, bo zamiast uśmiechów i pocałunków musieliśmy się obejść jedynie słownym ich ekwiwalentem. Wszelako za każdym razem, kiedy wracałem do tego listu, wydawał mi się on zupełnie inny niż przed chwilą. Zwodziły mnie podstępny czar słowa, których wcześniej nawet nie zauważyłem. A wspomnienie, jakie zostawało mi po ostatniej lekturze, zacierało się, gdy tylko zaczynałem czytać od nowa. Tak przeto widziałem sprawy w coraz to innym świetle, jak gdyby rozjaśniały je na przemian zorze poranne i odbłask lamp z przedpokoju, jakby ciemnym fioletem zasnuwała je zasłona burzowych chmur, albo też padała na nie biała poświata, zgaszona wśród krystalicznych strumieni ulewy.<sup>10</sup> Napisałem do Albertyny:

„Moja Droga, właśnie miałem do Ciebie pisać. Jestem Ci niezmiernie wdzięczny za zapewnienie, że przyjechałabyś do mnie z chęcią, gdybym Cię potrzebował. Dobrze świadczy o Tobie szlachetność i oddanie, z jakim gotowa jesteś zaopiekować się dawnym przyjacielem, toteż mój szacunek dla Ciebie wzrósł jeszcze. Nie, nie prosiłem Cię o to i nie poproszę. Ciebie, nieczuła istoto, nie zasmuciłoby takie spotkanie, a jeśli nawet, to nie na długo. Lecz dla mnie byłoby ono zbyt ciężkim przeżyciem, choć tak często zarzucałaś mi twardość serca. Los nas rozłączył. Podjęłaś decyzję, którą uznałem za rozsądną, i uczyniłaś to w najwłaściwszym momencie, z godnym podziwu wyczuciem, bowiem w przeddzień Twojego wyjazdu matka udzieliła swej zgody, bym Cię poprosił o rękę. Powiedziałbym Ci o tym z rana, kiedy podano mi list od niej (dostałem go równocześnie z Twoim!). Być może w takich okolicznościach powstrzymałabyś się od wyjazdu, nie chcąc mnie zranić. I związałybyśmy się na całe życie, i byłibyśmy może — któż to wie? — do końca naszych dni nieszczęśliwi. Jeśli czekała nas taka przyszłość, pochwalony niech będzie Twój rozsądek. Powrót zniweczyłby jego owoce. Skłamałbym, mówiąc, że nie pragnąłem tego ani przez chwilę. Lecz nie mam żadnej w tym zasługi, jeśli zdołałem oprzeć się pokusie. Wiesz dobrze, jak ulotne są moje uczucia i jak łatwo zapominam. Nie powinienem więc użalać się nad sobą. Nieraz mówiłaś mi, że jestem niewolnikiem przyzwyczajęń. Nowe, których zacząłem nabierać po Twoim wyjeździe, nie ugruntowały się jeszcze zbyt mocno.

<sup>10</sup>Wszelako za każdym razem (...) strumieni ulewy — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

Jak dotąd, silniejsze są te stare, którym ulegałem przy Tobie i którymi zachwiał Twój wyjazd. Lecz one wkrótce wygasną. Dlatego pomyślałem, że póki spotkanie z Tobą nie jest jeszcze tym, czym byłoby na przykład za dwa tygodnie albo i wcześniej, to znaczy... wybaczone słowa, kłopotem — poprosiłbym Cię o przyjacielską przysługę, jaką mogłabyś z właściwym sobie wdziękiem oddać temu, kto przez pięć minut uważał się za Twojego narzeczonego. Z Twoją pomocą uporządkowałbym parę drobnych kwestii materialnych, nim ostatecznie zapomnienie wszystko pochłonie. W swoim czasie, nie wątpiąc, że uzyskam aprobatę matki, z drugiej zaś strony chcąc, by każde z nas dwojga zażywało swobody — której wyrzekłaś się w sposób nazbyt wielkoduszny, nie mógłbym bowiem korzystać dłużej niż przez parę tygodni wspólnego życia z tego poświęcenia, które zresztą z czasem zbrzydłoby nam obojemu — zacząłem myśleć o urządzeniu naszej egzystencji w sposób zapewniający nam jak najwięcej niezależności (pisząc ci o tym, zaczynam prawie odczuwać ból na samą myśl, że do tego nie doszło, że owa przyszłość zawałiła się w ciągu kilku sekund). Miałem zamiar zacząć od sprawienia Ci jachtu, na którym mogłabyś odbywać morskie podróże, gdy ja, niedość zdrów, oczekiwałbym w porcie. W sprawie jachtu zasięgałem rady Elstira, wiedząc, jak cenisz jego smak. Do podróży lądowych chciałem dać Ci na Twój wyłączny użytek auto, którym mogłabyś zawsze wybrać się dokąd tylko zechcesz. Jacht jest już prawie gotowy, nazywa się tak, jak wymarzyłaś sobie w Balbec: «Łabędź». I pamiętając, że ze wszystkich samochodów najwyżej cenisz rollsy, taki właśnie zamówiłem. Ale teraz, kiedyśmy się rozstali na zawsze, nie mam nadziei, że przyjmiesz ode mnie auto i łódź, mnie zaś na nic się one już nie przydadzą. Pomyślałem z początku, że gdybyś zechciała anulować obstalunki poczynione u pośrednika na Twoje nazwisko, oszczędziłabyś mi tych niepotrzebnych nabytków. Ale zarówno w tej, jak i w innych sprawach musielibyśmy się wcześniej porozumieć. Toteż póki istnieje niebezpieczeństwo, że mógłbym na nowo Cię pokochać — a nie będzie ono zagrażało nam zbyt długo — szaleństwem byłoby, z powodu jakiejś żagłówki i auta, rzucać na szalę moje i Twoje szczęście, zważywszy że postanowiłaś poszukać go z dala ode mnie. Wolę więc zostawić sobie rollsa i nawet jacht. A ponieważ nigdy ich nie użyję i najprawdopodobniej jeden na zawsze pozostanie w porcie, na kotwicy, bez żagli, drugi utknie w szopie — każę wypisać na... burcie?... jachtu (mój Boże, boję się użyć niestosownego słowa, żeby nie ściągnąć na siebie twojego oburzenia) strofy Mallarmégo, które tak lubiłaś. Mam na myśli wiersz, który na pewno pamiętasz, zaczynał się od słów: «Dziewiczy, rzeński, piękny dniu dzisiejszy». Niestety, dzisiejszy dzień nie jest ani dziewiczy, ani piękny. Lecz tacy jak ja, którzy wiedzą, że da się go przemienić w znośne jutro, sami bywają trudni do zniesienia. Co do auta, lepiej pasują do niego inne słowa tegoż poety, wiersz, o którym mówiłaś, że go nie rozumiesz:

Z łoskotem w piastach, z rubinami iskier —  
jakkże radości miałbym się opierać,  
pędząc przed siebie ognistym pociskiem.

Przestworza królestw zagubionych płoną.  
Złoty blask koła u mego rydwanu  
już zda się w lunach purpurowych konać.

Żegnaj na zawsze, Albertynko, i jeszcze raz dzięki Ci za tę wspólną przejażdżkę w przeddzień naszego rozstania. Zachowam o niej najmiłsze wspomnienie”.

„PS Nie odpowiadam za propozycje, które, jak piszesz, składał Twojej ciotce Saint-Loup, nie wiedziałem nawet, że jest w Turenii. To raczej coś dla Sherlocka Holmesa. Ładne wyrobiłaś sobie o mnie pojęcie”.

Podobnie jak dawniej, kiedy mówiłem do Albertyny: „Nie kocham cię”, po to żeby mnie tym więcej kochała, „Zapominam o ludziach, których rzadko widuję”, po to żeby widywać ją jak najczęściej, „Postanowiłem się z tobą rozstać”, po to żeby w niej stłumić w zarodku wszelką myśl o rozstaniu — teraz, jedynie dlatego, że nade wszystko pragnąłem jej powrotu, powiedziałem: „Żegnaj na zawsze”; dlatego że chciałem natychmiast ją zobaczyć, powiedziałem: „Spotkanie z Tobą byłoby dla mnie niebezpieczne”; dlatego że życie bez niej wydawało mi się straszniejsze od śmierci, powiedziałem: „Miałaś słusność, we dwoje bylibyśmy nieszczęśliwi”. Ten list pełen kłamstw pisałem po to, by ją

przekonać, że mi na niej nie zależy (ostatni okruch dumy w mojej miłości do Albertyny, pozostałość czasów, kiedy kochałem Gilbertę); a także dla przyjemności wypowiedzenia słów, które mnie tylko mogły wzruszyć, nie ją. Lecz pisząc list, powinienem liczyć się z tym, że może on przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, to znaczy Albertyna zgodzi się ze mną we wszystkim. I bardzo możliwe, że tak by się stało, była bowiem wystarczająco bystra, by ani przez chwilę nie wątpić, że kłamałem. Nie musiałaby nawet wnikać w intencje, jakie wyłożyłem w swym liście, ani łączyć go z wizytą Roberta de Saint-Loup; sam fakt, że go wysłałem, świadczył o tym, że pragnę jej powrotu, i mógł ją skłonić do pozostawienia mnie własnemu losowi, jak ofiarę złapaną już na haczyk, który wbije się w moje ciało tym głębiej, im gwałtowniej się będę szamotał. Gdybym zaś przypuścił, że odpowiedź będzie niepomysłna, powinienem jeszcze przewidzieć, że z nagła rozpali ona we mnie na nowo szaloną i gorącą miłość. Powinienem też przed wysłaniem listu zadać sobie pytanie, co zrobię, jeśli Albertyna odpisze mi w tym samym tonie i nie wróci. Czy zdołałbym wówczas zapanować nad swoim bólem i zmusić się do milczenia? Czy nie wysłałbym depezy: „Wracaj!”, albo kolejnego emisariusza, co po stanowczym oświadczeniu, że nie spotkamy się więcej, stanowiłoby dowód najbardziej niezbity, iż nie mogę obejść się bez niej; w ten sposób utwierdziłbym ją w zaciętym uporze, w końcu zaś, nie mogąc dłużej znosić tych męczarni, byłbym do niej pojechał. I może — kto wie? — nawet nie zgodziłaby się mnie przyjąć. Byłaby to trzecia z kolei fatalna niezręczność, bez wątpienia przerastająca dwie poprzednie, taka, po której nie pozostałoby mi już nic innego, jak tylko zastrzelić się pod oknem Albertyny. Lecz zaburzona świadomość zniekształca obraz świata do tego stopnia, że błędny krok, taki, którego należy wystrzegać się najbardziej, objawia się jako środek ratujący sytuację i nim poznamy jego skutki, niesie nam ukojenie; otwierając nowe, pełne nadziei perspektywy, uwalnia nas niezwłocznie od bezdennej rozpacz, w której pogrążyło nas odrącenie. Gdy ból jest zbyt silny, zdajemy się na najgorsze wyjścia, piszemy listy, powierzamy komuś swe błagania, sami wreszcie wyruszamy do ukochanej, zdradzając się z tym, że nie możemy bez niej żyć.

Ale tego wszystkiego nie przewidziałem. Przeciwnie, wierzyłem, że mój list skłoni Albertynę do jak najszybszego powrotu. Toteż pisząc go, czułem już błogość na myśl o spodziewanym skutku. Tymczasem jednak ani na chwilę nie przestawałem płakać. Tak jak owego dnia, kiedy odgrywając scenę rozstania, zalałem się łzami, uległszy w moich własnych słowach myśli, której jedynym celem było wprowadzić w błąd moją przyjaciółkę, bo przecież głosiłem intencję przeciwną tej, która naprawdę mi przyświecała. Lecz była i inna przyczyna tych łez: usłyszałem wtedy, że w moich słowach dźwięczy prawda.

Upływ czasu przemienia w prawdę wszelkie kłamstwa, czego doświadczyłem w sposób aż nadto wymowny, gdy rozstawałem się z Gilbertą; obojętność, którą udawałem, ledwo się powstrzymując od szloch, z czasem stała się rzeczywistością. I w końcu życie rozdzieliło nas, tak jak zapowiedziałem Gilbertce w swym nieszczerym oświadczeniu, które potrzebowało tylko czasu, by stać się prawdą najprawdziwszą. Pamiętając o tym, mówiłem sobie: „Jeśli Albertyna poczeka parę miesięcy, kłamstwo przemieni się w prawdę. A teraz, kiedy najgorsze mam już za sobą, czyż nie należałoby życzyć sobie, żeby jeszcze przez kilka miesięcy się nie pojawiała? Gdy tylko powróci, znów się wyrzeknę pełni życia, której smaku co prawda nie mógłbym w tej chwili docenić, lecz przecież mogłem liczyć na to, że z czasem, gdy zatrze się wspomnienie Albertyny, życie znów roztoczy przede mną wszystkie swoje uroki”.<sup>11</sup>

Choć skutek mojego listu wydał mi się pewny, zacząłem żałować, że go wysłałem. Gdy bowiem wyobraziłem sobie tak łatwy powrót Albertyny, nagle wszystkie argumenty, przemawiające przeciwko temu niekorzystnemu dla mnie małżeństwu, powróciły ze zdwojoną siłą. Miałem nadzieję, że odmówi powrotu. Myślałem w kółko o tym, że moja wolność, przyszłość i szczęście zależą teraz tylko od jej decyzji; że pisząc do niej, zrobiłem głupstwo; że powinienem odzyskać list, który Franciszka niestety już zabrała. I wtedy właśnie weszła, dostałem go od niej z powrotem razem z gazetą: nie nakleiła znaczków, nie wiedziała, za ile. W tej samej chwili zmieniłem zdanie. Wolałem, żeby Albertyna nie wracała, ale życzyłem sobie, żeby podjęła tę decyzję za mnie, kładąc kres moim roz-

<sup>11</sup> *Upływ czasu przemienia w prawdę (...) wszystkie swoje uroki* — akapit został tu przeniesiony przez Prousta z dalszej części tekstu. Następował po akapicie, który kończył się słowami *i to mnie wprowadziło w oszołomienie*. [przypis tłumacza]

terkom, postanowiłem więc oddać list Franciszce. Tymczasem otworzyłem gazetę. Była w niej wiadomość o śmierci Bermy. Przypomniałem sobie, jak to słuchałem *Fedry* na dwa różne sposoby, i właśnie przyszedł mi na myśl trzeci sposób odczytania sceny oświadczeń. Wydawało mi się, że w tych wersach, słyszanych w teatrze i tak często rozbrzmiewających w mojej pamięci, tkwią prawdy, których przyjdzie mi doświadczyć na własnej skórze. Na pewnych rzeczach zależy nam bardziej, niż jesteśmy tego świadomi. Jeśli obywamy się bez nich, to dlatego jedynie, że nie sięgamy po nie, że odkładamy to z dnia na dzień, w obawie przed porażką i cierpieniem. To właśnie mi się przytrafiło, kiedy myślałem, że się wyrzekłem Gilberty. Miłość naprawdę traci nad nami władzę dużo później, niż sądziłiśmy, że ją straciła, ale niech tylko dziewczyna zaręczy się z kim innym, znowu ogarnie nas szaleństwo i zmierzi nas to życie, którego łagodna melancholia już zaczęła się nam wydawać całkiem znośna. To, co jest w naszym posiadaniu, odczuwamy jako ciężar, który najchętniej zrzucilibyśmy z barków. Takim właśnie ciężarem była mi Albertyna. Kiedy jednak zniknie ta całkiem już obojętna nam istota, życie traci smak. Czyż w treści *Fedry* nie przeplatają się ze sobą obydwie te stany? Hipolit odjeżdża. Fedra — która aż do tej chwili rozmyślnie ściągała na siebie jego niechęć — powodowana poczuciem winy, jak twierdziła sama (lub raczej autor włożył w jej usta to wyznanie), a może także prowadzącą do rezygnacji świadomością, że nie jest kochana, przestaje dbać o pozory. Wyjawia Hipolitowi swoją miłość, i oto scena, którą tak często przywoływałem:

Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie.<sup>12</sup>

Ale rzekome powody wyjazdu Hipolita, jak można się domyślać, nic nie znaczą wobec śmierci Tezeusza. Podobnie, parę wierszy dalej, Fedra chce udąć, że została źle zrozumiana:

Czylim cześć moją na szwank w czym podała?

i domyślamy się, iż mówi to dlatego jedynie, że Hipolit wzgardził jej wyznaniem:

Pani! Zapominasz...

Żona Tezeja mówi-ż to do jego syna?

Gdyby jej nawet nie odtrącił z oburzeniem, gdyby dostąpiła upragnionego szczęścia, uznałaby je może, tak jak ja swoje, za bezwartościowe. Widząc jednak, że jest nieosiągalne, że Hipolit uwierzył zbyt łatwo w swą pomyłkę i śpieszy przeproszać, Fedra chce uczynić to samo, co ja uczyniłem, kiedy postanowiłem po raz drugi oddać list Franciszce: chce zostać przez Hipolita odtrącona naprawdę, chce sprawdzić do końca, co los kryje dla niej jeszcze w zanadrzu.

Ha, okrutny! Dobrześ mnie zrozumiał!

I nie było słów zbyt gwałtownych, przed których użyciem cofnęłaby się w tej scenie — słów takich jak te, którymi, o czym mi mówiono, Swann zwracał się do Odety, i których ja sam używałem wobec Albertyny, słów zdolnych wstrząsnąć związkiem dwojga ludzi, nadać mu nowy kształt bliskości i współzucia.

Tyś nienawidził, jam cię tym straszniej kochała.

Nieszczęścia twe stroiły cię w powaby nowe.

Że to nie cześć jest dla Fedry najcenniejsza, zgadujemy, widząc jej gotowość, by odrzucić rady Enony i wybaczyć mu wszystko; ale w tej samej chwili dowiaduje się o jego miłości do Arycji. Zazdrość, która idzie w parze z ostateczną utratą szczęścia w miłości, jest w nas bardziej drażliwa niż miłość własna. Dlatego Fedra pozwala Enonie (która jest uosobieniem tego, co najgorsze w niej samej) rzucić oszczerstwo na Hipolita, i nic nie

<sup>12</sup>Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie — ten i następne fragmenty *Fedry* w przekładzie T. Boya-Zeleńskiego. [przypis tłumacza]



uczyni, by go ocalić. Temu, który nią wzgardził, gotuje tragiczny los, ale i to nie będzie dla niej żadną pociechą, gdy bowiem on zginie, ona wybierze samobójczą śmierć. Tak właśnie rozumiałem tę scenę, odmawiając znaczenia skrupułom — „jansenistycznym”, jak określiliby je Bergotte — które Racine przypisał Fedrze, aby umniejszyć jej winę. I owa scena wydawała mi się proroczko uprzedzać wypadki miłosne mojego życia. Ale rozmyślenia te nie wpłynęły na zmianę moich zamiarów. Oddałem list Franciszce, żeby go zaniósła na pocztę. Musiałem bowiem doprowadzić do końca przedsięwzięcie, które uznałem za nieodzowne, gdy tylko dowiedziałem się, że nie doszło do skutku. Mylimy się, gdy sądzimy, że spełnienie któregoś z pragnień znaczy dla nas zbyt mało; wystarczy cię obawy, że coś zagraża osiągnięciu celu, i oto na nowo zaczyna być upragniony; jedynie póki uważaliśmy sukces za rzecz pewną, mogliśmy myśleć, że nie jest wart zachodu. Lecz myśląc się, mamy też trochę racji. Jeśli bowiem szczęście spełnienia wydaje nam się zbyt lichy dlatego jedynie, że mamy je w zasięgu ręki, to jednocześnie ciąży nad nim niepewność, która łatwo może obrócić się w smutek. I smutek będzie tym większy, im pełniejsze szczęście przypadło nam w udziale; tym bardziej niemożliwy do zniesienia, im dłużej ono trwało, opierając się prawom natury, uświęcone przyzwyczajeniem. Każdy z dwóch sprzecznych impulsów — pierwszy kazał mi zadać sobie trud wysłania listu, drugi odezwał się, kiedy myśląc, że list został już wysłany, pożałowałem tego kroku — był na swój sposób uzasadniony. Co do tego pierwszego, jest aż nadto zrozumiałe, że gdy uganiamy się za własnym szczęściem (albo nieszczęściem), to podejmując działania zmierzające do określonych celów, usiłujemy rozbudzić w sobie nowe oczekiwania, żeby uchronić się przed rozpaczą, krótko mówiąc, próbujemy zmusić chorobę, która nas dręczy, by zmieniła właściwy sobie zespół objawów na inny, w naszym mniemaniu mniej dokuczliwy. Ten drugi impuls, przeciwstawny pierwszemu, dorównuje mu siłą, płynie bowiem z wiary w powodzenie tego, cośmy zamierzali, i pojawia się właśnie w tym momencie, kiedy możemy już przeczuwać rozczarowanie, jakie niebawem przyniesie nam sukces; w momencie, kiedy pojawia się pierwszy przeblýsk niechęci do raz na zawsze wybranej przez nas, zamiast wielu innych, odmiany szczęścia.

Zwróciłem więc list Franciszce i kazałem jej od razu nadać go na pocztę. Gdy tylko został wysłany, znów nabrałem pewności, że powrót Albertyny jest coraz bliższy. Myśl podsuwała mi błogie wyobrażenia, których urok łagodził obawy związane z jej powrotem. Już prawie czułem znów utraconą słodycz jej trwającej miesiącami obecności, i to mnie wprawilo w oszłomienie.

Nie mógłbym twierdzić, że zapomnienie zwlekało z rozpoczęciem swego dzieła. Lecz właśnie za jego sprawą pewne niemile przywary Albertyny i zionące nudą godziny z nią spędzone zacierały się w mojej pamięci, nie miałem więc powodu tęsknić za jej nieobecnością, jak to się nieraz zdarzało, gdy jeszcze była ze mną; zapomnienie upiękrszyło jej wizerunek, wymazując szczegóły i opromieniając ją urokiem wszystkich miłości, jakie kiedykolwiek przeżyłem. Niepamięć, która przede wszystkim godziła mnie z rozłąką, w tej szczególnej swej postaci wywierała wpływ odwrotny, bo ukazywała mi Albertynę miłszą i ładniejszą, kazała mi życzyć sobie jej powrotu.

Po wyjeździe Albertyny, wierząc, że nie znać po mnie przelanych łez, od czasu do czasu wzywałem Franciszkę i mówiłem jej: „Trzeba sprawdzić, czy panna Albertyna czegoś nie zapomniała. Proszę zadbać o jej pokój, żeby znalazła go w najlepszym porządku, kiedy wróci”. Albo zgoła: „Powiedziała mi właśnie niedawno, chyba w przeddzień wyjazdu...” Chcąc popsuć Franciszce brzydką uciechę, jaką miała z wyjazdu Albertyny, kazałem jej się domyślać, że to tylko chwilowa nieobecność. Chciałem pokazać, że nie obawiam się poruszyć tego tematu, i niczym generał zmuszony do odwrotu, mówiący zaś o przegrupowaniu wojsk na dogodne pozycje strategiczne, dać do zrozumienia, że wyjazd Albertyny wynikał z mojego zamysłu, który za wcześnie byłoby ujawnić, lecz w żadnym razie nie ma mowy o zerwaniu. I przepowiadając sobie bez końca imię Albertyny, miałem nadzieję wpuścić choćby daleki powiew jej utraconej obecności do tego opustoszałego pokoju, którego powietrzem dłużej nie byłem w stanie oddychać. Próbujemy pomniejszyć nasz ból, szukając dla niego przyziemnych środków wyrazu, wybieramy ton, jakim udziela się wskazówek krawcowi i wydaje rozporządzenia dla kucharki w sprawie obiadu.

Sprzątając pokój Albertyny, wścibska Franciszka otworzyła szufladę stoliczka z drzewa różanego, do której moja przyjaciółka odkładała wieczorem swoje ozdoby, zdjęte przed snem.

— Och, paniczu, panna Albertyna zapomniała pierścionków, zostały w szufladzie!

W pierwszym odruchu chciałem powiedzieć: „Trzeba je odesłać”. Ale wówczas oznaczyłoby to, że sam nie wierzę w jej powrót.

— Nie szkodzi — odpowiedziałem po chwili milczenia. — Nie warto odsyłać. Przez te parę dni Albertyna jakoś się bez nich obejdzie. Proszę mi je pokazać.

Wracając z pierścionkami, Franciszka przyglądała mi się podejrzliwie. Nienawidziła Albertyny, lecz mierząc mnie własną miarą, przyjęła to za rzecz pewną, że nawet listu nie można by mi powierzyć bez obawy, że go zaraz otworzę. Wziąłem pierścionki z jej rąk.

— Ale niech panicz uważa, żeby ich nie pogubić — powiedziała. — Można powiedzieć, że są ładne. Nie wiem, od kogo je dostała, od panicza czy od kogo innego, ale widać, że to był ktoś z pieniędzmi, i do tego znawca.

— Nie dostała ich ode mnie — odparłem. — I nie są to prezenty od tej samej osoby. Jeden dała jej ciotka, drugi sama sobie kupiła.

— Nie od tej samej osoby! — zawołała Franciszka. — Panicz sobie żartuje, widać przecież, są prawie że jednakowe, tyle że w jeden wprawili rubin, ale na obydwu jest ten orzeł, i inicjały w środku też takie same.

Nie wiem, czy Franciszka była świadoma bólu, jaki mi zadawała, ale szeroki uśmiech przez cały czas nie schodził z jej ust.

— Jakie znów orły? Czy Franciszka wie, co mówi? Na tym bez rubinu widać orła, ale na tym drugim jest wygrawerowana głowa mężczyzny.

— Głowa mężczyzny? Gdzie panicz ją widzi? Jak tylko włożyłam binokle, od razu poznałam, że to jest orle skrzydło. Niech panicz weźmie lupę, zobaczy panicz drugie z tej strony, a łeb z dziobem pośrodku. Każde piórko widać. O, to nie byle jaka robota.

Palący przymus sprawdzenia prawdomówności Albertyny kazał mi zapomnieć, że powinienem ochronić przed Franciszką resztki swej godności, odmówić jej tej niegodziwej zabawy, która polegała na poddawaniu mnie torturom — a w każdym razie zabronić rzucania podejrzeń na moją przyjaciółkę. Gdy z trudem łapałem oddech, Franciszka szukała mojej lupy. Wziąłem ją od niej, poprosiłem, żeby mi pokazała orła na pierścionku z rubinem. Bez trudu dowiodła mi, że skrzydła stylizowane są tak samo jak na drugim pierścionku, zobaczyłem każde piórko i głowę także. Nawet krój liter, które mi wskazała, był podobny, przy czym wewnątrz pierścionka z rubinem oprócz inicjałów Albertyny dostrześliśmy jeszcze jakieś inne.

— Ale co mnie dziwi, to że panicz bez tych szczegółów nie wypatrzył gołym okiem podobieństwa — powiedziała Franciszka. — Toż widać z daleka, że taki sam kształt i robota. Ledwo spojrzałam, już mogłabym przysiąc, że wyszły spod jednej ręki. Poznać to od razu, jak kuchnię dobrej kucharki.

W samej rzeczy, docieklivość Franciszki, cecha powszechna wśród służby, wyostrzona dodatkowo przez uprzedzenia i nawyk taksowania każdego szczegółu z budzącą grozę dokładnością, wspomogła w tej ekspertyzie jej dobry smak, ten sam, który przejawiała w sprawach kuchni i który znajdował wyraz także, jak zauważyłem, wyjeżdżając do Balbec, w jej ubiorach, w kokieterii kobiety niegdyś bardzo ładnej, którą przez całe życie zajmowały cudze toalety i biżuteria. Gdybym tego dnia wypił za dużo herbaty, a na dodatek pomylił pudełka z lekarstwami i zamiast kilku tabletek weronału zażył tyleż samo kofeiny, moje serce nie mogło bić gwałtowniej. Poprosiłem Franciszkę, żeby mnie zostawiła samego.

Potrzebowałem natychmiast rozmówić się z Albertyną. Ohyda odkrytego kłamstwa i zazdrość, nie wiadomo o kogo, wzmogły rozpacz, jaką budziła we mnie myśl, że ona przyjmowała takie prezenty. To prawda, że ode mnie dostawała ich więcej, lecz jeśli to my utrzymujemy kobietę, nigdy nie nazwiemy jej utrzymanką, póki nie przekonamy się, że była nią i dla innych. A przecież gdy wyrzucałem dla niej tyle pieniędzy, wcale nie razila mnie jej interesowność, przeciwnie, podsyciałem ją w Albertynie; może rozwinęła ją dzięki mnie, a może nawet sam ją w niej zasiałem. Ale że wszyscy potrafimy wymyślać bajki zdolne ukoić nasz ból i przymierając głodem, możemy snuć rojenia o milionowej fortunie, jaką zapisze nam nieznany dobroczyńca, wyobraziłem sobie, że trzymam

ją w ramionach, a ona tłumaczy mi, że ten drugi pierścionek kupiła właśnie ze względu na jego podobieństwo do pierwszego, po czym sama dała na nim wygrawerować swoje inicjały. Wyjaśnieniu, które znalazłem, brakowało jeszcze mocnych korzeni, dobroczynnie wrosniętych w moją świadomość, toteż ból nie ustąpił od razu. I pomyślałem, że wielu z tych mężczyzn, którzy opowiadają cuda o przywiązaniu swych kochanek, musi znosić podobne tortury. Lecz okłamują innych i siebie. W takim kłamstwie tkwi ziarno prawdy, niejeden z nich przeżywa bowiem z kochanką chwile pełne prawdziwej słodyczy. Ale czułości, jakimi obsypuje go ona publicznie, pozwalając mu afiszować się swoim szczęściem przed przyjaciółmi, a nawet ta anielska dobroć, jakiej doświadczył od niej, kiedy byli sami, przesłoni mu długie godziny samotnej męki, o której nikt nie wie, bolesnych domysłów i daremnego trudu dochodzenia prawdy. Taką właśnie udręką płaci się za słodycz miłości, za słuchanie upojnych głupstw, o których wiemy, że nic nie znaczą, lecz przesycone są zapachem naszej ukochanej. Teraz jednak nie mogła mnie już odurzyc woń perfum Albertyny, przechowana tylko w pamięci. Załamany, położyłem na dłoni obydwie pierścionki i patrzyłem na okrutny profil orła, na dziób, który zranił mi serce, na starannie wyczelowane pióra skrzydeł, które rozwiały moją ufność, na szpony, w których wiła się bez ratunku moja myśl zadręczająca się pytaniami o tożsamość tego trzeciego. Figura orła mogła kryć w sobie aluzję do nazwiska, która dla mnie pozostawała nieczytelna. Musiał to być ktoś, kogo Albertyna kiedyś kochała; bez wątpienia spotkała się z nim niedawno, bo właśnie w ów pogodny, szczęśliwy dzień naszej przejażdżki do Lasku po raz pierwszy zobaczyłem u niej drugi pierścionek, ten, na którym orzeł nurzał dziób w krwawej czerwieni rubinu.

Jeśli od rana do nocy bez chwili przerwy rozpaczalem z powodu wyjazdu Albertyny, to nie znaczy, że myślałem tylko o niej. Jej czar dawno już udzielił się wielu miejscom, które potem straciłem z oczu, lecz które przechowały w sobie ślad owej ekscytacji, jaką kiedyś przejmowała mnie jej obecność. Jeśli cokolwiek ściągnęło moją myśl ku Incarville, Verdurinom lub nawet ku nowemu przedstawieniu z Leą w głównej roli, natychmiast powalał mnie nagły atak bólu. Z drugiej strony to, co brałem za myśli o Albertynie, sprowadzało się do rozważań, jak zmusić ją do powrotu, jak ją odzyskać, jak się dowiedzieć, co robi. Gdyby nie kończące się godziny mojej męki jakiś ilustrator opatrzył szkicami wizji, które im towarzyszyły, znalazłyby się wśród nich widoki Gare d'Orsay, banknoty posłane pani Bontemps, Saint-Loup pochylający się nad pulpitem przy okienku telegrafisty, by wypełnić blankiet depeszy — ale postać Albertyny nie pojawiłaby się ani razu. Przez całe życie egoizm nasz spogląda ku celom drogim naszemu ja, ale samo w sobie owo ja pozostaje poza zasięgiem wzroku, gdy prowadzi swoje gry; tak też żądze, które popychają nas do czynów, zapatrzone są w te czyny, nigdy w siebie, może dlatego, że kierują się wyłącznie względami praktycznymi i szukają ujścia w działaniu, w pogardzie zaś mają wszelkie prawdy. Lub może wyrrywają się ku przyszłości, by odbić sobie w niej rozczarowania chwili obecnej. Albo też umysł w swej gnuśności woli staczać się po łagodnych zboczach imaginacji, nie pragnąc trudnej wspinaczki ku samowiedzy.<sup>13</sup> W chwilach krytycznych, kiedy gotowi jesteśmy rzucić na szalę własne życie, istota, od której kaprysu ono zależy, zaczyna maleć i znikać; wtedy odkrywamy, jak przytłaczająca część przestrzeni naszego świata poddała się jej władzy. Na wszystko wokół pada odbłask jej obecności i wywołuje w nas poruszenie, ale jej samej, źródła światłości, nie widać nigdzie. W owych dniach tak dalece nie byłem w stanie przywołać wyobrażenia Albertyny, jakbym naprawdę nie kochał jej wcale; podobnie moja matka w chwilach najgłębszej żaloby nie znajdowała w pamięci obrazu mojej babki (jeśli nie liczyć przypadkowego nocnego spotkania, które dla niej miało tak wielką cenę, że przełamując bezwład snu, dobyła wszystkich sił, by je przedłużyć) i mogła obwiniać się, że nie dość rozpacza po tej śmierci, po której sama wprawdzie nie potrafiła powrócić do życia, lecz postać zmarłej uleciała z jej pamięci.

Dlaczego miałbym sądzić, że Albertyna nie lubiła kobiet? Dlatego że sama mi to mówiła, zwłaszcza w ostatnich czasach; ale czyż nasze życie nie było od początku podszyte kłamstwem? Nigdy przecież nie zdarzyło się, by zapytała: „Czemu nie pozwolisz mi wychodzić, dokąd chcę? Czemu śledzisz każdy mój krok, wypytujesz innych, co ro-

<sup>13</sup>wspinaczki ku samowiedzy — w tym miejscu kończył się akapit i następował fragment o zamierzonym kupnie auta i jachtu. [przypis tłumacza]

biłam?” Prowadziliśmy życie tak szczególne, że jeśli nie zadała tych pytań, to dlatego jedynie, że sama dobrze wiedziała, w czym rzecz. Czyż trudno pojąć, dlaczego głuchej ciszy, w jakiej narzuciłem jej klauzurę, odpowiedziało równie uparte milczenie na temat jej nienasyconych pragnień, jej niezliczonych wspomnień, nadziei i żądz? Kiedy napomykałem o rychłym powrocie Albertyny, Franciszka zdawała się wiedzieć, że kłamię. Ten domysł opierał się na podstawie solidniejszej niż płynąca z doświadczenia wiedza, że państwo nie lubią, kiedy służba widzi ich upokorzenie, toteż mówią o swoich sprawach tylko tyle prawdy, by nie naruszyć pochlebnej fikcji, utrzymywanej dla zapewnienia sobie szacunku. Tym razem Franciszka wiedziała swoje skądinąd — być może, dokuczając Albertynie, podsycala w niej nieufność i rozdrażnienie, krótko mówiąc, sama doprowadziła ją do stanu, w którym ucieczka mogła nastąpić w każdej chwili. Jeśli istotnie tak było, to moja historyjka o krótkotrwałym wyjeździe, o którym wiedziałem, na który wyraziłem zgodę, musiała się Franciszce wydać całkiem niewiarygodna. Z drugiej strony przekonanie o interesownej naturze Albertyny, nienawistna przesada, z jaką Franciszka wyolbrzymiała „zyski” ciągnięte przez nią z mojej kieszeni, przynajmniej do pewnego stopnia powinny ową niewiarę osłabić. Kiedy wspominałem przy Franciszce o mającym niebawem nastąpić powrocie jako o czymś, co rozumie się samo przez się, wpatrywała się we mnie w skupieniu (tak samo, jak w *maître’a* hotelu w Balbec, gdy przekomarzał się z nią i zmieniał niektóre słowa z gazety, którą jej czytał na głos, a której treść wydawała jej się nieprawdopodobna: na przykład, że kościoły zostaną zamknięte, a księża deportowani; usadowiona na drugim końcu kuchni, nie mogąc przeczytać ani słowa, Franciszka z równie wyteżoną uwagą wbijała wtedy wzrok w gazetę); patrzyła więc i teraz tak, jakby chciała sprawdzić, czy jej mówię to samo, co piszą w gazetce, czy nie zmyślam.

Gdy jednak zobaczyła, że chcę wysłać długi list i szukam dokładnego adresu pani Bontemps, mglista przedtem obawa, że Albertyna wróci, zaczęła dla niej nabierać kształtu. W tym większej była konsternacji, kiedy razem z moją poranną pocztą przyniosła mi list, na którego kopercie można było rozpoznać pismo Albertyny. Zaczynała się zastanawiać, czy aby wyjazd Albertyny nie był jakąś komedią, i to przypuszczenie dopiekło jej podwójnie, po pierwsze bowiem wyglądało na to, że Albertyna na dobre zapuściła u nas korzenie, po drugie zaś Franciszka mogła poczuć się osobiście upokorzona tym, że jej państwo dają się wodzić za nos byle komu. Choć drżałem z niecierpliwości, by przeczytać list, nie odmówiłem sobie badawczego spojrzenia w oczy Franciszki; wydało mi się, że opuściła je nadzieja. Uznałem to za dobrą wróżbę, zwiastującą bliski powrót Albertyny — niczym zapalony łyżwiarz, który z nadzieją obserwuje odlot jaskółek, licząc na wczesne mrozy. Odprawiłem Franciszkę i upewniwszy się, że dobrze zamknęła za sobą drzwi, bezszelestnie, by nie wydać się niecierpliwym, otworzyłem list takiej treści:

„Mój Drogi, dziękuję za wszystkie miłe słowa, które mi napisałeś. Jeśli zdecydujesz się odwołać rollsa, jestem do Twoich usług; piszesz, że mogę ci pomóc, więc z chęcią to uczynię. Musisz mi tylko podać adres pośrednika. Nie daj sobie dmuchać w kaszę, tym ludziom zawsze chodzi tylko o jedno, chcą sprzedawać. Na co ci auto, skoro siedzisz w domu? Jestem bardzo wzruszona, że zachowałeś dobre wspomnienie o naszej ostatniej przejażdżce. Wierz mi, że ja nigdy nie zapomnę tamtego zmierzchu, mrocznego podwójnie, bo wraz z nocą nadciągało rozstanie. Na zawsze pozostanie on w mojej pamięci, póki nie pochłonie go ciemność wiekuista”.

Rozumiałem, że były to tylko słowa; nie przechowa przecież aż do śmierci wspomnienia tej miłej przejażdżki, która w istocie niewiele mogła jej sprawić radości, kiedy już było jej spieszo uciekać. Lecz jednocześnie zauważyłem z uznaniem, że ta cyklistka z Balbec, amatorka golfa, która, nim mnie poznała, nie przeczytała bodaj nic oprócz *Estery*, jest naprawdę zdolna. Ileż miałem racji, gdy przypuszczałem, że czas spędzony w moim domu wzbogaci ją o nowe przymioty, które ją odmienia, dodając uroku. Albo gdy powiedziałem jej w Balbec: „Wiem, że moja przyjaźń byłaby dla pani cenna, jestem bowiem człowiekiem zdolnym ofiarować to, na czym pani zbywa”. Albo gdy umieściłem na fotografii dedykację: „Z przekonaniem, że odegram rolę opatrnościową” — zdanie to napisałem, nie wierząc w nie wcale, jedynie po to, by zachęcić Albertynę do kolejnych spotkań i do cierpliwego znoszenia nudy, którą musiała w nich znajdować, tymczasem ono także, jak czas pokazał, głosiło prawdę. Kiedy zaś mówiłem jej, że boję się ją widywać, bo mógłbym się w niej zakochać, miałem na uwadze rzecz wprost przeciwną: wiedziałem,

że to rozłąka rozpala moją miłość, a gaszą ją częste spotkania. W rzeczywistości jednak częste spotkania zrodziły we mnie potrzebę jej obecności nieskończenie silniejszą od moich uczuć z pierwszego okresu Balbec, czas pokazał więc, że i w tym stwierdzeniu kryła się prawda.

Ostatecznie jednak list Albertyny nie przyniósł żadnego postępu w moich staraniach. Nie zaoferowała nic ponad gotowość nawiązania korespondencji z pośrednikiem zajmującym się sprzedażą aut. Musiałem jakoś przełamać impas, wyrwać się z tego zastoju. Wpadłem na pomysł następujący: napisałem do Anny list, w którym zawiadaniałem ją, że Albertyna jest u ciotki, że czuję się bardzo samotny i byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała się do mnie wprowadzić na kilka dni, ale nie zamierzam tego ukrywać przed Albertyną; prosiłem więc, by dała jej o tym znać. I jednocześnie napisałem do Albertyny, tak jakbym jeszcze nie dostał jej listu:

„Moja Droga, wybaczysz mi z pewnością to, co nietrudno ci będzie zrozumieć: tak nie lubię mieć tajemnic, że chciałem, byś dowiedziała się o tym od Anny i ode mnie. W czasach Twej pełnej wdzięku obecności w moim domu nabrałem złych przyzwyczajeń, nie umiem być sam. Skoro postanowiliśmy rozstać się na zawsze, pomyślałem o kimś, kto mógłby zająć Twoje miejsce, kto nie wywoła w moim życiu wielkich zmian i kto będzie mi Ciebie przypominał: o Annie. Zaprosiłem ją do siebie. Żeby jej zanadto nie zaskoczyć, mówiłem o paru dniach, ale tak między nami, wydaje mi się, że tym razem to już będzie na zawsze. Czyż nie postąpiłem rozsądnie? Pamiętasz, jaki urok miała dla mnie wasza „banda” w Balbec, jaki byłem szczęśliwy, kiedy pewnego dnia poczułem, że ja także do niej należę. Do dziś pozostaję pod jej urokiem, co tłumaczy moją decyzję. Fatalność naszych charakterów i nieprzychylny los nie pozwoliły mi ożenić się z moją Albertynką, ale zaświtała nadzieja, że znajdę żonę — może nie tak czarującą, za to z usposobienia bardziej do mnie podobną, co pozwoli jej zaznać przy mnie więcej szczęścia — w Annie”.

Lecz kiedy list został już wysłany, nagle nabrałem podejrzeń, że pisząc mi „Przyjechałabym z miłą chęcią”, Albertyna skorzystała z tej właśnie okoliczności, że jej o nic wprost nie poprosiłem. Gdybym nawet był to uczynił, może i tak nie miała zamiaru wracać. Zacząłem się obawiać, że przyjmie z radością wiadomość o pobycie Anny w moim domu, potem zaś o naszym małżeństwie, bo chodzi jej tylko o to, by samej zachować wolność, którą cieszyła się od ośmiu dni, mogąc wreszcie bez przeszkód oddawać się swym namiętnościom i deptać wszelkie ograniczenia, narzucone jej w czasie sześciu z okładem miesięcy naszego wspólnego paryskiego życia, gdy dniem i nocą, bez chwili przerwy trzymałem ją w ryzach. Moje wysiłki były daremne, albowiem w ciągu tych ośmiu dni Albertyna, również bez chwili przerwy, robiła z pewnością wszystko to, w czym przedtem zdołałem jej przeszkodzić. Domyślałem się, że źle używa swojej wolności, i te podejrzania przejmowały mnie smutkiem, nie wykraczając jednak poza mglistą ogólność; szczegóły były mi oszczędzone, a ponieważ pozostawałem w niepewności co do liczby kochanek Albertyny, nie musiałem wyobrażać sobie żadnej z nich z osobna, toteż moje myśli krążyły nieustająco i nigdzie się nie zatrzymywały. Jeśli zaś towarzyszył im ból, to niewielki i znośny, bo wizja była nie dość wyrazista. Ale ten stan nie utrzymał się długo, gdy bowiem wrócił Saint-Loup, ból gwałtownie przybrał na sile.

Zanim jednak wyjaśni się, dlaczego jego słowa uczyniły mnie tak nieszczęśliwym, przytoczyć trzeba pewne zdarzenie, do którego doszło bezpośrednio przed tą wizytą i które potem prześladowało mnie do tego stopnia, że jeśli nawet nie przyćmiło w mojej pamięci niemiłego wspomnienia rozmowy, to w każdym razie rzuciło na nią głęboki cień. Incydent ów miał przebieg następujący: gdy płonąć z niecierpliwości, oczekiwałem Roberta na schodach (na co nie mógłbym sobie pozwolić, gdyby matka była wtedy w Paryżu, wystawiania na schodach bowiem nie znosiła najbardziej w świecie, tak samo jak „dysput okiennych”), nagle usłyszałem czyjś głos:

— Jakże to? Nie wiesz, jak się go pozbyć, skoro ci się nie podoba? To bardzo proste. Na przykład schowaj przedmioty, po które go zwykle posyłają. Kiedy będą czegoś potrzebowali i na niego zadzwonią, a on tego nie znajdzie, z miejsca straci głowę. Moja ciotka się wścieknie. Zawoła cię i zapyta: „Gdzie on się w ogóle podziewa?!” Kiedy wreszcie przybiegnie spóźniony, w dodatku bez tego, czego chcieli, wszyscy będą go mieli dość. Bądź pewny, że za czwartym czy piątym razem go odprawią. Możesz mu zresztą po kryjomu ubrudzić, co tam sobie uprał i uprasował do podania. Jest ze sto podobnych sposobów.

Oniemiałem ze zgrozy, bo głos, który wypowiedział te cyniczne i okrutne słowa, należał do Roberta de Saint-Loup. Mając go dotąd za człowieka niezrównanej dobroci, pełnego współczucia dla ludzkich nieszczęść, poczułem się tak, jakbym nagle ujrzał w nim diabła. Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę tak myślał.

— Każdy chce zarobić na życie — odezwał się jego rozmówca, w którym rozpoznałem jednego z lokajów księżny de Guermantes.

— Gwiżdż na to, dbaj tylko, żeby tobie dobrze się wiodło — odparł bezlitośnie Saint-Loup. — Przynajmniej będziesz miał komu dawać w kość. Wylej mu atrament na liberię przed samym przyjęciem, dręcz go bez chwili wytchnienia, a w końcu sam zechce odejść. Zresztą mogę ci pomóc, pochwalę cię przed moją ciotką za anielską cierpliwość, że zgadzasz się służyć razem z takim niezgula i brudasem.

Gdy ruszyłem ku nim, Saint-Loup rzucił mi się naprzeciw, ale ufność, jaką w nim pokładałem, była już nadwerżona po tym, co usłyszałem, a co wydawało mi się do niego zupełnie niepodobne. Zastanawiałem się, czy człowiek, który potrafi być tak okrutny dla jakiegoś biedaka, nie mógł postąpić zdradziecko wobec mnie samego, gdy posłałem go do pani Bontemps. Pamiętając o tym i później, nie byłem już tak skłonny niepowodzenia jego misji uznać za dowód, że moja sprawa była beznadziejna. Lecz kiedy rozsiadł się u mnie, znowu był dawnym Robertem de Saint-Loup, przede wszystkim zaś przyjacielem, który wracał od pani Bontemps. Zaczął tak:

— Miałaś pretensję, że częściej do ciebie nie dzwoniłem, ale ciągle mówili mi, że twoja linia jest zajęta. — Moje cierpienie sięgnęło szczytu, kiedy po chwili powiedział: — Zacznę od tego, na czym skończyła się moja ostatnia depeza. Przeszedłem przez wozownię i znalazłem się w domu, po czym zostałem wprowadzony do salonu na końcu długiego korytarza.

Przy tych słowach — „wozownia”, „korytarz”, „salon” — zanim jeszcze wybrzmiały do końca, moje serce wpadło w trzepot bardziej gwałtowny i prędki, niż gdyby targnął nim prąd elektryczny, ból jest bowiem siłą potężniejszą od elektryczności, zdolną przyspieszyć wirowanie kuli ziemskiej. Wozownia, korytarz, salon, ileż razy powtórzyłem te słowa po wyjściu Roberta, poddając się wciąż na nowo ich wstrząsającej treści. W wozowni można się skryć z przyjaciółką. A salon? Kto wie, co Albertyna w nim robiła pod nieobecność ciotki. I cóż? Czyżbym liczył na to, że dom, w którym mieszka Albertyna, może nie mieć ani wozowni, ani salonu? Nie: przedtem w ogóle go sobie nie wyobrażałem, a jeśli nawet, to obraz był mglisty, zamazany. Ten ból dosięgnął mnie po raz pierwszy, kiedy udało mi się ustalić miejsce jej pobytu; zamiast znajdować się w wielu naraz możliwych do pomyślenia miejscach, była po prostu w Turenii. Informacje stróża wskazały w moim sercu niczym na mapie owo miejsce, które musi boleć. Ale przywykły już do myśli, że zamieszkała w jakimś domu w Turenii, o samym domu nie myślałem wcale. Nigdy w mojej głowie nie powstały groźne obrazy wozowni, korytarza, salonu, a teraz, tuż obok mnie, jawiły się pod powieką Roberta de Saint-Loup, który je widział i pamiętał; wnętrza, w których Albertyna przebywała, przez które przechodziła, w których żyła, te właśnie wnętrza, nie zaś nieskończona mnogość innych, możliwych do pomyślenia, które już się rozplynęły i znikły. Kiedy usłyszałem słowa: wozownia, korytarz, salon, zdało mi się szaleństwem pozostawienie Albertyny na osiem dni w tym przeklętym miejscu, którego byt realny (nie zaś hipotetyczny) właśnie mi się objawił. Gorzej jeszcze! Gdy Saint-Loup wspomniał, że słyszał w tym salonie, jak ktoś śpiewa za ścianą na cały głos, wiedziałem już: to była Albertyna. I pojąłem z rozpaczą, że — uwolniwszy się w końcu ode mnie — poczuła się szczęśliwa! Odzyskała swobodę. A ja myślałem, że wróci z obawy, by Anna nie zajęła jej miejsca. Znowu na wolności, wyrwawszy się z klatki, przy której warowałem całymi dniami, nie mogąc jej zwabić do mojego pokoju, odzyskała cały swój dawny splendor, na powrót stała się tą, za którą cały świat się uganiał, cudownym ptakiem z pierwszych dni. Mój ból przemienił się w gniew i obrócił przeciwko Robertowi.

— Tego jednego właśnie chciałem uniknąć, miała nie dowiedzieć się o twoim przyjeździe.

— Myślisz, że to takie proste! Poinformowano mnie, że nie ma jej w domu. Ale do rzeczy. Jeśli chodzi o te pieniądze, nie wiem, jak ci to powiedzieć: ta kobieta wydała mi się tak delikatna, że bałem się ją urazić. Kiedy napomknąłem o pieniądzech, ani drgnęła. A chwilę później powiedziała mi, że jest głęboko wzruszona tym, że tak dobrze się

rozumiemy. Ale wszystko, co potem jeszcze dodała, było tak subtelne, tak wzniosłe, że uznałem za rzecz niemożliwą, by owo zdanie: „Tak dobrze się rozumiemy”, odnosiło się do pieniędzy. Bo przecież, proponując je, zachowałem się po grubiańsku.

— Ale może nie usłyszała, może do niej nie dotarło. Powinieneś powtórzyć. Przecież to musiało niezawodnie zrobić wrażenie i odnieść skutek.

— Jak to nie usłyszała? Mówiłem do niej tak, jak teraz do ciebie. Przecież nie jest głucha ani pomyłona.

— I nic, bez wrażenia?

— Bez żadnego.

— Trzeba było zacząć jeszcze raz.

— Jeszcze raz? O czym ty mówisz? Wystarczyło mi wejść i na nią spojrzeć, od razu wiedziałem, że musiałeś się pomylić. Że kazałeś mi brnąć w jakąś okropną gafę. Nie przyszło mi wcale łatwo powiedzieć jej o tych pieniądzech. Zmusiłem się do tego, żeby spełnić twoje życzenie. Spodziewałem się, że potem wyrzuci mnie za drzwi.

— Ale nie wyrzuciła. To znaczy, że jednak nie usłyszała. Więc trzeba było powtórzyć wszystko od początku albo ciągnąć dalej.

— Mówisz: „Nie usłyszała”, bo cię tam nie było, ale powtarzam ci, gdybyś był świadkiem tej rozmowy, wiedziałbyś, że w zupełnej ciszy wyłożyłem całą rzecz bez ogródek, musiała usłyszeć i zrozumieć.

— A czy chociaż przekonałeś ją, że przez cały czas zamierzałem ożenić się z Albertyną?

— Nie, jeśli o to chodzi i chcesz znać moje zdanie, ona nie wierzy w to ani trochę. Sama powiedziała mi, że wspominała jej siostrzenicy o rozstaniu. Wątpię nawet, czy bierze na serio twoje obecne małżeńskie zamiary.

To podniosło mnie trochę na duchu, zrozumiałem bowiem, że moje upokorzenie nie było aż tak dotkliwe, bym przestał zasługiwać na miłość, co oznaczało, że zostały mi jeszcze jakieś możliwości działania. Nie mogłem jednak ukryć wzburzenia.

— Przykro mi widzieć cię zawiedzionego.

— Ależ skąd, jestem ci wdzięczny, doceniam twoje starania, tylko wydaje mi się, że mogłeś...

— Wszystko, co mogłem, uczyniłem. Kto inny nie osiągnąłby nawet tyle. Zresztą spróbuj z kim innym.

— Gdybym wiedział, czym się to skończy, wcale bym cię nie posyłał. Ale teraz, po takim fiasku, już nawet nie mogę tam nikogo wyprawić.

Niepotrzebnie nękałem go wyrzutami. Chciał jak najlepiej, nie udało się. Kiedy opuszczał tamten dom, minął grupkę dziewcząt, świeżo przybyłych. Już i przedtem nachodziła mnie obawa, że Albertyna może mieć znajomości wśród okolicznych dziewcząt, ale aż do tej chwili nie było to przyczyną mojej udręki. Naprawdę można by pomyśleć, że organizm wytwarza naturalne antidotum na toksyczne myśli, które przepływają nieustająco, nie wyrządzając nam żadnej szkody; nie znał jednak sposobu na zubożenie trucizny, jaką wsącżyło w mój umysł spotkanie Roberta z tymi dziewczętami. Ale czyż nie uganiałem się za podobnymi szczegółami, kiedy gotów byłem każdego wypytywać o Albertynę? Czy to nie ja, pragnąc zgromadzić takiej wiedzy jak najwięcej, żądałem kiedyś od Roberta, żeby zamiast zameldować się czym prędzej u pułkownika, zaszedł najpierw do mnie? Jeśli to nie ja pochłaniałem żarłocznie podobne doniesienia, rzucał się na nie mój wiecznie głodny ból i karmiąc się nimi, potężniał. Na koniec Saint-Loup powiedział mi, że miło mu było spotkać tam choć jedną znajomą osobę, która przypomniała mu dawne czasy, bo była to znajoma Racheli, jakaś aktoreczka, która spędzała wakacje w sąsiedztwie. Wystarczyło mi usłyszeć jej nazwisko, żebym sobie powiedział: „Na pewno to ona”. I już widziałem Albertynę w ramionach nie znanej mi kobiety, roześmianą i zaróżowioną z uciechy. Czyż było to nieprawdopodobne? A ja sam, czy wzbraniałem się przed myślami o innych kobietach, odkąd znałem Albertynę? Tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy byłem u księżnej de Guermantes, wróciłem pogrążony w rozmyślaniach, lecz wcale nie o księżnej, tylko o pewnej młodej kobiecie, o której mówił mi Saint-Loup, że bywa w domach schadzek, a także o pokojówce pani Putbus. Czyż to nie dla niej zdecydowałem się jechać po raz drugi do Balbec? A skoro ostatnimi czasy ciągnęło mnie do Wenecji, dlaczego Albertyny nie miałyby nęcić Turenia? Lecz było rzeczą pewną, że nie myślałem

jej porzucić, do Wenecji zaś wcale się nie wybierałem. Choćbym powtarzał sobie w kółko: „Chcę z nią zerwać”, wiedziałem, że nie zdobędę się na to nigdy, tak samo, jak nie byłem w stanie zabrać się do pisania, ani nawet zmienić trybu życia na bardziej higieniczny; byłem niezdolny do spełnienia żadnego z tych chwalebnych zamierzeń, codziennie odkładanych na jutro. Niezależnie jednak od tego, co czułem, sądziłem, że opłaca mi się kazać jej żyć pod nieustającą groźbą ostatecznego rozstania. I w samej rzeczy, dzięki mojej nieszczęsnej umiejętności udawania, przemówiłem do niej aż nazbyt przekonująco. Tak czy inaczej, trzeba było zdecydowanie ukrócić jej swobodę, nie powinna ani chwili dłużej pozostawać w Turenii, w otoczeniu tych wszystkich dziewcząt, pod boki aktorki. Myśl, że utraciłem kontrolę nad życiem Albertyny, była nie do zniesienia. Musiałem jednak czekać, aż odpowie na mój list. Jeśli tymczasem grzeszyła, nie było na to rady. Jeden dzień mniej czy więcej nic by nie zmienił (i być może mówiłem tak sobie tylko dlatego, że odwykłem już od pilnowania jej w każdej minucie i od wpadania w szała, jeśli choć na chwilę wymknęła się spod nadzoru; moja zazdrość utraciła swą minutową podziałkę). Ale gdyby odpowiedź miała nadejść zamiast jej przyjazdu, gotów byłem po Albertynę pojechać i po dobroci albo też siłą wyrwać ją z objęć tych przyjaciółek. Czyż zresztą nie było lepiej udać się tam samemu, teraz, kiedy ku swemu zdumieniu odkryłem, jak nikczemnym człowiekiem był Saint-Loup? Skąd pewność, że to nie on uknuł intrygę, by rozłączyć mnie z Albertyną?

Gdybym jej teraz napisał to, co wcześniej nieraz powtarzałem w Paryżu, że nie chcę, by jej się przytrafiło co złego, byłbym skłamał. Może to ja się zmieniłem, a może po prostu nie brałem pod uwagę, że coś tak nieprawdopodobnego naprawdę może nas spotkać. Myślałem, że gdyby do tego doszło, moje życie zostałoby oczyszczone z ustawicznie zatruwającej je zazdrości i z miejsca odzyskałbym, jeśli nie szczęście, to przynajmniej spokój, bo cierpienie straciłoby moc.

Cierpienie straciłoby moc? Czy naprawdę w to wierzyłem? Czy mógłbym pomyśleć, że śmierć, przekreślając tylko cierpienie, całą resztę pozostawi w stanie niezmiennym, że z serca usunie tylko ból, którego przyczyną było samo istnienie tej drugiej osoby? Czy spodziewałem się, że po usuniętym bólu zostanie puste miejsce? Cierpienie miałoby stracić moc! Gdy przeglądałem w gazecie opisy wypadków, zauważałem, że nie mam odwagi Swanna, który swoje życzenie wyraził wprost. Jeśli Albertyna miałaby wypadek i przeżyła, zaistniałby powód, bym do niej przybiegł, gdyby zaś zginęła, odzyskałbym, jak się wyraził Swann, radość życia. Ale czy w to wierzyłem? On wierzył, choć był to człowiek wrażliwy i pewien swej samowiedzy. Jakże niewiele wiemy o tym, co kryje nasze serce! W jakiś czas później, gdyby żył jeszcze, mógłbym go zapewnić, że jego życzenie, jakkolwiek zbrodnicze, było przede wszystkim niedorzeczne i że śmierć tej, którą kochał, nie przyniosłaby mu ani śladu ulgi!

Wyzbyłem się wobec Albertyny resztek dumy, wysłałem do niej rozpaczliwy telegram, w którym prosiłem, by wracała czym prędzej, i nie stawiałem żadnych warunków: pozwolę jej robić, co zechce, nie żądam nic więcej, niż móc ją całować, kiedy będzie się kładła spać, przez minutę, trzy razy w tygodniu. Gdyby odpowiedziała, że tylko raz, przystałbym i na to.

Nie wróciła nigdy. Ledwie mój telegram został nadany, przyniesiono inny. Wysłała go pani Bontemps. Świat nie ma w sobie nic stałego, nie został stworzony raz na zawsze. W życiu każdego z nas pojawiają się zdarzenia zaskakujące, nieprzewidziane. Ach, mój ból wcale nie ucichł, gdy spojrzałem na pierwsze zdania tej depechy:

„Mój biedny przyjacielu, nie ma już naszej Albertynki. Proszę nie winić mnie za tę straszną wiadomość, którą przesyłam, wiedząc, jak bardzo ją Pan kochał. Koń poniósł i rzucił nią o drzewo podczas przejażdżki wzdłuż brzegów Vivonne.<sup>14</sup> Nasze wysiłki, by ją ratować, na nic się nie zdały. Ach, czemuż śmierć jej nie oszczędziła, czemuż raczej mnie nie zabrała!”

Nie, cierpienie nie straciło nic ze swej mocy, przybrało tylko nową formę: zaczynałem pojmować, że ona już nie wróci. Ale czyż nie powtarzałem sobie tego po wielekroć, że może nie wróci już nigdy? Owszem, teraz jednak wyszło na jaw, że nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Potrzebowałem bliskości Albertyny, jej pocałunków, by znieść męki za-

<sup>14</sup>wzdłuż brzegów Vivonne — fragment dopisany. [przypis tłumacza]



zdrości, więc przywykłem od czasów Balbec mieć ją zawsze przy sobie. Kiedy wychodziła z domu i zostawałem sam, mogłem być pewny, że będę ją znowu trzymał w ramionach. Byłem tego pewny jeszcze wówczas, gdy wyjechała do Turenii. Nawet jej wierność nie była dla mnie aż tak ważna, jak pewność, że ona wróci. I jeśli rozsądek w akcie samowoli podawał ten powrót w wątpliwość, wyobraźnia ani na chwilę nie ustawała w tworzeniu jego obrazów. Odruchowo położyłem dłoń na szyi, dotknąłem warg, pamiętających jej pocałunki, złożone, zdawałoby się, już po rozstaniu, pocałunki, których nie miałem zaznać nigdy więcej. Takim samym ruchem matka pogłaskała mnie po śmierci babki, mówiąc: „Biedny mały, twoja babka, która tak bardzo cię kochała, już nigdy cię nie pocałuje”. Te słowa: „wzdłuż brzegów Vivonne”, nadały mojej rozpaczycy jakiś straceńczy ton. Albowiem zbieżność między uczynionym mi w wagoniku kolejki wyznaniem, że zna dobrze pannę Vinteuil, a kierunkiem, jaki obrała, gdy ode mnie uciekła, wydała mi się nieprzypadkowa. Albertyna znalazła schronienie, a potem śmierć, w okolicach Montjouvain, i nagły błysk zrozumienia połączył w moim umyśle owo Montjouvain, wspomniane przez nią w wagoniku, z rzeką Vivonne, którą pani Bontemps bezwiednie wplątała w treść depeszy. Tęgo samego wieczoru, kiedy byłem u państwa Verdurin i kiedy powiedziałem Albertynie, że zamierzam się z nią rozstać, ona mnie okłamała!<sup>15</sup>

Cała przyszłość została nagle wyrwana z mojego, serca. Ale jaka przyszłość? Czyżbym nigdy nie pomyślał o życiu bez Albertyny? Nigdy, skądże! Czyż dawno już nie ofiarowałem jej wszystkich chwil, jakie przyjdzie mi przeżyć aż do śmierci? Ależ tak! Ta przyszłość, której nieodłączną częścią była Albertyna, trwała we mnie w utajeniu i dopiero na widok wyrwy, którą po sobie zostawiła, pojąłem, jak wiele miejsca zajmowała kiedyś w moim opustoszałym sercu. Franciszka, o niczym jeszcze nie wiedząc, zajrzała do mojego pokoju.

— Co znowu?! — wykrzyknąłem z wściekłością.

Wówczas — bo bywa, że w miejsce tego, co uważaliśmy za rzeczywistość, ktoś nam podsunie rzeczywistość zgoła odmienną, przyprawiając o zawrót głowy — te słowa padły z jej ust:

— Nie trzeba się tak gniewać. Na odwrót, powinien się panicz bardzo ucieszyć. Są tu dwa listy od panny Albertyny.

Z pewnością miałem w tamtej chwili spojrzenie człowieka odchodzącego od zmysłów. Nie było we mnie ani szczęścia, ani niedowierzania. Czulem się jak ktoś, kto w swoim pokoju dostrzega jednocześnie, w tym samym miejscu, kanapę i ciemną czeluść. Ani jedno, ani drugie nie wyda mu się już rzeczywistością, po prostu osunie się bez czucia na podłogę. Widocznie obydwa listy zostały napisane na krótko przed konną przejażdżką, z której nie wróciła żywa. A oto pierwszy z tych listów:

„Mój Drogi, jestem ci wdzięczna za zaufanie, z jakim powiadamasz mnie o swoim zamiarze sprowadzenia do siebie Anny. Jestem pewna, że przyjmie to z radością i będzie bardzo uszczęśliwiona. Jest obdarzona zdolnościami, które pod opieką kogoś takiego jak Ty potrafi pięknie rozwinąć, korzystając z niezwyklej siły oddziaływania Twojej osobowości na każdego, kto znajdzie się w pobliżu. Myślę, że to doskonały pomysł, który przyniesie wiele dobrego wam obojgu. A w razie jakichkolwiek kłopotów z Anną (choć myślę, że ci one nie grożą) zadepeszuje do mnie, obiecuję na nią wpłynąć”.

Drugi list nosił datę o dzień późniejszą. W rzeczywistości mogła je napisać nawet równocześnie i pierwszy z nich antydatować. Nie ustawałem w najniedorzeczniejszych próbach przypisania jej intencji powrotu, choć każdy dyplomata, który zdobył doświadczenie w rokowaniach pokojowych, każdy kupiec rozważający warunki transakcji umieliby ocenić moją sytuację beznamiętnie, a zatem trafniej ode mnie. Ten list był krótki:

„Czy nie jest za późno, żebym do Ciebie wróciła? Zechcesz mnie przyjąć z powrotem, jeśli jeszcze nie napisałeś do Anny? Zrobię, co postanowisz, proszę jedynie, byś jak najprędzej dał mi znać. Pomyśl o tym, jak niecierpliwie oczekuję Twojej odpowiedzi. Jeśli zdecydujesz, że mogę wrócić, wsiadam w pierwszy pociąg. Twoja całym sercem, Albertyna”.

Śmierć Albertyny wtedy jedynie odebrałaby moc mojemu cierpieniu, gdyby dosięgła ją nie tylko w Turenii, ale i we mnie. A przecież we mnie Albertyna była teraz tak żywa jak jeszcze nigdy. Żeby zagościć w nas na stałe, ludzka istota musi przyjąć stosowny

<sup>15</sup>Te słowa: „wzdłuż brzegów Vivonne” (...) ona mnie okłamała — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

kształt, nagiąć się do ram pamięci; będzie się nam bowiem mogła ukazywać tylko w migawkowych ujęciach, za każdym razem pozostawiając chwilowy wizerunek, pojedynczą kliszę. Ta słabość, skazująca ją na trwanie w postaci zbioru luźnych obrazków, jest zarazem jej wielką siłą. Ludzka istota jest bowiem zależna od pamięci, a pamięć chwili nie wie nic o tym, co się zdarzyło później. Mgnienie obrazu niezmiennie istnieje i żyje, a wraz z nim żyje człowiek, którego postać powieliły odbicia. W tych rozproszonych, a przy tym zwielokrotnionych obrazach wracają do życia zmarli. Toteż doznałbym ulgi dopiero wówczas, gdybym zapomniał nie jedną jedyną, ale nieprzeliczone szeregi Albertyn. Lecz kiedy tylko uporałem się z żalobą po którejś z nich, jej miejsce od razu zajmowała inna, setki innych.

Wszystko się w moim życiu zmieniło. Moja samotność niosła mi drobne radości, nie związane z Albertyną, płynące raczej z nieustannego odradzania się minionych chwil, wywoływanych z niepamięci błahymi zdarzeniami czasu teraźniejszego. W szumie deszczu powracał do mnie zapach bzów z Combray; w słonecznych smugach sunących po balkonie — gruchanie gołębi z Pól Elizejskich; w przedpołudniowym upale, tłumiącym miejski zgiełk — świeżość czereśni; tęsknota za Bretanią lub za Wenecją budziła się pod wpływem silnego wiatru albo nadchodzącej znów Wielkanocy. Zbliżało się lato, dni były coraz dłuższe i gorętsze. Był to czas, kiedy uczniowie i korepetytorzy, pogrążeni w ostatnich przygotowaniach do egzaminów maturalnych, przesiadują od rana w miejskich ogrodach, w cieniu drzew, by spić jedyną kroplę świeżości, jaką wytoczy niebo, nim zapłonie żarem pełnego dnia, już nawet o tej wczesnej porze jałowo czyste. W ciemni mojego pokoju władałem tą samą co przed laty mocą wywoływania obrazów zewnętrznego świata, teraz jednak przynosiła mi ona tylko ból, gdy wyczuwałem ciężar powietrza, w którym słońce, chyląc się ku zachodowi, malowało płaszczyzny fasad domów i kościołów wypłowiałą ochrą. Jeśli zaś krzątając się po pokoju, Franciszka poruszyła przypadkiem obfite fałdy zasłon, przesywał mnie promień niegdysiejszego słońca, zdolny wyrwać mi z gardła zduszony okrzyk, i padał na piękny nowy fronton kościoła w Bricqueville, w chwili gdy Albertyna mówiła: „Został odnowiony”. Nie wiedząc, jak wytłumaczyć Franciszce ten jęk, powiedziałem po prostu: „Mam pragnienie”. Wyszła, a gdy znów się pojawiła, gwałtownie odwróciłem się do ściany pod gradem wspomnień, które raz po raz rozświetlały otaczający mnie cień. Dostrzegłem kątem oka przyniesiony przez nią jabłecznik i czereśnię, takie, jakie w Balbec podawał nam do powozu chłopiec z fermy. Ich smak łączył się w mojej pamięci w sposób najdoskonalszy z tęczą ciemnością chłodnych jadalni, do których nie dociera jaskrawość upalnego dnia. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o fermie Ecorres, o tym, jak Albertyna zapowiadała mi w Balbec, że jutro nie będzie miała dla mnie czasu, bo musi towarzyszyć ciotce; być może wybierała się wtedy z którąś ze swoich przyjaciółek do innej fermy, wiedząc, że nigdy tam nie bywam, i kiedy na wszelki wypadek czekałem w „Marii Antoninie”, gdzie zapewniali mnie, że jej nie widzieli, ona szeptała przyjaciółce te same słowa co mnie, kiedyśmy wychodzili we dwoje: „Nie przyjdzie mu do głowy nas tutaj szukać, nie będzie nam się naprzykrzał”. Poprosiłem Franciszkę, żeby zasłoniła okno; chciałem, by zniknął ten promień słońca. Lecz on wdarł się już do mojej pamięci, równie natrętny jak przedtem. „Nie podoba mi się, bo jest odnowiony, ale jutro możemy pojechać do Saint-Martin-le-Vêtu, a pojutrze...” Jutro, pojutrze: otwierają się nieskończone przestrzenie wspólnego życia, ku któremu rwie się moje serce, ale to się już nie ziści, Albertyna nie żyje.

Spytałem Franciszkę o godzinę. Szósta. Nareszcie, dzięki Bogu, skończy się duchota letniego popołudnia, na którą kiedyś narzekaliśmy z Albertyną i którą mimo to lubiliśmy oboje. Dzień dobiegał kresu. Ale cóż mi z tego? Pod wieczór upał dawał za wygraną, zachodziło słońce. W drodze powrotnej, którą przemierzaliśmy razem w mojej pamięci, za najdalszą stacją kolejki zdawała się leżeć jeszcze jedna, tak daleka, że niedostępna dla nas owego wieczoru, kiedy mieliśmy, wciąż jeszcze razem, wysiadać w Balbec. Wtedy jechaliśmy we dwoje, a teraz musiałem gwałtownie zahamować przed otchłanią — ona nie żyła. Story nie wystarczyły. Musiałbym zasłonić oczy, zatkać uszy mojej pamięci, żeby nie widzieć tej czerwonej smugi zachodu, nie słyszeć tych niewidocznych ptaków, przekrzykujących się od drzewa do drzewa ze wszystkich stron wokół mnie, całującego zapamiętałe tę, która teraz już nie żyła. Musiałbym wyrzucić z pamięci wieczorny zapach wilgotnych liści, emocje szalonej jazdy to pod górę, to w dół. Lecz cały już byłem w ich

władaniu, zabląkany gdzieś daleko od chwili obecnej, bezbronny wobec impetu uderzającej we mnie wciąż na nowo myśli, że Albertyna nie żyje. Ach, nigdy już nie pójdę do lasu, nie będę spacerował pośród drzew. Czy jednak pola okażą się mniej dla mnie bezlitosne? Ileż razy przemierzałem pola Cricqueville, idąc po Albertynę, ileż razy wracałem razem z nią tą samą drogą, niekiedy wśród mgieł, które zasnuwały wszystko wokół, i wydawało się nam, że brniemy otoczeni wodami bezbrzeżnego jeziora; kiedy indziej wieczór był rozświetlony jasnym blaskiem księżyca, który nadawał światu postać nierzeczywistą, na odległość dwóch kroków nasycając ziemię odcieniami nieba, jakie za dnia miewa ona jedynie w najdalszej dali — i pola łączyły się w jedno z niebiosami, zamknięte wraz z nimi w agatowej kapsule pożyłkowanej wszystkimi odcieniami błękitu!

Franciszkę ucieszyła zapewne śmierć Albertyny. Trzeba jej oddać sprawiedliwość: swoiste rozumienie konwenansu i wrodzone poczucie taktu powstrzymało ją przed udawaniem smutku. Lecz niepisany kanon wywiedziony ze średniowiecza, dziedzictwo pokoleń wieśniaczek, które przelewały łzy nad losami bohaterów pieśni, dawał w niej pierwszeństwo odruchom starszym i głębiej zakorzenionym niż nienawiść do Albertyny, a nawet do Eulalii. Toteż któregoś z tych dni u schyłku popołudnia, gdy nie zdążyłem ukryć przed nią oznak cierpienia, dostrzegła moje łzy. Miała swój instynkt prostej chłopki, ten sam, który w innych okolicznościach objawiał się okrucieństwem wobec zwierząt, satysfakcją, z jaką ukrecała głowy kurczętom i homary wrzucała żywcem do wrzątku; kiedy zaś byłem niezdrów, instynkt ten kazał jej wpatrywać się we mnie z uwagą, niczym w sowę, którą zraniła rzucając kamieniem, przy czym o moim mizernym wyglądzie nigdy nie omieszkła się wypowiedzieć tonem żalobnym, jakby przepowiadała nieszczęście. Ale ów kodeks wyniesiony z Combray nie pozwalał bagatelizować rozpacz i łez, które uważała za szkodliwe przynajmniej tak samo, jak chodzenie bez ciepłej bielizny albo brak apetytu.

— O, nie, paniczu — powiedziała mi. — Nie wolno płakać. To by paniczowi mogło zaszkodzić.

A gdy rzuciła się tamować moje łzy, zdradzała takie przerażenie, jakby miała do czynienia z krwią lejącą się strumieniami. Niestety, czym prędzej skryłem się za chłodnym spojrzeniem i uciąłem przejawy serdeczności, być może szczerzej. Z Albertyną sprawy miały się dla niej zapewne tak samo jak z Eulalią: teraz, kiedy moja przyjaciółka nie mogła już niczego ode mnie „wycygnąć”, gniew Franciszki wygasł. Musiała jednak przede wszystkim dać mi do zrozumienia, że dostrzegła moje łzy i że nie pochwała obyczajów tej rodziny, którym hołdowałem, czyniąc wysiłki, by „niczego po sobie nie pokazać”.

— Nie trzeba płakać, paniczu — powtórzyła łagodniejszym tonem, raczej dla opisania się spostrzegawczością, niż po to, by dać wyraz współczuciu. I dodała: — Musiało się tak skończyć, bo spotkała ją zbyt wielka łaska, której nie umiała biedaczka docenić.

Jakże powolną śmiercią umiera dzień w takie nie znające miary ani kresu letnie popołudnia. Bezcielesne widmo kamienicy z naprzeciwka przez długie godziny niezmiennie rozmywało się na tle nieba plamą upartej bieli. Lecz w końcu i tak zapadała noc i ogarniała pokoje; potykałem się o meble w mroku korytarza i tylko w oszklonych drzwiach prowadzących na schody, w samym sercu ciemności, która wydawała mi się absolutna, jaśniała niebieskawo szyba o barwie kwiatu i przejrzystości owadziego skrzydła; zachwyciłbym się może pięknem czystego błękitu, gdybym nie czuł, że oto w ostatnim przeblysku, ostrym jak lśnienie stali, gasnący dzień zadawał mi w swym niezmordowanym okrucieństwie ostateczny cios.

A jednak w końcu świat pogrążył się w zupełnej ciemności. Lecz wtedy dość mi było jednej gwiazdki nad drzewem rosnącym na podwórku, bym przypomniał sobie wieczorne przejażdżki powozem do lasu Chantepie, wyścieranego księżycową poświatą. I nawet w zgiełku ulic zdarzało mi się pochwycić na oparciu jakiejś ławki, zabląkany między sztuczne światła paryskie, pełen prostoty promień księżyca, obdarzony mocą zdolną na krótką chwilę przenieść mnie wraz z całym miastem na łono natury, w sam środek bezbrzeżnej ciszy pól, wśród których czekało na mnie nabrzmiałe bólem wspomnienie spacerów z Albertyną. Ach, kiedyż wreszcie noc się skończy? Ale o chłodzie pierwszego brzasku zaczynałem drżeć, gdyż powracało pogodne wspomnienie tamtego lata, kiedy aż do świtu odprowadzaliśmy się nawzajem od Incarville do Balbec i od Balbec do Incarville. Jedyna moja nadzieja — rozdzierająca bardziej od niepokoju — była w tym, że kiedyś zapomnę Albertynę. Wiedziałem, że zapomnę, bo przecież zapominałem już

dawno Gilbertę i panią de Guermantes, zapomniałem nawet moją babkę. To dla nas najsprawiedliwsza i najokrutniejsza kara za cichą jak grób niepamięć, pochłaniającą bez śladu tych, których już nie kochamy: że oto innych, których kochamy, czeka równie nieuniknione zapomnienie. Po prawdzie wiedziałem i o tym, że ów stan obojętności jest bezbolesny. Lecz nie mogłem pogodzić w sobie wyobrażeń tego, kim byłem i kim się jeszcze stanę, i żałowałem otoczki z pocałunków, pieścizot i słodkich snów, którą niebawem przyjdzie mi utracić. Nurt wspomnień przepelnionych siłą i tkliwością zatrzymywała myśl, że Albertyna nie żyje, ja zaś, udręczony w zamęcie sprzecznych pobudek, ani przez chwilę nie mogłem usiedzieć w bezruchu. Zrywałem się, lecz znowu siadałem, wpadłszy na niewidoczną przeszkodę. Świt, taki sam jak tamten, który widział mnie wychodzącego od Albertyny, rozpromienionego i gorącego jeszcze od jej pocałunków, teraz groził mi zza stor zimnym i twardym blaskiem, raniącym jak cios noża.

Wkrótce miał powrócić zgiełk uliczny, którego ton podnosi się z narastaniem letniej gorączki, tak że na skali jego brzmienia można odczytać, ile stopni ciepła przybyło od rana. W skwarze, który parę godzin później miał przesiąknąć wonią czereśni, zamiast powabu innych kobiet odnajdę smutek po utracie Albertyny — jak to bywa z lekarstwem, w którym wystarczy jeden składnik zastąpić innym, by środek pobudzający zamiast euforii wywołał depresję. Każde z moich pragnień i tak było do głębi przesiąknięte jej wspomnieniem, pamięcią wszystkich rodzajów cierpienia i rozkoszy. Sądziłem, że gdybym się wybrał do Wenecji, jej obecność będzie mi ciężarem (zapewne jakoś przeczuwałem, że nie umiałbym się bez niej obejść), teraz zaś, kiedy Albertyny już nie było, straciłem ochotę do podróży. To w Albertynie bowiem zdawało się zawierać wszystko, czego mógłbym zapragnąć, niby w naczyniu, z którego łaskawie pozwalała mi czerpać, i to ona nie dawała mi nasycić się życiem do woli. Teraz naczynie leżało rozbite, ja zaś nie miałem dość sił, by sięgnąć po jego skarby, bo też nie było już nic, na czym mogło mi zależeć; zdruzgotany, odwróciłem się od przyjemności życia. Tak przeto zniknięcie Albertyny nie otworzyło przede mną ogrodu rozkoszy, którego brama, jak wierzyłem, zatrzaskała się z jej przyczyny. Kiedyś jej obecność była mi przeszkodą w podróżach, w używaniu życia i nie widziałem, że przesłania ona — jak to zwykle bywa — inne, rzeczywiste przeszkody, które objawiły mi się, gdy ta została usunięta. Dlatego właśnie zdarzało się nieraz — po czyjejś miłej wizycie, dla której odłożyłem pracę — że nazajutrz, będąc już sam, tym bardziej nie byłem w stanie pracować. W pewnych chwilach — w chorobie, podczas pojedynku albo gdy konie poniosły — zagłębiamy śmierci w oczy i wówczas bogactwo życia wydaje się nam godne pożądania; przypominamy sobie o utraconych rozkoszach, o wspaniałych podróżach, które już nie będą nam dane. Lecz niech tylko minie niebezpieczeństwo, powracamy do bezbarwnej, powszedniej rutyny, wyzutej z tych wszystkich cudowności.

Krótkie letnie noce kończą się wraz z latem. Kiedyś musi nadejść zima, ona zaś nie będzie mi przypominać spacerów z Albertyną o niewiarygodnie wczesnym świcie. Ale czy pierwsze przymrozki nie wrócą mi przechowanego w nienaruszonym stanie, niczym w tafli lodu, nie rozwiniętego jeszcze załączka moich żądz? W taką bowiem pogodę posłałem po nią kiedyś o północy, i czas niemiłosiernie mi się dłużył, gdy nasłuchiwałem jej dzwonka, na który teraz mógłbym czekać daremnie przez całą wieczność. Czy nie przypomniał mi moich niepokojów, które dosięgły mnie wtedy po raz pierwszy, każąc mi owego wieczoru dwa razy porzucić nadzieję, że ona jeszcze przyjdzie? Wtedy widywałem ją z rzadka, ale nawet te długie przerwy między jedną i drugą wizytą Albertyny wyłaniającej się po tygodniach nieobecności z głębin swego życia, o którym nic nie wiedziałem i które nie poddawało się mojej woli, przynosiły mi ukojenie, bo zazdrość, jeszcze nie dość dojrzała, wciąż na nowo zatrzymywana w rozwoju, nie miała kiedy okrzepnąć i ugruntować się w moim sercu. Te okresy nieobecności, choć w owym czasie wpływały na mnie uspokajająco, we wspomnieniach wydawały mi się naznaczone udręką, albowiem teraz nie były mi już obojętne te nieodgadnione sprawy, które ją wówczas pochłaniały, kolejne odwiedziny stały się zaś na zawsze już niemożliwe. Toteż styczniowe wieczory, kiedy do mnie przychodziła i kiedy spędzałem z nią tak rozkoszne chwile, przejmowały mnie teraz chłodem północnego wiatru; te mroźne dni przechowały w sobie zakonserwowany pod warstwą lodu załączek mojej późniejszej miłości, teraz jednak skażony nie znaną mi

wówczas trwogą. Przygotowywałem się na nadejście chłódów. Pora ta od czasów Gilberty i zabaw na Polach Elizejskich zawsze wydawała mi się bezgranicznie smutna. Spodziewałem się powrotu wieczorów takich jak tamten, kiedy padał śnieg i przez pół nocy czekałem na próżno na Albertynę. Byłem jak chory, patrzący na otoczenie pod kątem swych obolałych płuc — i ze względu na moje rozdarłe serce obawiając się styczniowych chłódów, mówiłem sobie, że może najtrudniej przyjdzie mi przetrwać zimę.

Tak oto uwikłany byłem w zjawiska atmosferyczne wszystkich czterech pór roku; by wyrzucić z pamięci Albertynę, musiałbym najpierw zapomnieć, jak wygląda świat, musiałbym zacząć się go uczyć od nowa niczym porażony udarem mózgu pacjent, który wracając do zdrowia, uczy się stawiać litery. Zostałem sam i po jej śmierci już tylko moja własna mogła mi przynieść ulgę, ale ona właśnie wydawała się nieprawdopodobna. Nie wiedziałem wtedy, że śmierć jest rzeczą nie tylko zawsze możliwą, ale i powszednią; umieramy, bezwiednie i bezwolnie, dzień po dniu. Miały więc nadal nękać mnie swymi nawrotami kolejne fale dni niosących wszystkie odmiany aury i wpisanych nie tylko w cykl natury, lecz także w umowny i sztuczny porządek kalendarza. Coraz bliższa była data, od której zaczęły się zeszłego roku moje wakacje w Balbec — gdzie moja miłość, jeszcze nie spleciona nierozzerwalnie z zazdrością, niewiele troszczyła się o to, co Albertyna robi przez cały dzień. Uczucie to miało przejść jeszcze wiele przemian, nim przybrało swój ostateczny kształt, do pierwotnego zgoła niepodobny. Ostatni rok, podczas którego odmienił się i dokonał los Albertyny, był w moich oczach wypełniony po brzegi zdarzeniami, zmienny i rozległy niczym stulecie. A potem miały przyjść dni należące do następnych miesięcy, lecz przeze mnie przeżyte w jeszcze bardziej zamierzchłym czasie: dżdżyste niedziele z poprzednich lat. Mimo niepogody wszyscy wychodzili z domu prosto w pustkę słotnego przedpołudnia, lecz mnie wycie wiatru i szum deszczu skłaniały do przesiadywania pod dachem, w roli „mędrca czterech ścian”. Z jakimż poruszeniem będę oczekiwał godziny, kiedy tak dla mnie nieoczekiwanie zjawiła się Albertyna i po raz pierwszy zaznałem jej czułości, przerwanych znienacka przez Franciszkę, która wniosła lampę — w owej martwej już epoce, martwej podwójnie, bo wówczas Albertyna była mnie jeszcze ciekawa, a przed moją miłością otwierała się nadzieja bez granic! I nawet olśniewające zmierzchy kolejnych tygodni — gdy zastępy półbogiń wysypywały się, niby przez uchylone wrota świątyń, z biur, kancelarii i żeńskich szkół, by rozświetlić ulice złocistym blaskiem, i tocząc swe rozmowy tuż obok mnie, budziły gorączkową żądzę wtargnięcia w ich mityczną egzystencję — teraz przypominały mi tylko tkliwą bliskość Albertyny, z której powodu nie mogłem uczynić ani kroku w ich stronę.

We wspomnieniach tłem każdej zwykłej chwili jest właściwy jej i jedyny w swoim rodzaju pejzaż wewnętrzny, wnoszący jakiś rys wyjątkowy, niepowtarzalny. Jeśli więc w czasie jeszcze późniejszym, z początkiem wiosny, usłyszę pasterską fujarkę, ciepły dzień przesycony świetlistością niemalże włoską zabarwi się niepokojem z powodu Albertyny, która poszła do Trocadéro, by spotkać się tam, być może, z Leą i jej dwiema młodymi przyjaciółkami; potem zaś na dzień ów spłynie łagodny spokój, bo Albertyna pozwoliła się Franciszce przyprowadzić do domu, oddana i pokorna, jakby była mi poślubiona — i wprawi mnie tym w oszołomienie. Ową przekazaną mi przez telefon deklarację posłuszeństwa Albertyny, zdecydowanej wracać razem z Franciszką, wziąłem wówczas za tytuł do chwały. Ale myliłem się. Jeśli uległem odurzeniu, wywołało je właśnie poczucie że ta, którą kocham, należy tylko do mnie, że dla mnie bije jej serce, że nawet z dała ode mnie, wolna od wszelkiego przymusu, uznaje we mnie pana i władcę; że gotowa jest przybiec na każde moje skinienie. Tak oto za sprawą telefonu upajający powiew dotarł do mnie z dalekiej dzielnicy Trocadéro, gdzie biło źródło mojego szczęścia i rozpylało swe uśmierające esencje, kojące balsamy, od których zrobiło mi się tak lekko na sercu, jak nigdy przedtem — i mogłem bez cienia niepokoju pozwolić się nieść muzyce Wagnera, w oczekiwaniu, wcale nie gorączkowym, na przybycie osoby zwanej Albertyną, które, już przesądzone, do tego stopnia nie budziło we mnie obaw, że nie byłem nawet świadom własnego szczęścia. Radość, że ona wraca, że jest mi posłuszna i że należy tylko do mnie, zrodziła się z miłości, nie zaś z pychy. Choćbym miał na swe usługi pięćdziesiąt kobiet gotowych na pierwsze

skinienie przybiec do mnie nie z Trocadéro, ale bodaj z dalekich Indii, niewiele by mnie to obeszło. Tamtego jednak dnia wiedziałem, że podczas gdy w samotności wsłuchuję się w dźwięki muzyki, Albertyna już ku mnie zmierza, posłuszna mojej woli, a w powietrzu, którym oddychałem, zdawała się unosić, lekko jak pył wirujący w słonecznym świetle, owa substancja w szczególnie sposób wzmacniająca ducha, tak jak inne wzmacniają ciało. Potem, po pół godzinie, zjawiała się Albertyna, i tegoż dnia wybrałem się z nią jeszcze na spacer. Ale jej towarzystwo, tak samo jak ta przechadzka, wydawało mi się nużące, dlatego zapewne, że nie opuszczało mnie wtedy beztrioskie poczucie pewności. Ono to właśnie, od chwili, gdy Franciszka oznajmiła mi przez telefon, że wraca z Albertyną, wlało złoty spokój we wszystkie godziny popołudnia; i wykroił się z nich dzień dodatkowy, różniący się od tego pierwszego podszewką ukrytej treści, która czyniła go nowym i niezwykłym w długim szeregu wszystkich innych, jakie dotąd przeżyłem, nawet się go nie spodziewając — bo nie zdołalibyśmy przecież wyobrazić sobie ciszy letniego dnia, gdyby takiego nie było w długim szeregu wcześniejszych. Nie mogłem jednak powiedzieć, że pamiętam tamten dzień; jego pogodny spokój z czasem zatruło bowiem cierpienie, którego wtedy jeszcze nie odczuwałem. Znacznie później, kiedy krok po kroku odbyłem swą drogę powrotną ku czasom, które nie znały jeszcze mojej miłości do Albertyny, a zabliznione serce było już zdolne, nie cierpiąc nadmiernie, rozstać się z umarłą — zacząłem wreszcie bez bólu wspominać ów dzień, kiedy to Albertyna towarzyszyła Franciszce przy sprawunkach, zamiast zostać w Trocadéro; i dopiero wtedy mogłem naprawdę cieszyć się tym dniem, należącym do nie znanej mi wcześniej wewnętrznej pory roku. W końcu przypomniałem go sobie ze wszystkimi szczegółami, bo nie przesłaniało ich już nawet cierpienie; w taki właśnie sposób wracają do nas niektóre letnie dni: są nieznośnie upalne, póki trwają, lecz ich ekstrakt okazuje się później osadem najczystszej złota i niezmaconego lazuru.

Nabrzmiałe bólem wspomnienie Albertyny lata powlekły patyną nowych barw i odcieni, przysypały je popiołem chwil, prochem, w jaki obróciły się lipcowe popołudnia i zimowe wieczory, odbłask księżycy na falach i powroty do domu o świcie, paryski śnieg i zeschnięte liście w Saint-Cloud. A wraz ze wspomnieniem Albertyny zmieniły się także wyobrażenia, jakie z nią wiązałem: o tym, jak wyglądała w każdej z tych minionych chwil, o większej lub mniejszej częstotliwości spotkań w różnych okresach naszego życia, których substancja w związku z tym wydawała mi się mniej lub bardziej zageęszczona; o niepokojach, jakie wznicało we mnie oczekiwanie, o tym, czy ona była wtedy pod moim urokiem, o nadziejach, które rodziły się i umierały. Mój zanurzony w przeszłości smutek ulegał przemianom, tak samo jak gra zapachów i światła, zachowana w pamięci, i każdy przeżyty przeze mnie rok astronomiczny dopełniał się melancholią, już choćby dlatego, że kolejne wiosny, lata, jesienie i zimy przynosiły mi żalobne wspomnienia o niej. Jak gdyby moim życiem rządził, niewidoczny spoza kartek zwykłego kalendarza, kalendarz uczuć, który upływu czasu nie odmierzał położeniem Ziemi wobec Słońca, lecz oczekiwaniem, jakie w każdej chwili dzieliło mnie od najbliższego spotkania. Sezonowe wahania długości dnia i intensywności nasłonecznienia zastępował on wzlotami moich nadziei, pogłębianiem się naszej zażyłości, stopniowymi zmianami w jej wyglądzie, podróżami, w które się wyprawiała, częstością i wymową listów, pisanych do mnie z daleka, oraz większą lub mniejszą skwapliwością, z jaką po powrocie składała mi wizytę. Toteż jeśli każdy z tych okresów i dni zawarł w sobie odmienny wizerunek Albertyny, to nie tylko dlatego, że skłaniały mnie do porównywania podobnych epizodów. Od zawsze przecież, nawet wtedy gdy jeszcze jej nie kochałem, odmianę przynosiły mi procesy mojej własnej wyobraźni i czyniły coraz to innym człowiekiem, goniącym za coraz to nowym mirażem — kimś, kto po nocy koszmarów pełnych sztormowych fal bijących o skały złowił w nozdrza zapach róż, sączący się o rozbuchanym wiosennym poranku wszystkimi szczelinami snu; kimś, kto obudzony tym zapachem gotów jest choćby zaraz wyruszyć w podróż do Włoch. Nawet w miłości zmienne nastroje i wahania ciśnień moich własnych mniemań mogły pewnego ranka zasnąć mgłami pejzaż uczuć, zaś następnego, w czystym powietrzu, roztaczały się przede mną cudowne perspektywy i cały świat śmiał się do mnie; jeszcze kiedy indziej zaś zbierały się nad nim burzowe chmury. Jesteśmy tylko tym, co posiadamy, a posiadamy to jedynie, co nas otacza; tymczasem nasze wspomnienia, uczucia i myśli błędzą nieraz tak daleko od miejsca, w którym jesteśmy, że znikają nam z oczu. Nie możemy ich wtedy uwzględnić w rachunku, którego

suma opisuje nas samych. Uczucia znają jednak tajemne drogi powrotne. W niektóre wieczory zasypiałem już prawie bez żalu po Albertynie — żalować wszak możemy tylko tego, co jeszcze pamiętamy; lecz gdy budziłem się po nocy, najczystsze wody mojej świadomości unosiły wielką flotyllę wspomnień, a widoczność była wyborna. Zalewałem się łzami wobec tak przejrzystego obrazu tego, co wczoraj było już pograżone w nicości. Imię Albertyny i jej śmierć nagle nabierały nowego znaczenia, a jej zdrady znów okazywały się sprawą najdonioślejszej wagi.

Nie mogłem uwierzyć, że umarła, z mojej pamięci wyłaniały się teraz przecież te same obrazy, które przeglądałem bez końca za jej życia. Widziałem Albertynę pochyloną nad kierownicą bicyklu w jakiś deszczowy dzień, gdy rozpędzona na owym kole, podobna mitycznym bohaterom, mknęła prosto przed siebie; albo też Albertynę z tych wieczorów, kiedy z butelką szampana jechaliśmy do lasu Chantepie: ślad gorączkowego rumieńca barwił bledość jej policzków, w głosie dźwięczała obca, prowokująca nuta; w ciemnym wnętrzu powozu nie rozpoznawałem jej twarzy, brałem ją więc w ramiona, by pochylić się wraz z nią ku smudze księżycowego światła — a teraz na próżno usiłowałem wywołać ten obraz z ciemności nieskończonej i wiecznej. Aby odzyskać wolność, musiałbym unicestwić w swojej pamięci nie jedną Albertynę, lecz niezliczone jej wcielenia. Wszystkie one przypisane były do jakichś chwil noszących zatarte już daty, pod które na powrót przenosiło mnie to lub inne wspomnienie związane z Albertyną. Minione chwile nie zastygają w bezruchu. Zamknięte w pamięci, dalej płyną ku owej przyszłości, dawno już obróconej w przeszłość, i nas także unosi ich nurt. Nigdy nie całowałem Albertyny z dni deszczowych, gdy opinała się na niej nieprzemakalna peleryna; poprosiłbym ją, żeby zdjęła swój gumowy pancerz, i w tej scenie znalazłbym może coś z uroków miłości na szlaku, coś z polowego braterstwa. Ale to się już nie mogło wydarzyć, bo ona nie żyła. Nigdy też — nie chcąc sprowadzać jej na złą drogę — nie dałem po sobie poznać, że rozumiem, co ma na myśli, kiedy proponowała mi rozkosze, na jakie być może nie pozwoliłaby sobie z kim innym; teraz zaś ich właśnie pragnąłem do szaleństwa, lecz gdybym znalazł je u innej, nie doznałbym nic prócz rozczarowania. Mogłem jednak cały świat przewędrować w poszukiwaniu tej jedynej, od której chciałem je przyjąć, i nigdzie bym jej nie spotkał, bo jej nie było wśród żywych. Wydawało mi się, że trzeba tylko wybrać jedną z dwóch wykluczających się prawd, zdecydować, która z nich obowiązuje — do tego stopnia wiadomość o śmierci Albertyny, przesłana z nieznanego świata otaczającego jej życie w Turenii, nie dawała się pogodzić z moimi własnymi myślami, żądzami, z tęsknotą i rozszalałą zazdrością. Wobec tej barwnej różnorodności wspomnień, układających się w rejestr zdarzeń jej życia, wobec natłoku wzruszeń uwikłanych w owe zdarzenia i zdolnych wywoływać je z pamięci, naprawdę nie było łatwo uwierzyć, że Albertyna umarła. I natłok ten w istocie przebiegał wszelką miarę, pamięć bowiem przechowała przeróżne porywy moich uczuć w całej ich złożoności. Nie tylko Albertyna zapisywała się w niej wieloma oderwanymi obrazami — ja sam także. Moja miłość do Albertyny nie była monolitem: z ciekawością tego, co obce, łączyła się w niej gorączka zmysłów; uczucia niemalże braterskie przemieniały się to w beznamiętny chłód, to znów w szaleńczą zazdrość. Zamiast jednego mężczyzny żyła ich we mnie cała armia, za romantycznymi kochankami defilowali bezduszni cynicy, za nimi zazdrośnicy — lecz nawet wśród tych ostatnich nie było dwóch zazdrosnych o tę samą kobietę. Bez wątpienia właśnie ta różnorodność miała mi pewnego dnia przynieść uzdrowienie, na które nie czekałem, którego nie chciałem. W gromadzie każdą postać może zastąpić inna, tę zaś kolejna, i tak oto stopniowo, niepostrzeżenie, dokonuje się w nas całkowita przemiana, do której nie mogłoby dojść, gdyby natura ludzka była jednorodną całością. Złożoność moich uczuć i mojego życia wewnętrznego przysparzała mi coraz to nowych cierpień, mnożyła ich odmiany. Moje uczucia zawsze jednak można było zaliczyć do któregoś z dwóch rodzajów, albowiem cała moja wewnętrzna przestrzeń wypełniała się na przemian to ufnością, to falami zazdrosnych podejrzeń.

Jeśli z trudem przychodziło mi pojąć, że Albertyna, wciąż tak żywotna w moich myślach, choć chroniona, jak ja sam, podwójnym puklerzem czasu teraźniejszego i przeszłego, naprawdę umarła, to być może równie wielki był rozdźwięk między domniemanymi występkami Albertyny — dziś już do nich niezdolnej i wolnej nawet od win, bo pozbawionej zarówno ciała, które się nimi rozkoszowało, jak i ducha, który mógłby ich pragnąć — a rozmiarami mojego cierpienia. Błogosławiłbym zresztą to cierpienie, gdy-

bym widział w nim przejaw pośmiertnej obecności tej, której w sensie fizycznym już nie było, nie zaś odbłask — także skazany na wygaszenie — wzruszeń, jakie przy niej przeżyłem. Skoro nie mogła już z nikim innym doznawać rozkoszy, nie rozpaliby też we mnie zazdrości, gdyby miłość moja znalazła jakiegokolwiek inne ujście. Lecz znaleźć nie mogła, jej obiekt bowiem spotykałem jedynie we wspomnieniach, tam, gdzie Albertyna wciąż jeszcze żyła. Skoro dość mi było o niej pomyśleć, aby ją wskrzesić, to znaczyło, że żadna z jej zdrad nie umarła wraz z nią; miniona chwila, w której Albertyna dopuściła się zdrady, na powrót stawała się chwilą obecną, nie tyle dla Albertyny, ile dla któregoś z moich ja, przywołanego, by rozpamiętywało. Przy każdym występny czynku tkwił wczepiony węń kurczowo, zawsze mu współczesny, godny pożałowania zazdrośnik: żadne przedawnienie nie mogło rozłączyć tej pary. W ostatnich miesiącach jej życia wzięłem ją w swoim domu. Lecz Albertyna żyjąca w mojej wyobraźni była teraz wolna; zły użytek czyniła z tej wolności, oddawała się lada komu na prawo i lewo. Kiedyś martwiła mnie niepewna przyszłość, z jej mgieł próbowałem wyczytać, co nas czeka. Teraz miałem przed sobą jakiś inny, podmieniony egzemplarz przyszłości, równie niepokojącej, równie niepewnej, tak samo trudnej do rozszyfrowania, pełnej tajemnic i jeszcze bardziej okrutnej — nie miałem bowiem nawet nadziei, że zdołam nań wpłynąć. Tym okrutniejszej, że obliczonej na tyle, ile miało jeszcze potrwać moje życie, toczące się bez Albertyny, choć tylko ona mogła ukoić cierpienia, których była przyczyną. Cokolwiek wyczytałbym o niej w tej księdze, nie miało to prawdziwego związku z przyszłością Albertyny, było odbiciem jej przeszłości. Czyżby? Także nie, bo zazdrość nie należy ani do przeszłości, ani do przyszłości. Wyobrażenia, które przywołuje, zawsze rozgrywają się w czasie teraźniejszym.

Zmiany pogody budzą uśpione w naszym wnętrzu, zapomniane zjawy, wytrącają nas z gnuśnych przyzwyczajzeń, wzmagają przepływ pewnego rodzaju wspomnień, dodają siły pewnego rodzaju cierpieniom. Tym bardziej działa się tak ze mną, gdy nastaly pogody podobne do tamtych, podczas których w Balbec Albertyna, nie wiedząc czemu, wyruszyła na długie wycieczki pod niebem zaciągniętym deszczowymi chmurami, a na jej ciele wiatr opinał gumową pelerynę. Gdyby żyła, to i dziś, w podobny czas, zechciałaby sobie w Turenii urządzić taką wycieczkę. Nie żyła już; nie musiałem dłużej dręczyć się obawami. Lecz jak to bywa po amputacji kończyny, najłżejsza zmiana ciśnienia przejawiała się nawrotem bólu w tej odjętej części mnie samego.

Znienacka wypłynęło wspomnienie, na które nie natrafiałem już od bardzo dawna, trwało bowiem rozpuszczone w niewidocznym roztworze wypełniającym przestrzeń pamięci, który teraz dopiero ulegał krystalizacji. Było to kilka lat temu, przypadkiem wspomniałem jej o płaszczu kąpielowym i Albertyna się zaczerwieniła. W owych czasach nie doznawałem jeszcze cierpienia zazdrości. Znacznie później przyszło mi na myśl zbadać, czy pamięta tamtą rozmowę i czy wyjawi mi przyczynę rumieńca. Tym bardziej dręczyłem się tą sprawą, że doszły mnie słuchy, jakoby dwie młode panny, przyjaciółki Lei, bywały w owym zakładzie wodolecznicznym przy hotelu, jak powiadano, nie tylko po to, żeby tam brać natryski. Lecz czy to z obawy, że rozgniewam Albertynę, czy też w oczekiwaniu na właściwy moment, zawsze odkładałem to na później, aż w końcu zapomniałem. I oto niespodziewanie, w jakiś czas po śmierci Albertyny, natrafiłem na to wspomnienie, naznaczone ową majestatyczną, a przy tym wyzywającą powagą tajemnic, które czyjaś śmierć pozostawiła na zawsze bez wyjaśnienia. Czyż nie powinienem przynajmniej podjąć próby ustalenia, co złego lub podejrzanego robiła Albertyna w kąpielowym przybytku? Zapewne zdołałbym to sprawdzić, wysyłając kogoś do Balbec. Gdyby ona żyła, z pewnością niczego bym się nie dowiedział. Ale języki rozwiązują się dziwnie łatwo, by opowiadać o cudzym występku, kiedy już nie potrzeba liczyć się z wrogością obwinionego. Inaczej niż wynalazki ludzkiego umysłu, owe barometry, balony, aparaty telefoniczne, które poddano tak licznym i wszechstronnym udoskonaleniom, że w najnowszych modelach z trudem tylko da się wyśledzić podobieństwo do pierwowzorów, nasza wyobraźnia zachowała swą pierwotną, prymitywną strukturę, z której powodu nie możemy zbyt wiele naraz zobaczyć, toteż obraz zakładu kąpielowego wypełnił całe moje wewnętrzne pole widzenia; można by pomyśleć, że w życiu Albertyny nie wydarzyło się nic ponadto.

Niekiedy w ciemnych zaułkach snu natykałem się na jeden z tych koszmarów, które tylko z pozoru są groźne — po pierwsze bowiem smutek, jaki przynoszą, wraz z przebu-



dzeniem ustępuje najdalej po godzinie, podobnie jak odrętwienie wywołane nienaturalną pozycją, narzuconą nam w nocy przez jakąś dolegliwość; po drugie zaś każdy z osobna nawiedza nas niezbyt często, co dwa, trzy lata. Nigdy też nie możemy być pewni, że rozpoznajemy w nim sen z przeszłości. Wrażenie, że już go znamy, może okazać się złudne; bywa, że mamy do czynienia z czymś innym, choć podobnym — czego nie można nawet nazwać repliką.

Skoro tyle wątpliwości nurtowało mnie w związku z życiem Albertyny, z jej śmiercią — było oczywiste, że już dawno powinienem był wszcząć śledztwo. Ale ta sama słabość, ta sama gnuśność, która kazała mi unikać gniewu Albertyny, gdy jeszcze żyła, teraz, kiedy jej zabrakło, nadal przeszkadzała mi cokolwiek przedsięwziąć. A jednak, mimo słabości trwającej od lat, potrafi nagle obudzić się w nas energia. Zdecydowałem się rozpocząć dochodzenie, choćby nawet skazane na wyrywkowość. Zacząłem się zastanawiać, komu mógłbym powierzyć zbieranie informacji na miejscu, w Balbec. Uznałem, że Aimé będzie właściwą osobą. Nie tylko znał dobrze teren, lecz w dodatku był to człowiek prosty, dbający przede wszystkim o własne korzyści, obojętny na wszelką moralność i oddany słudze tego, kto mu płaci. Zaletą takich ludzi bywa absolutna dyskrecja, uczciwość i sumienność na równi z brakiem skrupułów. To właśnie o nich mówimy: „poczciwiec”. I ufamy im bezgranicznie. Kiedy Aimé ruszył w drogę, przemknęło mi przez głowę, że byłoby przecież nieporównanie lepiej, gdybym — zamiast wysłać go tam po pokątne wiadomości — wypytał o wszystko samą Albertynę. Lecz w tejże chwili na myśl o pytaniach, jakie mógłbym jej zadać, jakie jej w swojej wyobraźni już prawie zadałem, poczułem tuż obok jej obecność, i to bez cudu wskrzeszenia jej z martwych; był to raczej zbieg okoliczności, przypadkowe spotkanie, zaskakujące jak te nie upozowane fotografie, które zawsze mają w sobie najwięcej prawdy. Już przysłuchiwałem się naszej rozmowie, gdy nagle poczułem, że to przecież rzecz niemożliwa. I tak oto ujrzałem z nowej, innej strony kontur tej samej myśli: że ona nie żyje. Miałem dla Albertyny specjalny rodzaj czułości, przeznaczony dla nieobecnych — oni wszak nie popsują nam swoim widokiem wizerunku upiększonego we wspomnieniach. Myśl, że zniknęła na wieczność i że nigdy już nie zazna radości życia, wtrącała mnie w melancholię. Tak oto nagły obrót spraw przemienił męki zazdrości w smutek osamotnienia.

W moim sercu miejsce nienawistnych przypuszczeń zajęło słodkie wspomnienie godzin ufnej czułości, kiedy to miałem w niej siostrę, utraconą, bo śmierć mi ją zabrała. Czym była dla mnie Albertyna, tego moja tęsknota już nie pamiętała; znała jedynie pragnienia mojego serca, żadnego miłości w sensie najogólniejszym, miłości, której wyobrażenie przechowało ono dla mnie jako prawdę o Albertynie. I wtedy moje dotychczasowe życie, które mnie tak nudziło (albo też sądziłem tylko, że mnie nudzi), wydało mi się, przeciwnie, szczytem marzeń. Każda chwila spędzona z nią razem, choćby na rozmowie o błahostkach, nabierała teraz nowego uroku, którego w przeszłości nawet nie przeczuwałem, szukając mimo to z uporem tych właśnie sytuacji, nie pragnąc żadnych innych. Przypominały mi się drobne zdarzenia, jakiś jej ruch, zauważony, kiedy jechała ze mną powozem albo kiedy zasiedliśmy do obiadu w jej pokoju, i każde z takich wspomnień przenikało moją duszę wszechogarniającą falą błogiej melancholii.

Pokoju, w którym nam wtedy nakryto, nie uważałem za szczególnie ładny, utrzymywałem tak tylko przed Albertyną, chciałem, by bardziej ceniła sobie przywilej zamieszkiwania w nim. Ale teraz te firanki, krzesła, książki były mi drogie. Nie tylko prawdziwa sztuka dodaje uroku i tajemniczości rzeczom pospolitym. Ta sama moc włączania ich w krąg naszych intymnych przeżyć dana jest także cierpieniu. Gdy w roztargnieniu jadłem z nią razem obiad po powrocie z Lasku, przed wizytą u Verdurinów, nie czułem jeszcze słodczy owej chwili, nie dostrzegałem jej piękna, ku któremu zwracały się teraz moje oczy pełne łez. Miłość jest czymś nieporównanie większym od wszelkich innych uczuć, ale przestajemy być jej świadomi, gdy rozproszy się pośród nich. Podobnie nie potrafimy ocenić wysokości katedry, póki spoglądamy na nią z dołu, stojąc wśród zgiełku ulicy, wśród stłoczonych kamienic. Dopiero z oddalenia, ze szczytu góry, skąd miasta już nie widać lub jawi się nam zaledwie jako mętny nalot na powierzchni ziemi, możemy w skupieniu, w ciszy wieczoru, zmierzyć ją wzrokiem, samotną, wieczną i czystą. Ze łzami w oczach ucałowałbym Albertynę za wszystkie poważne i dobre słowa, jakie usłyszałem od niej tamtego wieczoru.

Któregoś ranka, gdy czułem w dłoniach ciepło filiżanki czekolady, wydało mi się, że widzę znów wydłużony zarys wzgórza zasnutego mgłami, moje serce ścisnęło się zaś aż do bólu na wspomnienie tego popołudnia, kiedy Albertyna mnie odwiedziła i gdy pocałowałem ją po raz pierwszy; to dlatego, że usłyszałem pisk w urządzeniach centralnego ogrzewania, które właśnie uruchomiono. I zgmiotłem ze złością zaproszenie od Verdurinów, przyniesione przed chwilą przez Franciszkę. Z jakąż siłą powróciła do mnie ta myśl, która zaskoczyła mnie, kiedy po raz pierwszy byłem na obiedzie w La Raspelière — że śmierć nie wszystkim odmierza ich czas tą samą miarą. Oto teraz zabrakło wśród żywych Albertyny, tak młodej, a tymczasem Brichot po staremu bywał na obiadach u pani Verdurin, która przyjmowała jak dawniej i być może miała tak przyjmować jeszcze przez długie lata! Nazwisko Brichota z miejsca przypomniało mi o zakończeniu tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy to odprowadził mnie on do domu, ja zaś w oknie na górze, w pokoju Albertyny zobaczyłem zapaloną lampę. Do tej lampy wracałem myślami wiele razy, choć za każdym razem inną drogą. Jeśli bowiem wspomnienia naprawdę należą do nas, to jedynie tak, jak rozległe włości, do których prowadzą ukryte furtki, nam samym nie znane. Otwiera je przed nami ktoś z sąsiedztwa i okazuje się, że oto wracamy do domu drogą, którą nigdy przedtem nie zdarzyło nam się iść. Wyobrażając zaś sobie pustkę, jaka czekała na mnie w domu, i wiedząc, że z dołu już nie zobaczę oświetlonego pokoju Albertyny, bo lampa zgasła na zawsze, pojąłem, w jak wielkim byłem błędzie owego wieczoru, gdy pożegnawszy Brichota, poczułem żal i zniecierpliwienie na samą myśl o tym, co mi przeszkadzało wyruszyć na poszukiwanie przygodnej miłości. Lecz pomyliłem się tak bardzo dlatego jedynie, że skarb, którego blask spływał ku mnie z okna, bez cienia wątpliwości uznawałem za swój niezbywalny stan posiadania, a jego wartości nie chciało mi się nawet oszacować, sądziłem zresztą, że nie może się ona równać z wartością rozkoszy najbardziej miłych, za którymi, podbijając ich cenę, uganiała się moja wyobraźnia. Moje życie w Paryżu, mój dom, który i dla niej był domem, objawił mi się nagle jako ucieleśnienie owej najdoskonalszej harmonii, o której przedtem śniłem i która wydawała mi się nieosiągalna pewnej nocy, kiedy zdarzyło nam się spać pod jednym dachem — pod dachem Grand Hotelu w Balbec.

Byłaby to dla mnie nieodżałowana strata, gdyby nie doszło do owej rozmowy z Albertyną po powrocie z Lasku, przed ostatnim wieczorem u państwa Verdurin. Rozmowa ta zbliżyła nas do siebie, do pewnego stopnia otwierając przed Albertyną mój wewnętrzny świat. Jeśli doznawałem radości na myśl, że do mnie po części należy jej dobroć i zalety jej umysłu, to z pewnością nie dlatego, że były one większe niż u innych znanych mi osób. Pani de Cambremer powiedziała mi przecież w Balbec: „Jakże to! Może pan spędzać całe dni w towarzystwie Elstira, który jest geniuszem, a pan woli poświęcać czas swojej kuzynce!” Cechy umysłu Albertyny lubiłem, bo przez skojarzenia budziły we mnie te same uczucia, co łagodność jej usposobienia; słodczy owocu przypisujemy doznanie, które może się ziścić tylko na naszym podniebieniu. I rzeczywiście, ilekroć przywoływałem wspomnienie jej inteligencji, smakowałem je, odruchowo oblizując wargi, choć przecież wolałbym, żeby materialny ekwiwalent nadal istniał niezależnie ode mnie, w świecie zewnętrznym. To pewne, że spotykałem osoby o inteligencji nieporównanie ciekawszej. Lecz bezgraniczna natura miłości, albo też jej egoizm, sprawia, że umysł i serce tych, których kochamy, przedstawiają się nam w sposób najmniej bezstronny, przy czym nieustająco upiększamy ten obraz w myśl naszych pragnień i lęków, włączając go w granice swej własnej tożsamości, jako przestrzeń równie rozległą, co nieoznaczoną, pozostającą we władaniu naszych najtkliwszych uczuć. Własne ciało, wstrząsane na przemian udręką i rozkoszą, nigdy nie jawi się nam tak wyraziście, jak kontur drzewa, budynku, ludzkiej postaci. Być może powinienem żałować, że zbyt mało starań poświęciłem poznawaniu Albertyny takiej, jaką była naprawdę. Próbując zgłębić zagadkę jej uroku, przez długi czas rozpatrywałem kolejne w ciągu lat obrazy jej postaci, i zdumiewałem się, zauważając, że sama z siebie rozwinęła pewne modyfikacje własnej osobowości — nie mogłem ich przypisać jedynie zmianom mojego punktu widzenia. Powinienem był poznawaniu jej poświęcić tyle samo uwagi, co gdyby była kimś zupełnie mi nie znanym, a wtedy pojąłbym może, dlaczego tak uparcie broniła mi dostępu do swych tajemnic, i położyłbym kres zarówno temu niepojętemu, zatwardzialemu milczeniu, jak i mojej własnej podejrzliwości; w ten sposób zawczasu rozładowałbym ów konflikt, który doprowadził w końcu

do śmierci Albertyny. I w takich chwilach, wraz z głębokim współczuciem, ogarniał mnie wstyd, że żyję, gdy ona umarła. Wydawało mi się — zwłaszcza gdy ból przycichał — że jej śmierć przyniosła mi niezaskuszone korzyści. Kobieta bowiem odgrywa tym większą rolę w naszym życiu, im więcej wnosi w nie smutku — nie zaś radości. Jej posiadanie nigdy nie osiągnie dla nas takiej wartości jak prawdy, do których dochodzimy, gdy cierpimy z jej powodu. W chwilach tych porównywałem śmierć mojej babki ze śmiercią Albertyny i wydawało mi się, że nad moim życiem ciąży wina podwójnego mordu, który uszedł mi bezkarnie tylko dzięki nikczemności świata. Chciałem się ludzić, że ona mnie rozumiała, choć znałem wiele osób, u których prędzej niż u niej znalazłbym zrozumienie. Ale zrozumienia oczekujemy przede wszystkim od tych, których miłości pragniemy najbardziej. U innych jest nam ono obojętne, ich miłość zaś kłopotliwa. Jeśli czułem się szczęśliwy, że zdobyłem przyczółek w myślach Albertyny i w jej sercu, to nie ze względu na samoistne wartości jej serca i umysłu, ale dlatego, że miało mi to pomóc zawiązać ją bez reszty. To był mój cel, za taką to chimerą goniłem, odkąd po raz pierwszy ujrzałem Albertynę. Kiedy mówimy o jakiejś kobiecie, że jest dla nas „dobra”, to zazwyczaj po prostu przypisujemy jej uczucia, których sami doznajemy na jej widok, tak jak dzieci, kiedy mówią: „Kochane łóżeczko, kochana poduszeczka, kochane kwiatuszki”. Oto dlaczego mężczyzna nigdy nie powie „Jest taka kochana” o kobiecie wiernej, lecz właśnie o tej, która go zdradziła.

Jak słusznie zauważyła pani de Cambremer, umysłowość Elstira roztaczała urok o wiele bardziej nieodparty. Lecz nie da się mierzyć tą samą miarą dwóch osób, z których jedna istnieje dla nas zaledwie gdzieś w tle, wśród wielu innych, a druga za sprawą jakiejś pomyłki, której uporczywe skutki nie chcą ustąpić, stała się częścią nas samych, do tego stopnia, że jeśli ktoś spyta, czy pewnego dnia, dawno temu, nie przyglądała się ona zbyt wyzywająco innej kobiecie w wagoniku nadmorskiej kolejki, doznamy nagle takiego bólu, jak gdyby chirurg wsadził nam palec w serce, szukając w nim kuli. Zwykły rogalik, jeśli to my go jemy, przyniesie nam nieporównanie więcej radości, niż wszystkie ortolany, zające i kuropatwy podane na stół Ludwika XV, a źdźbło trawy drzące tuż przy naszej twarzy, kiedy leżymy na górskiej polanie, może przesłonić niebotyczne szczyty oddalone o wiele mil.

Nie na tym zresztą polega błąd, że zanadto cenimy inteligencję i dobroć ukochanej, jakkolwiek byłyby skromne. Błędem naszym jest obojętność wobec inteligencji i dobroci tych, których nie kochamy. Kłamstwo tylko wtedy budzi w nas oburzenie, na jakie zasługuje, a dobroć tylko wtedy nas wzrusza, gdy płynie od ukochanej kobiety; jakimś cudownym sposobem gorączka zmysłów przywraca rozumowi powagę i wzmacnia w nas zręby moralności. W nikim nie spodziewałem się już odnaleźć tego niebiańskiego daru, bliskości istoty, z którą mógłbym mówić o wszystkim i ze wszystkiego się zwierzać. Zwierzać się? Ale czyż wielu innym ludziom nie ufałem bardziej niż Albertynie? Czy to nie z innymi wiodłem długie rozmowy? Otóż zaufanie i rozmowa, rzeczy z natury niepełne i znikomej wagi, nabierają jej wówczas dopiero, kiedy opromieni je miłość, bo tylko ona jest rzeczą boską. Widziałem znowu Albertynę siadającą do pianoli, różową i ciemnowłosą. Czułem jej język, rozchylający moje wargi nie po to, by mi być pokarmem, życiodajny, uświęcony, pierwotny. Jego ukryty płomień i niewidoczna rosa ślizgały się po skórze mojego karku albo brzucha w pieszczocie powierzchownej, lecz zarazem płynącej z samej głębi jej ciała, z jej wnętrza obróconego niby podszewką na wierzch i — w takich chwilach najłżejsze muśnięcie nabierało słodkiej i tajemnej mocy przenikającej mnie na wskroś.

Ale choć tamtych czarownych chwil nic już nie mogło mi wrócić, skłamałbym, mówiąc, że budzi to we mnie rozpacz. Aby pograć się w rozpacz na myśl o przyszłości, którą widzimy w czarnych barwach, musielibyśmy czegoś się jeszcze po niej spodziewać. W rozpacz byłem na przykład w Balbec, kiedy patrzyłem, jak wstaje dzień, i wiedziałem, że ani ten, ani żaden nie może być dla mnie szczęśliwy. Byłem i pozostałem egoistą, lecz owo ja, które wtedy się objawiło, owo ja zaopatrzone w rezerwy żywotności i zdolne obudzić zmysł przetrwania, teraz już nie istniało. Kiedy próbowałem zebrać siły, kiedy odwoływałem się do źródeł mojej energii, do tego, co było we mnie najlepsze, myślałem o tym jak o skarbie, który kiedyś do mnie należał (wyłącznie do mnie, nikt inny bowiem nie mógł przeniknąć uczuć pulsujących najgłębiej, które mi były natchnieniem), a teraz

nie można mi go było nawet odebrać, bo już do mnie nie należał. Prawdę mówiąc, jeśli kiedykolwiek go posiadałem, to jedynie dlatego, iż pragnąłem go i żyłem w przekonaniu, że należy do mnie. Było to z mojej strony wielką nieostrożnością, że próbowałem poznawać Albertynę dotykiem warg, że zamknąłem ją w swoim sercu, by stała się częścią mnie samego, jeszcze większą zaś nieostrożność popełniłem, pozwalając, by naszą przyjaźń zniszczyła gorączka zmysłów. Chciałem przekonać sam siebie, że to, co działo się między nami, było miłością, że stosunki, jakie nas łączyły, tak się właśnie nazywają, bo przecież ona posłusznie odwzajemniała moje pocałunki. A skoro uparłem się w to wierzyć, jej śmierć odebrała mi nie tylko ukochaną istotę, lecz także tę, która odwzajemniała moją miłość, w jednej osobie niewinne dziecko, siostrę i namiętną kochankę. Doznałem takiego szczęścia i nieszczęścia, jakie nigdy nie stały się udziałem Swanna, bo przez ten czas, kiedy był zakochany w Odecie i cierpiał męki zazdrości, mógł ją widywać tylko w niektóre dni: zapraszała go z rzadka, a i wtedy potrafiła odwołać spotkanie w ostatniej chwili. Lecz później została jego żoną, miał ją tylko dla siebie do końca swoich dni. Ze mną było odwrotnie: w czasach, kiedy najmocniej płonęła we mnie zazdrość o Albertynę, mieszkała ona ze mną w moim własnym domu. Udało mi się doświadczyć tego, o czym i Swann wciąż tylko marzył i co uzyskał dopiero wówczas, kiedy już mu na tym nie zależało. Lecz, inaczej niż on, który zatrzymał Odetę przy sobie, upilnować Albertyny i tak nie zdołałem. Uciekła mi, umarła. Nic bowiem nie zdarza się po raz drugi; dwa losy, mój i Swanna, które przez podobieństwo postaci i sytuacji można by przedstawiać jako przykład doskonałej symetrii, z jakiegoś innego punktu widzenia okazują się przeciwieństwami. A przecież najważniejsza różnica między nimi — powołanie — jeszcze się wtedy nie ujawniła.

Gdybym w tamtej chwili stracił życie, to bardzo niewiele byłbym stracił: powłokę cielesną, pustą ramę po arcydziele. Było mi wszystko jedno, czy kiedyś jeszcze się ona na coś przyda, ale czułem dumę i zachwyt na myśl o tym, co było w nią niegdyś oprawione; to piękne wspomnienie służyło mi za oparcie, podnosiło mnie na duchu, dzięki niemu doznawałem błogości, której nie zmąciłyby nawet śmierć. Jakże pośpiesznie biegła do mnie w Balbec Albertyna, ledwie po nią posłałem, a jeśli się ociągała, to tylko przez chwilę, dla fryzury, dla paru kropel perfum, których potrzebowała, żeby mi się podobać! Te obrazki z Balbec i z Paryża, które tak lubiłem oglądać wciąż na nowo, były dopiero co przewróconymi — nazbyt pośpiesznie — stronicami księgi jej krótkiego żywota. To wszystko, co mogłem już tylko wspominać, było kiedyś życiem, rozpędzonym jak akcja teatralnej tragedii, zmierzająca ku nieuniknionej i gwałtownej śmierci bohaterki. Bliscy nam ludzie ulegają procesom przemian zachodzących jednocześnie w naszych sercach i w świecie zewnętrznym, przy czym jedno nie pozostaje bez wpływu na drugie (odczuwałem to zwłaszcza w owe wieczory, kiedy zaskakiwało mnie w Albertynie bogactwo nowych przymiotów, teraz zawieszonych już tylko na cienkiej nitce mojej pamięci). Kiedy zmierzałem do zawarcia znajomości z Albertyną, już myślałem o tym, by posiąść ją bez reszty, przyświecała mi nadzieja zawładnięcia tą nieznaną krainą, którą nasza wyobraźnia czyni obcą i niedostępną — tajemnicą innego człowieka — po to jedynie, by sprowadzić ową drugą istotę na poziom najlichszego z naszych ja i w ten sposób unicestwić w sobie radosne nadzieje. Być może znęcił ją mój majątek i szansa na doskonałą partię; zatrzymała ją przy mnie moja zazdrość; łagodność jej usposobienia albo rozsądek, poczucie winy, albo też wyrachowanie, kazało jej przyjąć, mnie zaś stale zaostrzać warunki niewoli w bezpośrednim wyniku niezmordowanej aktywności mojego umysłu, nie pozbawionej wówczas wpływu na życie Albertyny, a teraz rykoszetem uderzającej we mnie samego. Tak więc wikłałem się w coraz to nowe, coraz to bardziej bolesne problemy, ponieważ ona uciekła z więzienia, w którym ją zamknąłem, ponieważ spadła z konia — a nie dosięgłaby go zapewne, gdyby nie ja — i straciła życie. Ale po jej śmierci nadal dręczyły mnie podejrzenia, których potwierdzenie zraniłoby mnie jeszcze okrutniej niż dawno temu, w Balbec, odkrycie jej zażyłości z panną Vinteuil — bo teraz Albertyny nie było już przy mnie i nie było komu mnie pocieszyć.

Ta nigdy nie milknąca skarga mojej duszy, przeświadczonej, że żyje zamknięta w sobie, tylko z pozoru była monologiem, odzywały się w niej bowiem echa zewnętrznej rzeczywistości i wносиły własny ton, a przecież życie, ów niekontrolowany eksperyment psychologiczny, gdy przyglądamy mu się z dystansu, ukazuje nam w całej jaskrawości obraz

cudzego losu: fabułę, której perypetie także kształtują warunki eksperymentu i wpływają na jego przebieg. Jak doskonale zażębiły się tryby, w jakże szybki ruch wprawiły mechanizm naszej miłości, który choć z początku trochę jeszcze zaciął się i zwalniał, potem zmierzał prosto ku błyskawicznej kulminacji, tak jak opowiadania Balzaca, jak pieśni Schumanna. To właśnie w ciągu ostatniego roku, dla mnie długiego jak stulecie — między wakacjami w Balbec a wyjazdem Albertyny z Paryża, gdy tylekroć zmieniano się miejsce zajmowane przez nią w moich myślach, a przy tym niezależnie ode mnie i poza moją świadomością zmieniała się ona sama — musiało się pomieścić to kipiące emocjami życie, które trwało tak krótko, a mimo to wydawało mi się bogate i niezmierzone, i utracone na zawsze, i wciąż niezbędne mi do szczęścia. Niezbędne, choć przynajmniej z początku nie czuło się w nim nieuchronności, nie poznałbym bowiem Albertyny, gdybym w jakiejś rozprawie archeologicznej nie przeczytał przypadkiem o kościele w Balbec. Gdyby Swann, opowiadając mi o jego przepychu niemalże perskim, nie natchnął mnie nadzieją odnalezienia Bizancjum w Normandii i gdyby pewna spółka hotelarska nie wzniosła w Balbec nowoczesnego, higienicznego hotelu, rodzice nie zgodziliby się spełnić mojego życzenia i nie wysłaliby mnie tam na lato. Rzecz jasna, w owym wytęsknionym Balbec nie zastałem ani perskiego kościoła, jaki sobie wyobraziłem, ani wiecznych mgieł. Już sam pociąg pierwsza trzydzieści pięć zawiódł moje marzenia. Ale w zamian za to, co obiecuje nam wyobraźnia i czego potem, nie szcędząc sił, na próżno szukamy, życie przynosi nam co innego, dary, jakich nie przyszłoby nam do głowy oczekiwać. Któż przepowiedziałby mi w Combray — kiedy z takim utęsknieniem czekałem na matkę, by przyszła i powiedziała mi dobranoc — że niepokoje przeminą, a gdy wrócą, to już nie za sprawą matki, tylko młodej dziewczyny, z początku będącej jedynie kwiatem na tle morza, który będzie wabił moje oko każdego ranka; kwiatem czującym, w którego uczuciach tak bardzo zapragnę mieć poczesne miejsce, iż popadnę w naiwną rozpacz z powodu jej niewiedzy co do mojej znajomości z panią de Villeparisis. Otóż po latach miałem znowu cierpieć, czekając pocałunku na dobranoc od tej obcej mi osoby, i znosić ból równie dotkliwy, jak kiedyś nie doczekawszy się matki. I tej właśnie Albertyny, niezbędnej mi do życia, przedmiotu miłości, która wypełniła w końcu bez reszty moje serce, nie poznałbym nigdy, gdyby Swann nie opowiedział mi w swoim czasie o Balbec. Jej życie zapewne nie urwałoby się tak nagle, moje zaś byłoby uboższe o coś, co w końcu zamieniło je w męczarnię. Skłaniałem się do przypuszczenia, że to egoistyczna natura mojej miłości, wpędziwszy przedtem do grobu babkę, doprowadziła do śmierci Albertyny. W Balbec nawet wtedy, kiedy już udało mi się zawrzeć z nią znajomość, nie kochałem jej taką miłością, jaka płonęła we mnie teraz. Kiedyś, wyrzekłszy się Gilberty, byłem pewny, że nowa miłość przyjdzie prędzej czy później, lecz pograżony we wspomnieniach, wiedziałem przynajmniej jedno: że — ta miniona była moim przeznaczeniem. A co do Albertyny — nie żywiłem najmniejszych wątpliwości — zamiast niej mogła pojawić się równie dobrze inna, na przykład panna de Stermaria, gdyby nie odwołała spotkania w ów wieczór, kiedy miałem zjeść z nią obiad na wyspie w Lasku. Wtedy jeszcze wszystkie możliwości stały przede mną otworem, i to w jej stronę mogła się zwrócić aktywność, mojej wyobraźni, która każe nam ujrzeć w kobiecie coś tak wyjątkowego, że stanie się dla nas istotą jedyną w swoim rodzaju, niezastąpioną, naszym przeznaczeniem. Z punktu widzenia czysto organicznego mogłem co najwyżej stwierdzić, że gdyby wszystko się potoczyło inaczej, to ów potencjał mojej miłości przełaby się na inną kobietę. Lecz nie na którąkolwiek. Choć bowiem Albertyna, krągła i ciemnowłosa, nie była podobna do wysmukłej, rudej Gilberty, obydwie miały w sobie ten sam rodzaj świeżości i siły, coś zmysłowego w kształcie policzków i nieodgadniony wyraz oczu. Wielu mężczyzn nie obejrzałoby się za żadną z nich, choć gotowi byli oszaleć dla innych kobiet, które z kolei do mnie „nie przemawiały”. Mógłbym prawie uwierzyć, że zmysłowy i władczy duch Gilberty wstąpił w ciało Albertyny: prócz widocznej odmienności istniało między nimi szczególne, głębokie podobieństwo. Każdy człowiek ma własny i prawie niezmienny sposób przeziębienia się, poddawania się chorobie — by na nią zapadł, musi pojawić się pewien szczególny zbieg okoliczności; jest więc rzeczą naturalną, że na chorobę miłości zapadamy zawsze za sprawą kobiet o tym samym typie urody, określonym zresztą nader ogólnie. Pierwsze spojrzenia Albertyny, które ośmieliły mnie do szalonych rojeń, nie były tak bardzo różne od pierwszych spojrzeń Gilberty. Mogłoby się wydawać, że nieodgadniona natura Gilberty, zmysłowa, samowolna i prze-

biegła, naprawdę powróciła w ciele Albertyny, by jeszcze raz wystawić mnie na ciężką próbę. Lecz moje życie z Albertyną potoczyło się inaczej, bo zamieszkaliśmy razem, i nie pozostała ani jedna szczelina w zwartej ścianie bolesnych i niepokojących myśli, przez którą mogłaby się prześliznąć odrobina bez troski i wytchnienia; a ciało Albertyny, żywe i bliskie, inaczej niż ciało Gilberty, do końca zachowało w moich oczach coś nieuchwytnego, czego nie musieli dostrzegać inni mężczyźni, a co po jej śmierci stało się dla mnie ostatecznym wzorcem kobiecości. Ale jej samej nie było już wśród żywych. Wiedziałem, że zapomnę. I było do przewidzenia, że te właściwości ciała i ducha — gorąca krew, nieposkromione pragnienia — powrócą wtedy, by jeszcze raz rzucić na mnie swój zgubny czar. Lecz jaką kobiecą postać wówczas przybiorą, tego nie mogłem przewidzieć. To, co wiedziałem o Gilbertce, samo w sobie nie pozwalało jeszcze przeczuć Albertyny i nowej miłości, tak samo jak poznanie sonaty Vinteuila nie wystarczało, bym mógł wyobrazić sobie jego septet. Tym bardziej że podczas pierwszych spotkań z Albertyną nie przypuszczałem, bym to właśnie ją miał pokochać. Jeślibym poznał ją rok wcześniej, wydałaby mi się bezbarwna jak niebo przed wschodem słońca. W moim stosunku do niej coś się zmieniło, ale ona sama zmieniła się także. Młoda dziewczyna, która przyszła do mojego łóżka tego dnia, kiedy napisałem do panny de Stermaria, nie była już tą samą, którą znałem w Balbec — czy to za sprawą procesów dojrzewania, zwieńczonych nagłym wybuchem kobiecości, czy też z innych przyczyn, których nigdy nie było mi dane poznać. Lecz nawet jeśli ta, w której będę się jeszcze kochał w przyszłości, miałaby się okazać podobna do Albertyny, inaczej mówiąc, jeśli otrzymałbym dowód, że podlegam jakiemuś wewnętrznemu przymusowi, a moja wolność jest ograniczona, to i tak pozostanie mi jeszcze wiele możliwości: zawsze będę wybierał spośród pewnego rodzaju kobiet. Takim stwierdzeniem odebrałem mojemu związkowi z Albertyną wymiar nieuchronności, i to mnie uspokoiło. Kobieta, której obraz w naszych oczach nie gaśnie nawet wraz ze światłem — bo przecież zamknąwszy powieki, ani na chwilę nie przestajemy zachwycać się jej profilem, jej spojrzeniem, chwytamy się wszelkich możliwych sposobów, by znów ją ujrzeć — ta jedyna, dobrze o tym wiemy, pozostałaby obcą nam, gdybyśmy pojechali do innego miasta, gdybyśmy odbywali przechadzki w innych dzielnicach, gdybyśmy odwiedzali inne salony. Jedyna? Jest ich przecież bez liku! A jednak jej wyrazisty, niezatarty portret wciąż widzą nasze zakochane oczy i przez bardzo długi czas żadna inna nie potrafi jej nam zastąpić. To ona bowiem magicznym zaklęciem obudziła w nas żywioł miłości, przedtem rozproszony, bezkształtny, który dla niej poruszył się i zafalował. To my sami stworzyliśmy kształt jej postaci i wypełniliśmy go swą własną substancją. Przeto nawet jeśli dla niej jesteśmy jednym z wielu, i być może najostatniejszym wśród nich, to ona jest dla nas wszystkim: jedynym w życiu celem. Wiedziałem oczywiście, że ta miłość nie była nieunikniona, skoro równie dobrze mogła ją we mnie rozniecić panna de Stermaria; i nie tylko dlatego, znałem ją bowiem, tę miłość, i wiedziałem, że nazbyt jest podobna do każdej innej miłości, jaką bym przeżywał; byłem świadomy, że jest ona czymś większym od Albertyny, że ją otacza i zagarnia, wcale jej nie znając, tak jak przyływ morza pochłania wątle fale przyboju. Żyjąc z Albertyną dzień po dniu, sam sobie założyłem okowy, z których wyzwolić się już nie umiałem. Z przyzwyczajenia łączyłem z jej osobą także te uczucia, które nie z niej czerpały natchnienie — wierzyłem, że wszystkie odnoszą się tylko do niej, ponieważ przyzwyczajenie, według pewnej szkoły filozoficznej, nadaje prostemu skojarzeniu myśli, łączącemu dwa różne zjawiska, fałszywą rangę związku przyczynowego. Kiedyś wierzyłem, że moje stosunki towarzyskie i majątek ustrzegą mnie od cierpienia, i to aż nadto skutecznie, wydawało mi się bowiem, że obronny mur przywilejów osłoni mnie nawet przed pragnieniami, marzeniami i miłością; zazdrościłem więc ubogiej wiejskiej dziewczynie, której nie są dane koneksje w wielkim świecie ani dostęp do telegrafu, ale za to ma ona przed sobą długie miesiące ciszy, by przetrwać cały bezmiar swej rozpacz, nie rozproszonej działaniem medykamentów uśmierających smutek. Teraz zrozumiałem, że tak jak pani de Guermantes, posiadająca w nadmiarze wszystko to, co dystans między nami mogło uczynić nieprzebytym, przekroczyła go ni stąd, ni zowąd, może pociągnięta mocą opinii czy poglądu, iż różnice pozycji społecznej to materia biernie poddająca się przekształceniom, nic stałego — tak też ja sam, ze względu na moje koneksje, pozycję majątkową i dochody, na wszystko, co zawdzięczałem z jednej strony swojej osobistej sytuacji, z drugiej zaś strony cywilizacji mojej epoki — nie mogłem liczyć na

nic więcej, niż odwleczenie bezpośredniego starcia mojej woli z przeciwstawną, nieugiętą wolą Albertyny, niepodatną na żadną presję — tak jak to się dzieje w nowoczesnych wojnach, gdy przygotowanie artyleryjskie i przerażająca siła ognia odsuwają jedynie na później chwilę, kiedy człowiek musi rzucić się na człowieka, wtedy zaś ten będzie górą, kto ma twardsze serce. Mogłem oczywiście wymieniać depesze z Robertem de Saint-Loup, mogłem nawet utrzymywać stały kontakt z urzędem pocztowym w Tours, ale czy moje nadzieje nie okazywały się daremne, a rezultat żaden? Wiejskie dziewczęta, bez przywilejów, bez stosunków, albo prości ludzie nie nawykli do korzystania z osiągnięć techniki, czyż nie cierpią mniej ode mnie, nie żądając aż tyle i nie płacząc za tym, co od zawsze było nie dla nich, co właśnie dlatego wydawało im się nierzeczywiste? Najbardziej pożądamy tej, która ma się nam za chwilę oddać; oczekiwania wyprzedzają chwilę triumfu, a żal nasila pragnienia. To właśnie dlatego, że panna de Stermaria nie przyjęła zaproszenia na obiad na wyspie w Lasku, pokochałem nie ją, lecz inną. Wystarczyłaby nawet sama ta odmowa, by rozpaść we mnie miłość — pod warunkiem, że w odpowiednio krótkim czasie znów spotkałbym pannę de Stermaria. Gdy dowiedziałem się, że ona nie przyjdzie, przywołałem hipotezę nieprawdopodobną, która jednak później się potwierdziła — że, być może, ktoś z zazdrości o nią żąda, by trzymała się z dala od innych mężczyzn, i że nigdy więcej jej nie zobaczę. Rozpaczalem tak bardzo, że oddałbym wszystko, by móc się z nią spotkać. Była to jedna z najgorszych chwil mojego życia i dopiero nadejście Roberta de Saint-Loup przyniosło mi uspokojenie. Cóż, kiedy zaczynamy dorastać, nasze miłości rodzą się z naszych udręek; pamięć i blizny w naszych sercach nadają bieg przyszłości. Co zaś się tyczy w szczególności Albertyny, jeśli nawet pominąć przebłyki różnych pokrewnych zauroczeń jej przyjaciółkami, wpisanych w moją miłość do niej, sama historia tego uczucia świadczy o tym, że od początku było ono dziełem przypadku, nie zaś wyrokiem losu. Nie była to miłość tego rodzaju co tamta, do Gilberty, tamtej bowiem nigdy nie dzieliłem między gromadę dziewcząt. Niewykluczone, że zwróciłem na nie uwagę tylko z jej powodu, bo dostrzegałem w nich coś, co mi ją przypominało i podobały mi się właśnie dlatego. Ale jednak przez długi czas nie przestawałem się wahać, moje pragnienia krążyły to wokół jednej, to znów drugiej, i kiedy już wydawało mi się, że wybrałem którąś z nich, wystarczyło, by inna spóźniła się na spotkanie albo nie miała dla mnie czasu, i oto do niej właśnie zaczynało we mnie wzbierać uczucie. W Balbec zdarzało mi się często, gdy czekałem na pojawienie się Anny, zmyślać dla niej słowa, które miały ją przekonać, że mi na niej nie zależy: „Jaka szkoda, że nie przyszła pani wcześniej o parę dni! Teraz już kocham inną, ale to nic, może mnie pani pocieszyć”, lecz jeśli przed spotkaniem z Anną wystawiła mnie do wiatru Albertyna, to serce waliło mi przez cały czas, bałem się, że więcej jej nie ujrzę, i już tylko ją kochałem. Gdy wówczas pojawiała się Anna, składałem bez cienia nieszczeroci (tak jak potem w Paryżu, kiedy wiedziałem już o znajomości Albertyny z panną Vinteuil) wyznania, które w jej uszach mogły zabrzmieć podejrzenie i kłamliwie, bo złożyłbym je w tych samych słowach, gdybym poprzedniego dnia nasycił się szczęściem u boku Albertyny: „Ach, gdyby pani przyszła wcześniej! Teraz już kocham inną”. Oddałem Albertynie miejsce Anny, dowiedziałem się o pannie Vinteuil. Moje uczucia wciąż jeszcze były chwiejne, nieustalone, a przy tym kochałem zawsze tylko jedną z nich. Lecz wcześniej bywało i tak, że już prawie zrywałem z obiema równocześnie. Ta, która wówczas uczyniłaby pierwszy krok, przywróciłaby mi równowagę, wiedziałem jednak, że jeśli któraś z nich będzie wolała przedłużyć niesnaski, zostanie mi jeszcze ta druga; nie było przesądzone, z którą się w końcu związę: może właśnie z pierwszą, znalazłszy w niej oparcie — choćby i nic ono nie pomogło — wobec upartego chłodu drugiej, o której w końcu zapomnę być może, jeśli zbyt długo będzie nieobecna. Otóż kiedy byłem pewien, że albo jedna, albo druga wkrótce się pojawi, zdarzało się, iż przez dłuższy czas nie wracała do mnie żadna z nich. Wtedy cierpiałem ze zdwojoną siłą, i kochałem także podwójnie. Obiecywałem sobie, że porzucę tę, która powróci pierwsza, tymczasem tęskniłem za obydwoma. Taki to los przynosi dojrzałość, niektórym z nas przedwcześnie: miłość rozpala się w nas nie za sprawą czyjejs obecności, lecz z powodu odrzucenia. Już nawet nie widzimy zarysu tej postaci, jej duch staje się dla nas nieuchwytny, nie wiemy nawet, dlaczegośmy ją wybrali tak pochopnie, wiemy zaś tylko jedno: że aby natychmiast położyć kres cierpieniu, trzeba wypowiedzieć te słowa: „Czy znajdzie pani dla mnie chociaż chwilkę?” Moje rozstanie z Albertyną w dniu, kiedy Franciszka oznajmiła mi, że

„panna Albertyna wyjechała”, zawarło w sobie prawdę wszystkich rozstań. Na ogół bowiem nie potrafimy dostrzec, że jesteśmy zakochani, albo zgoła nie możemy się naprawdę zakochać, póki nie nadejdzie godzina rozłąki.

W takich wypadkach, kiedy czekamy na próżno, odmowa przesądza o naszym wyborze, wyobraźnia pod biczem cierpienia pracuje coraz pręcej i w swym szaleńczym rozpędzie powołuje do życia miłość nie rozkwitłą, bezkształtną, która powinna pozostać w stadium załóżka jeszcze przez wiele miesięcy; rozum, nie nadążając za sercem, woła zdumiony: „Czyś ty oszalała? Cóżes jeszcze wymyśliło, by znowu cierpieć? To wszystko tylko rojenia!” I gdyby ona, wiarołomna, nie odtrąciła nas właśnie wtedy, to drobne przyjemności życia, kojąc udrękę serca, wyleczyłyby nas szybko. Ale choć nie sądziłem, że życie z Albertyną było moim przeznaczeniem, to w każdym razie okazało się niezbędne mi do szczęścia. Kochając się w pani de Guermantes, powtarzałem sobie z trwogą, że jej przewaga jest zbyt wielka, że rozporządza ona urzekającą mocą nie tylko swej urody, ale także bogactwa i pozycji towarzyskiej, dzięki czemu korzystać może aż nadto ze swobody przedstawiania z mnóstwem ludzi i że ktoś taki jak ja nic dla niej nie znaczy. Jeśli zaś chodzi o Albertynę, sierotę bez majątku i stosunków w świecie, można by pomyśleć, że małżeństwo ze mną powinno być dla niej szczytem marzeń. A mimo to nie udało mi się zatrzymać jej przy sobie. W istocie żadne okoliczności, ani społeczne uwarunkowania, ani nawet nasza własna przemyślność, nie zapewnią nam władzy nad życiem drugiej osoby.

Czemuż nie chciała przyznać: „Tak, mam takie gusta?” Byłbym ustąpił, byłbym pozwolił jej spełnić pragnienia. Czytałem jakąś powieść, w której żadna wymówka ani skarga z ust mężczyzny nie mogła skłonić do wyznań kobiety, którą kochał. W trakcie lektury uznałem tę sytuację za niedorzeczną. Na początek wydusiłbym z tej kobiety prawdę, myślałem sobie wtedy, a potem jakoś doszlibyśmy do porozumienia. Na co komu takie męczarnie? Teraz jednak wiedziałem już, że nie od nas zależy, czy ściągniemy je na siebie, i że choćbyśmy nawet najlepiej wiedzieli, czego chcemy, inni nie muszą spełnić naszej woli.

Ileż razy bezwiednie i bezwolnie wypowiedzieliśmy te bolesne, nieubłagane prawdy, które rządzą naszym życiem, i na które byliśmy ślepi. Prawda naszego losu, prawda naszego serca wyzierała ze słów w moim własnym mniemaniu do cna kłamliwych, którym jednak przyszłe wydarzenia miały przydać wagi prorocstwa. Przypominałem sobie kwestie, którymi przerzucaliśmy się, nie doceniając jeszcze prawdy w nich ukrytej, kwestie wypowiedzane z oszukańczą intencją, jakbyśmy oboje odgrywali komedię. Ale ich fałsz, skrojony na miarę naszej żalostnej nieszczerości, był podrzędny i zgoła banalny wobec ogromu nieuświadomionej prawdy, jaka w nich tkwiła. Nasze kłamstwa błędziły po jej obrzeżach, choć jej samej nie mogliśmy dostrzec. Była to prawda o nas samych, o życiu, na jakie byliśmy skazani; jego prawa wciąż nam się wymykały, potrzebowały bowiem czasu, by się objawić. Sądziłem, że kłamię, kiedy mówiłem jej w Balbec: „Im częściej będę panią widywał, tym więcej będę kochał” (a przecież to właśnie niezliczone chwile bliskości przywiązały mnie do niej tak bardzo i roznieciły szaleńczą zazdrość). A w Paryżu mówiłem jej: „Bądź ostrożna. Pomyśl, jak bardzo byłbym zrozpaczony, gdyby coś ci się stało”, ona zaś na to: „Wypadki chodzą po ludziach”. Wtedy, kiedy udawałem, że chcę się z nią rozstać, mówiłem: „Pozwól mi jeszcze chwilę popatrzeć na ciebie, bo wkrótce przestanę cię widywać, i to na zawsze” — a ona tegoż wieczoru powiedziała, rozglądając się wokół: „Pomyśleć, że nie zobaczę już więcej pokoju, tych książek, tej pianoli, całego tego domu. Nie mogę w to uwierzyć, a jednak to prawda”. A w jednym z dwóch ostatnich listów pisała (być może mówiąc sobie — „Co mi szkodzi wstawić mu lipę?”): „To, co we mnie najlepsze, pozostanie przy Tobie” — ale czyż jej uroda, inteligencja i łagodność nie były w końcu zdane wyłącznie na wierność i siłę mojej pamięci, równie kruchej, niestety? Albo to: „...nigdy nie zapomnę tamtego zmierzchu, mrocznego podwójnie, bo wraz z nocą zbliżało się nasze rozstanie. Na zawsze zostanie on w mojej pamięci, póki nie pochłonie mnie ciemność wiekuista” — słowa te napisała w przeddzień wypadku, po którym ciemność pochłonięła ją na zawsze; w ostatnich gorączkowych błyskach światła, które wśród grozy chwili rozproszyły się w nieskończoność, ujrzała być może właśnie ten spacer o zmierzchu, i w tej minucie, kiedy zmuszeni porzucić wszystko, szukamy w sobie wiary, jak owi ateści, którzy na polu bitwy na powrót zostają chrześcijanami, być może wzywała swojego przyjaciela, tylekroć przeklinanego, lecz zarazem darzonego



nabożnym szacunkiem; on zresztą — bo wszystkie bóstwa są podobne — w swym okrucieństwie żywi nadzieję, że zdążyła się jeszcze przed śmiercią opamiętać, że poświęciła mu swą ostatnią myśl, wyznała winy i umarła z jego imieniem na ustach.

Ale cóż mi z tego, jeśli nawet zdążyła się opamiętać, skoro oboje za późno zrozumieliśmy, w czym było nasze szczęście i co trzeba nam było zrobić; skoro pojęliśmy to dopiero wówczas, kiedy owo szczęście stało się niemożliwe i nic już nie mogliśmy dla niego uczynić. Nieraz odwołujemy działanie dlatego tylko, że jeszcze leży w zasięgu naszych możliwości. Albo też traci dla nas ową pociągającą siłę łatwych spełnień, gdy wyrwane z idealnej próżni umysłu, musi udźwignąć ciężar i brzydotę rzeczywistości. Świadomość, że umrzemy, jest okrutniejsza od samej śmierci. Ale mniej okrutna niż myśl, że umarł ktoś inny, że wystarczyło jednej chwili, by zniknął, by odmet, w którym nie ma ani woli, ani świadomości, pochłonął go bez śladu i zamknęła się nad nim gładka jak przedtem tafla. Pamięć tej osoby, jej dopiero co przerwane życie, stanie się równie nieuchwytna, jak wspomnienia, które zostawiły nam po sobie bezcielesne postacie z przeczytanej dopiero co powieści.

Byłem szczęśliwy, że przed śmiercią zdążyła chociaż napisać do mnie ten list, zwłaszcza zaś, że wysłała swą ostatnią depezę, świadczącą o tym, że wróciłaby do mnie, gdyby pozostała wśród żywych. Wydawało mi się, że dzięki temu los stał się nie tylko łatwiejszy do zniesienia, ale i piękniejszy, że bez owej depezy zabrakłoby symbolicznego zakończenia, kunsztownej klamry, spinającej dzieje uczucia. W istocie bowiem każde zdarzenie w naszym życiu nosi odcisk sztancy przeznaczenia i każde, jakikolwiek przyjęłoby kształt, jest kolejnym ogniwem cyklu, którego zdaje się stanowić konkluzję; narzuca całości właściwy sobie rysunek, i ten zaczyna się nam wydawać jedynym możliwym, bo innego nie znamy.

Dlaczego jednak nie powiedziała mi: „Tak, mam takie gusta”? Byłbym zgodził się na wszystko, z ucałowaniem rąk. Z jakimż smutkiem przypominałem sobie, że okłamała mnie, przysięgając na trzy dni przed swą ucieczką, że nigdy nie utrzymywała z panną Vinteuil podejrzanych stosunków, które w tej samej chwili, gdy usta Albertyny im zaprzeczały, zdradził przede mną rumieniec na jej policzkach! Biedna mała, była przynajmniej wystarczająco uczciwa, by odmówić mi zapewnienia, że to nie dla spotkania z panną Vinteuil i jej przyjaciółką tak bardzo chciała pójść do Verdurinów pamiętnego wieczoru. Dlaczego w swojej szczerości zatrzymywała się w pół drogi? Zapewne zresztą było w tym trochę mojej winy, jeśli nigdy, pomimo błagania, które zawsze rozbijało się o mur zaprzeczeń, nie zgodziła się przyznać: „Tak, mam takie gusta”. Wina moja sprowadzała się być może do tego, że w Balbec, nazajutrz po wizycie pani de Cambremer, gdy rozmawialiśmy o tych sprawach po raz pierwszy i byłem jeszcze jak najdalszy od przypuszczenia, że jej zażyłość z Anną może oznaczać coś więcej niż dziewczęcą egzaltację w przyjaźni, wyraziłem bardzo gwałtownie swój wstręt do występnych obyczajów niektórych kobiet, potępiłem je nazbyt kategorycznie. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy Albertyna zaczerwiła się, kiedy w swej naiwności oznajmiłem jej, jaką przejmują mnie zgrozą. Często tak bywa, że po długim czasie pragniemy powrócić do wyrazu czyjejs twarzą w chwili, kiedy nie zwracaliśmy nań uwagi; sięgając myślą do tego zdarzenia, pragniemy go koniecznie odtworzyć, by wyjaśnić sobie bolesną zagadkę, ale w pamięci mamy lukę, nie został żaden ślad. Nieraz też patrzymy nieuważnie na to, co od razu powinno się nam wydać istotne, umknie nam jakieś zdanie, przeoczmy gest albo puścimy go w niepamięć. A kiedy namiętnie zapagniemy dociec prawdy i miotamy się od jednego do drugiego domysłu, wertując stronice pamięci niczym akta sądowe, gdy już mamy dotrzeć do zagubionego zdania czy gestu, za każdym razem w tym samym miejscu ślad się urywa, choćbyśmy sto razy zaczynali od nowa: wszystko na próżno. Czy Albertyna się zaczerwiła? Nie pamiętałem, ale przecież musiała usłyszeć moje słowa, których wspomnienie z pewnością powstrzymywało ją potem od wyznań. A teraz nie było jej już nigdzie, mógłbym przemierzyć cały świat od bieguna po bieguna i nie spotkałbym Albertyny. Tafla rzeczywistości, która się nad nią zamknęła, już była na powrót gładka, nie pozostał na niej żaden ślad po istocie, którą pochłonęły głębiny. Ona zaś sama stała się oto imieniem, tak samo jak owa pani de Charlus, o której ci, co ją znali, mówili obojętnie: „To była przeurocza osoba”. Ale ja ani przez chwilę nie chciałem przyjąć za swoją

tej rzeczywistości niedostępnej już Albertynie. We mnie bowiem Albertyna wciąż jeszcze żyła, i wokół jej życia krążyły wszystkie moje uczucia, wszystkie moje myśli. Być może, gdyby o tym wiedziała, wzruszyłoby ją, że przyjaciel wciąż pamięta, choć nie ma jej już wśród żywych; być może okazałaby teraz więcej wrażliwości w kwestiach, które dawniej pozostawiała ją obojętną. Ale tak jak od niewierności, planowanej choćby w największej tajemnicy, powstrzymuje nas lęk, że my także możemy zostać zdradzeni przez kobietę, którą kochamy, myślałem z obawą o umarłych: jeśli gdzieś nadal żyją, to moja babka wie, że o niej zapomniałem, tak samo dobrze, jak Albertyna wie, że pamiętam. I nawet gdyby chodziło o tę samą osobę, w ostatecznym rachunku trudno orzec, czy radość, że zmarła o czymś się dowie, zrównoważyłaby trwogę, jaką musi budzić myśl, że dowie się o wszystkim. I jakkolwiek rozpaczliwe byłoby to wyrzeczenie, czyż nie wolelibyśmy czasem zerwać stosunków ze zmarłymi z obawy, by nie stali się naszymi sędziami?

Moim zazdrosnym dociekaniem na temat prowadzenia się Albertyny nie było końca. Po jej śmierci znalazłem płatnej miłości nie wiedzieć ilu kobiet, ale niczego mi to nie wyjaśniło. Jeśli żądza wiedzy była we mnie tak paląca, to dlatego, że człowiek nie umiera dla nas od razu cały, lecz nurza się jeszcze we fluidach życia, które nie mają w sobie nic z prawdziwej nieśmiertelności, przedłużają jedynie jego obecność w naszych myślach, tak jakby jeszcze żył, jakby tylko był w podróży; ta wizja zaświatów wydawała mi się jednak raczej pogańska. Bywa też odwrotnie: kiedy przestaliśmy kochać, dociekliwość, jaką rozniecił w nas drugi człowiek, umiera na długo przed jego śmiercią. Toteż nie kiwnąłbym nawet palcem, by dowiedzieć się, z kim się spotkała Gilberta pewnego wieczoru na Polach Elizejskich. Wiedziałem już, że ciekawość owa była zawsze tym samym, czymś w istocie błahym i przelotnym. Lecz i tak gotów byłem wiele poświęcić dla barbarzyńskiej radości nasycenia mej chwilowej pasji, choć z góry wiedziałem, że ta rozłąka z Albertyną, narzucona przez śmierć, przyniesie mi niebawem zubożenie, takie samo, jakie stało się kiedyś moim udziałem po dobrowolnym rozstaniu z Gilbertą. Tak czy inaczej, wysłałem Aimégo do Balbec. Przeczuwałem, że tam, na miejscu, dowie się najciekawszych rzeczy.

Gdyby Albertyna mogła przewidzieć, co się wydarzy, wołałaby może zostać ze mną. Ale to znaczyło tyle tylko, że z dwojga złego życie ze mną było dla niej lepsze od śmierci. Ciągnąc te rozważania, wylałem się w niedorzeczności; to do niczego nie prowadziło i nie pozostawało przy tym bez wpływu na stan mego serca. Już wyobrażałem sobie, z jaką to ulgą wróciłaby do mnie, gdyby mogła zawczasu przewidzieć, gdyby teraz jeszcze mogła odwrócić to, co się stało. Miałem ją przed oczyma jak żywą, chciałem wziąć w ramiona, lecz to było niemożliwe, ona nie mogła powrócić, umarła.

Moja wyobraźnia usiłowała odszukać ją w niebie, w nocie podobne do tamtych, kiedy jeszcze patrzyliśmy na niebo we dwoje. Ponad księżycową poświatę, którą tak lubiła, słałem ku niej wyrazy miłości, by były dla niej pocieszeniem — bo straciła życie. I moja miłość do istoty, która stała się tak nieskończenie daleka, miała w sobie coś z religijnych uniesień, myśli wznosiły się ku niebu niczym modlitwy. W pragnieniach jest siła zdolna zrodzić wiarę; kiedyś wierzyłem, że Albertyna mnie nie opuści, bo chciałem, by została. Teraz zaś pragnąc jej, uwierzyłem, że nie przestała istnieć. Zabrałem się do czytania książek o wirujących stolikach, nieśmiertelność duszy zaczęła mi się wydawać całkiem możliwa. Ale to było za mało. Trzeba mi było pewności, że po swojej śmierci odzyskam jej ciało: tak, jakbym chciał, żeby wieczność nie różniła się od życia doczesnego. Ależ nie tylko to! Żądałem jeszcze więcej. Nie chciałem być za sprawą jej śmierci na zawsze pozbawiony owych rozkoszy, które przecież nie tylko śmierć nam może odebrać. I bez niej skazane były na powolne usychanie, które już się zdążyło rozpocząć, pod łączonym wpływem starej nudy i nowych urzeczeń. Poza tym, gdyby Albertyna żyła, dzień za dniem zmieniałaby się po trochu także fizycznie, a ja oswajałbym się z tymi zmianami. Lecz moja pamięć, przechowująca tylko migawkowe wizerunki, chciała ją widzieć taką, jaką być już nie mogła, nawet gdyby żyła; żądałem cudu ocalenia przeszłości, zamknięcia jej na zawsze w naturalnych lub raczej narzuconych przeze mnie granicach pamięci. Z naiwnością godną scholastycznego teologa wyobrażałem ją sobie jako żyjącą istotę, gotową udzielać mi wyjaśnień, co byłoby szczytem niemożliwości, bo nie tylko nie mogła ich już udzielić, lecz ponadto tych właśnie wyjaśnień nawet za życia zawsze mi odmawiała. Jeśli śmierć była czymś w rodzaju snu, moja miłość musiała się zmarłej wydać nieoczekiwanym

szczęściem. Niewiele wiedziałem o śmierci prócz tego, że przynosi wygodne, pomyślne rozwiązanie, które wiele upraszcza i załatwia wszystko.

Niekiedy wyobrażałem sobie, że spotykam Albertynę wcale nie na tamtym świecie, lecz znacznie bliżej. Dawno temu, kiedy widywałem Gilbertę jedynie na Polach Elizejskich, gdzie się ze mną bawiła, po powrocie do domu snulem wieczorami podobne marzenia — że dostaję od niej miłosny liścik, albo też, że za chwilę pojawi się we własnej osobie; ta sama potęga pragnień, która lekceważy prawa fizyki stojące jej na przeszkodzie — i w samej rzeczy wtedy zlekceważyła je słusznie, skoro zdołała dopiąć swego — teraz kazała mi oczekiwać listu od Albertyny; choć nie zapomniałem o tym, że spadła z konia, wierzyłem, że zaszyły jakieś skomplikowane okoliczności, jakie rzeczywiście niekiedy miają miejsce, gdy po długim czasie ktoś, kogo uznano już za zmarłego, powraca; że ona nie życzyła sobie, bym dowiedział się o jej ocaleniu, ale teraz, skruszona, chciała prosić, bym ją przyjął z powrotem, na zawsze. I choć miałem pełną świadomość, że przypadki łagodnego obłędu zdarzają się u osób, które skądinąd robią wrażenie rozsądnych, w moim umyśle przeświadczenie o jej śmierci wcale nie kolidowało z nie słabnącą nadzieją, że ona lada chwila wejdzie do pokoju.

Nie było jeszcze żadnej wiadomości od Aimégo, choć musiał już dotrzeć do Balbec. Moje śledztwo bez wątpienia dotyczyło sprawy drugorzędnej i wybranej na chybił trafił. Jeśli życie Albertyny naprawdę było grzeszne, to z pewnością nie brakowało w nim ciekawszych punktów zaczepienia niż rozmowa o płaszczu kąpielowym albo nagły rumieniec. Ale dla mnie żadna z takich spraw nie zaistniała, bo niczego nie widziałem na własne oczy. Ów dzień, który miał zostać zrekonstruowany po paru latach, wybrałem według własnego uznania, zdając się na przypadek. Jeśli Albertyna lubiła kobiety, to dni spędzonych nie wiedzieć jak, utrzymywanych w tajemnicy przede mną, musiały być w jej życiu setki i każdy z nich mógłby mnie zainteresować. Nie musiałem posyłać Aimégo właśnie do Balbec, mogłem go równie dobrze wyprawić w różne inne miejsca. Ale te właśnie dni, kiedy robiła coś w tajemnicy przede mną, pozostały nieobecne w mojej wyobraźni, nigdy się w niej nie pojawiły. Sprawy i osoby zaczynały dla mnie istnieć dopiero pod warunkiem, że moja wyobraźnia była w stanie je wyodrębnić. Choćby krążyły gdzieś setki i tysiące im podobnych, to w moich oczach te widzialne i tak musiały wystarczyć za wszystkie. Jeśli udręczony własną podejrzliwością zapragnąłem się dowiedzieć, jak to było z owymi natryskami, to moja uwaga działała na tej samej zasadzie co wtedy, gdy rozpały moją wyobraźnię domniemane kobiece żądze. Wiedząc, że nie brak wśród panien i pokojówek osób lekkich obyczajów i że równie dobrze mógłbym o nich także gdzieś usłyszeć przypadkiem, upierałem się poznać właśnie te dwie, o których mówił mi Saint-Loup, bo one tylko zadomowiły się w mojej wyobraźni: owa panna, co to bywała w domach schadzek, i pokojówka pani Putbus. Uciążliwości złego stanu zdrowia wraz z zadawnionym nawykiem odkładania wszelkich decyzji na później, z moim „dojutryzmem” — jak to nazywał Saint-Loup — utrudniały mi wprowadzenie w życie zamierzeń i kazały odmawiać sobie sprawdzania pewnych podejrzeń na równi z zaspokajaniem pragnień, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Tymczasem wciąż przechowywałem w pamięci niewyjaśnione fakty, obiecując sobie, że je zbadam w przyszłości, bo to właśnie one odbierały mi spokój (podczas gdy masa innych, nie obleczonych w kształty, dla moich oczu pozostała niewidoczna), skoro zaś zostały wyrwane z życia przypadkowo, mogłem liczyć na to, że dzięki nim uzyskam upragniony dostęp do rzeczywistości. Czyż drobny, jednostkowy fakt, jeśli został trafnie wybrany, nie może wystarczyć do sformułowania prawa ogólnego, które odsłoni prawdę o setkach faktów podobnych? Albertyna trwała w mojej pamięci tak, jak ją postrzegałem za jej życia: tylko w ułamkach chwil, które dopiero moja myśl składała w całość, nadawała im ciągłość i puszczała w ruch; i o tej właśnie postaci chciałem wyrobić sobie ogólne pojęcie, chciałem wiedzieć, czy mnie okłamywała, czy lubiła kobiety i czy po to uciekła, by móc być z nimi. Świadcstwo łaźiebnej rozstrzygnęłoby może raz na zawsze moje wątpiwości co do obyczajów Albertyny.

Moje wątpiwości! Kiedyś wierzyłem, że rozstanie z Albertyną będzie dla moich uczuć rzeczą obojętną, a nawet pożądaną, i trzeba było, niestety, dopiero jej wyjazdu, abym zrozumiał, w jakim tkwiłem błędzie. I trzeba było jej śmierci, bym się przekonał, jak bardzo myliłem się, wyobrażając sobie czasami, że pragnę, by umarła i w ten sposób

mnie od siebie wybawiła. Coś podobnego spotkało mnie znowu, kiedy przyszedł list od Aimégo, zrozumiałem bowiem, że jeśli dotąd nie cierpiałem zbyt okrutnie z powodu moich wątpliwości co do prowadzenia się Albertyny, to dlatego jedynie, że nie były to jeszcze wątpliwości prawdziwe. Do szczęścia, do życia potrzeba mi było, żeby dobrze się prowadziła, toteż raz na zawsze przyjąłem to za pewnik. Opancerzony tą wiarą, pozwalałem swoim melancholijnym myślom igrać z przypuszczeniami, którym rozum nadawał formę, ale im nie ulegał. Mówiłem sobie: „Może ona lubi kobiety”, tak jak się mówi: „Nie wiemy, czy dożyjemy jutra”, bo wypowiadając podobne słowa, sami nie dajemy im wiary, w tej chwili myślimy już o jutrzejszych planach. Oto dlaczego — choć i wcześniej ulegałem bez wyraźnej przyczyny mniemaniu, że Albertyna lubi kobiety, i choć nie mogła się pojawić żadna poszlaka, wnosząca cokolwiek nowego, bo wszystko po wielokroć roztrząsałem — doznałem nieoczekiwanie najstraszliwszych cierpień, okrutniejszych niż kiedykolwiek do tej pory, gdy z listu Aimégo wyłoniły się obrazy, nie mające być może żadnego znaczenia dla innych. Z materią wspomnień, a nawet, ku mojej rozpacz, z wizerunkiem samej Albertyny cierpienia te weszły, jak powiadają chemicy, w gwałtowną reakcję i powstał osad jednorodnej substancji, o której słowa Aimégo, przytoczone poniżej w ich pierwotnej formie, nie mogą dać żadnego wyobrażenia, bo każde z nich zostało już nieodwracalnie przetworzone, na zawsze stopione z bólem, jakiego stało się przyczyną.

„Wielmożny Panie, zechce mi Pan wybaczyć, że nie pisałem wcześniej. Osoba, z którą polecił mi Pan porozmawiać, wyjechała na dwa dni. Chcąc się okazać godnym zaufania, jakim mnie Pan łaskawie obdarzył, czekałem, by nie wracać z pustymi rękami. Przed chwilą miałem rozmowę z tą osobą, która pamięta bardzo dobrze (pannę A.). — Aimé, który lubił popisywać się obyciem, zamierzał wziąć „pannę A.” w cudzysłów. Ale kiedy chciał użyć cudzysłowu, stawiał nawiasy, kiedy zaś chodziło mu o nawiasy, dawał cudzysłów. Podobnie Franciszka mówiła „stoi na naszej ulicy”, kiedy chciała o kimś powiedzieć, że przy niej zamieszkał, ale kiedy mówiła „pomieszka chwilę” to znaczyło, że przyszedł i pójdzie. Błędy prostych ludzi najczęściej polegają na odwracaniu znaczeń słów, rzecz dość częsta także w historii języka: w ciągu wieków niejedna para zamieniła się znaczeniami. — Według niej to, co Szanowny Pan przypuszcza, jest całkiem pewne. Przede wszystkim to ona miała pannę A. pod opieką za każdą jej bytnością w zakładzie kąpielowym. Panna A. bardzo często przychodziła brać natryski w towarzystwie wysokiej kobiety, starszej od niej, ubierającej się w szare suknie. Łazienka nie znała jej z nazwiska, tylko z widzenia, bo pojawiała się często i zawsze poszukiwała towarzystwa młodych dziewcząt. Ale na inne już nawet nie spojrzała, odkąd poznała (pannę A.). Z panną A. zamykały się w jednej kabinie, bawiły tam długo, a potem ta dama ubrana na szaro dawała co najmniej dziesięć franków napiwku osobie, z którą rozmawiałem. Ma się rozumieć, że dawały dziesięć franków nie po to, żeby razem odmawiać różaniec — tak się wyraziła ta osoba. Panna A. przysłała też parę razy z mocno czerniawą młodą kobietą, która miała binokle z rączką. Ale najczęściej (panna A.) przychodziła z młodszymi od siebie, zwłaszcza z taką jedną rudą. Oprócz tej pani noszącej się na szaro wszystkie osoby, które panna A. przyprowadzała, były spoza Balbec, a niektóre nawet z daleka. Nigdy nie zamykały się od razu, tylko panna A. zawsze wchodziła pierwsza i kazała zostawić drzwi od kabiny otwarte, że niby czeka na przyjaciółkę, a ta osoba, z którą rozmawiałem, już dobrze wiedziała, o co tu chodzi. Nie może podać więcej szczegółów, bo ich nie pamięta, «co łatwo zrozumieć, po takim czasie». Zresztą starała się nic nie wiedzieć, dyskrekcja była w jej interesie, skoro panna A. dawała jej zarobić. Okazała szczerą i głęboką żal na wieść o tej śmierci. Tak młodo umrzeć, powiedziała, to straszne nieszczęście dla tej panny i dla jej bliskich. Czekam, żeby Pan zarządził, czy mam opuścić Balbec, bo myślę, że tutaj nic więcej nie wskóram. Dziękuję też Łaskawemu Panu za tę miłą podróż, która trafiła mi się przy okazji, a była ona tym przyjemniejsza, że pogodę mamy jak marzenie. Sezon tegoroczny zapowiada się wyśmienicie. W hotelu żywią nadzieję, że Pan się latem bynajmniej na parę dni pojawi.

Nic więcej nie mogę Panu na razie donieść”, itd.

Łatwiej będzie czytelnikowi zrozumieć, jak głęboko ugodziły mnie słowa tego listu, jeśli przypomni sobie, że pytania, które dreczyły mnie w związku z Albertyną, nie nasunęły się przypadkowo, ani też nie dotyczyły kwestii obojętnych, jakichś drobiazgów bez znaczenia. Takie bowiem stawiamy tylko w odniesieniu do osób, które nie są nami, i to

pozwała nam w puklerzu myśli szczelnie osłaniających nas przed światem zewnętrznym bezpiecznie przemierzać kłębowisko występku, kłamstwa, cierpienia i śmierci. Otóż nie; w związku z Albertyną stawiałem sobie tylko pytania najwyższej wagi: „Kim naprawdę była? Co myślała? Kogo kochała? Czy moje życie z nią było równie żalosne, jak życie Swanna z Odetą?” Toteż odpowiedź Aimégo, która nie miała w sobie nic z ogólności, lecz przeciwnie, dotyczyła samych szczegółów — dlatego właśnie sięgała najskrytszych głębin w Albertynie i we mnie.

I oto wreszcie w owym obrazie Albertyny, podążającej wąską uliczką w stronę zakładu kąpielowego na spotkanie kobiety w szarościach, ujrzałem fragment nieznaną przeszłości, która wcale nie wydała mi się mniej groźna ani mniej tajemnicza niż wówczas, kiedy zaledwie się jej obawiałem, kiedy przeczuwałem ją, ukrytą w pamięci Albertyny i w jej spojrzeniu. Człowiek postronny nie zechciałby może poświęcać uwagi tym wszystkim drobiazgom; teraz jednak, kiedy Albertyna już nie żyła, nie mogłem z jej ust usłyszeć zaprzeczenia, i przez to w zdumiewający sposób domysły stawały się coraz bardziej prawdopodobne. Niewykluczone, że jeśli te informacje byłyby nawet prawdziwe i Albertyna przyznałaby się do wszystkiego, to jej wykroczenia (niezależnie od tego, czy w swoim sumieniu uznalaby je za niewinne, czy też karygodne, i czy jej zmysły przechowały pamięć rozkoszy, czy też niesmaku) musiałyby w moich oczach utracić owo piętno niewypowiedzianej grozy, która dotąd była od nich nieodłączna. W świetle moich własnych doświadczeń z kobietami, które kiedyś kochałem, próbowałem wyobrazić sobie jej przeżycia, a one musiały się przecieżyć od moich nieco różnić. Załóżek cierpienia tkwił choćby w tym, że wyobrażałem ją sobie w szponach pożądania — jakie często bywało moim udziałem — zajętą tą lub tamtą dziewczyną i okłamującą mnie tak, jak ja sam ją okłamywałem, szastając dla nich pieniędzmi, jak ja dla panny de Stermaria, dla tylu innych, nie wspominając nawet o wieśniaczkach spotykanych w polu. Tak, jej żądze mogłem sobie w pewnej mierze wyobrazić, bo dobrze znałem swoje własne. I to już było cierpieniem samo w sobie, im żywiej bowiem kiedyś płonęły, w tym okrutniejszą się teraz obróciły torturę. W tej algebrze uczuć wszystkie zmienne powracały na dawne miejsca z właściwym sobie współczynnikiem, lecz opatrzone znakiem minus tam, gdzie przedtem był plus. Dla Albertyny, o ile mogłem sądzić, występne przyjemności, choćby je najstaranniej przede mną ukrywała, zdradzając się w ten sposób z poczuciem winy i obawą, że sprawi mi ból, nie były jednak niczym innym, jak codziennością; szykowała je sobie wedle upodobań, oglądała je na rzeźbionej oświetlonej scenie wyobraźni, gdzie głos mają pragnienia; nie posunęłyby się do tego, by sobie owych rozkoszy odmówić, jeśli zaś chodzi o moją zgryzotę, wolała mi jej oszczędzić, ukrywając prawdę; te przyjemności i przykrości były po prostu częścią jej życia, które, jak każde, miało swoje przyjemne i przykre strony. Ja wszelako zostałem bez żadnego ostrzeżenia ugodzony w samo serce, nie była mi dana możliwość uporania się zawczasu z tym, co przyniósł list Aimégo — z obrazem Albertyny, która udając się pod natryski, odlicza monety dla łaźiebnej. A jednak tym mocniej ją teraz kochałem. Była daleko; czyjaś obecność rozprasza w nas to, co jest jedyną rzeczywistością — nasze myśli — i w ten sposób tłumi ból, a nieobecność go wzmacnia i wraz z nim roznieca na nowo miłość.

To bez wątpienia dlatego, że w milczącym, jednoczesnym nadejściu Albertyny i damy odzianej w szarości ujrzałem naznaczoną zawczasu schadzkę, a może nawet stały zwyczaj oddawania się rozpuście w zakładzie kąpielowym, dowód obycia z brudem tego świata, które jest niezbędne, by urządzić sobie podwójne życie i dobrze je zakamuflować; to dlatego, że w te obrazy wpisana była straszliwa pewność jej zepsucia, doznawałem gwałtownego fizycznego bólu, który już odtąd zawsze im towarzyszył. Ale ten ból nie pozostał bez wpływu na ich kształt. Nasz obraz rzeczywistości zależy od nastroju, w jakim przychodzi nam się z nią zmierzyć. A przecieżyć ból zdolny jest wpływać na stan świadomości z tą samą siłą, co alkohol. Tak więc z mieszaniny bólu i domysłów powstała nowa jakość, coś całkiem różnego od uchwytnych dla osoby postronnej szczegółów, takich jak dama w szarościach, napiwek, zakład kąpielowy, uliczka, którą Albertyna nadchodziła równocześnie z tą drugą; ujrzałem ją oto na wolności, zanurzoną w tym nieznanym mi życiu utkanym z grzechu i kłamstw, jakich nie byłbym w stanie sobie nawet wyobrazić. Mój ból błyskawicznie zredukował je do materii, z której powstały, i już nie widziałem ich w słonecznym świetle, jakie pada na rzeczy ziemskie; stały się dla mnie częścią jakiegoś

innego świata, pejzażem obcym i przeklętym, obrazem piekieł. Piekłem było całe Balbec i wszystkie okoliczne miejscowości, skąd według Aimégo sprowadzała te młodsze od siebie dziewczęta, by je zabierać do zakładu kąpielowego. Dzięki znajomości z Albertyną miałem nadzieję odzyskać dostęp do tajemnicy, którą owiane było kiedyś Balbec moich marzeń i która prysła, gdy tylko przybyłem na miejsce; patrząc, jak idzie przez plażę, pragnąłem w swym szaleństwie, by nie okazała się cnotliwa. Teraz zaś wszystko, co miało związek z Balbec, przeniknięte było do cna inną, groźną tajemnicą uosobioną w tej dziewczynie. Nazwy stacji — Apollonville, Fétérne, Sogne, Maineville, Doncières, Incarville<sup>16</sup> — brzmiały tak znajomo, tak kojąco, gdy je wieczorem, wracając od Verdurinów, słyszałem obwoływane na peronach; teraz myśl, że Albertyna mieszkała w jednej z nich, wybierała się na wycieczki do drugiej, a jeśli wsiadała na rower, to często docierała i do trzeciej — budziła we mnie niepokój bodaj większy niż ich widok oglądany przez okno wagonu po raz pierwszy, gdy z babką dojeżdżałem do nie znanego mi jeszcze Balbec.

Zazdrość ma w sobie moc odsłaniania przed nami nieznannej strony zdarzeń i uczuć, co daje początek tysięcznym domysłom. Zwykle wydaje się nam, że wszystko wiemy, że znamy nawet cudze myśli, bo w gruncie rzeczy niewiele nas one obchodzą. Wystarczy jednak, byśmy w potrzebie zapragnęli poznać je naprawdę, jak każdy, kto spala się w ogniu zazdrości, wówczas kalejdoskop przypuszczeń przyprawia nas o zawrót głowy i tracimy zdolność widzenia. Czy Albertyna mnie zdradziła? Z kim i w czyim domu? Którego dnia? Czy może wtedy, kiedy mi mówiła to lub tamto, a ja wypowiedziałem do niej takie a takie słowa, które zalegają mi w pamięci? — nic już nie wiedziałem. Tym bardziej nie mogłem wiedzieć, jakie żywiła wobec mnie uczucia, i skąd się brały, z wyrachowania czy z miłości. Naraz przypominałem sobie jakąś rzecz bez znaczenia, na przykład to, że pewnego dnia chciała pojechać do Saint-Martin-le-Vêtu, twierdząc, że zaciekała ją ta nazwa — a być może po prostu poznała jakąś wieśniaczkę z tamtych stron. Lecz cóż mi z tego, że Aimé dokładnie wypytał łaźnię, skoro Albertyna przez całą wieczność nie dowie się, o czym mi doniesiono. A przecież w dziejach tej miłości moje pragnienie poznania prawdy zawsze pozostawało w cieniu dojmującej potrzeby przekonania jej, że wiem o wszystkim. Tylko tak mogłem bowiem przełamać dzielący nas kordon rozbieżnych wyobrażeń. Ale ona w wyniku moich starań nie zaczynała mnie kochać ani trochę więcej, wprost przeciwnie. Otóż po jej śmierci owa druga potrzeba spłotła się we mnie z tym, co było efektem pierwszej: rozmowę, w której dałbym do zrozumienia, jakie poczyniłem odkrycia, wyobrażałem sobie równie żywo, jak tę, w której domagałbym się od Albertyny wyjawienia nie znanych mi faktów. To znaczy, że chciałem ją widzieć tuż obok, słyszeć jej łagodny głos, patrzeć, jak rumieniec oblewa jej policzki, jak oczy tracą kpiący błysk i smutniej; to znaczy, mówiąc jeszcze prościej, chciałem ją tylko kochać, wyzwolony od zazdrosnej furii, szalejącej w rozpaczliwej pustce mojej samotności. Niepojęta śmierć, która stała się przyczyną wiecznej niemożności powiadomienia Albertyny, że wszystko wiem, i oparcia naszych stosunków na prawdziwej podstawie mojego odkrycia (którego dokonać mogłem być może jedynie dzięki temu, że jej już nie było), przesłoniła mi swym jeszcze boleśniej- szym smutkiem tajemnicę jej życia. I cóż? Tak bardzo pragnąłem powiadomić Albertynę, że wiem o zakładzie kąpielowym, tę samą Albertynę, która już nie istniała! Oto jeszcze jedno następstwo sprzeczności, która prowadzi do tego, że kiedy myślimy o śmierci, nie potrafimy wyobrazić sobie nic oprócz życia. Albertyna nie żyła, ale dla mnie nadal była tą, która ukrywa przede mną swoje schadzki z dziewczętami w Balbec, tą, której się wydaje, że bez trudu mnie oszuka. Czyż nawet wtedy, kiedy rozmyślamy o własnej śmierci, nie rzutujemy jedynie w przyszłość, za grób, wyobrażenia siebie samych, żyjących? I czy ubolewanie nad niewiedzą kobiety, która już nie istnieje, o naszych odkryciach w związku z tym, co robiła sześć lat temu, nie jest jeszcze głupsze, niż nadzieja, że po naszej śmierci czytająca publiczność zachowa nas we wdzięcznej pamięci przez następne stulecia? Jeśli nawet w tym drugim przypadku można dostrzec realne podstawy choć trochę solidniejs- ze niż w pierwszym, to rozpaczliwe drażnienie minionego czasu przez moją zazdrość miało za przyczynę rodzaj złudzenia optycznego; ulegałem mu przynajmniej w takim stopniu jak ci, którzy liczą na pośmiertną sławę. Lecz mimo że uroczyستی smutek rzeczy osta- tecznych, jakim tchnęła moja rozłąka z Albertyną, przesłaniał mi teraz obraz występku,

<sup>16</sup>Apollonville (...) Incarville — w oryginale: Apollonville... wpisać nazwy. [przypis tłumacza]

to i tak rzucał on na nią swój cień, przypominając, że jej zepsucie stało się nieuleczalne. Zgubiłem w życiu drogę, stanąłem na bezkresnej plaży, zupełnie sam, i wiedziałem tylko, że w którąkolwiek ruszyłbym stronę, jej nie spotkam już nigdy.

Szczęśliwie jednak natrafiłem w swojej pamięci na coś bardzo użytecznego (jest tam zawsze różnorodność rzeczy, jedne niebezpieczne, drugie zbawienne, wszystkie zalegają w nieładzie i tylko coraz to rozbłyskują światłem odbitym od innych). Szukając, niczym robotnik, narzędzia do pracy, którą przyszło mi wykonać, chwyciłem się słów mojej babki. Wypowiedziała je w związku z jakąś nieprawdopodobną historią, którą łaźiebna uraczyła panią de Villeparisis: „Widać, że to chorobliwa kłamczyni”. Właśnie to wspomnienie okazało się nader pomocne. Jakąż wartość mogły mieć zeznania, składane przez łaźiebna na żądanie Aimégo? Zwłaszcza że przecież i tak nic nie widziała. Można brać natryski w towarzystwie przyjaciółek bez cienia zdrożnej myśli. Być może łaźiebna wyolbrzymiała wysokość napiwków tylko po to, by dodać sobie znaczenia. Wciąż jeszcze pamiętałem, jak Franciszka utrzymywała z przekonaniem, że wie od mojej ciotki Leonii, jakoby miesięcznie miała ona „cały milion na wydatki”, co brzmiało jak brednia. Innym razem widziała rzekomo, jak moja ciotka dawała Eulalii cztery banknoty po tysiąc franków, gdy nie uwierzyłbym nawet w jeden banknot pięćdziesięciofrankowy złożony we czworo. Starałem się jak mogłem, i stopniowo udawało mi się skruszyć ową okrutną pewnością, dopiero co zdobytą z tak wielkim i bolesnym trudem. Wciąż jeszcze miotalem się jednak między pragnieniem prawdy a obawą przed cierpieniem. W takiej chwili moja miłość była bliska zmartwychwstania, ale wraz z nią powróciłaby rozpacz z powodu utraty Albertyny, i uczyniłaby mnie może jeszcze bardziej nieszczęśliwym, niż byłem przed paroma godzinami, gdy pożerała mnie zazdrość. I właśnie zazdrość odżyła nieoczekiwanie w jakiejś myśli o Balbec, pod wpływem wspomnienia, które nigdy mnie jeszcze nie zabolalo i które wydawało się jednym z najbardziej niewinnych w zasobach mojej pamięci. Ujrzałem w wieczornym mroku, który gęstniał za oknami hotelowej jadalni, tłum miejscowych, którzy przyciskali nosy do szklanej tafli, by zajrzeć w głębię rześście oświetlonego akwarium, pełnego dziwnych stworzeń, skąpanych w jasności. Tymczasem, o czym nie pomyślałem nigdy, w tej gromadzie córki rybaków i dziewczyny ze wsi tłoczyły się pospołu z młodymi mieszczkami, zazdrosnymi o luksus, który w Balbec był nowością; jeśli nie brak środków, to skąpstwo i obyczaj kazały rodzicom tych panien odrzucić go i zganić. Wśród tych młodych dziewcząt na pewno prawie co wieczór była Albertyna, której wtedy jeszcze nie znałem i która bez wątpienia nie traciła okazji, by zaczepiwszy tę lub inną, spotkać się z nią chwilę później w ciemnościach, na piasku plaży albo w jakiejś pustej kabinie kąpielowej u podnóża skał. Nowa fala smutku zalała mnie, gdy usłyszałem, niczym wyrok wygnania, odgłos windy: nie zatrzymała się na moim piętrze, pojechała wyżej. Ale jedyna osoba, której wizyty mogłem sobie życzyć, i tak nie przyjdzie już nigdy, bo nie ma jej wśród żywych. A mimo to wystarczyło, bym usłyszał, jak winda zatrzymuje się na naszym piętrze, i moje serce zaczynało bić jak szalone; mówiłem sobie przez chwilę: „Gdybyż to wszystko mogło okazać się snem! Może to ona wróciła, za chwilę zadzwoni do drzwi. Franciszka powie mi zaraz, raczej z przestrachem niż gniewnie, bo zawsze była bardziej przesądna niż mściwa i żyjącej nie obawiała się tak, jak ducha: «Nie zgadnie panicz, kto przyszedł.»” Starałem się o niczym nie myśleć, brałem do ręki gazetę. Ale nie byłem w stanie czytać tych artykułów pisanych przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o prawdziwym bólu. O jakiejś banalnej piosence wyraził się jeden z nich: „Roztkliwia do łez” — choć ja byłbym się z niej śmiał, gdyby Albertyna żyła. Inny znów, skądinąd znany pisarz, tylko dlatego, że wiwatowano mu, gdy wysiadał z pociągu, utrzymywał, że spotkało go przeżycie „niezapomniane”, choć na jego miejscu wyrzuciłbym je z pamięci natychmiast. Jeszcze inny zapewniał, że gdyby nie ta okropna polityka, życie w Paryżu byłoby „absolutnie rozkoszne”, kiedy wiedziałem dobrze, że i bez polityki może ono być nie do zniesienia, choć mnie także wydałoby się rozkoszne, gdybym odzyskał Albertynę. Autor kroniki myśliwskiej napisał (było to w maju): „Dla myśliwych z prawdziwego zdarzenia nastąpiły czasy ciężkie i zgoła tragiczne, bo całkiem, ale to całkiem nie ma do czego strzelać”, a krytyk prowadzący rubrykę o wystawach stwierdzał: „Wobec takiego sposobu ekspozycji popadamy w skrajne przygnębienie, smutek wprost bezdenny...” Jeśli gwałtowność moich przeżyć kazała mi widzieć tylko kłamstwo i banał w słowach ludzi nie mających pojęcia o szczęściu i nieszczęściu, to z drugiej strony najbardziej błaha notatka,

która dotyczyła Normandii albo Nicei, zakładów wodoleczniczych, Bermy czy księżnej de Guermantes, miłości, rozstania lub niewierności, podsuwała mi obraz Albertyny, zanim zdążyłem odwrócić wzrok, i znów zalewałem się łzami. Często zresztą nawet nie byłem w stanie zabrać się do lektury tych gazet, ponieważ sam gest ich rozkładania przypominał mi, że robiłem to samo, kiedy Albertyna jeszcze żyła, i że ona umarła; nie miałem dość siły, by otworzyć gazetę, wypadła mi z rąk. Każde z moich obecnych doznań przywoływało z przeszłości swój odpowiednik, rozplątane na dwoje, gdyż życie Albertyny zostało odcięte od mojego; nigdy nie miałem dość odwagi, by przeżyć do końca którąś z tych udręczonych kalekich chwil, uwięzionych w moim sercu. Nawet wtedy, kiedy Albertyna stopniowo traciła swą niepodzielną władzę nad moimi myślami i uczuciami, cierpienie mogło powrócić w mgnieniu oka; wystarczyło, bym wszedł na chwilę do tego pokoju tak jak za czasów jej obecności, zapalił światło, usiadł przy pianoli. Albertyna żyła rozproszona w postaciach wielu pomniejszych domowych bóstw: w płomieniach świec, w gałce u drzwi, w oparciu krzesła; a także w zjawiskach mniej uchwytnych, takich jak bezsenność albo stan rozgorączkowania przed pierwszą wizytą kobiety, której zapragnąłem. Mimo wszystko te nieliczne zdania, na które padł mój wzrok w ciągu całego dnia — albo też zdania kiedyś przeczytane, które teraz dobywały się z mojej pamięci — często wywoływały atak szaleńczej zazdrości. Nie musiały nawet dostarczać żadnych niezbitych argumentów świadczących o wiarygodności kobiet, wystarczyło, by poruszyły we mnie jakieś dawne wspomnienie związane z Albertyną. Rzucone na tło jakiejś zamierzchłej chwili, o której niezbyt często myślałem, więc nie zdążyła się wytrzeć od zużycia, chwili, która widziała Albertynę jeszcze żywą, jej grzechy stawały się naraz bliższe, bardziej namacalne, niepokojące i straszne. I wtedy gotów byłem zadawać sobie pytanie, czy aby na pewno łaziebna wyssała z palca swoje rewelacje. Najłatwiej byłoby poznać prawdę, gdybym wyprawił Aimégo do Nicei i kazał mu pokręcić się parę dni w pobliżu willi pani Bontemps. Jeśli Albertyna lubiłaby rozkosze, jakich kobieta może doznać z kobietą, jeśli to dlatego mnie opuściła, że nie chciała już dłużej być ich pozbawioną, to po odzyskaniu wolności natychmiast rzuciłaby się w ich wir, zwłaszcza że dobrze знаła okolicę; być może pojechała do ciotki tylko po to, by tam łatwiej niż w moim domu zapewnić sobie te uciechy. Nie było w tym nic dziwnego, że śmierć Albertyny tak nieznacznie wpłynęła na treść mych obsesji. Póki żyła, najwięcej myśli, zasilających uczucie zwane miłością, przychodziło mi do głowy podczas godzin spędzanych bez niej. Przyzwyczajamy się mieć za przedmiot naszych myśli istotę, która nie jest obecna, i jeśli nawet jej nieobecność nie trwa dłużej niż kilka godzin, to i tak przez ten czas mamy do czynienia tylko ze wspomnieniem. Toteż jej śmierć niewiele zmieniła.

Kiedy wrócił Aimé, posłałem go do Nicei; w ten sposób nie tylko zaduma, tęsknota i wzruszenie, jakie budziła we mnie nazwa miasta, wywołująca choćby odległe skojarzenie z Albertyną, ale wszelkie moje działania, śledztwo, które zarządziłem, użytek, jaki czyniłem z moich pieniędzy — wszystko to było zwrócone ku Albertynie, miało dać mi wgląd w jej sprawy, i należałoby powiedzieć o całym tym roku mojego życia, że wypełniał go po brzegi najżywszy miłosny związek. Ale istoty, wokół której kręciło się to wszystko, nie było już wśród żywych. Powiadają, że człowiek może w jakiś sposób przetrwać śmierć w dziełach, w których pozostawił coś z siebie samego, jeśli był artystą. I w podobny sposób, niczym gałązka zaszczepiona na innym pniu, ciągle zielona, gdy konar, z którego ją wzięto, już usechł, zmarły wiedzie po śmierci dalsze życie w sercu bliskiej osoby.

Aimé wynajął sobie mieszkanie tuż obok willi pani Bontemps. Zawarł znajomość z jej pokojówką i właścicielem powozów do wynajęcia, z których korzystała Albertyna, biorąc dość często jeden z nich na cały dzień. Ale ci ludzie niczego nie zauważyli. W kolejnym liście Aimé powiadomił mnie o pewnej dziewczynie od praczki, którą Albertyna w jakiś szczególny sposób ścisnęła za ramię, kiedy ta odnosiła bieliznę. „Jak twierdzi, ta panna nigdy nie posunęła się dalej”. Posłałem Aimému stosowną sumę pieniędzy jako zwrot poniesionych przez niego kosztów i należną zapłatę za ból, zadany mi tym listem, ból, który jednocześnie próbowałem zwalczyć, powtarzając sobie, że chodzi o przejaw zwykłej poufałości, bez śladu zdróżnych żądz; dostałem jednak depezę od Aimégo: „Dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Moc nowin dla Pana. List w drodze”. Nazajutrz przyszedł ów list; sam widok koperty przejął mnie dreszczem. Poznałem, że to list od Aimégo, bo każdy człowiek, nawet ubogi i prosty, na swoje usługi ma własne oswojone małe robaczki, które



ożywają na papierze, choć wydają się martwe, i nadają jego pismu cechy niepowtarzalne, wyjątkowe.

„Z początku dziewczyna od praczki nic mi nie chciała powiedzieć, zapewniała mnie, że panna Albertyna uszczypnęła ją tylko w ramię, nic więcej. Żeby rozwiązać jej język, wziąłem ją na obiad i dałem wina. Wtedy wyznała mi, że często spotykała się z panną Albertyną nad brzegiem morza, by zażywać wspólnej kąpieli. Że panna Albertyna zrywała się wczesnym rankiem, bo lubiła pływać, i miała zwyczaj udawać się zawsze w to samo miejsce, zarośnięte drzewami tak gęsto, że z drogi nic nie było widać, zresztą nikogo tam nie było o tej porze. Później dziewczyna zaczęła przyprowadzać swoje przyjaciółeczki i kąpały się wszystkie razem; w tamtych stronach słońce mocno praży, nawet w cieniu drzew jest gorąco, więc kładły się potem na trawie, żeby obeschnąć, i baraszkowały, laskotały się, pieściły. Przyznała mi się praczusia, że bardzo lubiła tak się zabawiać z przyjaciółkami. A że panna Albertyna się ciągle o nią ocierała przez swój kąpielowy szlafroczek, to ona go z niej zsuwała, by wargami pieścić jej szyję i ramiona, i nawet stopy panna Albertyna podsuwała jej do pocałunków. Sama też zrzucała odzienie i dla zabawy popychały się nawzajem do wody; w tamten wieczór już nic więcej nie powiedziała. Ale chcąc wypełnić Pańskie polecenie, gotów byłem wszystko uczynić, byle Pana zadowolić. Wziąłem więc sobie do łóżka tę małą. Spytała, czy chcę, żeby zrobiła mi to samo, co pannie Albertynie, kiedy ta zdejmowała kostium kąpielowy. Powiedziała mi: — Gdyby pan widział tę pannienkę, jaka była wniebowzięta, jak drżała, wołała: «Rozpalasz mnie do białości!», i była tak roznamietniona, że aż gryzła, nie mogła się powstrzymać. — Był jeszcze ślad zębów na jej ramieniu. I rozumiem pannę Albertynę, bo ta mała jest w samej rzeczy zręczna”.

Ileż się nacierpiałem w Balbec, kiedy mi Albertyna wyznała, że przyjaźni się z panną Vinteuil. Ale wtedy, mając ją jeszcze tuż obok, mogłem u niej szukać pocieszenia. Potem robiłem wszystko, by śledzić każdy jej krok, lecz uzyskałem tylko tyle, że ode mnie uciekła; kiedy Franciszka przyniosła mi wiadomość o jej wyjeździe, cierpiałem jeszcze więcej. Lecz tamta Albertyna, którą kochałem, nie opuściła mnie, pozostała w moim sercu. Teraz zaś miałem ponieść karę za to, że zbyt daleko posunąłem się w swej dociekliwości, której nawet śmierć, na przekór rozsądkowi, nie położyła kresu; i oto jej miejsce zajęła jakaś obca dziewczyna, która omotywała mnie siecią niezliczonych kłamstw i wybiegów; gdy dawna, uległa Albertyna zapewniała mnie, że nie zna takich żądź, ta nowa, pijana odzyskaną wolnością, ruszyła nurzać się w nich bez pamięci, by nad Loarą, o wschodzie słońca, gryząc ramię małej praczki, zawołać: „Rozpalasz mnie do białości!” Była to Albertyna zupełnie od tamtej różna, nie tylko w tym sensie, jaki przypisujemy słowu „różny”, odnosząc je do obcych ludzi. Kiedy pan de Charlus mówi mi, że także jest smutny, to obaj mówimy to samo. Ale choć stan naszych umysłów jest podobny, nie możemy pomóc jeden drugiemu. Smutek wyrasta z egoizmu, dlatego nie uleczy go nic, co się z nim samym bezpośrednio nie wiąże. Panu de Charlus przysporzyła cierpień istota, która nie była Albertyną, więc jego ból wydawał mi się nieskończenie daleki. Jeśli inni nie są tacy, jak myśleliśmy, niezbyt głęboko nas to porusza; na zewnątrz nas wahadło przypuszczeń może zakreślić tylko taki łuk, jakim sięga w nasze wnętrze; toteż postrzegamy odmienność innych ludzi w sposób najbardziej powierzchowny. Jeśli dawniej zdarzyło mi się posłyszeć o jakiejś pannie, że gustuje w kobietach, nie miałem jej przez to za istotę nie z tej ziemi, odmienną od wszystkich pozostałych. Lecz kiedy rzecz dotyczy tej, w której sami jesteśmy zakochani, próbujemy uwolnić się od bolesnych wątpliwości, gromadząc wiedzę nie tylko o tym, co czyniła, ale także, co przy tym czuła i jaką miała na swój własny temat opinię; w ten sposób, schodząc coraz głębiej i głębiej, poprzez warstwy cierpienia docieramy do sedna tajemnicy. Ciekawość, która wprawiała w ruch wszystkie siły mojego umysłu i podświadomości, skazała mnie na mękę, na ból obezwładniający, przenikający do szpiku kości, rozdzierający serce; cierpiałem i bałem się bardziej, niż gdybym umierał. Toteż dowiadując się wszystkiego o Albertynie, oglądałem w wyobraźni równie przepastne głębie jej przeżyć. Jej rozwiązała natura okazywała się rzeczywistością i docierało to do najgłębszych warstw mojej świadomości wraz z bólem i rozpaczą, choć później owa świadomość miała mi się bardzo przysłużyć. Podobnie jak krzywdy wyrządzone babce, te, których sam doznałem od Albertyny, były jedyną, ostatnią nitką, jaka mnie z nią jeszcze łączyła, trwalszą nawet niż wspomnienie jej twarzy, albowiem dzięki zasadzie zachowania energii w świecie materialnym, cierpienie, by trwać, nie musi odwoływać się do pamięci:

zapominamy nocne spacery po lesie skąpanym w księżycowym świetle, ale zawsze będzie nam się dawał we znaki reumatyzm, któregośmy się wtedy nabawili.

Miała takie gusta, choć nie chciała się do nich przyznać, ja zaś doszedłem do prawdy nie przez beznamiętne rozważania, lecz w straszliwej udręce, jaką zadały mi te słowa: „Rozpalasz mnie do białości!”; wśród męczarni ujrzałem jej upodobania jako część całości, nie zaś obcy element, w rodzaju muszli, którą wlecze rak pustelnik: były raczej jak sól, która, dodana do roztworu innej soli, wytrąca osad, zmieniając nie tylko barwę, lecz również fizyczne właściwości. Wyobrażałem sobie, jak dziewczyna od praczki mówi do swoich przyjaciółek: „Kto by to pomyślał, wyobraźcie sobie, ta panna też jest z takich” — i dla mnie oznaczało to coś więcej niż rozpoznanie zbroczenia, którego z początku się nie domyślały, potem zaś uzupełniły nim swoje pojęcie o Albertynie; słowa te głosiły raczej odkrycie, że w rzeczywistości była kimś innym, niż się z daleka wydawało, kimś takim jak te dziewczęta, kto mówi ich językiem, a im bardziej mogły ją uważać za swoją, tym mocniej odczuwałem jej obcość. To, co w niej znałem i co nosiłem w sercu, to była zaledwie jej maleńka cząstka, podczas gdy cała reszta przybierała wymiar nieskończoności, nieporównywalny ze skalą jej własnych występnych uczynków — już same w sobie były one faktem tyleż doniosłym, co tajemniczym — bo swe żądze dzieliła z innymi, niezmiennie ukrywając je przede mną. Utrzymywała mnie w niewiedzy, jak ktoś, kto kłamie z konieczności, bo pochodzi z nieprzyjacielskiego kraju i jest szpiegiem; lecz Albertyna postąpiła jeszcze bardziej zdradziecko niż kobiety, które trudniąc się szpiegostwem, ukrywają swą narodowość, ona bowiem zataiła przede mną tę najintymniejszą prawdę: że nie była taka jak wszyscy, że należała do obcej i dziwnej rasy, wmieszanej dla niepoznaki między ludzką wspólnotę, z którą jednak nigdy się nie połączy.

Znałem dwa obrazy Elstira, przedstawiające nagie kobiety wśród dzikich zarośli. Na pierwszym młoda dziewczyna unosiła stopę w takim samym geście, jaki musiała uczynić Albertyna, podając ją młodej praczce do pocałunku. Na drugim popycha do wody inną dziewczynę, która udając, że się opiera, unosi udo i zanurza stopę w błękitnej toni. Przypominałem sobie podciągnięte udo Albertyny, będące częścią meandrycznego kąta, jaki tworzyła jej noga zgięta w kolanie, tuż obok mnie, w moim łóżku; często chciałem jej powiedzieć, że przywodziła mi na myśl owe dwa obrazy. Za każdym razem zdążyłem ugryźć się w język, by nie skierować jej myśli ku nagim kobiecym ciałom. Wyobrażałem ją sobie razem z dziewczyną od praczki wśród przyjaciółek, i grupa, jaką tworzyły, nawiązywała do tamtej, którą tak bardzo lubiłem w Balbec, gdzie sam byłem dopuszczony do kręgu. Gdybym był bezinteresownym miłośnikiem piękna, musiałbym przyznać, że tym razem Albertyna zgromadziła wokół siebie jeszcze piękniejszą grupę nagich bogiń z marmuru, podobnych tym, które natchnieni rzeźbiarze rozrzucili po ogrodach wersalskich, między drzewami albo pośrodku sadzawki, by woda obmywała i pieściła ich odbicia. Albertyna, gdy ją widziałem obok młodej praczki, stawała się dla mnie po prostu dziewczyną na brzegu morza, odczułem to pełniej niż kiedykolwiek w Balbec; podwójny akt kobiecy w marmurze, w otoczeniu bujnej roślinności, na poły zanurzony w toni, jak posągi na dziobach okrętów. Wspominając jej ciało rozciągnięte na moim łóżku, miałem wrażenie, że widzę znów udo i zgięte kolano, widziałem je naprawdę, ale niewyraźnie, równie dobrze mogła to być wyciągnięta w górę szyja zuchwałego łabędzia, który chce pocałunku od nieznannej mi dziewczyny. I nie było już uda, tylko szyja łabędzia, który na jakimś migotliwym szkicu olejnym odnajduje usta Ledy, wstrząsanej spazmami rozkoszy w specyficznie kobiecej pozie; a skoro nie ma przy niej nikogo prócz łabędzia, tym bardziej narzuca się wrażenie, że jest sama. Podobne narzucić się może, gdy rozmawiamy przez telefon, modulacje głosu bardziej bowiem zwracają uwagę, kiedy nie towarzyszy im mimika rozmówcy, zdolna uczynić je bardziej czytelnymi. W owym malarskim studium rozkoszy zabrakło drugiej postaci kobiecej, zastąpił ją bierny łabędź, toteż uwaga skupia się na tej, której doznanie jest tematem szkicu. Chwilami łączność między moim sercem i pamięcią urywała się; to, co Albertyna robiła z praczką, stawało się dla mnie abstrakcją na podobieństwo wyrażeń algebraicznych, nie mających żadnego odniesienia do namacalnej rzeczywistości. Ale po sto razy na godzinę w obwodzie następowało zwarcie i moje serce bez ratunku smażyło się w piekielnym ogniu wyładowań, gdy Albertyna, wskrzeszona z martwych przez moją zazdrość, naprawdę żywa, omdlewała w ramionach dziewczyny od praczki, szepcząc: „Rozpalasz mnie do białości!”

Skoro była żywa w chwili, kiedy oddawała się występki, to znaczy w tej właśnie chwili, która dla mnie jeszcze trwała, nie wystarczyło mi, że wiem o wszystkim, nade wszystko pragnąłem dać jej do zrozumienia, że wiem. I rozpaczalem, że więcej jej nie zobaczę, a mój żal nosił piętno zazdrości. Był to już inny żal, niż kiedy górę brała we mnie miłość; oplakiwałem jedynie straconą szansę wypowiedzenia tych słów: „Myślałaś, że nigdy się nie dowiem, co robiłaś po swoim wyjeździe, a widzisz? — wiem wszystko, nawet o pracce znad Loary, szeptałaś do niej «Rozpalasz mnie do białości», widziałem ślad ugryzienia!” Próbowałem, rzecz jasna, przemówić sobie samemu do rozsądku: „Nie ma się o co zamartwiać. Tej, która zażywała rozkoszy z małą praczką, nie ma już wśród żywych, i cokolwiek zrobiła, teraz to nic nie znaczy. Nie może sobie pomyśleć, że wszystko wiem. Ale nie może też pomyśleć sobie, że nic nie wiem, bo w ogóle nic już myśleć nie może”. Lecz zdrowy rozsądek ustępował wobec siły argumentu, jakim stało się wyobrażenie potajemnych rozkoszy, zdolne przenieść mnie w minioną chwilę, kiedy to Albertyna ich doznawała. To, co czujemy i co istnieje tylko dla nas, z uporem rzutujemy na obraz przeszłości i przyszłości, i wcale nie zbija nas z tropu zawsze nie dość rzeczywista kurtyna śmierci. Jeśli moja żaloba pozostawała w takich chwilach pod wpływem zazdrości, przyjmując formę dość szczególną, to ów wpływ rozciągał się w sposób naturalny na moje okultystyczne rojenia, na rozmyślenia o nieśmiertelności, tam bowiem szukałem dróg prowadzących do spełnienia moich marzeń. Gdybym mógł ją przywołać do wirującego stolika, czego Bergotte nie uważał za rzecz niemożliwą, albo gdybym spotkał się z nią w zaświatach, co uważał za rzecz możliwą ksiądz X., wyrzuciłbym z siebie jednym tchem: „Wiem o pracce. Szeptałaś: «Rozpalasz mnie do białości.» Widziałem ślad zębów”.

Z dziewczyną od praczki pomogła mi się uporać — co prawda dopiero kiedy minęło trochę czasu — właśnie ona sama, ta dziewczyna. Naprawdę bowiem jesteśmy w stanie chłonąć tylko to, co nowe, to, co gwałtownie wdzierą się w nasze uczucia i przynosi uderzającą odmianę ich tonacji; to, czego jeszcze nie tknęło przyzwyczajenie, które wykradłszy nam nasze prawdziwe przeżycie, podrzuca na jego miejsce bladą kopię! Lecz przede wszystkim przyszło mi z pomocą rozproszenie, jakiemu ulegał we mnie obraz Albertyny, te rozliczne fragmenty, na jakie się rozpadał, nieskończona wielość Albertyn, która stała się teraz jedynym możliwym dla niej sposobem istnienia. Powracały do mnie pojedynczo różne chwile, całą jej osobowość sprowadzając do jednej jedynej cechy, którą mogła być na przykład łagodność, innym razem dowcip, to znów powaga albo zamiłowanie do sportów. Czyż nie była pożyteczną ta mnogość fragmentarycznych obrazów, która niosła mi ukojenie? Jeśli bowiem minione chwile były czymś nierzeczywistym, tak zależnym od form mojej pamięci, jak treść obrazów powstających niegdyś w latarni magicznej zależna była od barwnych szkielek przezroczy — czyż na swój sposób mnogość ta nie wyrażała pewnej prawdy, i to prawdy niepodważalnej: że nikt z nas nie jest monolitem, każdy gromadzi w sobie cały tłum postaci, którym prawość przypisywać można w różnym stopniu? Że jeśli nawet wykojeona Albertyna istniała w rzeczywistości, nie przeszkadzało to wcale istnieniu innych Albertyn, na przykład tej, która lubiła w swoim pokoju porozmawiać ze mną o Saint-Simonie; albo tej, która ze smutkiem powiedziała mi owego wieczoru, kiedy twierdziłem, że powinniśmy się rozstać: „Ta pianola, ten pokój — pomyśleć, że już ich więcej nie zobaczę”, a kiedy ujrzała łzy, które wycisnęło mi z oczu moje własne kłamstwo, zawołała z najszczęśliwszym współczuciem: „Och, nie, w żadnym razie nie chcę, byś cierpiał. Więc postanowione — postaram się zniknąć ci z oczu”. I oto nie byłem już sam. Czulem, że znika mur, który mnie od niej oddzielał. Powróciła Albertyna miła i dobra, odzyskałem tę jedyną osobę, zdolną uleczyć ból zadany mi przez którąś inną spośród Albertyn. Co prawda, nadal pragnąłem nade wszystko powiedzieć jej o dziewczynie od praczki, ale nie było już w tym triumfalnego okrucieństwa, nienawistnej radości wykazania jej, że wiem wszystko. Otóż zrobiłem to samo, co byłbym uczynił, gdyby żyła: spytałem ją łagodnie, czy ta historia o małej pracce jest prawdziwa. Ona przysięgała, że nie, i pośpieszyła zapewnić mnie, że Aimé nie grzeszy prawdomównością. Musiał pokazać, że uczciwie zapracował na sumę, którą mu wypłaciłem, nie chciał wracać z pustymi rękami, wyciągnął więc od dziewczyny to, co podobało mu się usłyszeć. Oczywiście Albertyna i teraz nie wyrzekła się kłamstwa. Ale mimo jej skłonności do wykrętów zaczynałem czuć, że osiągnąłem pewien postęp. Już nie musiałem się upierać, że naprawdę nigdy nie zdobyła się na żadne zwierzenie, choćby mimochodem, w jakimś zdaniu, które mi umknęło na

początku naszej znajomości: nie pamiętałem. Poza tym jej sposoby określania różnych rzeczy bywały tak zaskakujące, że każde słowo, jakie od niej słyszałem, mogło równie dobrze oznaczać cokolwiek innego. Wkrótce jednak wyczuła moją zazdrość i to zmusiło ją do gwałtownego odwoływania wyznań, uczynionych zbyt pochopnie. A zresztą teraz już nie musiała nic więcej mówić. Pocałunek wystarczył, bym przestał wątpić w jej niewinność. Runął bowiem mur między nami, twarde, choć niewidoczny, jak ten, który po sprzeczce wyrasta między kochankami i nie pozwala na pocałunki; oto znów mogłem ją całować. Tak, nie musiała nic mówić. Biedne dziecko, czegokolwiek pragnęła i cokolwiek zrobiła — uczucia, wznoszące się ponad to, co nas rozdzieliło, mogły mnie z nią na powrót połączyć. Jeśli historia o małej praczce była prawdziwa i jeśli Albertyna skrywała przede mną swoje skłonności, to jedynie dlatego, że chciała oszczędzić mi zmartwień. Ze wzruszeniem chłonałem te słowa z ust owej łagodnej Albertyny. Czy zresztą znałem inną? Dwie są najważniejsze przyczyny nieporozumień w naszych stosunkach z kimś bliskim: dobroć i miłość. Zakochujemy się w uśmiechu, w spojrzeniu, w zarysie ramion. To nam wystarcza. I z tego, w ciągu długich godzin nadziei albo smutku, złożymy potem całość, stworzymy postać. Później, kiedy będziemy się z tym kimś spotykać, już nie będziemy umieli, nawet wobec okrutnej jednoznaczności tego, co w nim ujrzemy, wyzbyc się wyobrażenia o dobroci i miłości owej istoty o sobie właściwym spojrzeniu, o znajomym zarysie ramion — których to cech nie przestaniemy w niej dostrzegać, nawet kiedy się postarzeje, bo przywykliśmy do nich od czasów jej młodości. Wywoływałem z pamięci spojrzenie tamtej Albertyny, pełne dobroci i współczucia, jej krągłe policzki, świeżość skóry na jej karku. Był to wizerunek umarłej; ale skoro po śmierci żyła nadal, mogłem od razu uczynić to, co uczyniłbym bez wątplenia, gdyby wróciła żywa — i co uczyniłbym również, spotkawszy ją w zaświatach: przebaczyłem jej.

Chwile przeżyte z tą Albertyną były mi tak drogie, że nie chciałem z nich nic uronić. Tak jak się zbiera okruchy roztrwonionego majątku, i ja gromadziłem pieczołowicie to, co wydawało się już utracone: pewnego razu, wiążąc szalik z tyłu zamiast z przodu, przypomniałem sobie pewną przechadzkę, do której nigdy jeszcze nie wracałem we wspomnieniach. Żeby chronić moje gardło przed chłodem, Albertyna, ucałowawszy mnie przedtem, tak samo mi go wtedy zawiązała. Ten niczym się nie wyróżniający spacer, wydobyty z pamięci przez jeden prosty gest, sprawił mi taką radość jak jakiś przedmiot codziennego użytku, pamiątka po nieżyjącej już ukochanej osobie, przyniesiona nam przez jej starą służącą, która wie, że dla nas będzie to rzecz bezcenna. Poczulem się w swoim smutku bogatszy o zdarzenie z szalikiem, tym bardziej że wypłynęło z całkowitego zapomnienia. Przeszłość można smakować tylko po plasterku, tak samo jak przyszłość; nie da się jej pochłoniąć w całości.

Mój smutek przybierał zresztą tak różne odcienie, że chwilami sam go już nie rozpoznawałem. Pragnąłem wielkiej miłości, chciałem znaleźć kogoś, kto zostałby ze mną na całe życie, i to zdawało się świadczyć, że nie kocham już Albertyny, podczas gdy w rzeczywistości był to znak, że kocham ją wciąż tak samo. Albowiem potrzeba wielkiej miłości, tak jak tęsknota za krągłymi policzkami Albertyny, które chciałem całować, była częścią mojego żalu. I w gruncie rzeczy byłem zadowolony, że nie porwała mnie żadna nowa miłość. Rozumiałem, że niegasnące i bezgraniczne przywiązanie do Albertyny było cieniem miłości, którą niegdyś czułem, znajdowały w nim swoje odzwierciedlenie wszelkie jej aspekty i podlegało ono tym samym prawom, co uczucia, od których odgradziła mnie jej śmierć. Dobrze wiedziałem, że gdybym miał wystarczająco długą chwilę wytchnienia od owych myśli o Albertynie, przestałbym ją kochać. W mojej miłości powstałaby szczelina, a w niej rozpleniłaby się obojętność, taka sama, z jaką myślałem teraz o babce: już od tak dawna jej nie wspominałem, że ciągłość pamięci została zerwana, a przecież ciągłość jest rzeczą w życiu najistotniejszą; by ją przywrócić, znów potrzeba czasu. Czyż nie było podobnie z moją miłością do Albertyny, póki jeszcze żyła? Moje uczucie musiało rodzić się od nowa, kiedy przez dłuższy czas była nieobecna w moich myślach. Moje wspomnienia także podlegały tym prawom, nie znosiły żadnych dłuższych przerw; pamięć była jak zorza polarna — po śmierci Albertyny świeciła odbitym światłem mojej miłości i cień, który rzucała, był cieniem tejże miłości. Musiałbym najpierw wszystko zapomnieć, by wtedy dopiero zauważyć, że bez miłości żyje się rozsądniej i bardziej szczęśliwie. Żal po Albertynie — bo to on kazał mi tęsknić za jakąś siostrzaną istotą — zarazem skazywał

ową tęsknotę na niespełnienie. I w miarę jak żal opadał, tęsknota za serdeczną bliskością, najbardziej nieświadoma forma tego żalu, także traciła na sile. Lecz te dwa pragnienia, relikty mojej miłości, nie ulegały jednakowo gwałtownym procesom rozpadu. Chwilami byłem zdecydowany się ożenić, tak głęboka zapaść dotknęła pierwsze z nich, podczas gdy drugie wciąż wydawało się nienaruszone w swej żywotności. I na odwrót, kiedy w późniejszym czasie wspomnienia już nie rozpały we mnie zazdrości, podnosiła się czasem w moim sercu fala ciepłych uczuć dla Albertyny, i wówczas, rozmyślając o innych kobietach, w których się kochałem, mówiłem sobie, że Albertyna rozumiałaby te uczucia, że byłaby je podzielała; wówczas jej skaza zbliżała ją do mnie. Niekiedy zazdrość ożywała we mnie w chwilach, kiedy nawet nie pamiętałem o Albertynie, chociaż jej właśnie dotyczyła. Coś takiego wydarzyło się chyba wtedy, kiedy usłyszałem przypadkiem o jakimś romansie Anny. Anna okazywała się bowiem w tym wypadku tylko figurantką, użyczającą swego imienia komu innemu, była gniazdkiem obocznej instalacji, łączącej mnie pośrednio z Albertyną. Coś podobnego zdarza się nam, kiedy we śnie przypisujemy komuś inną twarz i obce nazwisko, lecz jego tożsamość mimo wszystko nie budzi w nas najmniejszej wątpliwości. Krótko mówiąc, niezależnie od fluktuacji, zakłócających w różnych szczególnych przypadkach działanie ogólnego prawa, uczucia, z jakimi pozostałem po śmierci Albertyny, nie blakły równie szybko jak wspomnienie tej, która była ich przedmiotem. Dotyczyło to nie tylko uczuć, także doznań fizycznych. Różniłem się w tym od Swanna: kiedy przestał kochać Odetę, nie pamiętał już wcale porywów tej miłości, ja zaś wciąż na nowo przeżywałem przeszłość, która teraz, prawdę powiedziawszy, była historią obcego człowieka. Moje ją rozdzieliło się w jakiś sposób na dwoje, i gdy górna warstwa zdążyła już dawno stwardnieć i ostygnąć, dolna rozpałała się od każdej przypadkowej iskry, zdolnej w zapomnianym, rozpadającym się obwodzie wywołać zwarcie jeszcze wtedy, kiedy wizerunek Albertyny w moim umyśle uległ już zatarciu. A skoro bolesnym skurczom serca i łzom — które wyciskał mi z oczu zimny wiatr, targający kwitnącymi różowo gałęziami jabłoni tak samo jak w Balbec — nie towarzyszył już teraz żaden obraz, zadawałem sobie pytanie, czy nawrót bólu nie ma przypadkiem czysto fizjologicznej przyczyny i czy to, co uznałem za przejaw żywotności wspomnień w schyłkowej fazie miłości, nie oznacza po prostu początków jakiejś choroby serca.

Przy pewnych dolegliwościach zdarza się, że objawy uboczne pacjent bierze za istotę choroby. Kiedy zaś ustępują, nie chce wierzyć, że jest dalszy od powrotu do zdrowia, niż mógł się spodziewać. Tak też było z moją chorobą, lub raczej jej powikłaniem wywołanym przez listy Aimégo, w których rozpisywał się o zakładach kąpielowych i praczkach. Gdyby mnie wówczas zbadał jakiś lekarz dusz, stwierdziłby zresztą, że co do melancholii mój stan się poprawił. Rzecz jasna, będąc człowiekiem, czyli czymś podobnym do tych stworzeń zdolnych do życia zarówno w wodzie, jak na lądzie, istotą zanurzoną w przeszłości i jednocześnie oddychającą chwilą obecną, mogłem nadal podtrzymywać w sobie dwie sprzeczne rzeczywistości: wspomnienie Albertyny jako żyjącej osoby i świadomość jej śmierci. Ta sprzeczność była w jakimś sensie odwróceniem innej, wcześniejszej. Myśl, że Albertyna umarła, z początku uderzała tak gwałtownie w mój nawyk wyobrażania jej sobie jako żywej, że wołałem przed ową myślą uciekać niczym dziecko przed nadchodzącą falą. Lecz fala zalała w końcu, dzięki tym niestrudzonym nawrotom, obszar niedawno jeszcze oddany we władanie obrazom Albertyny żywej. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że pamięć o jej śmierci wyparła wspomnienie żyjącej i zalegała teraz całą przestrzeń moich na pół świadomych przeżyć do tego stopnia, że gdybym nagle zawiesił myślenie i przyjrzał się sobie, zdziwiłoby mnie wcale nie to co w pierwszych dniach mojej żałoby — że Albertyny, wciąż tak żywej we mnie, nie ma już na świecie — ale rzecz zupełnie inna: że Albertyna, której nie ma już na świecie, nadal we mnie żyje. Moja myśl tkwiła tak długo w ciemnym tunelu spojonym z bloków pamięci, że te mury stały się dla mnie niewidoczne. Ale czas je nadkruszył i przez szczelinę wtargnęło światło słoneczne, pieszczące w oddali pogodny błękit niebios, wobec którego Albertyna mogła stać się już tylko uroczym i nieważkim wspomnieniem. Czy to właśnie ta jest prawdziwą Albertyną — zdumiewałem się — a nie tamta, oglądana w ciemnościach tunelu, którą przez tak długi czas miałem za jedyną i niezastąpioną? Ktoś, kim byłem jeszcze niedawno, i kto żył tylko nieustającym oczekiwaniem na pojawienie się Albertyny, na jej wieczorny pocałunek, wydawał mi się teraz jednym z wielu możliwych do pomyślenia i zarazem

najslabszym z nich, już na poły ode mnie oderwanym, niczym opadający płatek kwiatu; i poczułem w sobie ożywczą moc, rodzącą się z odrzucenia tego, co zwiędnięte. Te krótkotrwałe olśnienia ukazywały mi zresztą tym wyraźniej moją miłość do Albertyny, albowiem nawet najdłużej utrzymujące się mniemanie potrzebuje zaprzeczenia, które je utwierdzi. Na przykład, jak utrzymują niektórzy z pamiętających wojnę 1870 roku, wojna ta spowszedniała im nie dlatego, że za mało byli nią przejęci, lecz wprost przeciwnie — bo myśleli o niej bez przerwy. I żeby pojąć, jak dziwnym i strasznym doświadczeniem jest wojna, musieli wyzwolić się od swych obsesyjnych myśli i na chwilę zapomnieć o tym, że wojna właśnie trwa. Dopiero powróciwszy do stanu umysłu z czasów pokoju, mogli zobaczyć białe tło, na którym groza wojennej rzeczywistości, niewidoczna jedynie dlatego, że wszechobecna, nareszcie rysowała im się wyraźnie.

Wspomnienia o Albertynie były w odwrocie, wszystkie ich chorągwie, i gdyby jeszcze cofały się w zwartym szyku na całej linii mojej pamięci, a nie uchodziły pojedynczymi oddziałami, gdyby szeregi przykładów niewierności dotrzymywały kroku formacjom ciepła i dobroci, wówczas zapomnienie przyniosłoby mi ulgę. Ale było inaczej. Utknąłem, niby na przyłasku odciętym przez przyływ, pod ostrzałem rozmaitych domysłów, gdy wojska, unoszące wspomnienia jej łagodnej obecności, były już za daleko, by przyjść mi z odsieczą.

Cierpiałem z powodu jej niewierności, bo jeśli nawet chodziło o zdarzenia sprzed lat, dla mnie wiedza o nich była całkiem świeża; z czasem jednak cierpiałem coraz mniej, wspomnienia bladły, w rzeczywistości bowiem miara oddalenia zależy raczej od siły naszego wzroku, gdy patrzymy wstecz, niż od liczby dni, które upłynęły; mgliste i niewyraźne wspomnienie snu z ostatniej nocy może nam się wydawać bardziej zamierzchłe niż zdarzenie, które miało miejsce wiele lat temu. Lecz choć świadomość śmierci Albertyny zdobywała we mnie coraz to nowe terytoria, wciąż powracało poczucie, że ona żyje, i jeśli nie mogło powstrzymać tamtego procesu, to w każdym razie komplikowało go, wywołując zamieszanie. Zapewne dlatego, że zapomnienie już pochłonęło miesiące klauzury, które Albertyna spędziła w moim domu i którym zawdzięczałem wytchnienie od dręczących podejrzeń (występek wydawał mi się wtedy rzeczą nikłej wagi jedynie dlatego, że ona była wystarczająco dobrze strzeżona; miesiące owe stały się powielanym w nieskończoność alibi) — teraz spadła oto na mnie męka codziennego obcowania z pewną myślą, nową tak samo jak pewność, że Albertyna umarła, bo przecież dotąd moim punktem wyjścia były wyobrażenia żyjącej: z myślą, którą wcześniej uznałbym za niemożliwą do przyjęcia i która, zanim się obejrzałem, piędź po piędzi przeorała moją świadomość i wypeniła z niej moje przekonanie o niewinności Albertyny. Była to myśl, że Albertyna jest winna. Przez cały czas, kiedy wydawało mi się, że wątpię w tę winę, skrycie w nią wierzyłem; i w końcu podstawą swoich dalszych rozważań uczyniłem przeświadczenie o jej winach, wciąż jeszcze wyobrażając sobie, że mu nie ulegam — bo często podawałem je w wątpliwość, tak samo jak przedtem opinię przeciwną.

Wiele cierpień musiałem znieść w owym czasie, wszystkie one były jednak nieuniknione. Nie możemy wyleczyć się z bólu, póki go nie przeżyjemy w całej pełni, bez reszty. Gdy bronilem Albertynie kontaktów ze światem, gdy uparcie wmawiałem w siebie, że jest niewinna, i gdy potem zakładałem w swych rozważaniach, że Albertyna żyje — opóźniałem tylko zakończenie choroby, odpychałem bowiem od siebie to, co prowadziło do wyzdrowienia: długi szereg godzin wypełnionych nieodzowną udręką. Przyzwyczajenie zaś, wzięwszy we władanie moje sądy o winach Albertyny, poddawało je działaniu tych samych praw, których doświadczyłem już nieraz w ciągu mojego życia. W nazwie „Guermantes” zabrakło z czasem pełnej uroku drogi wśród nenufarów, jak również witrażu z postacią Gilberta Złego; obecność Albertyny utraciła błękitny odcień morskich fal, a nazwisko Swanna albo księżnej de Guermantes nie oznaczało już tego samego co kiedyś, podobnie jak słowo „liftboj” oraz wiele innych; z całej ich treści, z całego uroku zachowało się we mnie tylko brzmienie, które widocznie dojrzało już na tyle, że mogło żyć osobno. Jak ktoś, kto w ciągu paru tygodni przyuczał służącego do jego obowiązków, po czym przestał się nim zajmować, ból, jaki niosła myśl o winach Albertyny, ustąpił wobec przyzwyczajenia. Miało ono zresztą dwóch potężnych sprzymierzeńców, gotowych wziąć tę myśl w dwa ognie i wspomagać się wzajemnie w natarciu. Z jednej strony, w miarę jak powszedniało mi przeświadczenie o winach Albertyny, stawało się coraz mniej bole-

sne. Lecz z drugiej strony, im mniej sprawiało mi bólu, tym mniejszy budziło sprzeciw, umysł mój bowiem wytaczał przeciwko niemu hipotezy o jej niewinności tylko dlatego, że obawiał się cierpień zbyt dotkliwych — toteż upadały jedna po drugiej. Za sprawą tych dwóch wspierających się wzajemnie sił dane mi było dość szybko przemierzyć drogę od pewności, że Albertyna była niewinna, do przekonania o jej winie. Musiałem mierzyć się przez jakiś czas z myślą o jej śmierci i o jej występnej naturze, bym mógł się do nich obu przyzwyczaić, inaczej mówiąc, bym zdołał o nich zapomnieć, bym zdołał na koniec zapomnieć samą Albertynę.

Ale jeszcze do tego nie doszedłem. Czasami moja pamięć, wyostrowiona przez gorączkę umysłu, jak to się zdarzało na przykład w trakcie lektury, na nowo wtrącała mnie w przygnębienie; niekiedy zaś, na odwrót, przygnębienie, wywołane na przykład napięciem nadciągającej burzy, wynosiło na powierzchnię uczuć, ku światłu, jakąś pamiątkę po naszej miłości.

Nawroty miłości do Albertyny, która już nie żyła, rozsiane były zresztą wśród długich okresów obojętności, kiedy pochłaniały mnie inne sprawy, okresów podobnych do tego, który zapoczątkowała kiedyś w Balbec odmowa pocałunku, po czym przez długi czas zajęty byłem bardziej panią de Guermantes, Anną i panną de Stermaria, póki miłość do Albertyny nie powróciła pod wpływem częstszych spotkań. Podobnie było teraz, coraz to co innego odciągało moje myśli od Albertyny — już umarłej — i wtedy stała mi się jeszcze bardziej obojętna. Ale wciąż we mnie żyła. I nawet znacznie później, gdy coraz mniej ją kochałem, tęsknota pozostała jednym z tych uczuć, które szybko wywołują znużenie, ale wystarczy chwila wytchnienia, by wybuchły na nowo. Uganiałem się za inną kobietą, potem za następną, by w końcu powrócić do mojej zmarłej. Zdarzało się czasem, kiedy nie byłem już w stanie przywołać czytelnego obrazu Albertyny, że w najciemniejszych zakamarkach mojego wnętrza jakieś przypadkowe słowo rozniecało nagle ból, którego nawet bym się nie spodziewał; podobnie w agonii, kiedy ustała już praca myśli, mięśnie wciąż jeszcze odpowiadają skurczem na ukłucie igły. Niekiedy, w ciągu długich okresów, chwile podobnej nadwrażliwości przychodziły tak rzadko, że zaczynałem już sam poszukiwać sposobności do smutku, powodów do zazdrości, by znaleźć się bliżej minionego czasu, ożywić wspomnienia. Tęsknota za kochanką zawsze bowiem w istocie jest odradzającą się miłością i podlega tym samym co miłość prawom; toteż siła mojej tęsknoty wzrastała pod działaniem tych samych przyczyn, które podsycały moją miłość za życia Albertyny — a wśród nich poczesne miejsce zajmowała zazdrość i ból. Lecz mimo wszystko okazje do smutku najczęściej nadarzały się same z siebie — choroba, tak jak wojna, potrafi trwać dłużej, niż ktokolwiek rozsądny mógłby przewidzieć — i wstrząsały mną tak gwałtownie, że musiałem zatroszczyć się raczej o własne przetrwanie, niż uganiać się dalej za pamiątkami po miłości.

Słowo nie musiało mieć zresztą bezpośredniego związku z moimi podejrzeniami, by je znowu obudzić. Nawet pojedyncza sylaba, napotkana przypadkiem w innym słowie, mogła zadziałać jak drucik, wystarczający do zamknięcia obwodu elektrycznego, mogła przywrócić przepływ prądu między moim sercem i Albertyną; tak jak nazwa „Chaumont”, każde słowo okazać się mogło magicznym zaklęciem, otwierającym wrota Sezamu przeszłości, którą dawno już utraciliśmy, znużeni nią do tego stopnia, że przestała do nas należeć: uległa amputacji i nawet uwierzyliśmy już, że chirurgiczne cięcie odmieniło naszą osobowość, jakby to była figura geometryczna, której odjęto jeden z wierzchołków. Jakieś zdanie, w którym padała nazwa ulicy, o ile sądziłem, że Albertyna mogła na niej kiedyś bywać, wystarczało, by wstąpiła we mnie zazdrość dotąd bezcielesna, nie istniejąca, szukająca dopiero kształtu, przyczyny, jakiegoś punktu zaczepienia w rzeczywistości, jakiegokolwiek sposobności, by się objawić.

Często po prostu kiedy spałem, w jakiejś reprzyzie, w jakimś *da capo* snu, który musiał naraz przerzucić wstecz wiele zapisanych stron pamięci, cofnąć grube pliki kart kalendarza, by przenieść mnie w czasie w bolesną, lecz dawno minioną chwilę, która zniknęła już, przesłonięta chmurą późniejszych faktów, by oto nagle znów stać się teraźniejszością. Inscenizacja była zazwyczaj niezbyt staranna, ale przejmująca; ludziła oko i ucho, rzucając mnie w sam środek wydarzenia, które odtąd miało być opatrzone datą tej nocy. Czyż zresztą w dziejach miłości opierającej się zapomnieniu sen nie odgrywa roli większej niż jawa? Nie zna bowiem rachuby czasu, uchyla działanie reguł, łączy przeciwieństwa,

w jednej chwili zrywa gobelin otuchy, utkany mozolną pracą całego dnia, i urzęda nam po nocach schadzki z tą, o której może zdołalibyśmy wreszcie zapomnieć, gdybyśmy nie spotkali jej nigdy więcej. Cokolwiek o tym powiadają, sen potrafi w sposób niezawodny obudzić w nas wiarę, że wszystkie jego zdarzenia są prawdziwe. Albowiem jedynie doświadczenie jawy mogłoby nas przed tym ustrzec, doświadczenie, do którego właśnie nie mamy dostępu. I tylko dlatego ten nieprawdopodobny świat snu wydaje się nam rzeczywistością. Czasami jakiś defekt maszynerii mojej wewnętrznej sceny kładł całe widowisko, bo choć niezła inscenizacja nadawała wspomnieniom pozór prawdziwego życia, utrzymując mnie w przekonaniu, że naprawdę umówiłem się z Albertyną i że się z nią spotkałem — nie byłem jednak w stanie uczynić nawet kroku w jej stronę ani też dobrać głosu, by wypowiedzieć właściwe słowa; świeca gasła, ja zaś nie mogłem jej zapalić, żeby popatrzeć na Albertynę. Niemożność, której doświadczałem, nie była niczym innym jak właśnie przejawem niemoty, bezwładu i ślepoty człowieka pogrążonego we śnie. Podobna rzecz zdarza się niekiedy podczas wyświetlania przezroczy, gdy olbrzymi czarny cień, który powinien być w ogóle niewidoczny — cień samej latarni magicznej albo też tego, kto ją obsługuje — zakłóca projekcję, pochłaniając pejzaże i postacie. Kiedy indziej w moim śnie zjawiała się Albertyna, by jeszcze raz mnie opuścić, ale jej decyzja już mnie nie poruszała. Z mojej pamięci przypadkiem przedostał się bowiem w mroki snu ostrzegawczy promień światła i padł na Albertynę, odbierając jej zapowiedzianemu wyjazdowi jakiegokolwiek znaczenie: była to świadomość, że Albertyna umarła. Lecz często jeszcze wyrazistsze wspomnienie o jej śmierci splatało się ze świadectwem moich własnych zmysłów, które mówiły mi, że ona żyje, przy czym jedno nie wadziło drugiemu. Rozmawiałem więc z nią, a w tym czasie w głębi pokoju krzątała się moja babka. Brakowało jej części podbródka, ukruszonego niczym zwietrzały marmur, ale ja nie widziałem w tym nic osobliwego. Zapowiadałem Albertynie, że muszę jej zadać parę pytań w związku z zakładem kąpielowym w Balbec i pewną małą praczką z Turenii, ale odkładałem to w końcu na później, widząc, że czasu mamy pod dostatkiem i nic już nie skłania mnie do pośpiechu. Albertyna przysięgała mi, że nie robiła nic złego, jeśli nie liczyć tego, że wczoraj pocałowała w usta pannę Vinteuil. „Jak to? Więc ona tu jest?” — „Tak, i nawet za chwilę będę musiała zostawić cię samego, bo właśnie się do niej wybieram”. A że od śmierci Albertyny już nie trzymałem jej pod kluczem, jak w ostatnim okresie jej życia, zapowiedziana wizyta u panny Vinteuil bardzo mnie zaniepokoiła. Ale nie dałem po sobie tego poznać. Zapewniała mnie, że nie będzie nic prócz pocałunków, lecz czułem już, że znowu kłamie, tak samo jak w owym czasie, kiedy absolutnie wszystkiego się wypierała. I można się było obawiać, że gdy pobiegnie za chwilę do panny Vinteuil, na pocałunkach wcale nie poprzestaną. Wiedziałem, że z pewnego punktu widzenia nie ma powodu do obaw, przecież mówi się, że zmarli nic już nie czują, nic nie mogą zdziałać. Tak się tylko mówi, myślałem, bo jednak moja babka, która umarła wiele lat temu, przez cały ten czas żyje w najlepsze i nawet w tej chwili chodzi po pokoju. Po przebudzeniu, rzecz jasna, owo życie umarłej musiało stać się dla mnie tak samo niepojęte, jak dla kogoś, komu miałbym to wytłumaczyć. Lecz objawiało mi się ono tyle razy w owych okresach przelotnego obłądzenia, jakimi są nasze sny, że w końcu przestało mnie dziwić. Wewnętrzna pamięć snu może osiągnąć stan trwałości, jeśli nawiedza on nas wystarczająco często. Być może lepiej niż ktokolwiek inny zrozumie mnie — o ile wyzdrowiał i odzyskał rozsądek — pewien człowiek, który chcąc przekonać odwiedzających zakład dla chorych umysłowo, że on jeden nie jest, wbrew opinii lekarza, wariatem, przeciwstawiał przytomność swego umysłu szalonym urojeniom innych chorych, a w końcu mówił tak: „Spójrzcie na tamtego, z pozoru jest normalny, wcale nie znać po nim obłądzenia, nieprawdaż? Ale on sobie wyobraża, że jest Chrystusem. Co za brednia, Chrystusem jestem przecież ja”. Jeszcze długo po przebudzeniu nie mogłem ochłonąć z powodu tych pocałunków, dowiedziawszy się o nich od Albertyny, której głos wciąż jeszcze dźwięczał mi w uszach. I w samej rzeczy musiałem dobrze słyszeć jej słowa, były bowiem moimi. Przez cały dzień toczyłem rozmowy z Albertyną, wypytywałem, udzielałem przebaczeń, przypominałem sobie rzeczy, które zawsze chciałem jej powiedzieć, kiedy jeszcze żyła. I naraz przestraszył mnie ogarniał na myśl, że wspomnieniu postaci, które przywoływałem, do którego kierowałem swoje przemowy, nie odpowiada już w świecie rzeczywistym żadna istota; że rozpadła się z po-



wrotem na tysiąc części, które jedynie uparta wola życia, dziś już zepchnięta w niebyt, spajała kiedyś w całość obdarzoną indywidualnością.

Zdarzało mi się po nocy bez snów budzić się z poczuciem, że w moim umyśle kierunek wiatru uległ zmianie. Mroźny podmuch nadciągał z innych niż dotąd stron przeszłości, przynosząc dalekie kuranty zegarów, gwizdy odjeżdżających pociągów, odgłosy, których prawie nigdy nie zdarzało mi się słuchać. Próbowałem zająć się czytaniem. Sięgnąłem po powieść Bergotte'a, do której byłem szczególnie przywiązany. Lubilem jej pozytywne bohaterów, jej urok wkrótce mną owładnął po raz kolejny, i znów zapragnąłem, niby osobistego zadoścuczynienia, kary dla złej kobiety; oczy mi zwilgotniały, gdy już zbliżało się szczęśliwe dla narzeczonych zakończenie. „Lecz wobec tego — pojąłem nagle z rozpaczą — z wagi, jaką zachowały dla mnie uczynki Albertyny, wcale nie wynika, że jej istnienie jest czymś rzeczywistym, co nie może zostać przekreślone, i że pewnego dnia spotkam ją w niebie taką jak dawniej — skoro tyle żarliwego współczucia i niepokoju budzi we mnie postać z powieści, skoro do łez mnie wzrusza na koniec jej szczęście, choć przecież zrodziła się w umyśle Bergotte'a, ja zaś nie spotkałem jej i nigdy naprawdę nie istniała, a co do jej wyglądu, mogę go sobie wyobrazić jak mi się podoba”. Poza tym w owej powieści występowały uwodzicielskie dziewczęta, liściki miłosne, opustoszałe alejki były miejscem spotkań, i to wszystko przypomniało mi, że miłość bywa potajemna. Odezwała się we mnie zazdrość, jak gdyby Albertyna mogła jeszcze przechadzać się po pustych alejkach. Występował tam także mężczyzna, spotykający po pięćdziesięciu latach kobietę, którą kochał za młodu. Zrazu jej nie rozpoznał, a jej towarzystwo go znudziło. To znów przypominało mi, że miłość nie trwa wiecznie, i doznałem mieszanych uczuć, jakbym to ja sam, rozdzielony z Albertyną, miał ją jeszcze odnaleźć, lecz dopiero na stare lata, gdy nie znajduję dla niej nic prócz obojętności. Patrząc na mapę Francji, spłoszonym wzrokiem omijałem Turenję, żeby oszczędzić sobie bolesnych ataków zazdrości, a także Normandię, by nie jątrzyła mego żalu, tam bowiem zaznaczone były przynajmniej Balbec i Doncières, a między nimi liczne drogi, które przemierzaliśmy wspólnie tak wiele razy. Wśród niezliczonych miast i miasteczek Francji wiele miało nazwy przemawiające tylko do mojego słuchu albo też tylko do wzroku, lecz nazwa „Tours” wydawała się zbudowana z innej substancji, nie z nieuchwytnych wyobrażeń, ale z trucizny o natychmiastowym działaniu, która atakowała moje serce, przyspieszając jego uderzenia i czyniąc bolesnym każde z nich. Jeśli w polu najbardziej bezpośrednich skojarzeń z Albertyną mogła objawić się tak wielka siła, zdolna zawładnąć nazwami i nadać im wyjątkowe właściwości, to nie było w tym nic dziwnego, że i na mnie oddziaływała w sposób nieodparty; mogła równie dobrze zogniskować się w jakiejś innej kobiecie, siła ta była bowiem wypadkową w gmatwaniu snów, pragnień, przyzwyczajęń i wzruszeń, pozostającą na przemian pod wpływem to szczęścia, to znów rozpacz. Zwielokrotniała echa śmierci. Pamięć bowiem zdolna jest przechować prawdziwą esencję naszego życia, która jest niematerialna. Pamiętałem, jak Albertyna, wysiadając z wagonu kolejki, oświadczyła, że chce jechać do Saint-Martin-le-Vêtu. W jeszcze wcześniejszym wspomnieniu widziałem ją w dżokejce nasuniętej na oczy. Wyszukiwałem rozmaite możliwości szczęścia i rwało się ku nim moje serce; powtarzałem sobie: „Mogliśmy jechać we dwoje aż do Quimperle, aż do Pont-Aven”. Nie było takiej stacji w tamtych stronach, po której nie błąkałoby się wspomnienie Albertyny; okolice Balbec stały się dla mnie jakąś mityczną krainą, w której ożywały historie najbardziej zamierzchłe i najpiękniejsze, legendy całkiem już zatarte przez późniejsze koleje naszej miłości. Jakież męki spadłyby na mnie, gdybym tylko znów spoczął na moim hotelowym łóżku w Balbec! Nad jego nieruchomą miedzianą ramą przetoczyło się moje życie, fortuna obróciła się wokół jego osi. Poprzez beztroskie pogawędki z babką, grozę jej śmierci, słodycz pieszczot Albertyny doszedłem do odkrycia występku, a teraz zaczynało się dla mnie życie całkiem nowe, w którym widok odbicia morskich fal w oszklonych drzwiach biblioteki uprzytomni mi, że Albertyna nie pojawi się tu już nigdy! Czyż hotel w Balbec nie przypominał owej jedynej dekoracji, jaką dysponuje prowincjonalny teatr, który przez lata zdążył w niej wystawić najróżniejsze sztuki? Przydała się i do komedii, i do tragedii, potem do następnej tragedii, potem był poemat sceniczny; fundamenty tego hotelu sięgały głębin mojej przeszłości, jego mury widziały kolejne epoki mojego życia. I tylko on opierał się zmianom. Jego ściany, szafy, lustra tym wyraźniej dawały mi odczuć, że pośród niezmienności zmienia się to jedynie, co nie jest jego częścią — ja sam.

Dostrzegałem tę regułę, której nie zauważają dzieci, póki wierzą — pełne optymizmu czy może raczej pesymizmu — że wszelkie tajemnice życia, miłości i śmierci dotyczą innych, że one same nigdy nie będą z tym miały do czynienia. Po latach dopiero widzimy, że zrośliśmy się z naszym losem w jedno ciało, i budzi się w nas coś w rodzaju bolesnej dumy.

Próbowałem dla odmiany czytać gazetę.

Ale czytanie gazet okazywało się równie okropne, a przy tym także nie było całkiem bezpieczne. Każda bowiem z naszych myśli, krzyżujących się jak leśne dukty, może rozwidlać się we wszystkich kierunkach, i oto w najbardziej nieoczekiwanej chwili stawałem przed nowo odkrytym wspomnieniem. Tytuł melodii Faurégo, *Sekret*, prowadził mnie do *Sekretu królewskiego* księcia de Broglie, a znów jego nazwisko do nazwy „Chaumont”. Albo też słowa „Wielki Piątek” przypominały mi o Golgocie, a Golgota odsyłała mnie do swojej etymologii — jak sądziłem, słowo to było odpowiednikiem łacińskiego *Calvus mons*, czyli „Chaumont”. Lecz jakąkolwiek drogą dotarłbym do Chaumont, doznawałem w tym momencie tak gwałtownego wstrząsu, że postanawiałem na przyszłość, zamiast puszczać się w pogoń za wspomnieniami, chronić się raczej przed okrutnym bólem. W ciągu paru chwil po takim urazie, jak grzmot, spóźniony w stosunku do błysku pioruna, nadciągała świadomość jego przyczyny. Nazwa „Chaumont” skojarzyła mi się z Buttes-Chaumont: od pani Bontemps wiedziałem, że Anna często jeździła tam z Albertyną, choć Albertyna utrzymywała, że nigdy tam nie była. Poczawszy od pewnego wieku, płatanina naszych wspomnień rozpościera się wszędzie, do tego stopnia, że nie ma już znaczenia, o czym myśleliśmy, jaką czytaliśmy książkę. Wszędzie zostawiliśmy część siebie samych, każdy grunt jest tak samo żyzny i tak samo niebezpieczny, toteż z reklamy mydła możemy wyczytać odkrycia równie wstrząsające jak z *Myśli* Pascala.

Sprawa, która wiązała się z Buttes-Chaumont i która w swoim czasie wydawała mi się błahostką, nie przemawiała przeciwko Albertynie w sposób tak zdecydowany i jednoznaczny, jak tamte historie z małą praczką i zakładem kąpielowym. Lecz przede wszystkim, gdy przypadek wydobędzie któreś z naszych wspomnień, znajdzie w nas ono niektóry potencjał wyobraźni — w tym wypadku potencjał cierpienia; może się on okazać po części wyczerpany tylko wówczas, gdyśmy owego wspomnienia poszukiwali z rozmysłem. Poza tym obydwie, łaźnie i praczka, były nieustająco obecne w mojej pamięci, choć ukryte w cieniu; przywykłem do nich niczym do mebli stojących w półmroku korytarza, na które nie wpadamy, choć przyzwyczajenie uczyniło je niewidocznymi. Lecz tak dawno już nie myślałem o Buttes-Chaumont albo na przykład o spojrzeniu Albertyny, pochwyconym w lustrze kasyna w Balbec, albo o jej nie wyjaśnionym spóźnieniu, kiedy tak długo czekałem na nią po powrocie z wieczoru u Guermantów; te obce mojemu sercu obszary jej życia pragnąłem przemierzać, zdobywać i przyłączać, by stały się częścią mnie, by zaludniły je oswojone wspomnienia, wśród których żyła moja własna, oddana mi, wewnętrzna Albertyna. Gdy uchylałem ciężkiej zasłony przyzwyczajęń — która przez całe życie skrywa przed nami świat, utrzymuje nas w niewiedzy i zamiast niebezpiecznych i upajających trucizn, obiecujących niewyobrażalne rozkosze, każe nam w ciemności, w jakiej wszelkie etykiety są nieczytelne, pochwyć flaszkę z lekiem na uspokojenie — obstępowały mnie wspomnienia, tak ostre i wyraziste, jakby zapisały się zaledwie przed chwilą. Miały w sobie świeżość wstępującej pory roku, której nadejście wytrąca nas z codziennej rutyny, również gdy chodzi o przyjemności: jeśli wybierzemy się na przejażdżkę powozem pierwszego dnia wiosny albo wyjdziemy z domu o wschodzie słońca, każdą najwykleszą rzecz przeżyjemy w głębokim uniesieniu, a pełnia tej jednej chwili przewyższy wartością wszystkie minione dni. (Oto znowu czekałem, po wyjściu z wieczoru u księżnej de Guermantes, na powrót Albertyny). Upływające dni z wolna zasłaniają nam te dawniejsze i same z kolei nikną. Każdy z nich przechowujemy w sobie jednak pieczołowicie niczym egzemplarz biblioteczny, wśród innych starodruków, o które nikt już nigdy nie poprosi. Ale obraz takiego dnia przebija czasem przez przejrzyste warstwy kolejnych epok i objawia się naszym oczom w całej okazałości, a wtedy nazwiska odzyskują na chwilę zapomniany wydźwięk, ludzie znów mają swe dawne oblicza, my zaś

odnajdujemy w sobie ducha minionych czasów, by z lekkim bólem, który da się znieść i który nie potrwa długo, na nowo poczuć nierozwiązywalność ówczesnych naszych problemów. Nasze ja powstało przez nakładanie się na siebie wszystkich kolejnych stanów. Ale struktura ta nie jest, jak przekrój geologiczny, niezmienna. Zawierania nieustająco wynoszą fragmenty najstarszych warstw ku powierzchni. Po wieczorze u księżnej Marii de Guermantes czekałem zatem na Albertynę. Co robiła tamtej nocy? Czy zdradziła mnie? Z kim? Nawet jeśli miałbym przyjąć do wiadomości rewelacje Aimégo, nie mogły one ani o jotę zmniejszyć bolesnej, rozpaczliwej żądz wiedzy, jaką wzbudzały we mnie te nieoczekiwane pytania, tak jakby każda z niezliczonych Albertyn, tkwiących w tych wspomnieniach, stwarzała mojej zazdrości odrębny problem, nie poddający się rozwiązaniu, jakie znalazłem dla poprzedniego.

Lecz nie wystarczyłoby mi wiedzieć, z którą kobietą spędziła ona tamtą noc, chciałem więcej. Jakiej to rozkoszy wtedy doznawała, jakich przeżyć? Czasami, kiedy w Balbec po nią posyłałem, dowiadywałem się później od Franciszki, że ją zastała wychyloną przez okno, niespokojną, jakby kogoś poszukującą rozbieganym spojrzeniem. Przypuścimy, że oczekiwała Anny, ale w jakim stanie ducha wypatrywała jej przez okno, jakie myśli skrywał ten niespokojny wzrok? Co to dla niej znaczyło, mieć takie skłonności, na ile zaprzętały one jej uwagę? Niestety, wiedziałem dobrze, jak bardzo mnie samego poruszał widok młodej dziewczyny, jeśli mi się podobała, a niekiedy dość mi było coś o niej usłyszeć, nie widząc jej nawet. Wiedziałem, jak mnie samemu zależało, żeby przystojnie wyglądać i pokazać się od najlepszej strony, znałem zimne poty onieśmienia, i by udęczyć samego siebie, nie musiałem już nic więcej uczynić, dość mi było wyobrazić sobie, jak owa gorączka zmysłów trawi Albertynę; jak gdybym był podłączony do tego aparatu, na którego wynalezienie czekała ciotka Leonia, która życzyła sobie, by doktor mógł poczuć na własnej skórze wszystkie jej bóle i zrozumieć, na co jest chora. Już to było dla mnie męczarnią, że domyślałem się, jak niewiele musiały znaczyć dla Albertyny solenne rozważania o Stendhalu i Wiktorze Hugo, w które ją wciągałem, kiedy jej serce wyrывało się ku obcym i oddalało ode mnie, lgnąc gdzie indziej. Ale choć domyślałem się, jak ważne były w jej życiu pragnienia i jak wielkie przeszkody napotykały wszędzie wokół, dalej nie mogłem wyobrazić sobie, czym były one w jej mniemaniu i jaką wagę im nadawała. W chorobie nie musimy przynajmniej wybierać sobie rodzaju udreki. Sama choroba nam go narzuca. Ale w cierpieniach zazdrości próbujemy po trochu wszystkich odmian bólu we wszystkich możliwych natężeniach, zanim pozostaniemy przy czymś, na co w ostateczności możemy przystać. O ileż trudniej jest pogodzić się z cierpieniem takim jak moje, gdy ukochana szuka przeżyć, których my jej dać nie możemy, i woli doznawać rozkoszy z istotami różniącymi się od nas nawet budową ciała, wyrazem twarzy i sposobem bycia! Ach, czemu Albertyna nie zakochała się raczej w Robercie de Saint-Loup! O ileż mniej byłbym wtedy cierpiał!

Niewiele wiemy o indywidualnej wrażliwości, właściwej poszczególnym osobom, i zazwyczaj nie jesteśmy świadomi nawet tego, że wiemy o niej tak mało; wrażliwość innych nic nas bowiem nie obchodzi. Lecz co do Albertyny, moje widoki na szczęście i moje cierpienia wiązały się z rodzajem jej wrażliwości. Wiedziałem, że nie znam jej wcale, i już choćby z tego powodu musiałem cierpieć. Zdawało mi się czasem, że trop nieznanych pragnień i rozkoszy, za jakimi gonila, podchwyciło gdzieś moje oko albo ucho. Na przykład wtedy, kiedy w jakiś czas po śmierci Albertyny przyszła mnie odwiedzić Anna. Po raz pierwszy wydała mi się piękna; patrzyłem na jej czarne loki, na ciemne, podkrążone oczy, mówiąc sobie, że bez wątpienia Albertyna bardzo ją kochała. Zmaterializowało się przed moimi oczyma to, co widziała Albertyna w miłosnych rojeniach, to, za czym jej spragnione i niecierpliwe spojrzenie ulatywało owego dnia, kiedy tak nagle postanowiła wyjechać z Balbec. Ten nieznaną czarny kwiat, przysłany mi zza grobu przez istotę, w której rękach wtedy go nie zauważyłem, wydał mi się bezcenną relikwią, odnalezioną nieoczekiwanie, wydobytą spod warstw cmentarnej ziemi. Oto miałem przed sobą ucieśnioną żądzę Albertyny, tym bowiem była dla mnie Anna, tak jak Wenus była wcieleniem żądz Jowisza. Anna mówiła mi o swoim żalu po Albertynie, ale od razu pojąłem, że nie tęskni. Swoją część tego, co nieodwracalne, zdawała się dźwigać bez wysiłku, godząc się na rozłąkę, którą narzuciła im śmierć, a której — gdyby Albertyna żyła — nie ośmieliłbym się żądać; obawiając się gniewu, z jakim Anna odrzuci moje życzenie. Czas pokazał, że potrafi

obejść się bez niej — ja jednak nie miałem już z tego żadnego pożytku. Anna gotowa była zwrócić mi teraz Albertynę, ale martwą, pozbawioną nie tylko życia, ale i blasku, jaki ją niegdyś otaczał — skoro stwierdziłem, że dla Anny nie była niezastąpiona, że jej miejsce mogły zająć inne.

Za życia Albertyny nie odważyłbym się prosić Anny o wyznania na temat przyjaźni, jaka łączyła je obie z przyjaciółką panny Vinteuil, musiałem się bowiem liczyć z tym, że Anna powtórzy Albertynie każde moje słowo. Lecz jeśli nawet takie przesłuchanie niewiele mogło wyjaśnić, teraz przynajmniej nie groziło żadnym niebezpieczeństwem. Zacząłem tak, jakbym o nic nie pytał, tylko dawno już słyszał, może nawet od Albertyny, o jej, Anny, skłonności do kobiet i o jej bliskiej znajomości z panną Vinteuil. Nie zawahała się tego wszystkiego potwierdzić, z beztróskim uśmiechem. Lecz konsekwencje owego potwierdzenia były dla mnie okrutne. Po pierwsze dlatego, że właśnie jej, która w Balbec tak uwodzicielsko flirtowała z wieloma młodymi ludźmi, nikt by nie posądził o podobne obyczaje, ona tymczasem nie czuła nawet potrzeby, by się ich wyprzeć. Toteż na widok tej nowej, nieznanej Anny mogłem się domyślać, że Albertyna z taką samą łatwością wyznałaby wszystko każdemu oprócz mnie; we mnie wyczuła bowiem skazę zazdrości. Jeśli zaś Anna była najbliższą przyjaciółką Albertyny, przez którą to zapewne Albertyna tak pośpiesznie wróciła wtedy z Balbec, i jeśli teraz Anna mówiła mi bez ogródek o swoich gustach, to narzucał się wniosek, że Anna i Albertyna musiały od dawna pozostawać w takim związku. Ale tak jak w obecności gościa nie zawsze się odważamy rozpakować prezent, nieraz wolimy go obejrzeć dopiero wtedy, kiedy ofiarodawca sobie pójdzie, tak też póki Anna była u mnie, nie zaglądałem do własnego wnętrza, nie dotykałem cierpienia, które przyniosła mi w darze, choć doszło już do mnie, że moja gwardia — serce i nerwy — bije na alarm, wołając o rewolucji. Tymczasem demonstrowałem dobre manieri: udawałem, że nic się nie stało, i z młodą dziewczyną, która była moim gościem, prowadziłem lekką i błyskotliwą rozmowę, odwróciwszy wzrok od pożaru szalejącego w moim wnętrzu. Szczególnie boleśnie dopiekło mi pewne jej stwierdzenie na temat Albertyny:

— Ach, tak, bardzo lubiła spacerować w dolinie Chevreuse.

W tym nieokreślonym i nierzeczywistym świecie, po którym Albertyna spacerowała z Anną, pojawiła się jakaś dodatkowa, przeklęta dolina, diabelskim aktem stworzenia dołączona do Boskiego dzieła. Czułem, że Anna gotowa jest wyznać mi wszystko, czego dopuściła się z Albertyną, więc przez grzeczność, z wyrachowania, dla miłości własnej, albo też z wdzięczności, usiłowałem być dla niej jak najmiłszy, podczas gdy terytoria zajęte przez moją wiarę w niewinność Albertyny topniały z chwili na chwilę. Obawiałem się, że mimo moich wysiłków, ujrzy mnie zmartwiałego jak zwierzę, sparaliżowane widokiem krążącego nad nim drapieżnego ptaka, którego lot kreśli zaciskające się pętle, bez pośpiechu, bo ofiara i tak już się nie wymknie. A jednak patrząc Annie w oczy, i to z resztką uśmiechu, swobody i pewności siebie, jaka zostaje temu, kto musi udawać, że nie osłupiał ze zgrozy, rzuciłem niezobowiązująco:

— Nigdy o tym nie mówiliśmy, bo bałem się, że się pogniewasz, ale teraz, kiedy wspominamy ją tak miłe, mogę ci już powiedzieć, że od dawna wiedziałem, co was łączy. Zresztą pewnie ci to sprawi przyjemność, chociaż i tak dobrze o tym wiesz: Albertyna podkochiwała się w tobie.

Powiedziałem jej, że bardzo bym chciał, by pozwoliła mi popatrzeć, jak to robi z przyjaciółkami Albertyny, mającymi te same gusta (nie musiałyby posuwać się do pieśczoł, które krępowałoby ją w mojej obecności); wymieniłem na próbę Rozamundę i Bertę, potem całą resztę.

— Za nic w świecie nie robiłabym tego w twojej obecności — odpowiedziała mi Anna — a poza tym nic mi o tym nie wiadomo, żeby którakolwiek z nich miała takie gusta.

Bezwolnie uczyniłem następny krok w stronę drapieżnika o paraliżującym spojrzeniu.

— Jak to? Chyba nie powiesz mi, że z całej waszej „bandy” robiłaś to tylko z Albertyną!

— Ależ ja nigdy tego z Albertyną nie robiłam!

— Dajże pokój, Anno złota, po co wypierasz się rzeczy, o których wiem już przynajmniej od trzech lat! Nie widzę w tym nic złego, wprost przeciwnie. Na przykład tamtego

wieczoru, kiedy ona nalegała, żebyście nazajutrz poszły razem do pani Verdurin, pewnie przypominasz sobie, o czym mówię...

Nim dokończyłem zdanie, dostrzegłem błysk w oczach Anny, ostry niczym owe kamienie, które jubilerzy niechętnie biorą do oprawy właśnie z powodu tej ostrości; przelotne spojrzenie, rzucone z niepokojem jakby zza uchylonej kurtyny, na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia, przez aktora, który wycofa się, nim go widownia zauważy. I ten błysk także zniknął, wszystko wróciło do zwykłego stanu, ale wiedziałem już, że cokolwiek teraz się wydarzy, będzie zainscenizowane specjalnie na mój użytek. I w tej właśnie chwili spojrzałem na swoje odbicie w lustrze; uderzyło mnie, jak podobny jestem do Anny. Gdybym już dawno nie przestał golić wąsów, gdyby zamiast nich tylko sinawy ślad zarostu ocieniał moją górną wargę, podobieństwo byłoby zupełne. Być może wtedy, w Balbec, właśnie szczecina świeżego zarostu nad moją górną wargą wywołała w Albertynie to szalone i niecierpiące zwłoki pragnienie powrotu do Paryża.

— Ależ nie myślę ci opowiadać takich rzeczy tylko dlatego, że ty ich nie potępiasz. Przysięgam ci, że z Albertyną nic nie było i jestem głęboko przekonana, że ona się tym brzydziła. Ludzie, którzy ci tego wszystkiego naopowiadali, okłamali cię, być może mieli w tym jakiś interes — dorzuciła, przyglądając mi się podejrzliwie i jakby pytająco.

— Niech już tak będzie, skoro nie chcesz mi powiedzieć — odparłem, by wyglądało, że mam niezbite dowody (których brakowało), lecz postanowiłem ich nie ujawniać. Na chybił trafił wymieniłem jednak nazwę Buttes-Chaumont.

— Może i byłam z Albertyną w Buttes-Chaumont, ale co w tym złego, czy to jakieś szczególne miejsce?

Powiedziałem, że mogłaby pogadać o tym z Gizelą, która w pewnym okresie była z Albertyną bardzo blisko. Ale Anna oświadczyła, że Gizela zrobiła jej ostatnio straszliwe świństwo, więc teraz już o nic jej nie poprosi, to jedyna rzecz, której nawet dla mnie nie może uczynić.

— Ale jeśli ją spotkasz — dodała po chwili — to nie wspominaj jej o tym, nie chcę, żeby mnie znienawidziła. Ona zresztą wie, co o niej myślę, ale zawsze lepiej unikać otwartych waśni, bo potem i tak trzeba się będzie pogodzić. A poza tym ona jest niebezpieczna. Rozumiesz, kiedy się czytało taki list jak ten, który miałam w rękach zaledwie przed tygodniem, pełen najperfidniejszych kłamstw, to już żaden uczynek tego nie zmyje, nawet najpiękniejszy.

A zatem: jeśli Anna, która miała te skłonności w takim stopniu, że nawet się z nimi nie ukrywała, Albertyna zaś była do niej bardzo przywiązana, o czym wiedziałem, i mimo to Anna nigdy nie miała z nią stosunków cielesnych, i nawet nic nie wiedziała o tym, by Albertyna podzielała jej skłonności, to znaczyło po prostu, że Albertyna ich nie podzielała i że z nikim nie miała takich stosunków, skoro nie miała ich z Anną. Kiedy tylko Anna sobie poszła, zauważyłem, że jej stanowcze zaprzeczenie mnie uspokoiło. Ale, być może, zachowała się tak dlatego jedynie, że poczuwała się do obowiązku wobec nieżyjącej przyjaciółki podważać moje domysły, którym Albertyna za życia z pewnością także kazałaby zaprzeczać.

Owe nieznane rozkosze Albertyny tropiłem już od dawna. Już przez chwilę wydawało mi się, że coś mi zamajaczyło na twarzy Anny, gdy się w nią wpatrywałem. Na ślad natrafiłem jeszcze raz, i to bez udziału wzroku: usłyszałem ich echo. Było to wtedy, gdy sprowadziłem sobie do domu schadzek dwie młode praczki z dzielnicy, w której Albertyna dość często bywała. Wśród pieszczot jedna z nich wyrzuciła z siebie zadziwiający, nieartykułowany odgłos, którego wymowa w pierwszej chwili była dla mnie nieczytelna, zwykle bowiem najtrudniej jest pojąć znaczenie dźwięku, który wyraża cudze, niedostępne nam w tej chwili fizyczne doznania. Nie wiedząc, co się dzieje w sąsiednim pomieszczeniu, za wybuch szaleńczego śmiechu łatwo weźmiemy krzyk bólu, wyrrywający się choremu, operowanemu bez narkozy; odgłos, jaki wyda matka na wieść o śmierci dziecka, będzie dla nas czymś tak samo nieprzekładalnym na ludzki język, jak mowa harfy albo ryk zwierzęcia, póki nie dowiemy się, jakie nieszczęście ją spotkało. Potrzeba chwili zastanowienia, by pojąć, że obydwie dźwięki wyrażają coś, co dobrze znamy i co przez analogię do własnych doznań, które i tak zawsze wydają się nam niepowtarzalne, nazywamy cierpieniem. Potrzebowałem więc tej chwili, by zrozumieć, co oznaczał dźwięk wydany przez tę dziewczynę: przez analogię z doświadczeniem własnych doznań, choć

wydawały mi się nieporównywalne z cudzymi, określiłem go jako wyraz rozkoszy; musiała to być rozkosz nieopisana, dzika, skoro wstrząsnęła do głębi ową osobką i wyrwała jej z ust dźwięki nieznanego języka, opisującego, jak się zdawało, kolejną fazę zmysłowego uniesienia, w którym się spalała, lecz które na zawsze skryła przed moim wzrokiem zasłona, broniąca postronnym widoku tego, co dla istoty ludzkiej jest najintymniejsze. Te dziewczęta nie mogły mi jednak nic ponadto wyjaśnić na temat Albertyny, bo nawet jej nie znały.

Autorzy powieści lubią utrzymywać w swoich przedmowach, że w podróży spotkali kogoś, kto im opowiedział o życiu pewnej osoby. Po czym oddają głos owemu przygodnemu znajomemu, rozpoczyna się opowieść, która będzie treścią książki. Tak na przykład życie Fabrycego del Dongo miał opowiedzieć Stendhalowi kanonik z Padwy. Jakże gorąco pragnęlibyśmy — gdy jesteśmy zakochani, a życie drugiej osoby okrywa tajemnica — znaleźć narratora mającego tak dogłębną wiedzę! Jest bowiem pewne, że taki istnieje. Czyż my sami nigdy nie opowiadaliśmy beznamiętnym tonem przyjacielowi albo i nieznanemu o miłostkach tej lub owej kobiety, o których nic nie wiedział, więc słuchał nas z zapartym tchem? Skoro właśnie ja byłem owym człowiekiem, który opowiadał Blochowi o pani de Guermantes i o Odecie Swann, żył gdzieś i ten, kto mógłby mi opowiedzieć o Albertynie, albowiem w każdym przypadku jest na świecie taka osoba... ale nie będzie nam dane jej spotkać. Wydawało mi się, że gdybym mógł odnaleźć kobiety, które ją znały, dowiedziałbym się wszystkiego, co wiedzieć chciałem. A przecież człowiek obcy mógłby pomyśleć, że nikt nie wie więcej ode mnie o jej życiu. Czyż nie znałem Anny, jej najlepszej przyjaciółki? Ludzie chcą wierzyć, że osobisty przyjaciel ministra wie wszystko o sprawach państwa albo że znajomość taka ochroni go przed uwikłaniem w proces sądowy. Ale ów przyjaciel pamięta, że ilekroć chciał porozmawiać z ministrem o polityce, ten częstował go ogólnikami i nie mówił nic ponad to, co można było przeczytać w gazetach, a nagabywania o protekcję w jakiejś sprawie zbywał niezmiennym stwierdzeniem: „To nie jest w mojej mocy”, aż znajomy zrozumiał, że nie jest w jego mocy wpłynąć na ministra. Mówiłem sobie: „Gdybym tak dotarł do innych świadków!”, a przecież, jeśli bym nawet do nich dotarł, nie wy dobyłbym od nich nic więcej niż od Anny, która znała tajemnicę, lecz nie chciała mi jej zdradzić. Inaczej niż Swann, który uwolniwszy się od zazdrości, przestał się interesować tym, co robiła Odeta w towarzystwie Forcheville’a — nawet kiedy moja zazdrość przeminęła, wciąż jeszcze ciekaw byłem praczki znad Loary i pragnąłem poznać mieszkańców dzielnicy Albertyny, wciąż jeszcze rozpamiętywałem jej potajemne życie, jej kłamstwa i wykręty. A ponieważ wszelkie żądze mają u podłoża wcześniejsze olśnienia — tak samo było kiedyś z Gilbertą i księżną de Guermantes — w dzielnicach, w których Albertyna mieszkała, szukałem kobiet z jej sfery i tylko w ich towarzystwie znajdowałem zadowolenie. Nawet jeśli niczego nie potrafiłem się od nich dowiedzieć, pociągały mnie właśnie te, które znała lub poznać mogła, nawykłe obracać się w tych samych kręgach, w których ona się obracała; jednym słowem te, które zdołał nimb podobieństwa do Albertyny lub które byłyby jej się spodobały. A wśród tych ostatnich przede wszystkim dziewczyny z ludu, ze względu na odmienną naturę życia, jakie wiodły, od tego, które było mi znane. Bez wątplenia to umysł czyni swoją własnością miejsca i rzeczy, zatem dzieło sztuki nie może naprawdę należeć do kogoś, kto — nie rozumiejąc go — powiesił je sobie w stołowym. Nikt nie zadomowi się też w pejzażu, w którym zamieszkał, jeśli nań nie patrzy. A przecież uległem złudzeniu, że biorę w posiadanie Balbec, kiedy w Paryżu odwiedziła mnie Albertyna i trzymałem ją w ramionach. Ocierałem się, dość powierzchownie zresztą i przelotnie, o świat Albertyny, całując się z jakąś robotnicą; oddychałem atmosferą fabryk, ubogich czynszówek i rozmów przy kontuarze. Tak samo jak Anna, kobiety te interesowały mnie tylko przez wzgląd na Albertynę; niegdyś Albertyna pociągała mnie jako cząstka Balbec. Znałem rozkosze zastępcze, po które sięgałem zamiast innych; kolejne były coraz mniej warte. Łatwiej mi było obejść się bez tego, czego mieć nie mogłem — wyjazdu do Balbec, miłości Albertyny — dzięki innym przyjemnościom, różniącym się od tamtych zaledwie odcieniem (na przykład niegdyś oglądałem w Luwrze płótna Tycjana, których widok po trosze zastępował mi niemożliwą podróż do Wenecji). Moje życie zdawało się podzielone na strefy falą koncentrycznych kręgów, rozchodzącą się wokół pierwotnego pragnienia, które ją wywołało, i zanikającą w oddaleniu od epicentrum. Narzucała mojemu życiu swój własny porządek, nadawała

ton wszystkim moim sprawom, tak jak wtedy, kiedy zajęty byłem Gilbertą albo panią de Guermantes. Dla mojego pragnienia bliskości Albertyny, skazanego już na niespełnienie, Anna i inne kobiety były tym samym, czym w pewien wieczór — gdy znalazłem Albertynę tylko z widzenia i nie miałem jeszcze nadziei zagarnąć ją dla siebie bez reszty — stała się świeżość nabrzmiałej słońcem winogronowej kiści. Kiedy tak rozmyślałem to o Albertynie, to znów o typie kobiet, do jakich zdradzała szczególnie pociąg, odnajdywałem w sobie cierpkie uczucie zazdrości, czy też tęsknoty, które później, gdy moja rozpacz ostygła, przemieniło się w ciekawość z nutą fascynacji.

Nieodłączną częścią mojego wspomnienia o tej miłości stały się pewne właściwe Albertynie, związane z jej środowiskiem i konstytucją fizyczną znaki szczególne, pomimo których ją kochałem, i to one zwracały teraz moje żądze tam, gdzie kiedyś najmniej mnie ciągnęło: ku ciemnowłosym pannom ze zwykłych mieszczańskich domów. Owa stopniowo odradzająca się we mnie siła nie była niczym innym niż dawniejszy nienasycony głód prawdziwego życia, w którym tak pragnąłem zanurzyć się na wiejskich drogach pod Balbec i na paryskiej ulicy; był on zbyt wielki, by się nasycić jedną Albertyną. Z tej to przyczyny cierpiałem bez miary, gdy podejrzewając, że Albertyna ulega tym samym co ja pragnieniom, zmuszony byłem pozbawić ją wszelkich możliwości zaspokojenia ich przy kimś trzecim. Teraz zaś, kiedy myśl o jej żądzach stała się łatwiejsza do zniesienia, choć nieodmiennie budziła się we mnie pod naporem moich własnych pragnień, widząc te dwa nienasycone apetyty tak podobnymi, że można by folgować im pospołu, mówiłem sobie nieraz: „Jej też by się ta dziewczyna spodobała”. I w tejże chwili, pomyślawszy o niej i o jej śmierci, popadałem w smutek i nazbyt przygniatający, by móc dalej ścigać przedmiot mojego pożądania. I jak niegdyś strona Méséglise i strona Guermantes nadały kształt moim pojęciom o wsi, tak trwale, że wiejski pejzaż nie miał już dla mnie żadnego uroku, jeśli zabrakło w nim starego kościoła, chabrów i jaskrów — tak teraz miłość do Albertyny, przez pamięć rajskiej przeszłości, kazała mi oglądać się za jednym tylko, szczególnym typem urody. Znów, tak jak kiedyś, zanim ją pokochałem, złakniony byłem brzmień właściwych jej tonacji; teraz miały mi one zastąpić gasnące wspomnienie. Nie znajdowałem już upodobania w dumnych jasnowłosych księżniczkach, nie poruszały bowiem we mnie żadnych emocji związanych z Albertyną, z moją tęsknotą, z zazdrością, jaką budziły we mnie jej miłostki, ani z bólem, jaki mi przyniosła jej śmierć. Tylko wówczas bowiem odczuwamy całą pełnię własnych doznań, gdy za ich sprawą odzywa się w nas coś jeszcze, jakieś uczucie, które nie może zadowolić się rozkoszą i które należy zapisać po stronie tęsknot, ponieważ dramatycznie potęguje ono pragnienia i zmusza nas do szalonej pogoni za szczęściem. Gdy miłość Albertyny do tej czy innej przestawała przyprowadzać mnie o udrękę, kobiety owe wchłaniała moja przeszłość, by dzięki nim wydawać się bardziej rzeczywistą; podobnie jaskry i krzaki tarniny z mojego wspomnienia o Combray wydawały się prawdziwsze od żywych kwiatów. Nawet o Annie nie myślałem już z gniewem: „Albertyna ją kochała”, ale przeciwnie, by wytłumaczyć sobie swoją własną skłonność do niej, powtarzałem łagodnie: „Przecież kochała ją Albertyna”. Lepiej rozumiałem teraz tych wdowców, o których inni myślą, że już minęła ich żaloba, gdy oni wciąż są niepokieszeni i dają tego niezbity dowód, żeniąc się ze szwagierkami.

Tak oto gasnąca namiętność zdawała się popychać mnie w ramiona nowej miłości. Kobieta uwielbiana przez lata, gdy czuje, że traci już władzę nad uczuciami kochanka, próbuje jeszcze rządzić jego życiem, i nie jest to niemożliwe, pod warunkiem, że zadowolą ją rola stręczycielki. Jak pani de Pompadour Ludwikowi XV, Albertyna wskazywała mi teraz coraz to inne dziewczęta. Dawniej kamienie milowe mojego życia to były kobiety, których pożądałem. Kiedy zmniejszała się gwałtowność rozkoszy, jakich doznawałem z jedną, u drugiej szukałem czułości w stanie czystym, póki nie odezwała się we mnie potrzeba wyrafinowanych pieszczot, pod której wpływem zaczynałem znów tęsknić za tą pierwszą. Teraz jednak zabrakło w moim życiu odmiany, trwającej epoce nie było końca. Marzyłem o nowej przyjaciółce, która zamieszkałaby ze mną i przed snem żegnała mnie siostrzanym pocałunkiem. Toteż mógłbym prawie uwierzyć, że bardziej tęskniłem do pocałunku niż do znajomych ust, bardziej pragnąłem rozkoszy niż miłości, a przyzwyczajenia okazały się ważniejsze niż osoba — gdybym nie przekonał się, jak nieznośna jest mi obecność innej kobiety. Chciałbym, żeby nowo przybyła mogła grać mi Vinteuila i rozmawiać o Elstirze. Ale to wszystko na nic. Ta miłość i tak nie mogłaby się rów-

nać z tamtą, o czym wiedziałem. Może dlatego, że tamta była utkana z niezliczonych drobnych zdarzeń, z wizyt w muzeach, z wieczorów na koncertach, z całej różnorodności życia, która buduje porozumienie i dostarcza tematów do rozmów, i że poprzedzał ją flirt, a potem opromieniła ją prawdziwa przyjaźń — taka miłość jest czymś nieskończenie głębszym niż miłość kobiety, którą możemy jedynie osiąść; ma bowiem w sobie bogactwo brzmień orkiestry, gdy tamtą możemy porównać do fortepianu solo. Albo też dlatego, że potrzebowałem czułości właśnie takiej, jaką znalazłem u Albertyny, czułości młodej kobiety, która odebrała dość staranne wychowanie, która była przy tym zdolna do uczuć siostrzanych. I potrzeba owa — tak samo jak pragnienie obcowania z dziewczętami z tejże sfery — była po prostu kolejnym przejawem mojej wciąż żywej pamięci o Albertynie, świadectwem mojej niewygasłej miłości. I jeszcze raz przekonywałem się, że pamięć niczego nie stwarza, że nie możemy zapragnąć niczego innego i niczego ponad to, co już kiedyś zdarzyło nam się posiadać; że, poza tym, natura pamięci jest duchowa, dlatego też upragnionego przez nas stanu rzeczywistość nie może nam stworzyć, i że wreszcie, jeśli pamięć zwraca się ku zmarłej, to nie dlatego, że chcielibyśmy nadal ją kochać, ile raczej z tej przyczyny, że czegoś jeszcze oczekujemy od nieobecnej. Toteż jeśli nawet znalazłem kobietę podobną do Albertyny i jeśli zdołałem wydobyć z niej nutę czułości przypominającej tamtą czułość, to i tak w najlepszym razie mogłem tylko odczuć tym silniej brak tego, za czym uganiałem się, sam nie wiedząc, czego mi trzeba; wiedziałem jedynie, że bez tego czegoś nie odzyskam szczęścia. Tym, za czym na próżno gonilem, była prawdziwa, żywa Albertyna i czas wspólnie przeżyty, przeszłość, do której wciąż jeszcze szukałem drogi powrotnej, nie będąc tego nawet świadomym.

W pogodne dni Paryż wydawał mi się rabatą rozkwitającą niezliczonym tłumem młodych dziewcząt. Nawet jeśli nie budziły we mnie żądz, to zapuszczały korzenie w mrocznych głębiach, w ciemnościach nieznanego mi nocnego życia Albertyny. Jedną z nich mogła być ta, o której na początku naszej znajomości, kiedy Albertyna nie pilnowała się jeszcze tak bardzo, powiedziała: „Patrz na tę małą, zachwycająca, cóż za wspaniałe włosy”. Cała ciekawość jej świata, rozogniona we mnie już wtedy, kiedy znałem Albertynę tylko z widzenia, spłotła się z moją własną żądzą doznań w jedno pragnienie, by móc widzieć Albertynę z kobietą, pojąć, jakiej to doznawała z nią rozkoszy. Miałem zapewne nadzieję, że po odejściu tamtych kobiet zostanę z nią wreszcie sam, jedyny kochanek, pan i władca. A kiedy dostrzegłbym w niej wahanie, czy spędzić wieczór z tą czy z tamtą, jej przesył po spotkaniu z inną jeszcze, a może zgoła rozczarowanie, zdołałbym pewnie rozwikłać i sprowadzić do właściwych rozmiarów tajemnicę Albertyny, przyczynę mojej zazdrości; patrząc bowiem, jak nią targają te sprzeczne uczucia, mógłbym poznać miarę jej rozkoszy, zbadać krańce.

Iluż uciech, myślałem, iluż uśmiechów losu pozbawił nas ten zawzięty upór, z jakim zaprzeczała swoim skłonnościom! I kiedy po raz kolejny zastanawiałem się, skąd mógł się brać, nagle przypomniałem sobie słowa, które wypowiedziałem do niej w Balbec tamtego dnia, kiedy dała mi ołówek. Czyniąc jej wymówki za to, że odmówiła mi pocałunku, wyznałem, że uważam go za coś równie naturalnego, jak nikczemne są w moich oczach stosunki kobiet z kobietami. Zapamiętała to sobie, niestety.

Sprowadzałem do domu dziewczęta, które kiedyś byłyby nie w moim guście, głaskałem niewinnie rozpuszczone loki, podziwiałem kształtny nos, hiszpańską błądź cery. Jeśli dawniej zdarzyło mi się spojrzeć na kobietę spotkaną przelotnie na wiejskiej drodze pod Balbec albo na paryskiej ulicy, nie zapomniałem, że moje żądze kierują się ku określonym osobom i że nadzieja zaspokojenia ich z kim innym prowadzi na manowce. Życie jednak uczyło mnie dzień po dniu, że naszym losem jest wieczne niespełnienie, i przyzwyczało mnie w braku tej, której pragnąłem, szukać ukojenia u innej; przeczuwałem, że czegokolwiek chciałbym od Albertyny, mogłem to równie dobrze dostać gdzie indziej, na przykład u panny de Stermaria. Przypadek podsunął mi Albertynę. I moje pragnienie bliskości weszło w tak ścisły związek ze znakami szczególnymi jej ciała, że nie umiałbym już wskazać osobnego wątku moich potrzeb i uczuć w owym kobiercu wspomnień o jej cielesności. Ona jedna mogła dać mi to szczęście. Jeśli przechowywałem jej wyobrażenie jako istoty niezastąpionej, nie była to metafizyczna idea powzięta a priori, wysnuta z jakichś specjalnych cech Albertyny, podobna do tych, które tworzyłem sobie dawniej, mijając na drogach nieznanome, lecz raczej wniosek z obserwacji pewnych nierozewal-



nych, choć przypadkowych zrostów różnych moich wspomnień. Nie mogłem już nawet pomyśleć o miłości, by od razu nie poczuć na nowo tęsknoty za Albertyną i rozpaczy, że jej tu nie ma. Podobieństwo kobiet, które mi się trafiały, albo czułości, jakich od nich oczekiwałem, do tamtego minionego szczęścia przypominało mi o tym, że czegoś ważnego im brakuje i że bez tego czegoś szczęście nie może powrócić. Ta sama pustka, którą zionął mój pokój po wyjeździe Albertyny i którą usiłowałem zappełnić, biorąc w ramiona coraz to nowe kobiety, wyzierała i z nich. One nigdy nie mówiły ze mną o muzyce Vinteuila, o *Pamiętnikach* Saint-Simona, nie zjawiały się u mnie uperfumowane do przesady, nie bawiły się muskaniem rzęsami moich rzęs, obce im były wszystkie najważniejsze rzeczy, właśnie te, z których utkana jest owa romantyczna otoczka aktu cielesnego, iluzja miłości; każda z tych kobiet w istocie była dla mnie tylko jakimś innym fragmentem wspomnienia o Albertynie, jej to bowiem naprawdę szukałem. To, co w nich było z Albertyny, mogło jedynie podkreślić jeszcze wyraźniej pewien brak, nieobecność czegoś, co było dla mnie wszystkim, a czego nie dane mi było odzyskać już nigdy, bo Albertyna umarła. Tak oto miłość do Albertyny, stręcząc mi inne kobiety, jednocześnie czyniła mi je obojętnymi, a mój żal po jej stracie, tak jak zastarzała zazdrość, trwalsza, niż mogłem sądzić w najczarniejszych przewidywaniach, nigdy by mnie zapewne nie opuścił, gdyby pozostał jedynie przedmiotem gry wspomnień, odcięty od innych wątków mojego życia i poddany psychologicznym prawom bodźca i reakcji, odnoszącym się do stanów niezmiennych; gdyby nie stał się częścią większej całości, w której duch może poruszać się w czasie tak samo, jak ciała w przestrzeni.

Tak jak przestrzeń rządzi geometria, psychologia działa w czasie; żadne rachuby wywiedzione z psychologii dwuwymiarowej, płaskiej, nie mogły być prawdziwe, nie uwzględniały bowiem Czasu ani też zapomnienia, będącego jedną z jego form. Zapomnienia, którego potęgę zaczynałem dopiero przeczuwać i które okazuje się tak skutecznym narzędziem naszego przystosowania do rzeczywistości, ponieważ stopniowo unicestwia w nas ocalałe resztki minionego czasu — te dwa żywioły toczą bowiem wieczną walkę. Mogłem bez trudu domyślić się, że przyjdzie dzień, kiedy nie będę już kochał Albertyny. Już wtedy, kiedy zacząłem zauważać, jak różne jest znaczenie jej osoby lub uczynków w moich i cudzych oczach, zrozumiałem, że miłość, którą nosiłem w sobie, określa nie ja, lecz mnie samego. Mogłem wyciągnąć stąd różne wnioski co do subiektywnej natury mojej miłości, która, będąc tylko stanem ducha, przetrwała dłużej niż ukochana osoba, ale zarazem, nie mając już z tą osobą rzeczywistego kontaktu, żadnego punktu zaczepienia na zewnątrz, musiała, jak to bywa ze stanami wewnętrznymi, nawet tymi, które utrzymują się najdłużej, wyczerpać się, zużyć i ustąpić; wtedy zaś wszystko to, co zdawało się tak nierozzerwalnie wiązać mnie z błogim wspomnieniem Albertyny, mogło już tylko zniknąć bez śladu. Na swoje nieszczęście drugi człowiek jest dla nas niby sztych z kolekcji, którą chętnie posługuje się umysł. Umysł nuży się bowiem wspomnieniami i pozwala im obrócić się w nicość. Wiedziałem, że przyjdzie dzień, kiedy będę gotów z ochotą oddać pierwszej z brzegu pokój Albertyny, tak jak Albertynie oddałem bez żalu agatową kulę i wszystkie inne podarunki Gilberty.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie znaczy to, że już przestałem kochać Albertynę. Ale była to miłość inna niż w ostatnich tygodniach jej życia; podobna raczej do tej z okresu pierwszego zauroczenia, kiedy w mojej zachłannej ciekawości miejsc i ludzi związanych z jej życiem więcej było podziwu niż bólu. Toteż przeczuwałem, że zanim o niej do reszty zapomnę, zanim osiągnę znów stan pierwotnej obojętności uczuć, będę musiał, niczym wędrowiec powracający do miejsca, z którego wyruszył, przebyć w odwrotnym porządku kolejne stadia rozwoju mojej miłości. Lecz tych minionych stanów ducha, tych mgnień przeszłości nie pochłoniął zastój, przetrwała w nich niespożyta siła, radosna niewiedza nadziei, wyrwijącej się w czas przyszły. W czas przyszły, który oto dawno już stał się przeszłym, lecz nadal potrafi nas omamić, sprawiając, że jeszcze raz, choćby przez krótką chwilę, będziemy czekali nań z niecierpliwością. Odczytany na nowo liścik, w którym kiedyś zapowiadała na wieczór swoją wizytę, na moment przywrócił mi radość oczekiwania. Gdy opuszczamy na zawsze okolicę, w której zabawiliśmy trochę, w drodze powrotnej przebywamy po raz drugi trasę

znaną już z podróży w tamtą stronę, rozpoznajemy szczegóły pejzażu, nazwy mijanych stacji; zdarza się wtedy podczas postoju ulec złudzeniu, że gdy pociąg ruszy, pojedzie w przeciwnym kierunku; przez sekundę nie pamiętaliśmy, że to już powrót. Czar łatwo pryska, ale przez ową sekundę zdawał się przecież naprawdę w mocy unieść nas wstecz: tak przemożna jest potęga pamięci.

Jeśli jednak podróż powrotna ku epoce nie znającej naszej miłości nie przebiega, w odwróconym porządku, po znanej trasie, począwszy od końcowego przystanku, leżącego w kulminacyjnym punkcie namiętności, to równie dobrze możemy wracać inną drogą; wszystkie mają pod dostatkiem rozjazdów. Zapomnienie bowiem, tak samo jak miłość, rozwija się niemiarowo, często zmieniając tory. Ten, którym powracałem, miał tuż przed stacją końcową cztery przystanki zapamiętane przeze mnie ze szczególną dokładnością, dlatego zapewne, że dostrzegłem tam parę szczegółów nie związanych z moją miłością do Albertyny lub przynajmniej związanych z nią o tyle tylko, i o ile inne uczucia, obecne w nas jeszcze przed okresem najsilniejszego wybuchu namiętności, mogą się w nią wtopić, zasilając ją albo tłumiąc, mogą też pozostać dla niej tłem, przez kontrast ukazującym wnikliwemu spojrzeniu jej naturę.

Pierwszy z etapów tej podróży rozpoczął się z nadejściem zimy, gdy w piękną niedzielę Wszystkich Świętych wybrałem się na przejażdżkę. Zbliżając się do Lasku wspomniałem ze smutkiem Albertynę powracającą do mnie z Trocadéro, dzień był bowiem taki sam jak tamten, tylko Albertyny zabrakło. Wspomniałem ją ze smutkiem, lecz przecież nie bez przyjemności, jakiej może dostarczyć powtórzenie w melancholijnej minorowej tonacji wcześniejszego motywu, który całkowicie wypełnił mi inny dzień. Tym razem zabrakło telefonu Franciszki, zapowiadającego przybycie Albertyny, lecz nawet to nie zniweczyło mojej przyjemności, przypomniało jedynie o upływie czasu i osnuło cały ten dzień otoczką smutku, przydając mu szczególnego piękna, obcego dniom uporządkowanym, nie rozdartym; to bowiem, czego w nim brakowało, co mu zostało odjęte, pozostawiło widoczną wyrwę. Nucilem frazę z sonaty Vinteuila. Myśl, że tak często grywała ją Albertyna, nie była już bolesna, wszystkie bowiem wspomnienia, jakie mi po niej zostały, niby w wyniku zakończonej już reakcji chemicznej przeszły w stan, w którym — zamiast niepokojącego ucisku w sercu — niosły mi ukojenie. Chwilami, w miejscach granych przez nią najchętniej, opatrywanych jej własnymi uwagami, które wówczas mnie ujmowały, a teraz ożywały we wspomnieniu, powtarzałem sobie: „Biedna mała”, ale nie było w tym smutku, raczej świadomość dodatkowej ceny, jakiej nabrały muzyczne pasaże, ich wartości historycznej i pamiątkowej, takiej, jaką zyskuje na przykład portret Karola I pędzla Van Dycka, piękny już sam w sobie, gdy dowiadujemy się, że znalazł się w zbiorach narodowych z woli pani du Barry, która chciała oślnić króla. Kiedy mała fraza rozsypywała się tuż przed ostatecznym zniknięciem, gubiąc melodię i rytm, i falowała pośród rozproszonych dźwięków jeszcze przez chwilę, nie słyszałem w niej, w przeciwieństwie do Swanna, przesłania od tej, która mnie opuściła — od Albertyny. Mała fraza budziła we mnie inne skojarzenia, skłaniała do innych myśli. Poruszał mnie raczej sam jej rozwój, przetwarzanie motywów, ich nawroty, całe to „stawanie się”, rozciągnięte w owej sonacie tak jak miłość w moim życiu. Teraz zaś dzień po dniu patrzyłem, jak moja miłość gubi melodię i rytm — wyzbywając się najpierw zazdrości, a potem i innych swych przejawów. Powracały nieśmiało w mglistym wspomnieniu, przywabione ledwie słyszalnym brzmieniem pierwszych taktów; miałem wrażenie, że moja miłość rozpada się wraz z małą frazą, wietrzejąc i niknąc w oczach.

Kiedy podążałem aleją, wzdłuż której ciągnął się szpaler krzewów, okryty szatą z każdym dniem coraz cieńszą, narzucało mi się wspomnienie powrotu z pewnej przejażdżki powozem w towarzystwie Albertyny; poczułem, jak głęboko przenikała całe moje życie; wciąż jeszcze unosiła się wokół mnie w delikatnej mgłę otaczającej czarne kontury gałęzi, gdy zachodzące słońce prześwietlało rozsiane z rzadka pośród nich złociste liście, które wydawały się zawieszane w pustce. Nie dość mi było oglądać te obrazy oczyma duszy, wciągały mnie i pochłaniały jak owe stronicze wypełnione opisami przyrody, w które autor, chcąc uczynić dzieło doskonalszym, wplata jakąś dodatkową, fikcyjną historię. Całą przyrodę przenikał czar łagodnej melancholii, tak bliskiej mojemu sercu. Coraz to ogarniało mnie drżenie, dobrze znane ludziom, którym obsesja każe w kobietach mijanych

na rogu ulicy dostrzegać uderzające podobieństwo do tej jedynej osoby ciągle zaprzątającej umysł: „Czyżby to była ona?” Oglądamy się za jakąś postacią, ale powóz jedzie dalej przed siebie, nigdy bowiem nie zawracamy, by za nią podążyć.<sup>17</sup> Ulegałem czarowi, który zdawał się płynąć stąd, że wciąż tak samo kochałem Albertynę; lecz w istocie było wprost przeciwnie, niepamięć czyniła postępy i wspomnienie Albertyny nie było już bardzo bolesne, co oznacza, że i ono przeszło jakąś przemianę. Lecz choćbyśmy byli tak pewni swojego rozeznania we własnych uczuciach, jak ja, gdy nie wątpiłem, że rozumiem przyczynę mej melancholii, niedostępne jest nam ich głębsze znaczenie. Są choroby, w których lekarz po wysłuchaniu skarg pacjenta musi dopiero dotrzeć do podłoża, którego sam pacjent nie jest świadomy — podobnie bywa z naszymi uczuciami, z naszymi myślami, które nie znaczą więcej niż zespół zewnętrznych objawów. Gdy moja zazdrość ustąpiła pola dziwnemu stanowi urzeczenia i łagodnego smutku, znów obudziły się we mnie do życia wszystkie zmysły. I tak samo jak wtedy, kiedy przestałem spotykać się z Gilbertą, przepelniała mnie miłość w stanie czystym, nie przypisana żadnej z kobiet, które kochałem, lekka jak te substancje eteryczne, uwolnione wcześniej w procesach rozkładu, snujące się w wiosennym powietrzu w poszukiwaniu jakiejś nowej istoty, z którą mogłyby się połączyć. Nigdzie nie rośnie tyle kwiatków, może nawet i niezapominajek — co na cmentarzu. Spoglądałem na młode dziewczęta, którymi rozkwitał bujnie ten piękny dzień, tak jak niegdyś patrzyłem na nie z powozu pani de Villeparisis, a potem, w niedzielę taką jak dziś, podczas przejażdżki z Albertyną — z okien dorożki takiej jak ta, która mnie teraz właśnie unosiła; za każdym moim spojrzeniem posłanym tej lub innej biegło teraz ciekawskie i zuchwałe, skrywające nieodgadnioną myśl spojrzenie Albertyny, jakim — byłem pewien — obrzuciłaby ukradkiem te same dziewczęta. Strzelało, jasnoblękitne i bystre, z niewidocznej flanki, towarzysząc mojemu niczym lustrzane odbicie jego trajektorii; sprawiło, że widok ulicy, zawsze tak banalny, przejmował mnie tajemnym dreszczem. Moje własne spojrzenie, zdane na samotność, nie wystarczyłoby do rozbudzenia nowych żądz, nie ukazując nic, czego bym dotąd nie znał.

Zdarzało mi się pod wpływem lektury jakiejś smutnej opowieści uczynić krok wstecz, książki bowiem przybijają nas niekiedy jak chwilowe, przemijające nieszczęścia, rozsadzają rutynę naszego życia, stawiają nas twarzą w twarz z nieupiększoną, surową rzeczywistością, lecz najwyżej na kilka godzin, jak złe sny, albowiem siła nawyku i zapomnienia, a także dobry humor, który mamy do zawdzięczenia niezdarności naszego własnego umysłu w jego dociekaniu prawdy, zyskuje miazdzącą przewagę nad hipnotycznym oddziaływaniem pięknej powieści, której moc, jak to zwykle bywa ze zmyśleniami, wietrzeje bardzo szybko.

Czyż nie dlatego zresztą tak bardzo chciałem poznać Albertynę w Balbec, że miała wszelkie cechy tego gatunku młodych dziewcząt, na którego widok aż przystawałem z wrażenia na rogu ulicy albo na wiejskiej drodze? Gatunku, którego ucieleśnieniem była w moich oczach. I czy nie rozumiało się samo przez się, że gasnąca już gwiazda mojej miłości, która skupiła kiedyś w sobie wszystek blask tych istot, obróci się teraz w mgławicowy pył? Młode dziewczęta były dla mnie Albertynami, nosiłem w sobie jej wizerunek i zdawało mi się na każdym kroku, że ją rozpoznaję; kiedyś nawet zdarzyło mi się dostrzec na rogu jakiejś alei wsiadającą do auta dziewczynę o sylwetce tak ładną podobnej, że przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie ją samą zobaczyłem i czy przypadkiem nie oszukali mnie historyjką o jej śmierci. Znów miałem ją przed oczyma na jakimś rogu, może w Balbec, wskakującą do auta w ten sam sposób, jeszcze pełną niezachwianej wiary w życie. Gest, który towarzyszył tej młodej dziewczynie przy wsiadaniu do auta, objawił się nie tylko moim oczom i nie tylko w swoim zewnętrznym wymiarze, jako zjawisko, na które podczas przechadzki można natknąć się wszędzie. Zastygłe w pamięci, zdawało się niczym pomnik rzucać cień daleko w przeszłość dzięki znaczeniu, które sam mu nadałem, a które tak rozkosznie i tak boleśnie chwytało mnie za serce.

Ale ona już zniknęła. Trochę dalej ujrzałem grupkę trzech dziewcząt, może już kobiet; bijący od nich blask młodości, siły i swoistego szyku przypomniawszy mi wszystko to, co zachwycało mnie w Albertynie już pierwszego dnia, kiedy ją tylko dostrzegłem pośród

<sup>17</sup> *Coraz to ogarniało mnie drżenie (...) by za nią podążyć* — fragment dopisany przez Prousta na marginesie, zamieszczony w przypisie w wydaniu Gallimarda, pominięty w wydaniach polskich. [przypis tłumacza]

przyjaciółek. Ruszyłem więc za nimi, i w chwili, kiedy złapały dorożkę, zacząłem gorączkowo, na wszystkie strony rozglądać się za drugą. Znalazłem, lecz było już za późno. Nie dogoniłem ich. Po kilku dniach, wracając do domu, natknąłem się w naszej bramie na tę samą trójkę; tym razem szedłem za nimi aż do Lasku. Wszystkie, a zwłaszcza dwie z nich, brunetki, były podobne — choć nieco starsze — do tych wytwornych panienek, którym przyglądałem się z okna i które mijałem na ulicy, unoszony na sam ich widok porywami szalonej radości życia; w związku z nimi kłębiły mi się w głowie setki pomysłów, ale nie wiedziałem, jak zawrzeć znajomość. Ta trzecia, blondynka, wydawała się węższa, niemal anemiczna, i podobała mi się z nich najmniej. Ale to z jej powodu, zamiast poprzestać na przelotnym spojrzeniu, stanąłem jak wryty i wlepiłem w nie wzrok natarczywy, badawczy, jakbym dla rozwiązania zagadki musiał przeniknąć także to, co niewidoczne. Bez wątpienia pozwoliłbym im rozplnąć się w tłumie, jak przedtem wielu innym, ale blondynka, przechodząc obok (może dlatego, że przypatrywałem się jej z taką uwagą?), rzuciła mi na początek ukradkowe spojrzenie, a potem, obejrawszy się, jeszcze jedno, od którego zapłonąłem żywym ogniem. Po chwili jednak straciła zainteresowanie moją osobą i podjęła przerwana rozmowę z tamtymi dwiema, toteż płomień, który mnie ogarnął, zgasłby samoistnie, gdyby nie podsyliły go późniejsze wypadki.

Postanowiłem wy badać odźwiernego, kim były te dziewczęta.

— Pytały o księżną panią — odpowiedział. — Chyba tylko jedna ją zna, a tamte przyszły dla towarzystwa i czekały przy wejściu. Tu zapisałem jej nazwisko, nie dam głowy, że bez błędu.

„Panna Déporcheville”, przeczytałem i bez trudu przywróciłem temu nazwisku pierwotny kształt, „d'Éporcheville”. O ile sobie przypominałem, było to nazwisko młodej panny ze świetnej rodziny, skoligaconej, lecz niezbyt blisko, z Guermantami; to o niej Robert mówił mi, że ją spotykał w jakichś domach schadzek i miał ją nawet kilka razy. Wówczas odczytałem sens jej spojrzenia i sposób, w jaki mi je posłała, niepostrzeżenie dla przyjaciółek. Ileż to razy w przeszłości rozmyślałem o niej, próbując ją sobie wyobrazić, lecz nie dysponowałem żadną wskazówką prócz nazwiska, zasłyszanego od Roberta. I oto ujrzałem ją na własne oczy; niczym się nie różniła od tamtych dwóch, może tylko tym nieodgadnionym spojrzeniem, uchylającym tajemnych wrót ku ciemnym zakamarkom jej życia, gdzie nie sięgał wzrok przyjaciółek; z tym spojrzeniem wydała mi się bardziej przystępna — już na poły moja — i dużo miłsza, niż bywają zazwyczaj panny z arystokracji. Być może w jej marzeniach już nas połączyły godziny, które moglibyśmy spędzić razem, gdyby udało jej się naznaczyć mi schadzki. Czyż nie to chciała dać do zrozumienia tym przeciągłym spojrzeniem przeznaczonym tylko dla mnie? Moje serce biło ze wszystkich sił, nie umiałbym nawet powiedzieć, jak wyglądała panna d'Éporcheville, pamiętałem tylko jasne włosy i mglisty zarys twarzy widzianej z półprofilu, ale już byłem do szaleństwa zakochany. Nagle uświadomiłem sobie, że nie było żadnych podstaw, by właśnie ową blondynkę, która spojrzała na mnie dwa razy, wziąć za pannę d'Éporcheville. Odźwierny przecież wcale mi nie powiedział, że to ona. Wróciłem więc do stróżówki i zadałem pytanie. Odparł, że nic nie potrafi mi powiedzieć, dziś te panny zjawiły się bowiem po raz pierwszy, i to pod jego nieobecność. Poszedł jednak zapytać żonę, która ponoć już kiedyś je widziała. Żona odźwiernego myślała właśnie schody kuchenne. Któż nie doświadczał stanów rozkosznej niepewności, mniej lub bardziej podobnej tym, które wtedy przeżywałem? Życzliwy przyjaciel, któremu opisaliśmy dziewczynę spotkaną na balu, dochodzi do wniosku, że musiała to być znana mu osoba, i zaprasza nas oboje na ten sam dzień. Ale czy trudno o pomyłkę, kiedy spośród niezliczonych innych możliwości wybrano jedną, opierając się tylko na naszych słowach? Młoda dziewczyna, którą u niego spotkamy, może okazać się wcale nie tą, za którą szaleliśmy. A jeśli jednak powita nas uśmiechem ta właśnie, o którą szło? Bywa i tak, choć nie zawsze zawdzięczamy to pracy umysłu, jakiej wymagało ode mnie odtworzenie nazwiska panny d'Éporcheville; niekiedy można liczyć tylko na błysk intuicji i łut szczęścia, jeśli nam ono sprzyja. I wtedy na widok owej kobiety mówimy sobie: „Ależ tak, to ona”. Pamiętałem, że kiedyś, przyglądając się gromadce dziewcząt spacerujących nad brzegiem morza, zgadłem nieomylnie, która to z nich jest Albertyną Simonet. Wspomnienie to przyprawiło mnie teraz o nagły, choć krótkotrwały, atak ostrego bólu. Podczas gdy odźwierny szukał żony, zaprzętała mnie

myśl o pannie d'Éporcheville, i jak to się zwykle dzieje w chwilach oczekiwania, nazwisko, bez dostatecznych powodów przypisane na chwilę osobie, wyrwało się na wolność, by znów szybować swobodnie pośród wielu możliwości, gotowe przylgnąć do kolejnej postaci i na powrót pozbawić kształtu tę pierwszą, czyniąc ją równie mglistą i nieuchwytną jak w pierwszej chwili. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby odźwierny powiedział mi zaraz, że panną d'Éporcheville była któraś z dwóch brunetek. W takim przypadku rozplynęłaby się w nicości osoba, której istnienia byłem już pewny, którą i zdążyłem nawet pokochać, której pragnąłem nade wszystko. Owa zagadkowa jasnowłosa panna d'Éporcheville, pod wpływem fatalnej wiadomości przyniesionej przez odźwiernego, rozpadłaby się z powrotem na substraty, które połączyłem na własną rękę, jak powieściopisarz topiący w tyglu rozliczne składniki — cechy wielu żyjących postaci — by uformować z nich jedną fikcyjną; inaczej bowiem, wśród wziętych prosto z życia osób o przypadkowych nazwiskach, nie nacechowanych żadną intencją, zagubiłoby się przesłanie dzieła. Gdyby odźwierny wrócił z niepomyślną wiadomością, moje wyobrażenia o pannie d'Éporcheville poszłyby w rozsypkę; ale stało się inaczej, utwierdziłem się w swej pewności, kiedy po chwili usłyszałem, że była nią właśnie blondynka!

W tejsze chwile nabrałem pewności, że nie mogło być inaczej. Zbieg okoliczności okazałby się już nazbyt wyszukany, gdyby z owej trójki dziewcząt, z których jedna spojrzała na mnie tak obiecująco i niemal bez żenady posłała mi uśmiech (posłużył on za pierwszą poszlakę potwierdzającą domysły), jakaś inna miała okazać się w końcu tą panną, która odwiedzała domy schadzki i nosiła nazwisko d'Éporcheville.

Zaczął się dla mnie dzień pefen gorączkowego pośpiechu. Wybrałem się kupić parę rzeczy, które mogły dodać mi blasku i olśnić pojutrze gości pani de Guermantes, bo miałem nadzieję spotkać u niej tę łatwą pannę i umówić się na schadzki (na pewno znalazłbym okazję, by choć przez chwilę porozmawiać z nią w cztery oczy w kącie salonu). Wcześniej jednak udałem się na pocztę i dla większej pewności zadeszowałem do Roberta, by sprawdzić nazwisko i dowiedzieć się, jak wygląda młoda kobieta, o której mi opowiadał; spodziewałem się, że odpowiedź nadejdzie jeszcze przed wizytą u pani de Guermantes, do której, według odźwiernego, ona także wybierała się pojutrze. Nie myśląc ani przez chwilę o niczym innym, zapomniawszy całkiem nawet o Albertynie, zdecydowany byłem stawić się punktualnie na wizytę u księżnej, cokolwiek by mnie przedtem spotkało, choćbym ciężko zachorował, choćbym musiał się kazać tam zanieść. Jeśli deszowałem do Roberta, to nie dlatego, bym nie był pewien, czy trafnie skojarzyłem nazwisko z osobą, bym wątpił jeszcze, czy spotkana przeze mnie dziewczyna była tą samą, o której mi mówił. Miałem niezachwianą pewność. Ale w swojej niecierpliwości nie mogłem doczekać się dnia wizyty, pomyślałem więc, że przyjemnie będzie z depeszy dowiedzieć się dodatkowych szczegółów, które zawczasu dałyby mi poczucie tajemnej władzy nad panną d'Éporcheville. Gdy w biurze telegraficznym, z ożywieniem człowieka, w którym rozpala się nadzieja, układałem treść mojej depeszy, nie mogłem nie zauważyć, o ileż lepszym orężem dysponuję teraz wobec panny d'Éporcheville niż w czasach dzieciństwa, kiedy usychałem z miłości do Gilberty. Wystarczyło, bym wypełnił blankiet depeszy, urzędnik wziął go ode mnie i nadał; druty najszybszej w świecie kompanii telegraficznej, mające w swym zasięgu całą Francję i basen Morza Śródziemnego, jak również hulaszczą przeszłość Roberta, przydatna do określenia tożsamości kobiety, którą spotkałem, oddane były na usługi mojego dopiero zarysowującego się romansu. Tymczasem mogłem o nim zapomnieć, do innych już należało zadbać o to, by przed upływem dwudziestu czterech godzin wszystko się tak lub inaczej wyjaśniło. A przecież kiedyś, przyprowadzony do domu z Pól Elizejskich przez Franciszkę, zdany na własne siły, mogłem się tylko spalać w ogniu bezsilnej żądy; pozbawiony możliwości korzystania ze zdobyczy cywilizacji, kochałem jak mieszkaniec buszu, a nawet — skoro nie była mi dana swoboda ruchu — jak roślina. Od chwili nadania telegramu ogarnęło mnie istne szaleństwo. Mój ojciec miał wyjechać na jeden dzień i oczekiwał, że będę mu towarzyszył, co uniemożliwiłoby mi złożenie wizyty księżnej; jego żądanie przyprawiło mnie o atak wściekłości i takiej rozpacz, że matka wstawiła się za mną i wyjednała, by pozostawił mnie w Paryżu. Potem przez wiele godzin nie mogłem jeszcze ochłonąć z gniewu, podczas gdy miłość do panny d'Éporcheville wezbrała we mnie gwałtownie wobec rzuconej

między nas przeszkody, bo przez chwilę obawiałem się, że wytęskniona godzina tej wizyty — do której nie przestawałem uśmiechać się w duchu, niby do skarbu, którego nie oddałbym za nic — wcale nie nadejdzie. Niektórzy filozofowie utrzymują, że świat zewnętrzny nie istnieje, a życie toczy się tylko w naszym umyśle. Jakkolwiek z tym jest, miłość, nawet w swych najskromniejszych początkach, dostarcza przykładów świadczących niezbicie o tym, że ów zewnętrzny świat niewiele dla nas znaczy. Gdybym musiał nakreślić z pamięci portret panny d'Éporcheville, powiedzieć o niej parę słów albo choćby podać rysopis, nie potrafiłbym tego zrobić. Widziałem ją z profilu, w ruchu, wydało mi się, że jest przystojna, wysoka, jasnowłosa, więcej nic o niej nie wiedziałem. Ale przepętniająca mnie uczucia tęsknoty i niepokoju, przyływ śmiertelnego lęku, że nie zobaczę jej już nigdy, jeśli ojciec zabierze mnie w podróż, wszystko to razem, skojarzone z jej niezbyt wyraźnie zapamiętanym obrazem, dość ujmującym, było już miłością. Nazajutrz rano, po nocy nieprzespanej ze szczęścia, dostałem depezę od Roberta de Saint-Loup: „De l'Orgeville, *de* — partykuła, *l'orge* — zboże, jak żyto, *ville*, jak *ville*.<sup>18</sup> Mała, pulchna, ciemnowłosa, teraz jest w Szwajcarii”. Więc to nie ona.

Chwilę później matka przyniosła mi do pokoju poranną pocztę i położyła niedbale na łóżku z taką miną, jakby myślała o czym innym, i szybko wycofała się, zostawiając mnie samego. Ale znałem chytre wybiegi mojej drogiej mamy, wiedziałem, że z jej twarzy można czytać nieomylnie, jeśli zna się klucz, którym jest jej pragnienie sprawiania innym przyjemności. Uśmiechnąłem się i pomyślałem: „W poczcie jest coś bardzo dla mnie ciekawego, mama przybrała ten obojętny i znudzony wyraz twarzy tylko po to, żeby niespodzianka była zupełna, nie chciała bowiem mnie jej pozbawić jak ci ludzie, którzy potrafią odebrać nam połowę przyjemności, wykładając od razu kawę na ławę. Nie została przy mnie ani chwili dłużej, obawiała się bowiem, że powodowany miłością własną zechcą zataić radość i przez to odczują ją w mniejszym stopniu”. Wychodząc, natknęła się w progu na Franciszkę, która właśnie wchodziła. Moja matka nakłoniła Franciszkę do odwrotu, pociągnęła ją za sobą, zdumioną i skonsternowaną. Zdaniem Franciszki z racji pełnionego urzędu przysługiwał jej bowiem ten przywilej, że wolno jej o każdej porze wejść do mojego pokoju bez pukania i przebywać w nim tak długo, jak jej się spodoba. Ale uraza, malująca się na jej obliczu pospołu z osłupieniem, ulotniła się w mgnieniu oka, jej miejsce zajął zaś posępny grymas uśmiechu, lepkiego od wyniosłej litości i stoickiej ironii, jaką wydzielał podrażniony gruczoł miłości własnej dla zagojenia zadanych mu ran. Aby nie czuć się pogardzaną, gardziła nami sama. Znała nas dobrze, byliśmy jej państwem, kapryśnymi stworzeniami, które nie grzeszą inteligencją i znajdują przyjemność w dręczeniu istot rozumniejszych od siebie, czyli służby, mnóstwem bzdurnych rozporządzeń, jak to, żeby gotować wodę w czasie epidemii, odkurzać meble kawałkiem wilgotnego sukna, opuścić pokój, w którym miało się zamiar dłużej zabawić — wszystko jedynie dla pokazania, że to oni rządzą.

Matka, wychodząc w pośpiechu, zabrała świecę. Zauważyłem, że położyła mi pocztę pod ręką, żeby nie ześliznęła się z kołdry. Ale wymacałem same gazety. Musiał tam być artykuł jakiegoś pisarza, którego lubiłem i który pisywał do gazet rzadko, i to właśnie miała być owa niespodzianka. Zbliżyłem się do okna, rozsunałem zasłony. Dzień był jeszcze bezbarwny i mglisty, ale widok nieba, różowiejącego niczym blachy kuchenne, pod którymi o tej porze rozpała się ogień, tchnął we mnie nadzieję; mieszało się z nią marzenie o przebudzeniu, po nocnej podróży, na małej stacyjce u stóp wzgórza, gdzie ujrzałem kiedyś rumianą mleczarkę.

Otworzyłem „Le Figaro”. Cóż za przykreść! Artykuł na pierwszej stronie nosił taki sam tytuł, jak ten, który im posłałem i którego nigdy nie zamieścili. Ależ nie tylko tytuł, mój wzrok padał na słowa podobne do tych, których sam użyłem. Tego już było za wiele. Pomyślałem, że będę musiał zaprotestować. I w tej chwili usłyszałem głos Franciszki, oburzonej, że ją wypędzono z mojego pokoju, który miała za główną scenę swych wiekopomnych wystąpień. Utyskiwała:

<sup>18</sup>*de* — partykuła; *orge* — jęczmień; słowo *ville*, oznaczające miasto, często występuje w złożeńiach w nazwach miejscowości i nazwiskach. [przypis tłumacza]

— Wielkie mecyje! Znam tego chłopca od małości! Rozumie się, że nie było mnie jeszcze, kiedy go matka rodziła, ale żeby nie skłamać, jak tu nastalam, nie miał nawet pięciu lat!

Ależ było tam znacznie więcej niż kilka podobnych sformułowań, wszystkie zdania były moje, i podpis także mój... To mój artykuł nareszcie się ukazał! Ale mój umysł, który w owym czasie był już rozleniwiony i łatwo popadał w odrętwienie, przez dłuższą chwilę kontynuował wątek poprzedniej myśli, nie przyjmując do wiadomości, że rozpoznałem swój własny artykuł; jak u starych ludzi, którzy muszą doprowadzić do końca każdą rozpoczętą czynność, choćby w trakcie okazała się zbyteczna, choćby jej sens postawiła pod znakiem zapytania jakaś niebezpieczna przeszkoda. Potem zacząłem się zastanawiać, czym jest strawa duchowa, dostarczana przez gazety, jeszcze ciepłe i wilgotne od prasy drukarskiej i od mgły poranka, w której roznosi się je i wręcza służącym, by mogły zostać podane państwu obok filiżanki kawy z mlekiem; oto cudowne rozmnożenie chleba, pokarm jedyny i zarazem powielony w dziesięciu tysiącach egzemplarzy, ten sam w swej nieprzebranej masie i w każdym domu z osobna, obecny wszędzie.

To, co miałem w ręku, nie było jedynie egzemplarzem gazety, jednym z dziesięciu tysięcy. Ten artykuł był czymś więcej niż tylko dziełem stworzonym przeze mnie; był on dziełem przeze mnie stworzonym i pochłanianym przez wszystkich. Żeby docenić w całej rozciągłości wagę zdarzenia, które miało teraz miejsce w każdym domu, musiałbym przeczytać ten artykuł nie jako jego autor, ale jeden z wielu czytelników gazety; znalazłbym w nim coś więcej, niż włożyłem — ślad własnej myśli, odcisnięty w tysiącach głów. Musiałem więc choć na chwilę przestać się czuć autorem, przeistoczyć się w jakiegoś zwyczajnego czytelnika. Ale od razu ogarnął mnie niepokój. Czy nie uprzedzony czytelnik w ogóle zwróci uwagę na mój artykuł? Rozłożyłem gazetę niedbale, tak jak uczyniłby ów nie uprzedzony czytelnik, zrobiłem nawet minę kogoś, kto nie mając pojęcia, co w niej dzisiaj znajdzie, chce ją szybko przejrzeć w poszukiwaniu ważnych wiadomości o wielkim świecie i o polityce. Ale mój artykuł zajmował tyle miejsca, że nawet kiedy próbowałem ominąć go wzrokiem (dla uzyskania bardziej wiarygodnych wyników odmówiłem sobie wszystkiego, co mogłoby przechylić szalę na moją korzyść, niczym ktoś, kto odliczając minuty oczekiwania, woli raczej zwalniać niż przyspieszać), w przelocie i tak zawadziłem wzrokiem o jego fragment. Lecz nawet ci, którzy czytają artykuły wstępne, często wcale nie patrzą na podpis. Ja sam nie potrafiłbym powiedzieć, czyjego autorstwa był artykuł wstępny zamieszczony we wczorajszym numerze gazety. Natychmiast obiecałem sobie, że będę pilnie czytywał wstępniaki, nie pomijając nazwiska autora. Ale zauważyłem ze smutkiem — jak zazdrosny mężczyzna, który nie zdradza swojej kochanki, by samego siebie utwierdzić w przeświadczeniu o jej wierności — że moje szlachetne postanowienie wcale nie skłoni innych czytelników, by w zamian poświęcili mi więcej uwagi. Niektórzy wyjechali na polowanie, inni musieli wczesnym rankiem wyjść z domu. Mimo wszystko, znajdzie się przecież ktoś, kto przeczyta. Zatem i ja rozpoczynam lekturę. Wiem, rzecz jasna, o tym, że wielu ludziom nie spodoba się mój artykuł, ale kiedy go czytam, wydaje mi się, że myśl, kryjącą się w każdym słowie przelanym na papier, widać czarno na białym; toteż nie umiem sobie wyobrazić osoby, która otworzywszy oczy, nie ujrzałaby tego, co ja widziałem. Z tą samą naiwnością, z jaką ktoś jeszcze wierzy, że słowa wypowiedane do słuchawki telefonu niosą się po drutach w tej samej postaci, w jakiej je słyszymy, wyobrażałem sobie, że autor może przekazywać czytelnikowi swoje myśli w sposób bezpośredni, gdy tymczasem w rzeczywistości czytelnik podąża za własnymi jedynie myślami. W tej samej chwili, kiedy wyobrażałem sobie, że jestem pierwszym z brzegu czytelnikiem, obecny we mnie autor próbował odtworzyć tok myślenia tych, którzy będą mój artykuł czytali. Choćby nawet pani de Guermantes nie zrozumiała tego zdania, które musi się podobać Blochowi, rozbawi ją za to refleksja, którą Bloch pogardzi. Toteż każdy z fragmentów, mogących się, jak sądziłem, nie spodobać tej czy innej osobie, znajdował od razu innego amatora, i całość musiała niechybnie zostać wyniesiona pod niebiosa przez cały tłum ludzi, co wyleczy mnie z niewiary w siebie, uwolni od ciężaru dalszej obrony moich racji. W istocie bowiem z wartością takiego artykułu, choćby był nawet najwyższej próby, jest tak jak ze sprawozdaniami z Izby Deputowanych, gdzie kwestia „To się jeszcze okaże”, wygłoszona przez ministra, jest tylko częścią, najmniej istotną, fragmentu, który w całości brzmi na przykład tak: PREZES RADY

MINISTRÓW, MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH I WYZNAŃ — „To się jeszcze okaże” (*Burzliwe owoce na skrajnej lewicy, okrzyki „Brawo! Brawo!” w kilku ławach po lewej i w centrum*); oto rozwinięcie godne początku i nie ustępujące mu zakończenie. O uroku takiego zdania przynajmniej po części stanowi to, co jest skazą całego tego literackiego gatunku, nie wyłączając nawet słynnych *Poniedziałków*, istotą wartości dzieła są tu bowiem emocje czytelników. Objawi się ono zbiorowej wyobraźni okaleczone niczym posąg Wenus, jeśli poprzestaniemy na myśli autora, piękno bowiem może dostąpić urzeczywistnienia tylko w sercach publiczności i w nich tylko może się dopełnić. A ponieważ tłum, choćby nawet złożony z samej śmietanki towarzyskiej, nie miewa artystycznej natury, odcisnięty w nim ślad myśli zawsze będzie miał w sobie coś pospolitego. Sainte-Beuve mógł w każdy poniedziałek wyobrażać sobie panią de Boigne w jej łożu z baldachimem, jak w „*Constitutionel*” czyta jego artykuł, zachwycając się pewnym pięknym zdankiem, którym on także cieszył się długo i którego z początku nie zamierzał wcale publikować, uznał jednak za właściwe umieścić je niby splotkę w swoim felietonie, by nadać mu impet pocisku; kanclerz bez wątpienia także je przeczytał i ze swej strony nie omieszka go przytoczyć swej oddanej przyjaciółce podczas wizyty, którą złoży nieco później. Diuk de Noailles, odziany w szare spodnie i surdut, zaprosił go do swego powozu jeszcze tegoż wieczoru i powtórzył mu, co się o nim mówiło w towarzystwie, jeśli już wcześniej pani d'Arbouville jakimś słówkiem nie dała mu tego do zrozumienia. Swoją własną niepewność mogłem przeciwstawić opinii dziesięciorga tysięcy moich wdzięcznych czytelników, toteż w miarę lektury rosło we mnie poczucie siły i wiara we własny talent, tym większa, w im głębsze popadałem zwątpienie poprzednio, gdy pozostawałem jedynym adresatem zdań, które wyszły spod mojego pióra. Oto moja myśl docierała w jednej chwili do tak wielu ludzi, a jeśli nie myśl sama, bo nie wszyscy byli zdolni ją pojąć, to przynajmniej nazwisko, powtórzone w każdym egzemplarzu, powoływało do życia mój upiększony, pochlebny wizerunek, i roztaczało blask ponad głowami niczym zorza rozświetlająca umysły, piękniejsza od tej prawdziwej, która jaśniała właśnie różowością w szybach niezliczonych okien; toteż ogarniało mnie triumfalne poczucie szczęścia i własnej potęgi.

Widziałem już Blocha, Guermantów, Legrandina, Annę i pana X..., wydobywających z każdego zdania obrazy, które ja w nim zamknąłem. Tymczasem, usiłując wcielić się w pierwszego z brzegu czytelnika, nie przestawałem jednak czuć się autorem. Ale by się stać ową istotą nie do pomyślenia, łączącą w sobie dwie, których połączyć niepodobna, i z każdej z nich uszczknąć sobie cząstkę najbardziej użyteczną, musiałem, pozostając autorem, spojrzeć na swoje dzieło z punktu widzenia czytelnika bez wymagań, jakie miałby ten, kto efekt swoich wysiłków porównuje z niedościgłym zamysłem. Stronice te w trakcie ich powstawania wydawały mi się tak blade w porównaniu z myślą, która je powołała do życia, tak zagmatwane i mętne wobec harmonijnej i przejrzystej wizji, tak pełne mielizn, których nie zdołałem się ustrzec, że w tamtym czasie ich lektura sprawiała mi ból, potęgowała we mnie rozpacz niemocy i poczucie nieuleczalnego braku talentu. Teraz jednak, przemieniwszy się w czytelnika, zrzuciłem na barki innych trud oceny; odczytując, co napisałem, wyzbywałem się własnych wyobrażeń o tym, co chciałem napisać. I zatopiony w lekturze, udawałem przed sobą samym, że dzieło to stworzył ktoś inny. Wówczas wszystkie moje epitety, metafory, odniesienia zaistniały same dla siebie, nie zaś jako świadectwo fiaska mojej wizji, zachwycałem się więc ich błyskotliwością, oryginalnością i głębią. A jeśli nawet chwilami upadałem na duchu, to zaraz znajdowałem schronienie w duszy jakiegoś urzeczonego, pierwszego z brzegu czytelnika i mówiłem sobie: „Któż to zauważy? Może i tkwi tutaj jakiś feler. Ale do diabła z tymi, którym on przeszkadza. Znajdą tu pod dostatkiem rzeczy ładnych, więcej, niż im się trafia zazwyczaj”. Toteż, ledwie skończyłem tę krępującą lekturę, od razu zapragnąłem rozpocząć ją od nowa, choć przedtem nie starczało mi odwagi, by przeczytać rękopis. Nic bowiem bardziej niż własne dzieło nie skłania, by powiedzieć: „Znacie? To poczytajcie”. Postanowiłem wysłać Franciszkę po większą ilość egzemplarzy do rozdania wśród znajomych; zamierzałem jej tak powiedzieć, w rzeczywistości jednak pragnąłem doświadczyć namacalnie cudu zwielokrotnienia mojej myśli i wcielając się w kolejnego czytelnika, który dopiero co otworzył „*Le Figaro*”, odnaleźć te same zdania w innym egzemplarzu gazety. Sto lat nie widziałem Guermantów i właśnie miałem złożyć im wizytę; ożywiła mnie nadzieja, że od nich dowiem się, jak został przyjęty mój artykuł.



Marzyłem o różnych czytelniczkach, do których sypialni przeniknąłbym z ochotą i do których wraz z gazetą dotrze jeśli nie moja myśl, może zbyt trudna, to chociaż samo nazwisko, głoszące im moją chwałę. Lecz przecież chwała tych, których się nie kocha, nie porusza serc, tak samo jak nie poruszy intelektu myśl, której się nie pojmuje. Co do innych, mówiłem sobie, jeśli stan mojego zdrowia będzie się nadal pogarszał i z tego powodu przestanę ich widywać, to przyjemnie będzie dalej pisać, by chociaż w taki sposób móc się z nimi spotykać, coś im szepnąć między wierszami, zjednywać ich dla moich opinii, podobać się i być obecnym w ich sercach.

Tak właśnie sobie mówiłem, stosunki towarzyskie były bowiem jak dotąd jedną z ważniejszych stron mojego życia i niepokoiła mnie myśl o przyszłości, w której miałyby się urwać; w taki zaś sposób mogłem przypominać się przyjaciółom, może nawet zaskarbić sobie ich podziw, i czerpać stąd otuchę, nim wrócę do zdrowia na tyle, by znowu bywać. Tak sobie mówiłem, sam nie bardzo w to wierząc, chociaż bowiem ich pamięć sprawiłyby mi przyjemność, czułem, że naprawdę liczyć mogę tylko na przyjemności natury wewnętrznej, duchowej; że znajdę je, gdy przestanę ich oczekiwać od kogośkolwiek z moich przyjaciół, gdy zacznę pisać dla siebie; i że nawet jeśli pisałbym tylko po to, by w ten pośredni sposób utrzymywać kontakty, by podobać się innym, by pielęgnować swoją pozycję towarzyską, to pisząc, i tak wyzbędę się chęci, by kogokolwiek spotykać, z pozycji zaś towarzyskiej, jaką mogłoby mi zapewnić pisanie, nie odniosę pożytku, bo miejsce światowych uciech zajmie w moim życiu literatura.

Toteż kiedy po obiedzie poszedłem do pani de Guermantes, to już nie tyle dla panny d'Éporcheville, która po depezy od Roberta de Saint-Loup utraciła wszystko, co mnie w niej nęciło, ile dla samej księżnej, czytelniczki mojego artykułu; miałem nadzieję, słuchając jej, zorientować się, jak przyjęła artykuł publiczność, czyli ci, którzy prenumerują albo kupują „Le Figaro”. Do pani de Guermantes szedłem zresztą nie bez przyjemności. Choćbym sobie w kółko powtarzał, że ten salon od innych różni się tylko długą historią obcowania z nim mojej wyobraźni, to jednak żadne wyjaśnienie źródeł tej różnicy nie uczyniło jej mniej istotną. Nazwisko Guermantes przyjmowało dla mnie zresztą wiele różnych postaci. Jeśli ta, która w mojej pamięci zapisała się niczym w książce adresowej, była doszczętnie wyzuta z poezji, istniały też formy dawniejsze, pochodzące z czasów, kiedy nie znałem jeszcze pani de Guermantes osobiście; łatwo ulegały we mnie przemianom, zwłaszcza że gdy przez długi czas nie widywałem osoby, jasność bijąca ze spojrzenia bladła wobec tajemnej aureoli nazwiska. Wtedy na nowo zaczynałem myśleć o domu pani de Guermantes niczym o miejscu nierzeczywistym. Tak też powracałem do obrazów zasnutego mgłami Balbec z moich dawnych marzeń, jak gdybym sam nigdy tam nie był; albo do wspaniałego wyobrażenia pociągu pierwsza piętnaście, jakbym nim jeszcze nie jechał. Na chwilę przestawałem słuchać głosu rozsądku, który mówił mi, że były to tylko miraże, takie jak postać przyjaciela, gdy przywołamy jego obraz, przez moment nie pamiętając, że umarł. Ale widok przedpokoju księżnej przywrócił mi poczucie rzeczywistości. Pocieszyła mnie myśl, że, mimo wszystko, to jej osoba wyznacza punkt styczności moich marzeń i realnego świata.

W salonie ujrzałem jasnówłosą młodą kobietę, którą przez jeden dzień i jedną noc brałem za pannę z opowieści Roberta de Saint-Loup. Ona sama poprosiła zaś księżną, żeby „pomogła nam odnowić znajomość”. I rzeczywiście, już w progu uległem wrażeniu, że znamy się doskonale. Wrażenie to rozproszyła księżna, mówiąc do mnie:

— Nie wiedziałam, że pan znał pannę de Forcheville.

Przeciwnie, byłem pewien, że nigdy nie przedstawiano mnie żadnej pannie noszącej to nazwisko, które na pewno pobudziłoby moją wyobraźnię, nie było mi ono bowiem obce, odkąd poznałem dzieje romansów Odety i zazdrości Swanna. Przytrafił mi się podwójny błąd, gdy zamiast „de l'Orgeville” pamięć podsunęła mi nazwisko „d'Éporcheville”, i „Éporcheville” uznałem za właściwą postać tego, co w rzeczywistości powinno brzmieć „Forcheville”; nie było w tym jednak nic osobliwego. Wydaje się nam, że przedstawiamy rzeczy takimi, jakimi są, że czytamy nazwiska tak, jak są pisane, że prawdą o ludziach jest to, co narzucają nam fotografie — albo też ramy teorii psychologicznych, w których postaci zostaną równie bezwzględnie uwięzione. W istocie zupełnie nie to objawia nam się na co dzień. Widzimy, słyszymy i pojmujemy na przekór temu, co nas otacza.

W Combray przez dwadzieścia pięć lat Franciszka słyszała z prawa i lewa nazwisko pani Sazerat, a mimo to zawsze nazywała ją panią Sazerin, wytaczając przeciwko naszym sprostowaniom całą potęgę swej nieustępliwości, nie tylko przez siebie właściwy, pełen pychy upór, z jakim obstawała przy własnych błędach, i nie tylko dlatego, że *Deklarację praw obywatelskich* z roku 1789 dołączyła do wyobrażenia Francji w duchu św. Andrzeja Polnego (ze wszystkich praw obywatelskich domagała się jednego tylko prawa — do innej niż nasza wymowy i do utrzymywania, że mówi się „kontrol”, „inną razą” i „pomarańcz”). Upierała się przy swoim także z tej przyczyny, że zawsze i nieodmiennie słyszała „Sazerin”. Ta wieczna pomyłka, którą jest „życie”, zniekształca na tysiąc sposobów nie tylko świat obrazów i dźwięków, lecz także sferę uczuć, stosunków społecznych albo przekonań historycznych. Księżna Luksemburska mogła być w oczach małżonki premiera tylko zwykłą kokotą — i to jeszcze nic. Bardziej dalekosiężne okazują się konsekwencje pomyłki, którą popełnił Swann: sądząc, że trudno mu będzie zdobyć Odetę, rozwinął cały romans i ściągnął na siebie cierpienia, które zgoła się wzmogły, gdy poznał prawdę. Jeszcze bardziej brzemienna w skutki może być opinia Niemców o Francuzach, którzy w ich oczach dyszą żądzą odwetu. Świat jest dla nas tylko nagromadzeniem bezkształtnych, oderwanych wyobrażeń, które staramy się połączyć przypadkowymi zbitkami myśli, a potem wyciągamy z nich zbyt daleko idące wnioski. Nie miałem więc powodu zdziwić się, gdy usłyszałem nazwisko „de Forcheville”; już zdążyłem pomyśleć sobie, że może to jakaś krewna tegoż de Forcheville’a, o którym tyle słyszałem, ale młoda jasnowłosa osoba odezwała się do mnie natychmiast, zdając się taktownie uprzedzać jakieś niewygodne dla siebie pytanie:

— Pewnie pan nie pamięta swojej przyjaciółki Gilberty, ale znaleźliśmy się kiedyś bardzo dobrze, często bywał pan u mnie w domu. Dobrze zgadłam, że mnie pan nie poznaje. A ja rozpoznałam pana od razu.

Można było przez to zrozumieć, że „od razu” rozpoznała mnie w salonie księżnej. Ale w rzeczywistości miało to miejsce parę dni wcześniej, na ulicy; ponoć powiedziała mi wtedy „dzień dobry”. Pani de Guermentes powtórzyła mi potem, co jej Gilberta opowiedziała, uważając to za fakt przezabawny i niewiarygodny: że szedłem za nią, wzięwszy za kobietę lekkich obyczajów. Po jej wyjściu dowiedziałem się, dlaczego nosi teraz nazwisko de Forcheville’a. Po śmierci Swanna Odeta, która wszystkich zaskoczyła swą głęboką, szczerą i długotrwałą żalobą, stała się wdową bardzo zamożną. Forcheville poślubił ją, odwiedzwszy uprzednio rodowe zamki krewnych, by upewnić się, że przyjmą jego małżonkę na łono rodziny. Krewni się opierali, ustąpili jednak, gdy ujrzeli własną korzyść w tym, co mogło oszczędzić wydatków ponoszonych na rzecz ubogiego kuzyna; wydobywszy się bowiem z dnia na dzień z nędzy, miał odtąd opływać w dostatki. Wkrótce potem umarł wuj Swanna, który, dziedzicząc po licznych krewnych, zgromadził ogromny majątek; a że wszystko zapisał Gilbertcie, była teraz jedną z najbogatszych partii we Francji. Lecz działo się to w okresie, kiedy w następstwie afery Dreyfusa, jednocześnie z coraz liczniejszym przenikaniem Żydów do wielkiego świata, ujawnił się antysemityzm. Politycy nie mylili się w swych przewidywaniach, że odkrycie pomyłki sądowej powinno nadwątlić jego siły. Ale tymczasem, przynajmniej na razie, wzmógł się on jeszcze i zaostrzył. Forcheville, jak to bywa wśród drobnej szlachty, z domu rodzinnego wyniósł przekonanie, że nosi nazwisko starsze od nazwiska książąt de La Rochefoucauld, sądził więc, że jeśli ożeni się z wdową po Izraelicie, to spełni uczynek równie miłosierny, jak milioner, który kobietę upadłą podnosi z błota i nędzy ulicznego życia. Gotów był owej łaski równie szczerze udzielić Gilbertcie, która dzięki swoim milionom mogła liczyć na świetne małżeństwo, gdyby nie przynosiło jej ujmy okropne nazwisko „Swann”. Oświadczył więc, że chce ją adoptować. Jak pamiętamy, po ślubie Swanna pani de Guermentes — zaskakując krąg przyjaciół i znajomych, co zwykła czynić z ochotą przy każdej okazji — nie zgodziła się przyjmować jego córki, tak samo, jak nie przyjmowała żony. Odmowa ta była tym bardziej okrutna, że w oczach Swanna jedyny sens nadawała małżeństwu z Odetą nadzieja, iż pozwoli mu ono wprowadzić córkę do salonu pani de Guermentes. Miał już swoje lata i powinien był wiedzieć, że marzenia się nie spełniają z najrozmaitszych przyczyn; jedna z nich miała także działanie uboczne — kojący wpływ na zgryzotę, jaką przejmowała go myśl, że nie udało się doprowadzić do tej prezentacji. Idzie tutaj o pewną właściwość natury ludzkiej: czegokolwiek pożądamy — poczynając od pstrąga, którego w łunach

zachodu podadzą na kolację w sąsiedniej miejscowości i który zwabi domatora, zmuszając go do podróży kolejką, aż po nieprzystępną kasjerkę, obiekt zalotów mężczyzny bez skrupułów, który pragnie ją oślnić, podjeżdżając pewnego dnia pod sklep kosztownym ekwipażem — w tym celu przedtem dokona morderstwa, jeśli wystarczy mu odwagi i stanowczości, a jeśli jest raczej gnuśny i woli poprzestać na snuciu planów, zacznie życzyć śmierci krewnemu, po którym spodziewa się dziedziczyć — każde dążenie, skłaniające nas do działania, do podróży, małżeństwa czy zbrodni, odmieni nas na tyle gruntownie, że zobojętnieje nam cel, który nam pierwotnie przyświecał, i to do tego stopnia, iż puścimy w niepamięć marzenia osoby, którą byliśmy, nim przyszło nam stać się pasażerem, małżonkiem, mordercą albo pisarzem samotnikiem (ten rozpoczął swe dzieło w pogoni za sławą, i w taki to sposób rozstał się z żądzą sławy). Zresztą jeśli nawet uprzemy się doprowadzić sprawę do końca, by nie spetzły na niczym, okaże się, że chmury zasłoniły zachód słońca, my zaś, przemarznięci, zamiast pstrąga podanego w ogrodzie wolelibyśmy w ciepłe kominka zjeść gorącą zupę; że ekwipaż nie zrobił wrażenia na kasjerce, w której nagłe bogactwo wzbudziło nieufność, choć przedtem szanowała nas z jakichś innych powodów. Krótko mówiąc, po ślubie Swann zaczął przywiązywać wagę przede wszystkim do stosunków swojej żony i córki z panią Bontemps i osobami jej pokroju.

Przyczyny, dla których księżna nigdy nie pozwoliła sobie przedstawić pani i panny Swann, wynikały z właściwych Guermantom pojęć o życiu światowym; można by do tych przyczyn dorzucić jeszcze beztruską pogodę ducha, z jaką ludzie, gdy sami nie kochają, odwracają się od tego, co w życiu zakochanego uważają za godne potępienia, a co tłumaczy się właśnie miłością. „O, nie, do tego ręki nie przyłożę! Jeśli biedny Swann chce zrobić głupstwo i zmarnować sobie życie, nikt mu tego nie zabroni, ale mnie w swoje sprawy nie wciągaj, bo to się musi źle skończyć. Niech więc robi, co chce. Ale beze mnie”. Oto ich *suave mari magno* — Swann sam doradzał mi przyjąć taką postawę wobec Verdurinów, kiedy od dawna nie kochał już Odety i „mały klan” nic go nie obchodził. Stąd właśnie czerpią swą rozwagę sądy osób trzecich o namiętnościach, których udało im się uniknąć, i o ciągnących się za namiętnościami życiowych powikłaniach.

Księżna obstawała jednak przy wykluczeniu pani i panny Swann z zaciekłym uporem, który zadziwiał wszystkich. W czasach, kiedy panie Molé i de Marsantes nawiązały znajomość z Odetą i ściągnęły już do jej salonu wiele dam z najlepszego towarzystwa, pani de Guermantes nie tylko pozostała nieugięta, lecz postarała się nawet spalić za sobą wszystkie mosty, ponadto nakłoniła swą kuzynkę, księżnę Marię de Guermantes, by uczyniła tak samo. W dniach jednego z najcięższych kryzysów politycznych za rządów ministra Rouviera, gdy obawiano się, że lada chwila może wybuchnąć wojna z Niemcami, byliśmy na obiedzie u pani de Guermantes tylko we dwóch z panem de Bréauté. Księżna wydawała się czymś zmartwiona. Zawsze interesowała się polityką, więc pomyślałem, że ona także obawia się wojny; zdarzyło się bowiem kiedyś, że siadłszy do stołu podobnie chmurna i milcząca, goście, który ją spytał nieśmiało o przyczynę zmartwienia, odpowiedziała z miną posepną, szczedząc słów: „Martwią mnie Chiny”. Tym razem sama po chwili wyjaśniła zagadkę troski malującej się na jej obliczu, którą pochopnie przypisałem obawie przed wybuchem wojny. Zwróciła się do pana de Bréauté: „Słyszałam, że Maria Aynardowa zamierza wprowadzić obie panie Swann do towarzystwa. W tej sprawie muszę koniecznie zobaczyć się jutro z Marią Gilbertową, we dwie postaramy się zapobiec tej katastrofie. Inaczej świat się zawali. Doceniam postawę tych pań w sprawie Dreyfusa, ale cóż to będzie, jeśli sklepikarka z sąsiedztwa także obwoła się nacjonalistką i w zamian za to zechce, byśmy ją przyjmowali?” Zdumiała mnie błahość tych słów, gdy spodziewałem się innych, ważkich, i poczułem się trochę jak czytelnik, który szukając w „Le Figaro” na zwykłym miejscu ostatnich wiadomości z frontu wojny rosyjsko-japońskiej, znajduje zamiast tego listę osób, które przysłały prezenty ślubne pannie de Mortemart, arystokratyczny mariaż, jako ważniejszy, zepchnął bowiem na sam dół szpalty doniesienia o trwających bitwach morskich i lądowych. Księżna poczytywała sobie zresztą ten niezłomny upór za tytuł do chwały, i nigdy nie traciła okazji, by dać temu wyraz. „Babal twierdzi — mówiła — że on i ja jesteśmy najwytworniejszymi ludźmi w Paryżu, bo tylko my dwoje nie dopuściliśmy do tego, by kłaniały nam się pani i panna Swann. Elegancja, jego zdaniem, polega teraz na tym, że się pani Swann nie zna”. I księżna śmiała się z całego serca.

Po śmierci Swanna jednakże okazało się, że dalsze utrzymywanie w mocy decyzji o wykluczeniu jego córki z towarzystwa nie daje już księżnej ani śladu satysfakcji, nie syci jej dumy, potrzeby niezależności, zmysłu władzy i skłonności do okrucieństwa, zabrakło bowiem tego, przeciwko komu czyniła to wszystko, czerpiąc rozkoszne poczucie siły stąd, że nie mógł jej żadną miarą nakłonić, by odwołała swój dekret. W tej sytuacji księżna jeła ogłaszać nowe dekrety, wymierzone przeciwko żyjącym, by dać im poczuć, że jest panią życia i śmierci. Dotąd nie zaprzętała sobie głowy małą Swannówną, ale jeśli teraz ktoś o niej wspominał, budziła się w księżnej ciekawość, tak jakby jej mówiono o jakimś modnym miejscu, i ciekawości tej nie tłumila już ambicja, by dać należyta odprawę roszczeniom Swanna. Z drugiej zaś strony, na kształtowanie się uczuć wpływa równocześnie tak wiele różnych czynników, że nie można całkiem wykluczyć, jakoby jej sentyment dla Swanna także miał w tej odmianie swój udział. Na wszystkich szczeblach społecznej drabiny płochę rozrywki towarzyskie pustoszą wrażliwość i niszczą pamięć o zmarłych, księżna zaś bez wątpienia, tak jak wiele osób, potrzebowała obecności, by kogoś lubić (i celowała w przedłużaniu wizyt swoich gości aż do przesady, zwyczajem wszystkich Guermantów), a ponadto, co rzadsze, potrzebowała jej, gdy chciała choć trochę nienawidzić. Toteż niejednemu z powodu jakiejś urazy odebrała całą swą sympatię za życia, by mu ją przywrócić po śmierci. Ulegała wtedy pragnieniu wynagrodzenia krzywd swoim ofiarom, pamiętając odtąd, zresztą raczej mgliście, tylko ich zasługi, puszczając zaś w niepamięć przejawy małostkowości i niegodziwe postętki, które tak ją złościły, póki pozostawali przy życiu. Dzięki temu uczynki pani de Guermantes, mimo swej pustoty, nosiły jakiś rys prawdziwie szlachetny (dający się zresztą doskonale pogodzić z podłością). Gdy bowiem trzy czwarte osób schlebia żyjącym i za nic ma umarłych, ona gotowa była tym, którymi pomiała, pośmiertnie świadczyć przysługi, o jakich za życia na próżno marzyli.

Jeśli chodzi o Gilbertę — każdego, kto ją lubił i współczuł jej zranionej miłości własnej, mogła ucieszyć ta zmiana w nastawieniu księżnej, ale tylko pod warunkiem, że Gilberta z pogardą odrzuciłaby awanse, spóźnione o dwadzieścia pięć lat, i pomściła w ten sposób swoją krzywdę. Niestety, odruchy moralne nie zawsze idą w parze z postępowaniem, ku jakiemu skłania się zmysł praktyczny. Czasem ktoś obrazi niepotrzebnie osobę, na której mu zależało, i obawia się, że z tego powodu na zawsze zaprzepaści nadzieje z nią związane, tymczasem, wprost przeciwnie, właśnie im pomógł się spełnić. Gilberta pozostawała obojętna wobec osób, które zabiegały o jej względy, głębokim zaś podziwem przejmowała ją arogancja pani de Guermantes. Toteż nie ustawała w dociekaniu jej przyczyny. Pewnego razu — ktokolwiek żywił dla niej choć trochę przyjaźni, zawstydziliby się za nią śmiertelnie — przyszło jej do głowy napisać do pani de Guermantes list z zapytaniem, czym to się naraziła młoda panna, która nie zrobiła księżnej nic złego. Guermantowie osiągnęli w jej oczach dostojęństwo zaiste monumentalne, jakiego nawet ich szlachectwo nie mogło im nadać. Gilberta stawiała ich nie tylko ponad inną szlachtą, lecz zgoła wyżej od wszystkich królewskich rodów.

Dawne przyjaciółki Swanna czyniły dla Gilberty co mogły. Gdy wśród arystokracji rozniosła się wieść o wielkiej fortunie, która niedawno przypadła jej w spadku, od razu zaczęto zauważać, jak znakomite odebrała wychowanie i jak urocza będzie z niej żona. Krążyła plotka, że kuzynka pani de Guermantes, księżna de Nièvre, zamierza ożenić z nią swojego syna. Pani de Guermantes znenawidziła panią de Nièvre. Wszędzie powtarzała, że takie małżeństwo może obrócić się tylko w skandal. Prerażona księżna de Nièvre zapewniała na prawo i lewo, że nigdy jej ono nawet przez myśl nie przeszło. Pewnego dnia po obiedzie pan de Guermantes miał przy ładnej pogodzie wybrać się z żoną na przechadzkę; pani de Guermantes wkładała kapelusz przed lustrem, błękitne oczy przyglądały się sobie samym, a także jasnym włosom, jeszcze nie tkniętym siwizną, gdy tymczasem pokojówka czekała z kilkoma parasolkami, spośród których jej pani miała wybrać jedną. Smugi słonecznego światła sączyły się przez okno; postanowili skorzystać z pięknego dnia i pojechać do Saint-Cloud. Pan de Guermantes, gotowy do wyjścia, w perłowych rękawiczkach i cylindrze na głowie, myślał sobie: „Oriana jest doprawdy wciąż jeszcze zachwycająca. Uroczo dziś wygląda”. A widząc swoją żonę w dobrym humorze, powiedział:

— Właśnie mi się przypomniało, co miałem ci przekazać od pani de Virelef. Chce nas zaprosić w poniedziałek do Opery. Ale że będzie miała w łoży małą Swannównę, zabra-

kło jej śmiałości, więc kazała mi wcześniej wybadać grunt. Nie chcę ci niczego narzucać, przekazuję tylko to, co powiedziała. Mój Boże, sądzę, że moglibyśmy... — dorzucił niepewnie; w swym nastawieniu do osób trzecich zawsze byli bowiem zgodni, wszelkie zaś zmiany zachodziły równocześnie u obojgu, wiedział więc, że jej niechęć do panny Swann już się wypaliła i że teraz księżna zapagnie ją poznać. Uporawszy się z woalką, pani de Guermantes wzięła sobie jedną z parasolek.

— Ależ będzie, jak zechcesz, nic nie stoi na przeszkodzie. Oczywiście, że możemy poznać tę małą. Wiesz dobrze, że nigdy nie miałam nic przeciwko niej. Po prostu nie chciałam, żeby mnie wzięto za jedną z tych osób, które uznają nieprawę związku swoich przyjaciół. Ot i wszystko.

— I miałaś całkowitą słuszność — odparł książę. — Jaśnie pani, jesteś wcieleniem rozumu, a w dodatku do twarzy ci w tym kapeluszu.

— Miły jesteś — powiedziała mu pani de Guermantes z uśmiechem i ruszyła ku drzwiom. Ale nim wsiadła do powozu, zechciała coś jeszcze wyjaśnić: — Teraz wiele osób bywa u jej matki, która zresztą ma dość taktu, by chorować przez trzy czwarte roku. Mówią, że ta mała jest raczej przyjemna. Wszyscy wiedzą, jak bardzo lubiliśmy Swanna. Więc i to przyjmą za rzecz oczywistą.

A potem pojechali do Saint-Cloud.

Miesiąc później Swannówna, która wówczas nie nazywała się jeszcze de Forcheville, była na obiedzie u Guermantów. Mówiło się o wszystkim. Przy deserze Gilberta odezwała się nieśmiało:

— Wydaje mi się, że państwo bardzo dobrze znali mojego ojca.

— Ależ oczywiście — odparła pani de Guermantes ze smutkiem, chcąc dać do zrozumienia, że żałoba córki jest dla niej święta; umyślnie użyła jednak tonu nieco przesadnego, jakby zależało jej na wywołaniu wrażenia, że nie bardzo wie, o kim mówi. — Zналиśmy się i pamiętam go brrrrdzo dobrze. — (Musiała go w samej rzeczy dobrze pamiętać, bo przecież przez dwadzieścia pięć lat prawie dzień w dzień miewała go u siebie na obiedzie). — Wiem, co to był za człowiek, zaraz pani powiem — dodała, jakby przypadło jej zadanie powiadomienia córki, kim był jej ojciec i dostarczenia jej o nim paru podstawowych informacji. — To był wielki przyjaciel mojej teściowej, znał się też blisko z moim szwagrem Palamedem.

— U nas także bywał, nawet na obiedzie — dodał pan de Guermantes, by podkreślić swą prostotę i rzetelny stosunek do szczegółów. — Pamiętasz przecież, Oriano. Nad wyraz porządny człowiek był z pani ojca. I znać było po nim od razu, że z dobrej rodziny. Zetknąłem się zresztą kiedyś z jego rodzicami. Zadni ludzie, i rodzice, i syn!

Rozumiało się samo przez się, że gdyby jeszcze żyli, książę mógłby bez wahania zaprotegować syna, razem z rodzicami, na przykład na posadę ogrodnika. W takim to duchu mieszkańcy Faubourg Saint-Germain zwykli opowiadać o osobach stanu mieszczańskiego innym osobom tegoż stanu, po to, żeby chwilowym wyjątkiem uczynionym dla rozmówcy pogłaskać jego próżność, i po to zarazem, by go upokorzyć. Podobnie bywa, gdy antysemita, uprzedzając grzeczny wobec Żyda, z którym prowadzi rozmowę, wyraża w jego obecności ogólne, krzywdzące dla Żydów opinie, i rani w ten sposób jego uczucia, nie narażając się na zarzut grubiaństwa.

Księżna de Guermantes była panią chwili, w której obsypywała swych gości łaskami, by ich jeszcze zatrzymać, lecz była zarazem jej niewolnicą. Zdarzało się czasem księżnej wśród oszołomienia wywołanego rozmową ze Swannem ulec złudzeniu, że darzy go prawdziwą przyjaźnią. Teraz jednak nic takiego nie mogło się już wydarzyć.

— Był przemiłym człowiekiem — dodała ze smutnym uśmiechem, po czym zatrzymała na Gilbertcie swe łagodne spojrzenie, na wszelki wypadek, by stało się jasne — o ile młoda kobieta potrafi to właściwie odczytać — że w cztery oczy i w stosownych okolicznościach pani de Guermantes z chęcią odsłoniłaby przed nią głębię swojego współczucia. Ale pan de Guermantes zapewne był zdania, że okoliczności są właśnie niestosowne, albo też uważał, że tego rodzaju przychylny wrzuseń są rzeczą kobiet, mężczyźni zaś powinni ich unikać, podobnie jak wszelkich dziedzin życia, uznawanych za kobiece, z wyłączeniem spraw kuchni i piwnicy, te bowiem zastrzegł dla siebie, będąc w nie lepiej wprowadzonym niż księżna. Książę nie mieszał się do tej rozmowy, nie chcąc jej podtrzymywać, i słuchał

z nieskrywanym zniecierpliwieniem. Zresztą gdy tylko nagła fala wzruszenia opadła, pani de Guermantes dorzuciła lekkim tonem kobiety światowej:

— Otóż właśnie chciałam pani powiedzieć, że był on ogrrromnie zaprzyjaźniony z moim szwagrem baronem de Charlus, a także z Voisenon.

(To był zamek należący do księcia Gilberta de Guermantes). Słowa księżnej sugerowały, że znajomość Swanna z panem de Charlus i jej kuzynem Gilbertem była dziełem czystego przypadku, a szwagier i kuzyn księżnej nie tylko byli jedynymi ludźmi z wielkiego świata, których Swann miał szczęście poznać w wyniku jakiegoś szczególnego zbiegu okoliczności (podczas gdy w istocie z całym tym towarzystwem żył za pan brat), lecz także ona sama, pani de Guermantes, aby „wytłumaczyć” Gilbertcie, kim mniej więcej był jej ojciec, pozostający nie wiedzieć czemu w bliskich stosunkach z osobami, których nie powinien był nawet znać, musiała oddać jego sytuację przez uwypuklenie paru szczegółów; tak jak wtedy, gdy dla większego efektu powołujemy się na udział jakiejś znanej postaci w historyjce, którą zamierzamy opowiedzieć. Rozmowa utknęła, a co do Gilberty, było jej to tym bardziej na rękę, że sama od pewnego czasu pragnęła zmienić temat, żywą inteligencję Swanna odziedziczyła bowiem wraz z jego niezrównanym taktem; księżę i księżna poznali się na tym i docenili, toteż poprosili Gilbertę, by wkrótce odwiedziła ich znowu. Z drobiazgowością ludzi nie mających nic innego do roboty coraz to zauważali u tych, z którymi utrzymywali stosunki towarzyskie, jakąś najwykleszą w świecie przyjemną cechę, i wznosili naiwne okrzyki zachwytu niczym mieszczuch, który bawiąc na wsi, ujrzał z bliska źdźbło trawy. Lub też przeciwnie, powziąwszy uprzedzenie, brali z kolei pod lupę i roztrzęsali bez końca najdrobniejsze wady, wynalezione nierządkiem u tej samej osoby. Co do Gilberty, nie znajdująca pożytecznego zajęcia przenikliwość państwa de Guermantes najpierw skupiła się na jej zaletach:

— Czy zauważyłeś, jak ona wymawia niektóre słowa? — po jej odejściu powiedziała księżna do swego męża. — Zupełnie jak Swann. Jakbym go słyszała.

— Na to samo zwróciłem uwagę, moja droga.

— Pocucie humoru i sposób wysławiania się wzięła po ojcu.

— Według mnie zdecydowanie go przewyższa. Przypomnij sobie, z jaką swadą opowiedziała tę historię o kąpielach morskich. Swann nie był tak żywiołowy.

— Och, mimo wszystko był nadzwyczaj dowcipny.

— Nie mówię, że nie był dowcipny, mówię, że nie był żywiołowy — powiedział pan de Guermantes tonem pełnym udręki, bo podagra dawała mu się we znaki; skoro nie było przy nim nikogo, na kogo mógłby wylać swoje rozdrażnienie, musiała je przyjąć księżna. Sam nie rozumiał jego przyczyny, udał więc zagniewanego, że nie został zrozumiany.

Przychyłość obojga księstwa była tak wielka, że zamierzali nawet kiedyś przy sposobności napomknąć Gilbertcie o jej „biednym ojcu”, ale okazało się to już niepotrzebne, bo w tym właśnie czasie Forcheville ją adoptował. Mówiła więc „ojcze” do Forcheville’a, swoim ułożeniem i wzięciem podbijała serca arystokratycznych wdów, i jeśli powszechnie sądzono, że Forcheville postąpił wobec niej nad wyraz szlachetnie, to przyznawano też, że była zdolna do wyższych uczuć i potrafiła okazać mu swoją wdzięczność. Najwyraźniej jednak mogła i chciała pozwolić sobie czasem na znacznie więcej swobody w obejściu, na przykład wtedy, kiedy przypomniła mi, że się znamy, lub kiedy mówiła mi o swym prawdziwym ojcu, czyniąc dla mnie wyjątek; w jej obecności bowiem nie wspomniano Swanna ani słowem.

Ledwie wkroczyłem do salonu, dostrzegłem dwa rysunki Elstira, które dawniej przebywały na wygnaniu w korytarzu na górze, gdzie zdarzyło mi się je kiedyś przez przypadek zobaczyć. Teraz Elstir był w modzie. Jeśli pani de Guermantes nie mogła przeboleć, że tyle jego obrazów podarowała kuzynce, to nie dlatego jedynie, że stał się modny, ale ponieważ naprawdę zaczęły się jej podobać. Moda rodzi się bowiem z zachwytych tej publiczności, której przedstawicielami byli Guermantowie. Teraz jednak księżna nie mogła nawet marzyć o zakupie innych płócien jego pędzla, bo już od pewnego czasu ceny stale szły w górę, osiągając wysokość zawrotną. Chcąc mieć w salonie cokolwiek Elstira, kazała więc znieść na dół te dwa rysunki, o których mawiała, że je „woli od jego malarstwa”. Gilberta rozpoznała jego rękę.

— To mi wygląda na Elstira — powiedziała.

— Ależ tak! — pośpieszyła z odpowiedzią księżna. — Zawdzięczamy je właśnie pani oj... naszym przyjaciółom. Są wspaniałe. Moim zdaniem przewyższają jego malarstwo.

Nie słysząc tej rozmowy, zbliżyłem się, by obejrzyć rysunki.

— Czy to nie ten Elstir, którego... — zauważyłem, że pani de Guermantes daje mi rozpaczliwe znaki. — Tak, z pewnością to ten Elstir, którego podziwiałem na górze. Tutaj te rysunki prezentują się bez porównania lepiej. A skoro mowa o Elstirze, wspomniałem o nim w moim wczorajszym artykule w „Le Figaro”. Czytali go państwo?

— Pański artykuł był w „Le Figaro”? — zawołał książę z tą samą zapalczewością, z jaką wykrzyknąłby: „Ależ mówi pan o mojej kuzynce!”

— Tak, wczoraj.

— W „Le Figaro”, jest pan pewny? To by mnie bardzo zdziwiło. Każde z nas ma swój egzemplarz „Le Figaro”, więc jeśli jedno coś przeoczy, drugie to zauważy. Prawda, Oriano? Tam nic takiego nie było.

Książę posłał po „Le Figaro” i ustąpił dopiero w obliczu dowodu rzeczowego, jak gdyby do tej pory spodziewał się raczej, że pomyliłem tytuł gazety, w której ukazał się mój artykuł.

— Jakże to, nic nie rozumiem, więc pan zamieścił artykuł w „Le Figaro”? — zagadnęła mnie księżna, z największym wysiłkiem zmusiwszy się do podjęcia tematu, który nie ciekawił jej wcale. — Dajże spokój, Błażeju, poczytasz sobie później.

— Ależ nie, do twarzy księciu z tą wielką brodą rozpostartą na płachcie gazety — zawołała Gilberta. — Ja też przeczytam, kiedy wrócę do domu.

— Broda, tak. Nosi taką brodę teraz, kiedy wszyscy chodzą ogoleni. Wszystko musi robić po swojemu. W czasach, kiedy braliśmy ślub, golił nie tylko brodę, ale i wąsy. Nasi chłopci, którzy go nie znali, nie chcieli wierzyć, że jest Francuzem. A nosił wtedy nazwisko księcia des Laumes.

— Czy teraz istnieje jeszcze jakiś książę des Laumes? — dopytywała się Gilberta, żywo zainteresowana wszystkim, co wiązało się z życiem dwojga ludzi, którzy przez tak długi czas nie chcieli jej znać.

— O, nie — odparła księżna, rzucając jej melancholijne, aksamitne spojrzenie.

— Takie piękne nazwisko! Jedno z najpiękniejszych we Francji! — powiedziała Gilberta, jest bowiem taki rodzaj banałów, które, gdy zegar wybije ich czas, same cisną się na usta każdej w miarę rozbawionej osobie.

— No cóż, i ja żałuję. Błażej życzył sobie, żeby je przybrał jego siostrzeniec, choć to już nie będzie to samo. Ale można by tak zrobić, zwłaszcza że dziedziczenie tego tytułu nie jest przypisane do praw starszeństwa: może więc i w rodzeństwie przechodzić ze starszego na młodszego. Właśnie pani mówiłam, że Błażej był dawniej gładko ogolony. Pewnego dnia — pamiętasz, złotko, ten odpust w Paray-le-Monial? — mój szwagier Charlus, który lubi gawędzić z chłopami, wypytywał jednego po drugim: „A ty skąd jesteś?”, a będąc z natury hojnym, każdemu dawał parę groszy albo stawiał im wino. Bo Mémé połączył w sobie wyniosłość ze skromnością, jak nikt inny. Może nie kłaniać się diuszom, które jego zdaniem nie dość są diuszami, ale prześciga sam siebie w grzeczności wobec chłopaka od psów. Więc ja mówię do Błażeja: „Spróbuj, Błażeju, też z nimi trochę porozmawiać”. A mój mąż, który nie zawsze miewa własne pomysły...

— Dziękuję ci, Oriano — rzucił książę znad mojego artykułu, nie odrywając od niego oczu, całkowicie pogrążony w lekturze.

— ...zaczepił jakiegoś wieśniaka i powtórzył mu słowo w słowo pytanie swojego brata: „A ty, skąd jesteś?” „Ja jestem z Laumes”. „Z Laumes? No, to jestem twoim księciem”. Chłop popatrzył na wygolone oblicze Błażeja i powiada: „Nie może to być. Pan jest Brytaniec”.

Tak oto w opowieściach księżnej świetne stare nazwiska, jak nazwisko księcia des Laumes, nietknięte zębem czasu, skąpane w kolorycie lokalnym, zajmowały należne im miejsca, całkiem jak wieża katedry w Bourges, w średniowiecznych modlitewnikach wyrastająca wprost z ciżby pospólstwa.

Wniesiono bilety wizytowe, które przekazał na górę lokaj z dołu.

— Nie wiem, czego ona chce, nie znam jej. Tobie chyba zawdzięczam te awanse, Błażeju. Nie potrafisz opędzić się od takich znajomości, mój ty biedaku. — I zwracając

się do Gilberty, dodała: — Nie umiałabym pani nawet wyjaśnić, kto to taki, nie zna jej pani na pewno, nazywa się lady Rufus Israël.

Gilberta oblała się jaskrawym rumieńcem.

— Nie znam — potwierdziła (co było kłamstwem tym oczywistszym, że lady Israël pogodziła się ze Swannem na dwa lata przed jego śmiercią, a do Gilberty zwracała się po imieniu). — Ale ze słyszenia wiem doskonale, kim jest osoba, o której pani mówi.

Opowiadano mi, że Gilberta, spytana złośliwie, albo też z niezręczności, przez inną młodą pannę o nazwisko ojca, nie tego przybranego, tylko prawdziwego, zmieszała się i by pozbawić naturalnego brzmienia słowo, które miało paść z jej ust — zamiast „Suann” powiedziała „Svann”, by po chwili zorientować się, że po tej przeróbce nazwisko obciąża ją jeszcze bardziej, bo z angielskiego zrobiło się niemieckie. Dodała więc, ponizając się, by się wywyższyć: „O okolicznościach mojego przyjścia na świat różnie się opowiada, ale ja nie chcę nic o tym wiedzieć”. Jeśli w owych chwilach pamiętała o rodzicach, z pewnością musiała bardzo się wstydić swojego postępowania (bo przecież pani Swann wydawała się Gilberte najlepszą matką i była nią w istocie). Niestety narzuca się przypuszczenie, że to właśnie od nich wzięła takie podejście do życia, albowiem nie jesteśmy tylko sobą ani sobą w każdym calu. Do wniesionego przez matkę egoizmu dodana zostanie pula egoizmu innego pokroju, właściwego rodzinie ojca; nie znaczy to, że te dwie jakości się sumują, ani nawet że mnożą się przez siebie; z ich połączenia powstaje egoizm zupełnie nowy, nieporównanie silniejszy i bardziej niebezpieczny. W miarę starzenia się świata, gdy w kolejnych pokoleniach kojarzą się rodziny obciążone tym samym defektem w jego różnych odmianach, co prowadzi do pojawiania się u dzieci odmian jeszcze wyżej rozwiniętych i szczególnie odrażających, siła nagromadzonego egoizmu (by nie wspominać już o innych wadach) doprowadziłaby szybko do zagłady całej ludzkości, gdyby z tegoż samego zła nie zrodziły się, zdolne do jego okiełznania, do utrzymania go w bezpiecznych rozmiarach, środki zaradcze, podobne do tych, które zapobiegają niepohamowanemu mnożeniu się pierwotniaków, grożącemu unicestwieniem całej planety, albo samozapyłających się roślin, które pleniąc się bez ograniczeń, zagłuszyłyby wszelką florę na Ziemi. Co pewien czas jakaś inna cecha wchodziła w związek z owym egoizmem, przetwarzając go w nową, szlachetniejszą substancję. Chemia moralności zna nieskończenie wiele procesów, prowadzących do zatrzymania i unieszkodliwienia pierwiastków szczególnie niebezpiecznych, a to z kolei ubarwia dzieje rodów fascynującą różnorodnością. Toteż z pokładami nagromadzonego egoizmu, takimi jak te, które zalegały w Gilberte, mogły współlistnieć najbardziej urocze cechy rodziców. Czasami któraś z nich objawia się nagle w całej okazałości i przez chwilę gra pierwsze skrzypce, wzruszając swą całkowitą i czystą naturalnością. Gilberta zapewne nieczęsto posuwała się tak daleko, jak wówczas, kiedy dała do zrozumienia, że jest nieprawym dzieckiem któregoś z wielkich tego świata. Zawsze jednak ukrywała swoje pochodzenie. Może po prostu nie lubiła o tym mówić, wolała raczej, żeby pytający dowiadywał się od innych. A może naprawdę sądziła, że zdoła zatrzeć ślady? Może wierzyła w to ową wiarą pełną niepewności, która jeszcze nie jest wątpliwością i pragnieniom pozostawia cię szansy, jak u Musseta, gdy mowa o nadziei w Bogu.

— Nie znam jej osobiście — uściśliła Gilberta. Czyżby naprawdę liczyła na to, że pod nazwiskiem panny de Forcheville przestanie być w oczach świata córką Swanna? Być może zależało jej na jakimś wąskim kręgu, którego zdanie w przyszłości miałoby szansę stać się opinią ogółu. Tymczasem jednak nie mogła się chyba ludzi co do liczebności owej grupy, wiedziała bowiem, że na jej widok ludzie zaczynali szeptać: „To córka Swanna”. Ale wiedziała o tym tylko stąd, skąd wiedzą idący na bal, że w tej samej chwili ktoś z nędzy popełnia samobójstwo; jest to wiedza odległa i mglista, do której pogłębienia nie skłania nas osobiste zainteresowanie. Ponieważ z oddalenia wszystko wydaje się nam pomniejszone, nie całkiem pewne, niezbyt groźne, Gilberta wolała trzymać się z dala od tych, którzy właśnie się dowiedzieli, że naprawdę była Swannówną. Należała bowiem, zwłaszcza w tamtych latach, do najbardziej rozpowszechnionego, strusiopodobnego gatunku ludzi, którzy chowają głowę w piasek nie po to, by się ukryć, ale po to, żeby nie wiedzieć, że inni na nich patrzą; to im już wystarcza, a co do reszty mogą zdać się na łaskę losu. Skoro bowiem najbliższe jest nam to, co możemy sobie wyobrazić, i skoro nietrudno wyobrazić sobie ludzi czytających gazety, Gilberta wolała, by w gazetach nazywano ją



panną de Forcheville. Za to w osobistej korespondencji przez jakiś czas radziła sobie za pomocą formy pośredniej, podpisując się „G. S. Forcheville”. Hipokryzja tego podpisu w istocie przejawiała się nie tyle w wyrzuceniu z nazwiska Swanna wszystkich liter prócz inicjału, ile w poddaniu imienia Gilberty tej samej procedurze. Tak oto, skróciwszy do pierwszej litery imię, które jej wcale nie obciążało, Gilberta dawała do zrozumienia swoim przyjaciółkom, że nazwisko Swanna zostało ucięte również tylko dla skrótu. Literze „S” nadała nawet szczególną rangę: długi ozdobny ogonek oplatał się wokół „G”, można się było jednak domyślić, że to forma szczytkowa, skazana na stopniowy zanik, tak jak ogony człekokształtnych: u małą jeszcze okazała, u ludzi już nieobecne.

Lecz mimo wszystko w jej snobizmie pozostało coś z błyskotliwych zaciekawień Swanna. Pamiętam, że tego samego popołudnia pytała panią de Guermantes, czy będzie mogła poznać pana du Lau, a kiedy księżna powiedziała jej, że choruje i nigdzie już nie bywa, Gilberta chciała dowiedzieć się, jak on wygląda, gdyż — wyjaśniła, rumieniając się z lekka — wiele o nim słyszała. (Markiz du Lau przed ślubem Swanna należał do jego najbliższych przyjaciół, niewykluczone, że Gilberta kiedyś go widziała, ale musiało to być w czasach, kiedy nie interesowała się jeszcze tym towarzystwem).

— Czy jest kimś w rodzaju pana de Bréauté albo księcia d’Agrigente? — spytała.

— Skądże! Ani trochę! — wykrzyknęła pani de Guermantes, która, będąc wrażliwa na najlżejszą różnicę odcieni, potrafiła od ręki naszkicować portret, opromieniony złocistą barwą jej niskiego głosu, łagodnym światłem fiołkowych oczu. — Ani trochę! Du Lau to był perigordzki szlachcic, uroczy, wcielenie dworności i niewymuszonej swobody, po której poznawało się wielkiego pana z jego stron. W Guermantes, kiedy bawił u nas król angielski, z którym zresztą du Lau był na stopie przyjacielskiej, po polowaniu siadaliśmy do podwieczorku; du Lau miał zwyczaj o tej porze zmieniać buty z cholewami na miękkie bambosze. Otóż nie robił sobie ceremonii z obecności króla Edwarda wraz z gromadą diuków i w tych swoich bamboszach schodził do sali rycerskiej. Uważał, że markiz du Lau d’Allemans nie musi wyrzekać się własnych zwyczajów z takiego powodu jak wizyta króla Anglii. Było ich dwóch, on i ten uroczy Quasimodo de Breteuil: lubiłam ich najbardziej ze wszystkich. Byli to zresztą serdeczni przyjaciele... (już miała powiedzieć „pani ojca”, ale zawiesiła głos w pół zdania). Nie, ani Gri-Gri, ani de Bréauté nie byli do niego podobni. To był prawdziwy wielki pan z Perigordu. Mémé lubił przytaczać pewien ustęp z Saint-Simona o którymś z markizów d’Allemans: jest tam cały on, jak żywy.

Zacytowałem kilka pierwszych zdań tego portretu: „Pan d’Allemans, pierwszy wśród szlachty Perigordu z racji urodzenia, jak również dla swoich zasług, był przez naród tamtejszy najwyższym obdarzony szacunkiem, jako sędzia spraw wszelkich, do którego każdy zwracał się w potrzebie, a to dla jego rzetelności, rozumu i dwornych obyczajów, on zaś, niczym kur między pomniejszym ptactwem całej prowincji...”

— Jest w tym sporo prawdy — wtrąciła pani de Guermantes — zważywszy że du Lau oblicze miał czerwone jak kogut.

— Tak, teraz pamiętam, ktoś kiedyś zacytował przy mnie ten opis — powiedziała Gilberta, ale nie dodała, że tym kimś był jej ojciec, wielki miłośnik Saint-Simona.

O księciu d’Agrigente i panu de Bréauté Gilberta porozmawiałaaby chętnie z jeszcze innego powodu. Książę d’Agrigente odziedziczył tytuł po swoich krewnych z domu aragońskiego, ale jego dobra ziemskie leżały w Poiteau. A zamek, ten, w którym książę mieszkał, nigdy nie należał do jego rodziny, tylko do rodziny pierwszego męża jego matki, i był mniej więcej o tyle samo oddalony od Martinville co od Guermantes. Toteż Gilberta wymieniała księcia d’Agrigente i pana de Bréauté jako swych wiejskich sąsiadów, których widok przypominał jej dawną posiadłość. Jeśli chodzi o ścisłość, nie całkiem było to prawdą, bo pana de Bréauté, zresztą starego przyjaciela swojego ojca, poznała dopiero w Paryżu, przez panią Molé. Ale wzruszenie, z jakim wspominała okolice Tansonville, mogło być szczere. Snobizm jest u niektórych osób czymś takim jak owe orzeźwiający napoje, zawierające w swoim składzie różne odżywcze dodatki. Jednej z eleganckich dam Gilberta nadskakiwała w swoim czasie, interesując się jej wspaniałymi zbiorami książek i płócien Nattiera, których zapewne nie wybrałaby się obejrzeć, gdyby je wystawiono w Bibliotece Narodowej albo w Luwrze, i jestem przekonany, że powaby Tansonville nie opromieniały w jej oczach pań Sazerat i Goupil w tym samym stopniu, co i księcia d’Agrigente, mimo jeszcze bliższego sąsiedztwa.

— Och, biedny ten Babal, biedny Gri-Gri — powiedziała pani de Guermantes. — Są bardziej chorzy niż du Lau, obawiam się, że żaden już nie pociągnie długo.

Pan de Guermantes skończył czytać mój artykuł i udzielił mi paru pochwał, zresztą raczej umiarkowanych. Ubolewał nieco nad szablonowością stylu, w którym dostrzegł „emfatyczne metafory naśladowujące przebrzmiałą już manierę Chateaubrianda”; ale za to gratulował mi nader wylewnie, że w ogóle czymś się zająłem.

— Lubię, kiedy ktoś potrafi pokazać, że nie ma dwóch lewych rąk. Bo próżniaków nie znoszę. Kabotyni i sensaci, durne plemię!

Gilberta, która w zawrotnym tempie przyswajała sobie obyczaje wielkiego świata, oświadczyła, że będzie dumna, mogąc pochwalić się przyjaźnią prawdziwego literata.

— Proszę sobie wyobrazić, jaka to będzie dla mnie przyjemność, jaki *zzzaszczyt*, móc powiedzieć, że pana znam.

— Nie poszedłby pan z nami jutro do Opery Komicznej? — zagadnęła księżna, ja zaś pomyślałem, że bez wątpienia trzyma jeszcze tę samą lożę, w której ujrzałem ją za pierwszym razem i która wówczas wydała mi się miejscem równie niedostępnym, jak podmorskie królestwo Nereid. Ale odpowiedziałem zgaszonym głosem:

— Nie chodzę teraz do teatru. Straciłem przyjaciółkę, którą bardzo kochałem.

Gdy to mówiłem, miałem niemalże łzy w oczach, ale jednocześnie po raz pierwszy, mówiąc o tym, odczuwałem przyjemność. I właśnie od tamtego dnia zacząłem pisać do różnych ludzi o wielkiej tragedii, jaką przeżyłem, i w tym samym czasie zacząłem już z wolna zapominać.

Po odejściu Gilberty pani de Guermantes powiedziała mi:

— Pan nie odczytał moich znaków, chodziło mi o to, żeby w ogóle nie wspominać o Swannie. — A gdy ją przeproszałem, dodała: — Ależ rozumiem pana znakomicie. Sama omal nie wymówiłam jego nazwiska, na szczęście opamiętałam się w porę. Popatrz, Błażeju, jakie to krępujące — zwróciła się do księcia. Chciała pomniejszyć moją winę, udając przeświadczoną, że uległem powszechnej skłonności, której oprzeć się nie sposób.

— Cóż mam ci na to powiedzieć? — odparł książę. — Każ zabrać te rysunki z powrotem na górę, jeśli przypominają ci Swanna. A jak nie będziesz o nim pamiętała, to nic nie palniesz.

Nazajutrz dostałem dwa listy z gratulacjami, które mnie zaskoczyły; jeden był od pani Goupil z Combray; nie widziałem jej od wielu lat, a przecież nawet w czasach Combray nie rozmawiałem z nią więcej jak trzy razy. Dostała „Le Figaro” w czytelni czasopism. Ilekroć zdarzy nam się uczynić coś, co wywoła choć trochę rozgłosu, odzywają się do nas osoby, które już ledwie pamiętamy i które opuściliśmy tak dawno, że ich głosy wydają nam się stłumione oddaleniem, lub raczej głębią otchłani, z jakiej do nas dochodzą. Jakiś zapomniany kolega szkolny, który miał już ze dwadzieścia okazji, by do nas napisać, daje nam nagle znak życia. Choć bywa i na odwrót. Na przykład Bloch, którego opinii o moim artykule byłem tak bardzo ciekawy, nie napisał mi ani słowa. Przeczytał co prawda ten artykuł, ale gdy mi to dopiero po paru latach wyjawiał, jego opinia dosięgła mnie bolesnym rykoszetem. W końcu bowiem i on zamieścił artykuł w „Le Figaro”, i wówczas uznał za stosowne niezwłocznie powiadomić mnie o tym wydarzeniu. Skoro tylko stało się jego udziałem to, co uważał za przywilej wybranych, niczym gaz po otwarciu kompresora uszła z niego zawiść, która wcześniej kazała mu udawać, że mojego tekstu nie czytał; i powiedział mi o nim zupełnie co innego, niż chciałby usłyszeć o swoim własnym: „Wiedziałem o twoim artykule, uznałem jednak, że nie powinienem ci nic mówić. Obawiałem się, że sprawiłbym ci tym przykrość. Najlepiej zmilczeć, jeśli przyjacielowi przytrafiło się coś takiego, że mógłby się poczuć upokorzony, gdyby mu o tym przypomniano. Bo przecież to poniżające drukować się w gazecie spod znaku szabli i kropidła oraz five o'clocków, nie mówiąc już o wodzie święconej, którą ocieka”. Nic się nie zmienił, ale jego styl stał się mniej uroczysty; coś podobnego zdarzyło się niejednemu literatowi, gdy zarzuciwszy poemat symboliczny dla powieści w odcinkach, wyzbył się manieryzmu.

Skoro Bloch milczał, na pocieszenie jeszcze raz przeczytałem sobie list od pani Goupil; ale nie znalazłem w nim ani trochę ciepła. Jeśli bowiem zwyczajem arystokracji było rozpoczynać i kończyć formułą chłodną jak mur, między nagłówkiem „Łaskawy panie” i pożegnalnym „głębokim szacunkiem” strzeliste wykrzykniki zachwytu i podziwu rozkwitały bujnie, a ponad okalające ogród mury niosła się czarowna woń peanu. Tymczasem

konwencjonalna mieszczańska zdawkowość dławiała wymowę listu ciasną pętlą zwrotów w rodzaju „ten sukces, jakże zasłużony”, lub nawet, w największym uniesieniu, „pański wspaniały sukces”. Dwie szwagierki mojego dziadka, stare panny, wierne zasadom, w jakich je wychowano i zawsze należycie ściśnięte gorsetem form, sądziły, że zdobywają się na śmiałą wylewność, gdy chciały wyrazić swój gorący entuzjazm albo szczerze współczucie przez „najserdeczniejsze pozdrowienia”. Formułka „Do życzeń przyłącza się moja matka” oznaczała już najwyższy stopień laski, toteż nie szafowano nią zbyt hojnie. Oprócz listu od pani Goupil dostałem jeszcze jeden, podpisany nazwiskiem Sanillon, które nie było mi znane. Pismo dość pospolite, język zaś pełen wdzięku. Byłem zmartwiony, że nie zdołałem się dowiedzieć, kim jest nadawca.

Dwa dni później cieszyłem się nad ranem na myśl, że Bergotte zachwycił się moim artykułem i nie mógł go czytać bez zazdrości. Ale moja radość wkrótce zgasła. Bo przecież Bergotte nic mi o tym nie mówił. Toteż zadawałem sobie samemu pytanie, czy artykuł mu się spodobał, i przepełniały mnie obawy, że nie. Pani de Forcheville zapewniła mnie co prawda, że spodobał mu się nad wyraz, dostrzegł w nim talent najwyższej miary. Ale powiedziała mi o tym, kiedy spałem: miałem taki sen. Sny nie oszczędzą środków, by w swoich wystawnych inscenizacjach udzielić nam odpowiedzi na dręczące pytania, ale żadna z tych odpowiedzi nie jest zdolna przetrwać poranka.

O pannie de Forcheville nie mogłem zaś myśleć bez przykrości. Cóż widziałem? Córka Swanna, którą on tak gorąco pragnął wprowadzić do salonu Guermantów i której oni, mimo że mieli go kiedyś za wielkiego przyjaciela, nie pozwolili sobie przedstawić, którą zaś w końcu sami zapragnęli przyjmować, gdy upływ czasu odmienił ją w ich oczach, przelał w jej postaci nową osobowość, zmieszana z cudzych opowieści, jak to bywa, gdy nie widzieliśmy kogoś tak długo, że sami zdążyliśmy już zmienić skórę i nabrać nowych upodobań. Swann mówił czasem, obejmując ją i całując: „Jaka to radość, moje dziecko, mieć taką córkę jak ty. Jeżeli pewnego dnia, gdy mnie już nie będzie, ktoś wspomni o twoim biednym ojcu, to tylko dzięki tobie”, lecz mylił się, pokładając w swej córce tę niepewną, drżącą z niepokoju nadzieję na pośmiertne trwanie, tak samo jak myliłby się stary bankier, który zapisał swój majątek tancereczce, licząc na to, że skoro prowadziła się bez zarzutu, gdy ją utrzymywał, będąc tylko przyjacielem, to pozostanie na zawsze wierna jego pamięci. Ale tancerka, zachowując nienaganne pozory, po kryjomu porozumiewawczo trącała pod stołem przystojnych przyjaciół starego bankiera. Będzie nosiła żalobę po tym wielkodusznym człowieku i zadowolona, że się od niego uwolniła, zacznie z ochotą korzystać nie tylko z jego gotówki, ale także z nieruchomości i pojazdów, które jej zapisał; skąd tylko można, każe usunąć monogram dawnego właściciela, wprawiając ją w zażenowanie, i ciesząc się posiadaniem owych dóbr, nie uroni ani jednej łzy po swoim dobroczyńcy. Złudzenia miłości ojcowskiej są zapewne nie mniej szalone od tamtych. Dla wielu dziewcząt ojciec nie jest nikim więcej niż starcem, po którym mają dziedziczyć. Kiedy Gilberta pojawiała się w którymś z salonów, nie tylko nie można było porozmawiać z nią o ojcu, lecz wprost przeciwnie, jej obecność wyraźnie przeszkadzała takim wspominkom, nawet gdy pojawiała się już coraz rzadsza ku nim sposobność. Również wtedy, gdy powtarzano jego powiedzonka albo podziwiano przedmioty, które kiedyś ofiarował, utarło się nie wymieniać jego nazwiska. Ta zaś, po której można by się spodziewać, że zechce przynajmniej przywrócić jego imię ludzkiej pamięci, albo zgoła zapisać je w niej nieśmiertelnymi zgłoskami, zamiast tego przypieczętowała dzieło śmierci i zapomnienia.

Gilberta stanęła po stronie śmierci wobec kogoś jeszcze: wobec żyjącej we mnie Albertyny. Pod wpływem pragnienia, pod wpływem tęsknoty za szczęściem, jaką rozbudziła we mnie Gilberta w ciągu tych godzin, kiedy ją brałem za kogo innego, nawis nowego cierpienia, bolesnego niepokoju, który mnie przytłaczał niedawno, oderwał się i runął, pociągając za sobą w całości wielki maszyn wspomnień związanych z Albertyną, prawdopodobnie od dawna już zwietrzały i kruchy. Bo jeśli wspomnienia początkowo podtrzymywały we mnie żal po niej, to potem z kolei ów żal służył utrwaleniu wspomnień. Tak więc przemiana, jakiej uległ mój stan emocjonalny, szykowała się już od dawna w ukryciu. Stopniowy, choć nieustający rozpad wspomnień tworzył dla niej grunt, w końcu zaś objawiła się w sposób nagły, gwałtowny, w całej swej okazałości, tamtego dnia dając mi odczuć po raz pierwszy pustkę, jaką pozostawiło we mnie zniknięcie rozległej połączy skojarzeń — wrażenie znane zapewne tym, którzy z powodu pęknięcia jakiejś nadwątlonej

tętnicy w mózgu dotknięci zostali zanikiem bądź paraliżem znacznych obszarów pamięci. Nie kochałem już Albertyny. Co najwyżej w niektóre dni, przy zmianach pogody, które wyostwiają wrażliwość i stawiają nas twarzą w twarz z surową rzeczywistością, myśl o Albertynie wtrącała mnie w beznadziejny smutek. Cierpiałem wówczas z miłości, której już nie było. Tak jak cierpią ludzie, którym amputowano nogę lub rękę i którzy przy zmianach pogody odczuwają ból w utraconej kończynie.

Gdy opuściło mnie cierpienie, a wraz z nim wszystko, co się z nim wiąże, ubyłoby wówczas mnie samego, jak to się często zdarza po ustąpieniu choroby, której podporządkowane było całe nasze życie. To bez wątpienia dlatego miłość nie trwa wiecznie, że wietrzeje prawda wspomnień, a życiu towarzyszy ciągła odnowa tkanek. Lecz jeśli chodzi o wspomnienia, tę ciągłą odnowę opóźniają procesy uwagi, zatrzymującej się jeszcze na chwilę przy tym, co musi ulec przemianom. A ponieważ smutek, tak samo jak żądza, nasila się, gdy nie przestajemy o nim myśleć; jeśli nasz czas jest wypełniony obowiązkami, łatwiej nam nie tylko trwać w czystości — także zapominać.

Ale tymczasem to właśnie chwila roztargnionej bez troski, gdy oderwałem się od własnych myśli i zapragnąłem panny d'Éporcheville, zwiędziła proces zapominania i uzmysłowiła mi go zarazem; jest rzeczą pewną, że jeśli czas przynosi zapomnienie, to i fakt zapominania ze swej strony w jakiś sposób kształtuje nasze poczucie czasu. Złudzenia optyczne mogą dotyczyć czasu równie dobrze, jak przestrzeni. Przez swoje niezmiennie trwanie mój dawny zamiar rzucenia się w wir pracy, by nadrobić stracony czas, mój pomysł by zmienić sposób życia, lub raczej po prostu zacząć wreszcie żyć, mamił mnie złudzeniem, że nie przybywa mi lat. Z drugiej strony, za sprawą zdarzeń, jakie przed śmiercią Albertyny rozegrały się w moim życiu, a zwłaszcza w moim sercu — bo zmieniając się, tym mocniejsze odnosimy wrażenie, że to wszystko trwa bardzo długo — ulegałem złudzeniu, że owe tygodnie musiały ciągnąć się przynajmniej przez rok. A kiedy tak wiele rzeczy zniknęło naraz z mojej pamięci, obszary pustki oddzieliły mnie od zdarzeń całkiem niedawnych, które już zdawały się należeć do zamierzchłej przeszłości, ponieważ, jak to mówią, „miałem czas” zapomnieć. I gdy zapomnienie gęstniało niczym mgła nad oceanem, zasnuwając wszelkie punkty orientacyjne — w samym środku mojej pamięci następowały przesunięcia, zniekształcenia, rozwarstwienia, i zakłócały moje wewnętrzne odczucie czasu, skracając lub rozciągając różne jego odcinki; często wydawało mi się, że od jakiegoś punktu w czasie jestem o wiele mniej oddalony, albo też o wiele bardziej, niż byłem w rzeczywistości. Jeśli zaś jeszcze nie przebyte przestrzenie, które rozpościerały się przede mną, wolne były od wszelkich śladów mojej miłości do Albertyny, dlatego tylko, że jej już tam nie było, tak samo jak w rejonach minionego czasu, które przemierzyłem świeżo, nie było już śladów mojej miłości do babki, to dodać należy, że spośród kolejnych epok, następujących jedna po drugiej, żadna nie przechowała tego, czym żyłem w poprzedniej, i moje życie okazywało się czymś do tego stopnia wyzutym z jakiegokolwiek stałości opartej na trwałym, niezmiennym ja, czymś równie bezcelowym w przyszłości, jak w przeszłości nużącym, że śmierć mogłaby je przeciąć w dowolnym, przypadkowym miejscu, bez żadnej konkluzji, tak jak kurs historii Francji w ostatniej klasie urywa się, zależnie od treści podręczników i fantazji nauczycieli, na rewolucji roku 1830, na tej z roku 1848, albo na upadku Drugiego Cesarstwa.

Być może więc przyczyną znużenia i smutku, jaki mnie wtedy ogarnął, nie było to, że czas zniweczył moje uczucia, że ona umarła i że zapomniałem, lecz raczej co innego: że zaczęło mi odpowiadać towarzystwo żyjących, nowych znajomych bywałych w świecie, którzy sami w sobie byli tak mało ciekawi — krótko mówiąc, towarzystwo gości księstwa de Guermantes. Łatwiej jednak było mi pogodzić się z tym, że kobieta, którą kochałem, w krótkim czasie stała się bladym wspomnieniem, niż odnaleźć w sobie ową pustą gotowość do obsadzania całej dostępnej przestrzeni gąszczem ludzkiej flory, bardzo żywotnej, lecz pasożytniczej, okazami, które, już teraz obce temu wszystkiemu, cośmy kiedyś cenili, po śmierci obrócają się w nicość zupełną, a które mimo wszystko usiłuje sobie zjednać nasza rozmowna, melancholijna, skazana na uwiąd kokieteria. Nowa istota, zdolna znieść życie bez Albertyny, wykluła się we mnie w chwili, gdy mówiłem pani de Guermantes o tej śmierci słowami pełnymi smutku, nie czując już bólu w głębi serca. Tej gromady nowo przybyłych ja, które właściwie nie powinny już występować pod mo-

im nazwiskiem, bałem się zawczasu, wiedziałem bowiem o ich przerażającej obojętności wobec tych, których kochałem. Podobnego lęku doznałem dawno temu, w czasach mojej miłości do Gilberty, kiedy usłyszałem od jej ojca, że gdybym zamieszkał w Oceanii, nie chciałbym wcale stamtąd wracać. To samo poczułem całkiem niedawno; ścisnęło mi się serce, gdy w pamiętnikach pewnego drugorzędnego pisarza przeczytałem o kobiecie, do której pałał uczuciem za młodu, lecz życie ich rozdzieliło: gdy spotkał ją znów jako starzec, to już bez cienia przyjemności, wcale nie pragnąc jej widzieć. Ale wbrew moim obawom owa budząca lęk nowo przybyła istota wraz z zaćmieniem pamięci przyniosła mi ukojenie wszelkich cierpień, jej dobroczynny wpływ przywracał mi równowagę, nie była ona bowiem nikim innym, jak tylko jednym z tych zamiennych ja, które los trzyma dla nas w odwodzie, by nie zważając na nasze błagania, w stosownym momencie dokonać operacji — niczym chirurg, któremu wiedza i doświadczenie daje prawo do bezwzględności, gdy trzeba usunąć i zastąpić nasze ja nazbyt już poranione. Operacji takich dokonuje on zresztą co jakiś czas, w miarę zużywania się tkanki, lecz my zauważamy zmianę tylko wówczas, jeśli usunięte ja cierpiało ból, jątrzący jak ucisk obcego ciała, którego nagłe zniknięcie wprawia nas w zdumienie; z zachwytem spostrzegamy, że oto staliśmy się kimś innym, kimś, komu wcześniejszy ból jest już całkiem obcy, toteż możemy o nim mówić z politowaniem, bo wcale go nie znamy. Nic nas już nie obchodzi największe nawet cierpienia, przez jakie musieliśmy przejść, bo czas, w którym cierpieliśmy, pamiętamy jak przez mgłę. Jeśli nawet w nocy prześladują nas złe sny, po przebudzeniu stajemy się nową osobą, na której nie robi to wrażenia, że ktoś; kto w nocy znalazł się na jej miejscu, ledwie uszedł z życiem z rąk siepaczy.

Nasze nowe ja jeszcze przez pewien czas utrzymuje kontakty z poprzednim, lecz tylko jako przyjaciel domu, obojętny wobec nieszczęścia — umiejący jednak, ze stosownym wyrazem smutku na twarzy, witać przybyłych gości; od czasu do czasu wraca na chwilę do sypialni, skąd przez cały czas dolatuje szloch wdowca, w którego imieniu ów przyjaciel zgodził się przyjmować kondolencje. I ja także wybuchałem szlochem, na chwilę stając się znowu tym kimś, kto kochał Albertynę. Prędzej czy później miałem się jednak do reszty przeistoczyć w nową postać. To nie z powodu śmierci bliskich osób słabną nasze dla nich uczucia, dzieje się tak dlatego, że w nas samych coś umiera. Albertyna nie miałaby nic do zarzucenia swojemu przyjacielowi. Ten, kto się teraz posługiwał jego nazwiskiem, był jedynie sukcesorem. Nie sposób pozostać wiernym temu, kogo się nawet nie pamięta, pamiętać zaś możemy tych tylko, których znaliśmy osobiście. Moje nowe ja, dorastając w cieniu ja poprzedniego, często słyszało od niego o Albertynie. Wydawało mu się, że poznała ją w ten pośredni sposób, w skupieniu chłonąc szczegóły opowieści, i polubiło Albertynę, a nawet pokochało. Lecz była to miłość z drugiej ręki.

Był ktoś jeszcze, kto pozwolił równie wartko się toczyć procesom pogrążania się Albertyny w niepamięć, czym dał mi odczuć, że także we mnie poczyniły one nowe postępy i że weszły w swe przedostatnie stadium, poprzedzające ostateczne zapomnienie. Osobą tą była Anna. Zapomnienie uznać należy jeśli nie za przyczynę wyłączną i główną, to przynajmniej za warunek konieczny wymiany zdań, do jakiej doszło między nami mniej więcej w sześć miesięcy po tamtym pierwszym spotkaniu, o którym już przedtem wspominałem — bo tylko procesami zapomnienia można wytłumaczyć jej przebieg. Za drugim razem Anna mówiła mi zupełnie co innego niż za pierwszym. Pamiętam, że działo się to w moim pokoju, bo podczas tego spotkania cieszyłem się jej zmysłową bliskością, będącą jakimś dalekim echem mojej miłości podzielonej początkowo między wszystkie dziewczęta z „bandy”, miłości przez długi czas niezdolnej dokonać wyboru, która potem z nagłą przylgnęła do Albertyny, by pozostać przy niej w ciągu kilku miesięcy poprzedzających jej śmierć i jeszcze kilku kolejnych.

Jest i inna okoliczność, dzięki której wiem to na pewno, że rozmawialiśmy w moim pokoju. Otóż musiałem wycofać się z dalszych części mieszkania, bo mama miała właśnie swój dzień wizyt. Wahała się, czy pójść przedtem do pani Sazerat. Ale pani Sazerat jeszcze w Combray umiała zawsze tak to urządzić, że spotykało się u niej samych nieciekawych ludzi, toteż mama wiedziała, że nie będzie się tam dobrze bawić, i uznała, że nic złego się nie stanie, jeśli wyjdzie wcześniej. I w samej rzeczy wróciła do domu na czas, bo pani Sazerat jak zwykle miała u siebie ludzi śmiertelnie nudnych, a w dodatku mroziła ich samym swym głosem, który przybierała specjalnie przy okazji przyjmowania gości i który

mama nazwała jej środowym tonem. Moja matka ją zresztą lubiła i współczuła z powodu ubóstwa — było ono skutkiem wybryków jej ojca, który zrujnował się dla księżnej d'Havré — ubóstwa, które zmuszało ją do życia w Combray przez cały rok, jeśli nie liczyć kilku tygodni spędzanych u kuzynki w Paryżu oraz wielkiej podróży „dla rozrywki”, na którą pozwalała sobie raz na dziesięć lat.

Pamiętam też, że poprzedniego dnia, ulegając namowom, jakie ponawiałem od miesięcy ze względu na księżną Parmy, która przy każdej okazji powtarzała, że pragnie poznać moją matkę, mama poszła do niej z wizytą. Księżna nigdzie nie bywała, u niej zaś wystarczało zazwyczaj wpisać się do książki, ale tym razem upierała się, by matka ją odwiedziła, skoro etykieta nie pozwalała księżnej na wizytę u nas. Matka wróciła bardzo niezadowolona.

— Przez ciebie popełniłam straszną gafę — powiedziała mi. — Księżna Parmy nawet na mnie nie spojrziała przy powitaniu, zajęta rozmową z jakimiś paniami. W ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. A skoro przez dziesięć minut ani razu się do mnie nie odezwała, poszłam sobie; nawet nie podała mi ręki na pożegnanie. Zgnębiło mnie to wszystko. Ale kiedy wychodziłam, na dole natknęłam się na księżną de Guermantes, która zachowywała się ujmująco i dużo mówiła o tobie. Co też ci strzeliło do głowy, żeby jej opowiadać o Albertynie? Powtórzyła mi, co jej wyznałeś: że ta śmierć napełniła cię wielkim smutkiem. (Rzeczywiście wyznałem, a później wyleciało mi to z głowy, bo nie przywiązywałem wagi do tych zwierzeń. Ale nawet najbardziej roztargnione osoby potrafią czasem z nieoczekiwaną wnikliwością rozważać słowa, które wymknęły nam się przypadkiem, które nam się nie wydawały godne uwagi, w nich zaś do głębi poruszyły żądzę wiedzy). — Nie pójde więcej do księżnej Parmy. Posłuchałam twojej namowy i zrobiłam głupstwo.

A nazajutrz, gdy moja matka przyjmowała wizyty, odwiedziła mnie Anna. Nie miała wiele czasu, bo chciała koniecznie zdążyć na obiad z Gizelą.

— Wiem, że ma wiele wad, ale to jednak moja najbliższa przyjaciółka i jestem do niej bardzo przywiązana — tak mi powiedziała. Odniosłem wrażenie, że obawiała się, żebym nie zechciał się do nich przyłączyć. Była bowiem bardzo zaborcza, a obecność osoby trzeciej, kogoś takiego jak ja, przeszkodziłaby dać upust zachciankom, mogłaby popsuć zabawę.

Kiedy nadeszła, nie było mnie jeszcze w domu; poczekała na mnie. Żeby się z nią przywitać, musiałem minąć mały salonik. Usłyszałem stamtąd jakiś głos i zorientowałem się, że przyszedł do mnie ktoś jeszcze. Spieszyłem się do Anny, którą wprowadzono tymczasem do mojego pokoju. Nie miałem pojęcia, kim jest ten drugi gość, najwyraźniej nie znający Anny, skoro wskazano mu inne pomieszczenie. Mijając drzwi saloniku, nasłuchiwałem przez chwilę. Mój gość przemawiał, więc nie był sam. Zwracał się do kobiety:

— O, moja miła, tu w moim sercu... — zanucił wiersz Armanda Silvestre. — Tak, na zawsze pozostaniesz w moim sercu, cokolwiek złego mnie od ciebie spotkało:

Zmarli legli na wieki w ciemnym ziemi łonie.  
Niechże spoczną wraz z nimi wystygłe miłości.  
Relikwie serc przysypie mialki pył wieczności;  
Nikt na te szczątki święte nie podniesie dłoni.

Trochę niedzisiejsze, ale jakże ładne! A to mógłbym ci powiedzieć już pierwszego dnia naszej znajomości:

To przez ciebie, urocze, piękne dziecię moje...

Naprawdę nie znasz tego?

... zapłaczą kiedyś malcy, ci przyszli mężczyźni.  
Już rozsnuwają mgiełkę swych młodzińczych rojeń  
Na delikatnych rzęsach oczu twoich czystych.

Ach! Sam sobie mógłbym w kółko powtarzać:

Raz tylko spojrział i o czci  
Spiesznie zapomnieć przyszło mi.  
Szeptalam, że mnie będzie miał,  
Póki miłować będzie chciał.  
Przy nim najsłodsze śniłam sny.

Choćbym miał przez to opóźnić nie cierpiące zwłoki spotkanie z Anną, ciekawość kazała mi przede wszystkim dowiedzieć się, ku jakiej to kobiecie płynął ów wezbrany potok poezji, uchyliłem więc drzwi. Okazało się, że to pan de Charlus deklamował wiersze jakiegoś żołnierza. Rozpoznałem go po chwili, był to Morel: wyjeżdżał właśnie na ćwiczenia. Z panem de Charlus nie był już w tak bliskiej jak niegdyś zażyłości, ale przypominał mu się od czasu do czasu, kiedy czegoś potrzebował. Widocznie nawet pan de Charlus, który zwykł nadawać uczuciom formę raczej męską, miał swoje chwile słabości. Zresztą już od dzieciństwa wiersze przemawiały do niego wtedy jedynie, kiedy wyobraził sobie, że zamiast jakiejś pięknej i niewiernej kobiety, przedmiotem swym czynią młodzieńca. Pożegnałem ich tak prędko, jak tylko mogłem, choć czułem, że wizyty składane w towarzystwie Morela przynoszą baronowi najwięcej zadowolenia, pozwalając mu poczuć się tak, jakby ożenił się powtórnie. W taki to sposób władcza próżność królowych spotykała się w nim z próżnością sługi.

Wspomnienie Albertyny w owym czasie uległo już we mnie rozpadowi tak dalece, że nie budziło nawet smutku, było teraz jak brama wiodąca ku przyszłym pragnieniom, jak akord otwierający przejście do nowej tonacji. I nawet pominąwszy sferę zmysłów, ulegających przelotnym kaprysom, to wszystko, co dotąd jeszcze pamiętało we mnie o Albertynie, bardziej niż jej cudownego powrotu pragnęło obecności Anny. Od Anny bowiem mogłem dowiedzieć się o Albertynie tego, czego sama Albertyna nie wyznała mi nigdy. Pytania związane z Albertyną wciąż jeszcze nurtowały mój umysł, choć moja tkliwość, tak samo jak pożądanie, wygasła dawno temu. Ciekawość jej życia opuszczała mnie najbardziej opieszale, toteż wzięła w końcu górę nad tęsknotą. Z drugiej strony, na myśl o innej kobiecie, będącej może w cielesnym związku z Albertyną, już tylko pożądałem tamtej. Powiedziałem o tym Annie, gdy ją pieściłem. I wówczas Anna, nie dbając o zachowanie pozorów wiarygodności własnych słów sprzed paru miesięcy, odpowiedziała z półśmiechem:

— Ale cóż, ty jesteś mężczyzną. Więc nie mogę z tobą robić tego samego, co z Albertyną. — I po to może, by rozpalic we mnie żądzę (bo licząc na zwierzenia, powiedziałem jej, że chciałbym mieć kobietę, która utrzymywała z Albertyną takie stosunki), czy raczej po to, żeby mnie strącić w otchłań smutku, albo też odebrać mi poczucie wyższości, jakie jej zdaniem mogłem budować na przekonaniu, że Albertyna nie miała innych kochanków, dodała: — Ależ tak! Spędziliśmy razem wiele cudownych chwil, była taka czuła, taka namiętna! Od zawsze zresztą uganiała się za przyjemnościami. Poznała u pani Verdurin pewnego ładnego chłopca, nazywał się Morel. W lot się porozumieli. On zajął się uwodzeniem córek rybaków z odległej plaży i młodych praczek, które mogły łatwo zakochać się w chłopcu, ale na umizgi dziewczyny odpowiadałyby wzruszeniem ramion (musiała za to dać mu swobodę zabawiania się z nimi do woli, bo lubił sprowadzać na złą drogę nieświadome dziewczątka i porzucać je czym prędzej). Każdą, która mu uległa, prowadził na umówione miejsce i oddawał Albertynie. One z obawy, żeby nie stracić owego Morela, który zresztą brał udział w dalszej zabawie, zgadzały się na wszystko. Lecz i tak je porzucał, znudzawszy się każdą po jednym czy dwóch spotkaniach, i ulatniał się, zostawiając fałszywy adres. Mieli czelność razem zaciągnąć którąś z nich do prostytutki w Couville, by patrzeć, jak we cztery, a może w pięć, brały ją równocześnie czy też po kolei. Te zabawy to była wielka pasja tego Morela, tak samo zresztą, jak Albertyny. Tyle że ją sumienie dręczyło potem okropnie. Myślę, że póki mieszkała u ciebie, tłumiała swoje żądze i odsuwała ich nasycenie na przyszłość. Bo przywiązała się do ciebie naprawdę, stąd brało się w niej poczucie winy. Ale było rzeczą pewną, że jeśli cię opuści, wszystko zacznie się od początku. Wyobrażam sobie, że ledwie stąd wyjechała, rzuciła się w piekło najdzikszych namiętności, a potem dosięgły ją tym straszniejsze udręki sumienia. Liczyła przecież na to, że ją ocalisz przez małżeństwo. W głębi duszy czuła, że

grzeźnie w jakimś zbrodniczym szaleństwie, i nieraz zadawałam sobie pytanie, czy nie szukała śmierci właśnie z tego powodu, bo znałam rodzinę, w której w podobnych okolicznościach doszło do samobójstwa. Muszę ci wyznać, że kiedy u ciebie zamieszkała, nie od razu poniechała tych naszych zabaw. Bywały takie dni, kiedy zdawała się jakoś szczególnie ich potrzebować, do tego stopnia, że pewnego razu nie dała mi spokoju, póki się przy niej nie położyłam, choć mogłyśmy bez trudu znaleźć lepsze miejsce gdzie indziej. Gdyby szczęście nam nie sprzyjało, wpadłybyśmy jak nic. Skorzystała z tego, że Franciszka wyszła akurat po sprawunki, a ty jeszcze nie wróciłeś. Zgasiła nawet wszystkie światła, żebyś wszedłszy zniecka, musiał najpierw poszukać wyłącznika, a drzwi swojego pokoju zostawiła uchylone. Słyszałyśmy twoje kroki na schodach. Ledwie zdążyłam zerwać się i poprawić garderobę. Ten pośpiech okazał się zresztą niepotrzebny, bo akurat przypadkiem nie miałeś przy sobie klucza i musiałeś zadzwonić do drzwi. Ale i tak potraciliśmy głowy. I żeby ukryć zmieszanie, nie umawiając się, wpadłyśmy obie na ten sam pomysł: udawać, że drażni nas zapach tureckiego bzu, który, na odwrót, lubiliśmy bardzo. Przyniosłeś wtedy dorodną gałązkę, skorzystałam więc z pretekstu, by odwrócić głowę i ukryć zmieszanie. Mimo to płątałam się w niedorzecznych tłumaczeniach, jakobyśmy sądziły, że Franciszka już jest w domu z powrotem, więc może ci otworzyć, choć chwilę przedtem skłamałam, że dopiero wróciliśmy ze spaceru i widziałyśmy Franciszkę na wychodnym (tylko to ostatnie było prawdą). Na swoje nieszczęście — myśląc, że masz przy sobie klucz — pogasiłyśmy światła i obawiałyśmy się, żebyś wchodząc, nie zobaczył, jak je zapalamy. Z otwarciem drzwi zwlekaliśmy za długo. I Albertyna potem przez trzy noce nie zmrzyła oka ze strachu, żebyś w przypływie podejrzliwości nie zaczął wypytywać Franciszki, dlaczego pogasiła światła. Bo Albertyna żyła w strachu. Zapewniała mnie, że jesteś człowiekiem podstępny i trudny, a w duchu nią pogardzasz. Dopiero po trzech dniach, widząc twój spokój, upewniła się, że nie wpadło ci do głowy pytać o nic Franciszki, i odtąd już znowu dobrze spała. Ale nie podjęła więcej ze mną tych stosunków, może z obawy, a może z poczucia winy; bo zawsze twierdziła, że cię kocha, jeśli nawet kochała kogo innego. W każdym razie nie można było wspomnieć przy niej o bzach, bo zaraz oblewała się pąsem i chowała twarz w dłoniach, żeby ukryć rumieniec.

Tak jak szczęście, które przyszło za późno, również nieszczęścia niekiedy nie osiągną rozmiarów, do jakich urosłyby, gdyby zdążyły osiągnąć nas wcześniej. Do takich należało nieszczęście, przyczajone w mrozących krew opowieściach Anny. Gdy bowiem nadciągają złe wieści, może się zdarzyć, że wobec otaczającej nas atmosfery beztroski, wobec lekkiego tonu dowcipnej rozmowy, katastrofa przechodzi bokiem, my bowiem, zajęci mnóstwem konceptów, które cisną się nam na usta, przeistoczeni w kogo innego żądzą podobania się, i w tym naszym nowym, krótkotrwałym wcieleniu osłonięci przed bolesnymi uczuciami, któreśmy porzucili i do których przyjdzie nam powrócić, ledwie czar pryśnie — nie mamy kiedy poddać się rozpaczy. Jeśli jednak cierpienie i ból przeważą szalę, pozostaniemy im wierni; będziemy się błąkać po świecie chwilowej, ulotnej radości, rozstargnieni i nieobecni, niezdolni nawet na moment stać się kim innym, bo każde słowo trafiać będzie prosto w serce, ono zaś nie może wyłączyć się z gry. Lecz jednak od pewnego czasu wszelkie słowa związane z Albertyną traciły swą moc, niczym zwietrzała trucizna. Oddalenie było już zbyt wielkie. Jak ktoś, kto zażywając popołudniowej przechadzki, ujrzał na niebie błady rogalik i zapytuje sam siebie, czy to ma być ten ogromny księżyc, mówiłem sobie: „Jakże to? Więc taka jest ta prawda, za którą się uganiałem, przed którą drżałem? Tych kilka słów, rzuconych w ferworze rozmowy, nad którymi nie mogę się nawet spokojnie zastanowić, póki nie będę sam?” I w dodatku rewelacja owa zastała mnie zupełnie nieprzygotowanego, kiedy już byłem wyczerpany rozmową. Zaliste, prawda takiej wagi! Żałowałem, że nie mam już dla niej nawet resztki sił. Pozostała za progiem, bo nie od razu znalazło się na nią miejsce w moim sercu. Oczekujemy, że prawda zostanie nam objawiona znakami na niebie, jakich dotąd świat nie widział, nie zaś zdaniem zbudowanym ze zwykłych słów, wytartych już od zużycia. Nawyk myślenia często uniemożliwia nam doświadczenie rzeczywistości, uodpornia nas na nią i sprawia, że widzimy w niej tylko dalszy ciąg własnych myśli. W każdym pojęciu zawarte jest jego przeciwieństwo, w każdym słowie jego zaprzeczenie.

Tak czy inaczej, jeśli nawet wszystko to było prawdą, daremna wiedza o nieżyjącej już ukochanej wypłynęła z jakichś czeluści wtedy dopiero, kiedy nie mogłem już zrobić z niej



żadnego użytku. W takich chwilach wpadamy w rozpacz (myśląc zapewne o tym, że ze strony innej kobiety, którą właśnie teraz kochamy, mogłoby nas spotkać coś podobnego; o tamtą bowiem, której już nie ma, nie troszczymy się zbyt). Mówimy sobie: „Gdybyż ona mogła za życia pojąć, co czyni, gdybyż wiedziała, że po jej śmierci nic się przede mną nie ukryje!” Tak oto wygląda błędne koło. Gdyby dało się zapobiec śmierci Albertyny, to i rewelacje Anny nie mogłyby do mnie dotrzeć. To trochę tak, albo nawet zupełnie tak samo jak z ową nieśmiertelną pogroźką: „Zrozumiesz, kiedy przestanę cię kochać”, tyleż prawdziwą, co niedorzeczną, bo na tym, co zyskalibyśmy, odbierając kobiecie naszą miłość, z miejsca przestałoby nam zależeć. Jeśli bowiem spotkamy kobietę, której już nie kochamy, i ona wyzna nam całą prawdę, będzie to oznaczać, że stała się kimś innym albo że my nie jesteśmy już sobą: ten, kto kochał, już nie istnieje. To także jest znak śmierci: przeszła i tędy, czyniąc wszystko łatwym i jałowym. Snułem te myśli, zakładając, że Anna mówiła prawdę — co było całkiem możliwe — i że do szczerości skłoniło ją, ze względu na naszą obecną bliskość, to, co w niej było z ducha św. Andrzeja Polnego i co wyczuwałem także w Albertynie na początku naszej znajomości. Zachęcić ją mogło i to, że nie musiała już się obawiać Albertyny. Umarli pozostają bowiem dla nas postaciami rzeczywistymi jeszcze tylko przez krótki czas, a po paru latach są niczym bóstwa opuszczonej świątyni, którym można bluźnić bez obawy, skoro zabrakło czcicieli. Ale utrata wiary w realność istnienia Albertyny mogła pociągnąć za sobą (oprócz gotowości do zdradzenia tajemnic, których Anna być może obiecała dochować) równie dobrze śmiałe kłamstwo, tak pomyślane, by oczernić rzekomą współwinowajczynię. Czy, uwolniona od lęku, odważyła się wyjawić mi prawdę, czy może raczej podsunęła mi kłamstwo, jeśli na przykład z jakiejś przyczyny uznała, że jestem zbyt wyniosły, za bardzo zadowolony, i dla wyrównania rachunków postanowiła zadać mi ból? A może miała mi za złe moje pożycie z Albertyną (i tłumiła w sobie te uczucia, póki widziała mnie załamanego, w rozpacz), lub sądząc, że z tego powodu czuję się bardziej od niej uprzywilejowany, pozazdrościła mi łask, których nie dostąpiła, albo nawet i nie pragnęła. Wiedziałem, że zdarzało jej się użalić nad kimś, kto źle wygląda, a kto w rzeczywistości wyglądał kwitnąco i tym jej właśnie dokuczył, lub by wyrazić się ściślej, dokuczył jej, obnosząc się ze swoim zdrowiem i urodą. Na złość innym utrzymywała, że sama miewa się wyśmianie, i obstawała przy tym z uporem nawet w najcięższym okresie swej choroby — aż po dzień, kiedy w obliczu śmierci w ogóle przestała się przejmować innymi, choćby widziała, jak cieszą się życiem, radośni, gdy ona umiera. Ale ten dzień był jeszcze bardzo odległy. Może gniewała się na mnie z jakiejś nieodgadnionej przyczyny, jak kiedyś na tego młodego człowieka, którego poznaliśmy w Balbec, a który tak dobrze znał się na sportach i na niczym więcej. Zadał się potem z Rachelą, Anna zaś rozsiewała na jego temat oszczercze pogłoski, zmierzając do celu, którym było ściągnąć na siebie proces o zniesławienie; chciała w to wplątać nawet jego ojca, oskarżając o czyny haniebne w taki sposób, by nie mógł dowieść swojej niewinności. Wiedziałem jednak, że jej nagle napady złości na mnie znajdowały burzliwe ujście, po czym następowało uspokojenie, zwłaszcza jeśli widziała, że i tak jestem przybity. Kiedy Anna zionęła na swych wrogów ogniem nienawiści, to chciała ich odrzec z czci, zmieść z powierzchni ziemi, wtrącić do więzienia, posuwając się choćby do fałszywych oskarżeń. Lecz wystarczyło jej ujrzeć nieprzyjaciela zdruzgotanym i upokorzonym, by otworzyło się w niej współczucie, i już gotowa była obsypywać ofiarę dobrodziejstwami. Nie była bowiem z gruntu zła, a jeśli w jej głębszej, niewidocznej naturze, zamiast dobroci serca, jakiej, sądząc z pozorów życzliwej troskliwości, można się było spodziewać, leżała raczej pycha i zawiść, to przecież pod spodem kryła się w niej trzecia natura, ta najprawdziwsza, nigdy do końca nie urzeczywistniona, skłaniająca się ku miłości bliźniego. Jak wszystkie istoty, pragnące wznieść się ponad to, czym żyją, ale nie znające innych stanów, oglądanych co najwyżej w marzeniach — nie mogła pojąć, iż pierwszym warunkiem wyzwolenia jest zerwać z tym, co było dotąd treścią jej życia. Neurastenicy i morfiniści naprawdę chcą zostać uleczeni, ale w taki sposób, by nie musieli się wyrzec swojej manii albo narkotyku; ludzie głęboko przejęci sprawami religii, lecz trzymający się kurczowo światowego życia, tęsknią do samotności, nie widząc, że całkowicie wyklucza ona ich dotychczasową egzystencję; tak też Anna gotowa była kochać wszystkich swych bliźnich, jeśli tylko zdoła ich zawczasu upokorzyć i pognębić na tyle, by nigdy nie zobaczyć w ich oczach triumfalnego błysku. Nie umiała kochać ludzi, póki była w nich duma; nie wiedziała, że łatwiej miło-

ścią rozbroić czyją pychę, niż zmiażdżyć ją pychą jeszcze potężniejszą. Była jak pacjent, oczekujący, że uzdrowią go te same środki, które podtrzymują w nim chorobę, lubi je bowiem ponad wszystko, choć przestałby lubić, gdyby zdołał raz je porzucić. Nie można nauczyć się pływać, stojąc jedną nogą na suchym lądzie.

W związku zaś z młodym amatorem sportów, siostrzeńcem pani Verdurin, którego spotykałem przez dwa letnie sezony w Balbec, wypada uprzedzić fakty i nawiasem wspomnieć, że w jakiś czas po owej wizycie, o której za chwilę podejmiemy opowieść, miały miejsce zdarzenia zgoła nieoczekiwane. Po pierwsze chłopak ten, być może przez pamięć Albertyny, w której się kochał, o czym wówczas nie wiedziałem, zaręczył się z Anną i poślubił ją (w kilka miesięcy po wizycie, o której mowa), nic sobie nie robiąc z rozpacz Racheli. I oto Anna nigdy więcej nie nazwała go nicponiem, ja zaś pojąłem, że od początku mówiła o nim źle dlatego jedynie, że za nim szalała i że się czuła przez niego odrzucona. Ale zdarzyło się coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego. Ten młody człowiek wystawił we własnych dekoracjach i kostiumach kilka humoresek, które doprowadziły do przewrotu we współczesnej sztuce scenicznej, równie radykalnego, jak ten wywołany przez rosyjski balet. Krótko mówiąc, najpoważniejsi krytycy uznali jego przedstawienia za dzieła wiekopomne i genialne, a ja podzielałam dziś ten pogląd, przychyłając się, ku własnemu zaskoczeniu, do wcześniejszej opinii Racheli. Jeśli ktoś pamiętał go z Balbec, gdzie interesowało go to jedynie, czy garderoba osób, które spotyka, jest na odpowiednim poziomie, gdzie wszystek swój czas poświęcał bakaratowi, wyścigom konnym oraz grze w golfa i polo, jeśli ktoś wiedział, że jako uczeń uchodził on za skończonego ośła, a nawet został wyrzucony ze szkoły (po czym na złość rodzicom przez dwa miesiące nie opuszczał pewnego domu publicznego, tego samego, w którym pan de Charlus urządził zasadzkę na Morela), ten ktoś mógł przypuszczać, że owe przedstawienia stworzyła Anna, z miłości wyrzekając się sławy, albo też — w co jeszcze łatwiej uwierzyć — że wynajął i opłacił, dzięki swojej fortunie, nieznacznie tylko nadszarpniętej szaleństwami, jakiegoś genialnego twórcę przymierającego głodem. (Dla ludzi zamożnych, ale bez oglądy, jaką przynosi kontakt z arystokracją, nie mających pojęcia o sztuce, artysta jest tylko komediantem sprowadzonym na zaręczyny córki, by wygłosił parę monologów, po czym dyskretnie i bez zwłoki wypłaca mu się należność w sąsiednim pokoju; albo malarzyną, u którego zamówią jej portret zaraz po ślubie, nim zaczną rodzić dzieci i póki jeszcze wygląda korzystnie; toteż łatwo mogą sobie wyobrazić, że w wielkim świecie każdy, kto pisze, komponuje albo maluje obrazy, po prostu zamawia je dla sławy i płaci, tak samo jak inny sygnie groszem, by zdobyć fotel deputowanego). Otóż były to oszczerstwa; ów młody człowiek naprawdę stworzył arcydzieła. Kiedy się o tym dowiedziałem, musiałem rozważyć sprzeczne domysły. Albo przez te wszystkie lata w istocie było z niego głupie bydlę, na jakie wyglądał, i dopiero jakaś fizjologiczna eksplozja obudziła drzemającego w nim, niczym śpiąca królowa, geniusza, albo też przeciwnie, w burzliwych czasach szkolnych i potem, gdy obciążony się na maturze, przegrywał w kasynie grube pieniądze i unikał jazdy kolejką razem z „wiernymi” swojej ciotki Verdurin, którymi pogardzał ze względu na ich stroje — był już człowiekiem genialnym, może pragnącym wyprzeć się własnego geniuszu; zawiesił talent na kołku, by swoje siły poświęcić bez reszty wybrykom młodości. Albo też, od początku świadomy swych talentów, ostatnią w klasie lokatę zawdzięczał temu tylko, że kiedy nauczyciel plótł banały o Cyceronie, on wolał czytać pod ławką Rimbauda lub Goethego. Co prawda, nic na to nie wskazywało w Balbec, gdzie sprawiał wrażenie człowieka, którego wszelkie zainteresowania zaczynają się i kończą na ocenie zaprzęgów, na przepisach mieszania cocktaili. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Mógł być po prostu próżny, co nieraz idzie w parze z geniuszem: wiedział, co świat podziwia i tym właśnie chciał zabłysnąć; obracał się bowiem w środowisku, w którym nikt nie ceni głębi interpretacji *Powinowactw z wyboru*, a uznanie przypada temu, kto posiadał umiejętność powożenia czwórki. Wątpię zresztą, czy później, kiedy już był autorem tych pięknych i oryginalnych utworów, stał się bardziej skłonny utrzymywać znajomości — poza teatrami, gdzie wszyscy i tak go znali — z ludźmi takimi jak niegdyś „wierni” jego ciotki, w swych ówczesnych wcieleniach nie uznający smokingu. Zresztą wcale nie świadczyło to o jego głupocie, tylko raczej o próżności, połączonej nawet z pewnym zmysłem praktycznym i niezłą znajomością życia, dzięki której mógł swój snobizm przykroić na miarę głupców; zabiegając o ich szacunek, wiedział, że smokingu przysparza mu

więcej blasku w ich oczach niż głębia spojrzenia. Któż wie, ilu ludzi wielkiego talentu, lub nawet talentu pozbawionych, lecz żyjących sprawami ducha — jak choćby ja sam — wydałoby się nieznanemu, patrzącemu na nich w Rivebelle, w hotelu w Balbec albo na promenadzie, stuprocentowymi i pretensjonalnymi durniami? Nie mówiąc już o tym, że dla owego Oktawa sprawy sztuki musiały być czymś tak bardzo intymnym, skrywanym w najgłębszych zakamarkach serca, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy mówić o nich ot tak, jak to zwykł czynić na przykład Saint-Loup, przywiązujący do nich tyleż samo wagi co Oktaw do zaprzęgów. Ponadto, jak się wydaje, naprawdę nie mógł się oprzeć skłonności do hazardu, i to mu podobno pozostało. W każdym razie, jeśli wiedziałem, że pieczołowitość, z jaką przywrócono muzyce nieznane dzieła Vinteuila, zrodziła się w męt- nym świątku Montjouvain, to nie mniejszym zdumieniem napawała mnie myśl, że nasza epoka swe najwspanialsze arcydzieła zawdzięcza wcale nie konkursowym egzaminom ani wzorowym programom kształcenia przepojonym duchem akademickim à la de Broglie, tylko ludziom włóczącym się po barach, trwoniącym czas przy wagach dla dżokejów. Tak czy inaczej zarówno przyczyny, dla których w owym czasie w Balbec miałem ochotę go poznać, jak i te, dla których Albertyna z przyjaciółkami usiłowały do tego nie dopuścić, nie miały nic wspólnego z jego rzeczywistą wartością; mogłyby posłużyć jedynie jako ilustracja ogranego motywu różnicy zdań między „intelektualistą” (to miałem być ja), a „światowcem” (w tej roli występowała gromada przyjaciółek Albertyny), co do in- nej światowej osoby (był nią młody gracz w golfa). Zupełnie nie przeczuwałem w nim owego wielkiego talentu, a cały jego urok — podobny temu, jaki znajdowałem kiedyś w pani Blatin — zawierał się dla mnie w tym, że żyły z nim w przyjaźni moje znajome, choć one same temu zaprzeczały, i że bardziej niż ja należał do ich „bandy”. Z drugiej strony, Anna i Albertyna, wzorem osób z towarzystwa, z reguły niezdolnych do osądu w sprawach ducha, gotowe równie łatwo brać się na pozory, nie tylko bliskie były po- dania w wątpliwość mojej inteligencji, skoro zainteresowałem się takim patentowanym idiotą, ale przede wszystkim nie mogły pojąć, czemu — skoro już chciałem koniecznie poznać graczy w golfa — wybrałem akurat tego, najbardziej nijakiego z nich wszystkich. Co innego młody Gilbert de Belloeuve, który poza polem golfowym także miał coś do powiedzenia, maturę zdał z wyróżnieniem i układał ładne wiersze (w rzeczywistości był pośród nich największym głupcem). A jeśli było moim celem „zbierać historie” potrzeb- ne „do pisania książki”, to Guy Saumoy, typ zupełnego szaleńca, który już porywał dwie panny, był postacią znacznie ciekawszą, więc raczej na niego powinienem zwrócić uwagę. Ci dwaj byliby zatem do przyjęcia, ale Oktaw? Czego się po nim spodziewałem? Ich zdaniem był bezdennie głupi, po prostu głupi jak but.

Wracając do tamtej wizyty, uczyniwszy mi nieoczekiwane wyznanie na temat swych intymnych związków z Albertyną, Anna dorzuciła jeszcze, że Albertyna obawiała się o to, co pomyśla sobie przyjaciółki z „bandy” i inne znajome, gdy się dowiedzą, że bez ślubu mieszka z młodym człowiekiem; miała to być jedna z głównych przyczyn, dla których mnie opuściła.

— Owszem, to mieszkanie należy do twojej matki. Ale co z tego? Nie wiesz, jakie są młode dziewczęta, jak strzegą swoich sekretów jedna przed drugą, jak strasznie się boją, co inne o nich powiedzą. Znałam panny, które wobec chłopców obnosiły się z niewiarygodną wprost surowością obyczajów, ale tylko dlatego, że znali się oni z ich przyjaciółkami i mogliby z czymś się wygadać. A potem dowadywałam się przypadkiem od osób trzecich, że naprawdę były zupełnie inne.

Jeszcze przed paroma miesiącami wiedza, jaką zdawała się rozporządzać Anna, o zasa- dach i zwyczajach dziewcząt z „bandy”, byłaby dla mnie najcenniejszym darem. Być może to, co o nich mówiła, mogłoby nawet wyjaśnić mi, dlaczego Albertyna oddała mi się na- tychmiast po powrocie do Paryża, choć dostałem od niej kosza w Balbec: tam bowiem jej przyjaciółki ciągle kręciły się w pobliżu, ja zaś — tkwiąc w największym błędzie — uważałem to za okoliczność bardzo korzystną dla rozwoju naszej znajomości. Być może to właśnie nadmiar zaufania do Anny, gdy nieopatrznie podzieliłem się z nią wiadomością, że Albertyna ma przenocować w Grand Hotelu, spowodowała gwałtowny zwrot w po- stępowaniu Albertyny, która jeszcze przed godziną byłaby skłonna pozwolić mi na różne poufałości, mając je za rzecz najzwyczajszą w świecie; nagle coś jej się odmieniło, zaczęła się bronić, grożąc mi, że naciśnie dzwonek. Lecz jeśli tak, to w innych okolicznościach

mogła komuś ulec. Na tę myśl obudziła się we mnie zazdrość i uprzedziłem Annę, że muszę ją o coś spytać.

— Czy robiliście to w tym pustym mieszkaniu twojej babki?

— Ależ skąd, nigdy. Bałyśmy się, że ktoś nas przyłapie.

— Ach, tak! A mnie się zdawało, byłem nawet pewien...

— Zresztą Albertyna lubiła w tym celu wyjeżdżać za miasto.

— To znaczy dokąd?

— Dawniej, kiedy nie mogła wybrać się daleko, jeździłyśmy do Buttes-Chaumont, знаła tam pewien dom; albo po prostu do lasu, w jakieś odludne miejsce. Nawet do grotty w małym Trianon.

— Sama widzisz, nie można ci wierzyć. Nie ma jeszcze roku, jak przysięgałaś mi, że w Buttes-Chaumont nic nie było.

— Nie chciałam, żebyś się tym gryzł.

Jak już mówiłem, odgadłem znacznie później, że za drugim razem, w owej godzinie szczerości, zamiary Anny były wprost przeciwne, chciała zadać mi ból. Domyśliłbym się tego od razu, jeszcze zanim skończyła mówić, gdybym wciąż kochał jak dawniej Albertynę, sam bowiem szukałbym powodu, żeby Annie nie wierzyć. Lecz słowa Anny nie okazały się aż tak dla mnie bolesne, bym je z tego powodu odrzucił. Jeśli mówiła prawdę, o czym z początku nie wątpiłem, to prawdziwa Albertyna, jaką właśnie odkrywałem, znając wcześniej tylko liczne fałszywe jej wizerunki, była bardzo podobna do tej rozwiązłej istoty, którą przeczułem w niej już z daleka pierwszego dnia na promenadzie w Balbec. Ukazywała mi potem swój coraz bliższy i coraz to inny obraz, byłem jak podróżny, który dojeżdżając do obcego miasta zrazu ma przed oczyma jego panoramę; im dalej w głąb, tym całość staje się mniej czytelna, aż do zatarcia konturów górujących nad dachami budowli, których kształty widoczne są tylko z daleka. Kiedy już pozna to miasto na wylot i będzie umiał ocenić rzeczywiste odległości, pojmie, że jedynie prawdziwe były proporcje, które objawił mu z oddali pierwszy rzut oka, wszystko zaś to, co widział później, zapuszczając się coraz głębiej w ulice, okazywało się tylko kolejnymi liniami fortyfikacji, jakimi otacza się każdy organizm przeciwko wścibstwu obcych spojrzeń. Musimy za cenę znoju i cierpienia zdobywać mur po murze, nim uda nam się wtargnąć do samego środka, do serca. Jeśli mój ból osłabł na tyle, że mogłem już obejść się bez niezachwianej wiary w cnotę Albertyny, to zależność działała i w drugą stronę, cierpiałem mniej z powodu moich odkryć właśnie dlatego, że od pewnego czasu wiara w jej niewinność ustępowała we mnie stopniowo i niepostrzeżenie pod naporem pewności, która mnie nigdy nie opuściła — że Albertyna jest winna. A jeśli nie wierzyłem już w cnotę Albertyny, to właśnie dlatego, że wyzbyłem się samej namiętnej potrzeby wiary. Wiara bowiem rodzi się właśnie z owej potrzeby, a jeśli na ogół nie jesteśmy tego świadomi, to z tej jedynej przyczyny, że pragnienia, z których rodzi się wiara, inaczej niż moje pragnienie wiary w niewinność Albertyny, zazwyczaj opuszczają nas dopiero z ostatnim tchnieniem. Ponad dowody potwierdzające moje pierwsze wrażenie przedłożyłem przysięgi Albertyny. Dlaczego miałbym jej wierzyć? Kłamstwo leży wszak w naturze ludzkiej. Zapewne odgrywa w naszym życiu nie mniejszą rolę niż poszukiwanie przyjemności, zresztą na ogół poszukiwaniu przyjemności właśnie służy. Kłamiemy, by zapewnić sobie spełnienie naszych zachcianek, albo też dla ochrony własnej czci, którą goniąc za uciechami, wystawiliśmy na szwank. Kłamiemy przez całe życie, okłamujemy tych, którzy nas kochają i ich przede wszystkim, a być może ich jedynie. Tylko oni bowiem mogą zagrozić naszym przyjemnościom i na ich tylko szacunku nam zależy. W pierwszym odruchu uznałem Albertynę za istotę amoralną; dopiero potrzeba serca, które wezwało wszystkie siły mojego umysłu na pomoc w walce z powziętym przeświadczeniem, sprowadziła mnie na manowce. Być może przez cały czas dochodzą nas ze wszystkich stron jakieś sygnały sejsmiczne lub świetlne, które powinniśmy rozważać z całą powagą, jeśli chcemy poznać prawdę o ludziach. Jakkolwiek by mnie zasmuciły słowa Anny, to przecież powinno mnie cieszyć, że w końcu rzeczywistość potwierdziła moje pierwsze wrażenie, moje przeczucia, nie zaś żałosny i tchórzliwy optymizm, który owładnął mną później. Tym lepiej, jeśli rzeczywistość stanęła na wysokości moich przeczuć. Trafne domysły nachodziły mnie pierwszego dnia dwukrotnie, najpierw na plaży na widok rozwydrzonej gromady dziewcząt, w której ujrzałem alegorię zuchwałej pogoni za przyjemnością, najprawdziwszego zepsucia, a po-

tem, po raz drugi, wieczorem, gdy przed jakąś willą zobaczyłem jak jedna z guwernantek siłą wpycha do środka Albertynę, oporną niczym zapędzane do klatki dzikie zwierzę, mimo pozorów uległości nie dające się nigdy naprawdę ujarzmić. Czyż zresztą domysły te nie współbrzmiały z rewelacjami Blocha, który kiedyś rozbudził we mnie najpiękniejszą nadzieję objawieniem wszechobecności żądz, przygotowującej mnie potem o dreszcze przy każdym przypadkowym spojrzeniu pochwyconym na ulicy? Być może, mimo wszystko, dobrze się stało, że te pierwsze przeczucia nie powróciły wcześniej, potwierdzone faktami. Póki trwała moja miłość do Albertyny, sprawiłyby mi ból zbyt wielki, lepiej więc, że jedynym śladem, jaki po nich został, były moje wieczne podejrzenia związane z tym, co tuż obok i bez przerwy działo się za moimi plecami. A może nie jedynym; innym jeszcze śladem, dłużej obecnym i bardziej rzucającym się w oczy, była po prostu sama moja miłość. Czyż nie jest prawdą, odrzucaną uparcie przez umysł, że wybrać i pokochać Albertynę to tyle, co poznać ją w całej jej brzydocie? A w tych chwilach, gdy podejrzliwość pozostaje w uspieniu, czyż jej moce nie zasilają miłości? Czyż nieufność nie jest wyrazem szczególnej przenikliwości (której ten, kto kocha, sam nie jest świadomy), skoro pragnienia, rwące się ku wszystkiemu, co najbardziej nam obce, każą pokochać istotę zdolną ściągnąć na nas najwięcej cierpień? Nasze własne pragnienia dodają wdzięku jej ustom, spojrzeniu i kształtom; to zaś, co w jej uroku pozostaje nieuchwytnie i nieokreślone, może najmocniej nas unieszczęśliwić; ledwie obudziła nasze pragnienia, ledwie zaczęliśmy ją kochać — ze szczegółów, jak się nam jeszcze wówczas wydawało, całkiem niewinnych, można już było wyczytać wszystkie jej przyszłe zdrady i winy.

A czy wdzięk, który wabiąc mnie, skrywał wszystko to, co było w niej trującego i śmiertelnie niebezpiecznego, nie pozostawał z owymi truciznami w związku ściślejszym nawet niż u pewnych zdrażliwych gatunków roślin, które urzekają bujnością kwiecia mimo śmiercionośnych właściwości soku? To możliwe — myślałem — że niezdrowe upodobania Albertyny przyczyniły się do moich późniejszych cierpień, które ją z kolei skłaniały do gestów współczujących i szczerych, budząc we mnie złudną nadzieję, że możliwe jest z nią koleżeństwo oparte na niczym nie ograniczonej lojalności, takie samo, jakie mogłoby mnie łączyć z mężczyzną. W panu de Charlus gusta równie niezdrowe jak u Albertyny rozwinęły przecież kobiecą łagodność serca i wrażliwość umysłu. Nawet w stanie krańcowego zaślepienia nie opuszcza nas świadomość, objawiająca się choćby pod postacią przyplwów uczuć i wzruszeń; toteż jest w błędzie, kto mówi o jakimś przypadku fatalnej miłości, jeśli bowiem w ogóle jest nam dany wybór, to musi on prowadzić do fatalnych skutków.

— A czy na wycieczki do Buttes-Chaumont jeździliście w te dni, kiedy po nią do mnie wstępowałaś? — spytałem Annę.

— Nic podobnego, odkąd Albertyna wróciła z tobą z Balbec, z tym był już koniec, jeśli nie liczyć jednego zdarzenia, o którym już ci wspominałam. Nawet słyszeć o tym nie chciała.

— Aneczko, moja droga, po co brniesz w te kłamstwa? Zupełnie przypadkowo, bo nigdy nie chciałem nic o tym wiedzieć, doszło do mnie, i to ze szczegółami, co robiła nad wodą z pewną praczką; mogę ci o tym opowiedzieć dokładnie, a było to zaledwie parę dni przed jej śmiercią.

— Cóż, jeśli to się zdarzyło po jej wyjeździe, nie mogę nic o tym wiedzieć. Ona pewnie czuła wtedy, że utraciła twoje zaufanie i nie odzyska go już nigdy.

Ugiąłem się pod ciężarem tych słów. Ale potem myślałem jeszcze o wieczorze, kiedy przyniosłem gałązkę bzu, i przypomniałem sobie, że dwa tygodnie później, gdy moja zdrość nie miała się o co zaczepić, spytałem Albertynę, czy nigdy nie była z Anną w tego rodzaju stosunkach, ona zaś odparła: „Nigdy w życiu! To prawda, że uwielbiam Annę, jestem do niej bardzo przywiązana, ale to uczucia siostrzane, i jeśli nawet miałabym te gusta, o jakie mnie chyba podejrzewasz, Anna byłaby ostatnią osobą, o której mogłabym w ten sposób pomyśleć. Przysięgnę, na co tylko chcesz, na moją ciotkę, na grób mojej biednej matki”. Uwierzyłem. Lecz jeśli nawet nie wzbudził moich podejrzeń rozdźwięk między początkową otwartością, z jaką niemalże wprost przyznawała się do tego samego, czego się później wyparła, gdy tylko zobaczyła, że nie jest mi to obojętne, powinieniem pamiętać, że Swann wierzył święcie w platoniczny charakter związków pana de Charlus, o czym zapewniał mnie tegoż dnia, kiedy w podwórzu widziałem barona z krawcem Ju-

pieniem. Pozostawało przyjąć do wiadomości, że istnieją obok siebie dwa światy, jeden stworzony z tego, co mówią ludzie uczciwi i szczerzy, a drugi, ukryty w jego cieniu, wypełniony materią uczynków tych samych ludzi. I jeśli kobieta zameżna powie o jakimś młodym człowieku: „Ach, nie przeczę, że go darzę wielką przyjaźnią, ale to rzecz niewinna i czysta, przysięgam na pamięć moich rodziców”, to i my bez chwili wahania możemy przysiąc, że dopiero co wyszła z łazienki, do której biegnie w pośpiechu po każdym spotkaniu z tym młodzieńcem, by nie zająć w ciążę. Wspomnienie gałązki bzu przejmowało mnie śmiertelnym smutkiem, tak samo, jak słowa Albertyny, która nazwała mnie ponoć podstępny i wyraziła przekonanie, że nią pogardzam; lecz najboleśniej dotknęły mnie jej zaskakujące kłamstwa, które nie mogły mi się pomieścić w głowie. Pewnego dnia opowiadała mi, że była na lotnisku; że przyjaźni się z jakimś lotnikiem (bez wątpienia chciała odwrócić moje podejrzenia od kobiet, wiedziała bowiem, że o mężczyzn byłem mniej zazdrosny); opowiadała mi, jak zabawny był cielęcy podziw Anny dla owego lotnika i jej zawiść o uprzejmości, którymi zasypywał Albertynę, jak w końcu Anna zapragnęła wsiąść z nim do samolotu. A wszystko to było od początku do końca zmyślane, bo Anna, jak się okazało, nigdy tam nie była.

Gdy opuściła mnie Anna, podano już kolację.

— Nigdy nie zgadniesz, kto złożył mi dziś wizytę co najmniej trzygodzinną — powiedziała do mnie matka. — I to lekko licząc, bo przyszedłszy niemalże równocześnie z panią Cottard, która zjawiała się pierwsza, osoba ta przesiadła twardo wszystkie wizyty... miałam dziś z górą trzydziestkę gości... a wyszła dopiero przed kwadrans. Gdyby nie twoja przyjaciółka Anna, posłałabym po ciebie.

— Ale kto to był?

— Ktoś, kto nigdy nie składa wizyt.

— Księżna Parmy?

— Widzę, że mam syna bystrzejszego, niż myślałam. Nie warto zadawać ci zagadek, bo w lot znajdujesz rozwiązanie.

— Przepraszała za wczorajszą nieuprzejmość?

— Nie, to wyszłoby niezręcznie. Sama wizyta była przeprosinami. Twojej babce by się to spodobało. Około drugiej księżna spytała przez lokaja, kiedy mam swój dzień wizyt. Powiedzieli jej, że właśnie dziś, więc weszła na górę.

Z początku, czego nie ośmieliłem się powiedzieć mamie, przyszło mi do głowy, że poprzedniego dnia księżnę Parmy otaczało najświetniejsze towarzystwo, osoby, z którymi dobrze się znała, których słuchała z ochotą, toteż na widok mojej matki poczuła zniecierpliwienie, i nawet nie silila się tego ukryć. To było zupełnie w stylu niemieckich księżąt krwi, kultywowanym zresztą przez Guermantów — by nadmiar arogancji powetować posuniętą do przesady uprzejmością. Ale moja matka sądziła inaczej i po chwili przyznałem jej słusność. Otóż księżna Parmy jej po prostu nie poznała i dlatego nie uważała za stosowne się nią zająć. Po wyjściu mojej matki dowiedziała się, kto to był, może od księżnej de Guermantes, która spotkała matkę przy wyjściu, albo z listy gości, odzwiertni bowiem pytali przybywających o nazwiska, by je zapisać. Księżna uznała za rzecz nie dość uprzejmą zawiadomić moją matkę przez służącego lub nawet osobiście: „Nie poznałam pani”, pomyślała więc sobie — do naszego pojęcia o grzeczności niemieckich księżąt krwi, przypominającej obyczaj Guermantów, nowa wersja zdarzeń pasowała równie dobrze, jak ta poprzednia, która nasunęła mi się na początku — że osobista wizyta, gest absolutnie wyjątkowy ze strony Jej Wysokości, zwłaszcza zaś wizyta trzygodzinna, wyjaśniłaby mojej matce całą rzecz w sposób pośredni, lecz nader przekonujący; i tak też się stało.

Szkoda mi było jednak czasu na wypytywanie matki o szczegóły tej wizyty, przypomniały mi się bowiem kolejne fakty związane z Albertyną, o które miałem wypytać Annę, lecz wyleciało mi to z pamięci. Jakże niewiele wiedziałem i jak niewiele dowiedzieć się mogłem o życiu Albertyny, o jedynej sprawie, która tak długo budziła moje żywe zainteresowanie i która wciąż jeszcze chwilami zaczynała mnie na nowo nurtować. Człowiek to stwór w istocie nie mający wieku, obdarzony zdolnością cofania się o całe lata w ciągu paru chwil, zamknięty co prawda w epoce, w której przyszło mu żyć, ale zdolny unosić się na jej powierzchni niby w basenie o zmiennym poziomie wód, sięgających to tej, to innej

daty. Napisałem do Anny z prośbą, by znów przyszła. Znalazła dla mnie czas dopiero po tygodniu. Niemalże w progu zadałem pytanie:

— A jeśli twoim zdaniem Albertyna poniechała swojego procederu, kiedy tu zamieszkała, to znaczy, że po to uciekła, żeby powrócić do niego na swobodzie? Nie wiem tylko, dla kogo mnie opuściła.

— Ależ nic podobnego, w ogóle nie w tym rzecz.

— Więc może w tym, że bywałem dla niej zbyt nieprzyjemny?

— Nie, nie sądzę. Myślę raczej, że jej ciotka tego od niej zażądała, bo miała jakieś plany co do niej i tego drania; wiesz, o kim mówię, o młodym człowieku, którego przeżywałeś Jużpomnie. Kochał się w Albertynie i poprosił o jej rękę. Widząc, że niepilno ci się z nią żenić, zaczęli się obawiać, że ta dziwna, przedłużająca się wizyta u ciebie zniechęci go w końcu do małżeństwa. Pani Bontemps, na którą on przez cały czas naciskał, wezwiała ją do siebie. Albertyna była przecież zależna od wujostwa, więc kiedy zrozumiała, że musi wybierać między wami dwoma, zdecydowała się porzucić ciebie.

Moja zazdrość nigdy nie podsunęła mi takiego wyjaśnienia. Myślałem tylko o skłonności Albertyny do kobiet i uciążliwości stałego dozoru, jakiemu ją poddałem, zapomniałem zaś o tym, że pani Bontemps mogła po jakimś czasie zaniepokoić się sytuacją, która mojej matce od początku wydawała się nie do przyjęcia. Pani Bontemps, licząc się z tym, że z małżeństwa ze mną nic nie wyjdzie, obawiała się, by ów narzeczony, którego trzymała w odwodzie na wszelki wypadek, nie wycofał się w końcu także, dowiedziawszy się o wszystkim. Wbrew temu, co sądziła kiedyś matka Anny, trafiła się jednak Albertynie świetna partia. A gdy chciała być u pani Verdurin, gdy umawiała się z nią w tajemnicy i gdy rozgniewała się na mnie, że poszedłem tam po południu, nic jej nie mówiąc — celem związanej intrygi nie było wcale spotkanie z panną Vinteuil, tylko z owym siostrzeńcem Verdurinów, który się w Albertynie kochał. Albowiem pani Verdurin — z zadowoleniem, jakie budzą pewne projekty matrymonialne w rodzinach, po których nie sposób się było tego spodziewać, nie wszedłszy do końca w ich sposób myślenia — podkreślała, że wcale nie przywiązuje wagi do posagu. Później nigdy już nie myślałem o tym siostrzeńcu Verdurinów, który zapewne udzielił Albertynie wstępnych nauk i któremu zawdzięczałem, być może, jej pierwszy pocałunek. Teraz więc cała konstrukcja, na którą złożyły się moje niepokoje związane z Albertyną, wymagała przebudowy, a przynajmniej adaptacji do nowego szkicu, z którym zresztą zapewne dałoby się ją pogodzić, albowiem upodobanie do kobiet nie musi przeszkadzać zamażpójściu. A jeśli zamiary matrymonialne były prawdziwą przyczyną jej wyjazdu, czyżby postanowiła nic mi nie mówić przez dumę, bym nie pomyślał, że nie może zrobić kroku bez zgody ciotki albo że chce mnie podstępem nakłonić do małżeństwa? Zaczynałem rozumieć, że system postępowania, wykorzystujący wielość motywów, jakie można przypisać tym samym czynkom, poręczny dla Albertyny w jej kontaktach z przyjaciółkami, gdy każdej z osobna dawała do zrozumienia, że na nikim więcej tak jej nie zależy, był tylko zręcznym sposobem spożytkowania dla własnych celów powszechnego odruchu, by uczynki innych tłumaczyć zgodnie z własnym punktem widzenia. Ogarnął mnie wstyd, że nigdy nie pomyślałem, w jak dwuznacznym położeniu pobyt u mnie stawiał Albertynę w oczach jej ciotki, lecz zaskoczenie, jakie się z tym wiązało, nie spadło na mnie po raz pierwszy w życiu ani nie ostatni. Ileż to razy już mnie ono dosięgło, gdy próbowałem zrozumieć naturę związku dwóch osób i powody kryzysu, tymczasem ktoś trzeci nagle naświetlił mi tę sprawę ze swojego punktu widzenia, z jednym z tych dwojga był bowiem bliżej niż ja; stamtąd, skąd patrzył, przyczyna konfliktu była wyraźnie widoczna! Jeśli zaś motywy uczynków są tak nieuchwytnie, to jakim cudem moglibyśmy wiedzieć coś pewnego o ludziach? Gdyby dać posłuch tym, którzy widzieli w Albertynie wyrachowaną spryciarę polującą na męża, to ocena jej pobytu w moim domu byłaby niedwuznaczna. A tymczasem w moich oczach stała się ona ofiarą, zapewne nie całkiem niewinną, lecz jej wina w każdym razie dotyczyła zupełnie innej sfery spraw: niezdrowych skłonności, które tutaj nie miały nic do rzeczy.

Powiedzieć jednak należy przede wszystkim, że kłamstwo, będąc z reguły cechą osobowości, czasem okazuje się, zwłaszcza u tych kobiet, które z natury nie są kłamczyniami, doskonałym wytrwale odruchem obrony przed niebezpieczeństwem, które spada zniecka i zdolne jest obrócić w ruinę całe nasze życie: przed miłością. Z drugiej strony, to nie przypadek, że ludzie wrażliwi i myślący wiążą się zwykle z kobietami o twardym sercu,

które ustępują im pod względem intelektu; że zależy im na nich mimo to, i nawet mając pewność, że nie są kochani, pragną za wszelką cenę zatrzymać wybrankę przy sobie. Jeśli powiem, że tacy mężczyźni chcą, by ich ranić, wyrażę się ściśle, choć pomnę wówczas przyczyny składające się na owo — w jakimś stopniu mimowolne — poszukiwanie udręki; przyczyny, których jest ono bezpośrednią i oczywistą konsekwencją. Natura ludzka w ogóle jest daleka od doskonałości, a ludzie wrażliwi i myślący na ogół cierpią na słabość woli, toteż stają się igraszką własnych przyzwyczajzeń i obaw; każdy z nich stale drży ze strachu przed nagłym bólem i wieczną męką, na jaką sam siebie skaże, jeśli zdobędzie się na rozstanie z kobietą, która go nie kocha. Zdziwimy się, że wystarcza mu tak niewiele jej miłości, bo nie myśleliśmy o tym, jak wielki ból może mu zadać ta miłość, która przepelnia jego własne serce. I w tym bólu nie będziemy mu nawet współczuć zbytnio, wiedząc, że najcięższe przeżycia, jakich doznajemy z powodu nieszczęśliwej miłości, rozstania albo śmierci ukochanej osoby, są niby ataki paraliżu; powalają nas, lecz z czasem odzyskujemy władzę w kończynach i utracone siły. Ci ludzie myślący i wrażliwi nie cierpią na próżno. Z reguły są nienawykli do obcowania z kłamstwem, uderza w nich ono jak grom z jasnego nieba, bo przy całej swej inteligencji żyją w świecie wyobrażeń i rzadko przechodzą do czynu, pochłonięci bez reszty cierpieniem, które zadaje im ukochana; nie mają jasnego pojęcia o tym, czego od nich chce, czego w ogóle pragnie i co robi — wiedzy, która dana jest naturom władczym, korzystającym z niej, by przyszłości narzucić swoją wolę, miast płakać nad przeszłością. Otóż ludzie wrażliwi czują, że są zwodzeni, ale tego nie widzą. Kobieta przeciętna, na którą ku zdumieniu przyjaciół zechcieli w ogóle zwrócić spojrzenie, wnosi w ich świat więcej niespodzianek, niż można by oczekiwać po którejkolwiek z kobiet myślących i wrażliwych jak oni. Za każdym z jej słów przeczuwają kłamstwo, każdy adres, pod którym rzekomo miała kogoś odwiedzić, mógł zostać podany zamiast przemilczanego, prawdziwego, za każdym zdarzeniem i osobą może kryć się coś innego lub ktoś inny. Nie wiedzą, rzecz jasna, kto, co i gdzie, nie starcza im siły i brakuje sposobności, by zdobyć tę wiedzę. Kobiecie, która kłamie, wystarcza na stałe jedna prosta sztuczka, nie stara się nawet zmieniać szczegółów swojej bajeczki, gdy zwodzi nią wielu równocześnie albo — co dziwi jeszcze bardziej — wciąż tego samego człowieka, który mógł już dawno ją zdemaskować. Tak to przed oczyma wrażliwego intelektualisty rozsnuwa obraz świata, którego przestrzenie chciałaby przeniknąć jego zazdrość i który budzi pewne zainteresowanie jego umysłu. Nigdy jednak nie stałem się w pełni kimś takim, a teraz, po śmierci Albertyny, zdołałem, być może, dotrzeć do tajemnicy jej życia. Ale czy te niedyskrecje, na jakie pozwalały sobie wobec osób, których ziemską drogą dobiegła kresu, nie dowodzą, że nikt naprawdę nie wierzy w życie przyszłe? Jeśli w plotkach jest cień prawdy, to ich roznosiciele powinni obawiać się, że spotkają na tamtym świecie ludzi, których tajemnic nie uszanowali po ich śmierci; powinni obawiać się tego samego gniewu, z którym liczyli się za ich życia, gdy czuli się jeszcze w obowiązku trzymać język za zębami. Jeśli zaś są one do cna fałszywe, zmyślone w poczuciu bezkarności, bo nie ma już osoby, która mogłaby zaprzeczyć, oszczercy powinni tym bardziej bać się gniewu zmarłych — jeśli wierzą w tamten świat. Ale wygląda na to, że nikt nie wierzy.

Niewykluczone, że w sercu Albertyny chęć pozostania przy mnie wiodła dramatyczne i długotrwałe zmagania z wolą opuszczenia mnie; być może więc decyzja wyjazdu została podjęta pod naciskiem ciotki albo tego młodego człowieka, nie zaś z powodu kobiet, które nie były dla niej aż tak ważne. Dla mnie najistotniejsze było jednak to, że Anna, która nie musiała już ukrywać przede mną prawdy o obyczajach Albertyny, przysięgała mi, że tego rodzaju związek nigdy nie łączył Albertyny z panną Vinteuil ani z jej przyjaciółką. (Albertyna nie była ponoć jeszcze świadoma swoich gustów, kiedy poznała te dwie, one zaś, z obawy, że uczynią fałszywy krok, zbyt pochopnie stawiając na to, co byłoby po ich myśli — albowiem przesadne obawy równie często, jak przesadne nadzieje, prowadzą do błędów — z góry uznały ją za zupełnie niechętną tym sprawom. Być może później dowiedziały się, że ma takie same gusta jak one, ale wtedy już zbyt dobrze ją znały i ona znała je zbyt dobrze, by mogły oddawać się tym zabawom wspólnie).

Lecz wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego Albertyna odeszła. Jeśli tak trudno jest przeniknąć wzrokiem twarz kobiety, ów zmienny, ruchomy krajobraz, to jeszcze trudniej zbadać ją dotykiem warg, a najtrudniej ogarnąć pamięcią, pełną chmur, które przesłaniają mniejszą lub większą część całości — co z kolei zależy od naszej pozycji i majątku,



od wysokości, z jakiej my sami mogliśmy spoglądać na ukochaną. Jakże gruba musi być zatem owa kurtyna oddzielająca doskonale widoczne czyny od motywów, jakie im przyświecały! Motywy kryją się w ciemnościach, których nasz wzrok nie przenika, a oprócz czynów, o których wiemy, rodzą inne, całkiem przed nami ukryte, z tamtymi stojące nieraz w zupełnej sprzeczności. Jakaż epoka nie знаła mężów stanu, uważanych niemal za świętych, którzy okazywali się później kłamcami, sprawcami nadużyć, zdrajcami ojczyzny? Iluż wielkich panów rok w rok okradanych było przez rządców, zawdzięczających im edukację, cieszących się zaufaniem jako ludzie uczciwi, i może nawet w przeszłości uczciwych naprawdę? Jakże nieprzenikniona staje się owa kurtyna, gdy skrywa przed nami pobudki tych, których kochamy! Miłość bowiem wnosi zamęt nie tylko w nasze myśli, lecz także w uczynki ukochanej osoby; upewniwszy się co do naszych uczuć, nagle przestaje ona cenić to, co w innych okolicznościach wiele by dla niej znaczyło, na przykład nasz majątek. Być może, widząc, jak bardzo jest kochana, pozwala sobie udawać, że gardzi majątkiem, bo ma nadzieję uzyskać więcej, jeśli stanie się przyczyną naszych cierpień. Zamiar wytargowania jakichś korzyści wpływa więc na jej uczynki. Podobnie jak minione zdarzenia z jej życia; na przykład tajemnice, z których nie zwierzyła się nikomu z obawy, by to nie doszło do naszych uszu, mimo wszystko niejedną mógł poznać, jeśli tylko pragnął tego równie gorąco, jak my sami, a przy tym zachował kamienną twarz pokerzysty, by nie obudzić podejrzeń; albowiem musiał istnieć i ktoś, kto wiedział o jej ciemnych sprawkach — jakiś człowiek nam nie znany, którego nie sposób odszukać. A wśród innych jeszcze przyczyn jej niejasnych i sprzecznych postępów trzeba by wymienić cechy osobowości, które mogły ją skłonić, by rzuciła na szalę własną pomyślność — czy to za sprawą nienawiści, czy też z umiłowania swobody, czy może w ataku gniewu, albo z obawy o reputację — i popchnąć ją do uczynków sprzecznych z tym, czegośmy mogli się po niej spodziewać. Pewną rolę odgrywają tu nawet różnice pochodzenia i wychowania, choć wolimy o nich zapomnieć, i póki jesteśmy razem, próbujemy zatrzeć je z pomocą słów. Lecz w chwilach rozłąki powracają, by narzucić każdemu z dwojga perspektywę tak odmienną, że prawdziwa bliskość stanie się niemożliwa.

— Ależ Aneczko, znowu mi kłamiesz. Przypomnij sobie, wiem to przecież od ciebie, dzwoniłaś do mnie w przeddzień, pamiętasz? Albertyna, kryjąc się z tym przede mną, jakby miała coś na sumieniu, koniecznie chciała wybrać się do pani Verdurin tego dnia, kiedy spodziewano się tam panny Vinteuil.

— Tylko że Albertyna nic nie wiedziała o przyjeździe panny Vinteuil.

— Jak to? Przecież sama mi mówiłaś, że widziała się z panią Verdurin parę dni wcześniej. Zresztą, moja złota, po cóż owijać w bawełnę? Któregoś ranka znalazłem w pokoju Albertyny liścik od pani Verdurin, wysłany po to, by przypomnieć jej o wizycie. — I pokazałem Annie ów liścik, wtedy wyciągnięty naumyślnie przez Franciszkę na sam wierzch spod innych papierów Albertyny. Zrobiła to na parę dni przed ucieczką Albertyny, chcąc, jak się obawiam, podsunąć jej myśl, że przeszukiwałem rzeczy, a w każdym razie dać do zrozumienia, że ten list miałem w rękach. Po wielekroć zadawałem sobie pytanie, czy podstępne poczynania Franciszki nie przesądziły w końcu o decyzji wyjazdu; widząc, że nic się przede mną nie ukryje, Albertyna mogła poczuć się osaczona, upokorzona. Wskazałem Annie owo zdanie: „Czynię to bez poczucia winy, usprawiedliwieniem niech mi będą jakże zrozumiałe uczucia rodzinne...” — A przecież wiesz o tym, Anno, że według słów Albertyny przyjaciółka panny Vinteuil była dla niej jak matka, jak siostra.

— Ależ nic nie pojąłeś z tego listu. Osobą, z którą miała się spotkać Albertyna u pani Verdurin, nie była wcale przyjaciółka panny Vinteuil, tylko ów narzeczony, Jużpomnie. Co do uczuć rodzinnych, gdy o nich wspomina, na myśli ma właśnie tego durnia, swego siostrzeńca. Nie można wykluczyć, że Albertyna w ostatniej chwili dowiedziała się o przyjeździe panny Vinteuil, pani Verdurin mogła dać jej o tym znać. Z pewnością chętnie zobaczyłaby się z przyjaciółką panny Vinteuil, by odświeżyć miłe wspomnienia; ty także byłbyś się ucieszył na wieść, że Elstir będzie w domu, do którego wybierasz się z wizytą; ale tylko tyle, nic więcej, a być może mniej. Otóż jeśli Albertyna, upierając się pójść do pani Verdurin, nie chciała ci wyznać przyczyny, to dlatego jedynie, że miała się tam odbyć próba, na którą zaproszono wybranych gości, a wśród nich tego siostrzeńca, którego poznałeś w Balbec, którego pani Verdurin żeniła z Albertyną i chciała, żeby się rozmówili. Och, był z niego ładny gagatek... A zresztą, po co wdawać się w szczegóły.

Jeden Bóg wie, jak lubiłam Albertynę i jakie z niej było dobre stworzenie, ale niestety po przebyciu tyfusu (na rok przed początkiem naszej znajomości) zrobiła się strasznie narwana. Ni stąd, ni zowąd oświadczała, że czegoś tam ma po dziurki w nosie, rzucała to w diabły bez chwili zastanowienia, a potem sama nie wiedziała, co ją napadło. Pamiętasz, co się zdarzyło w roku twojego pierwszego przyjazdu do Balbec? Pewnego pięknego dnia sama sobie wysłała depeszę, w której wzywano ją rzekomo do Paryża. Ledwo zdążyliśmy zapakować jej kufry. Otóż nie miała żadnych powodów, by wracać. Te, które podawała, były fałszywe. W Paryżu mogła się tylko zanudzić na śmierć. Cała nasza banda zostawała w Balbec. Sezon gry w golfa jeszcze trwał i nawet rozgrywki o wielki puchar, na które tak czekała, nie były zakończone. Miała zwycięstwo w kieszeni, gdyby zechciała na nie poczekać raptem tydzień. I cóż, dała dyla. Wiele razy z nią o tym rozmawiałam. Sama nie miała pojęcia, dlaczego postanowiła uciec. Raz mówiła, że z tęsknoty (u niej tęsknota za Paryżem, uwierzyłbyś? dobre sobie!), to znowu, że obrzydło jej Balbec, bo ciągle czuła, że ktoś się z niej za plecami śmieje.

W tym, co mówiła mi Anna, odnajdywałem ziarno prawdy. Różnice w sposobie myślenia wyjaśniają różnicę skojarzeń, jakie u różnych ludzi może wywołać postępowanie tej samej osoby; różnice postaw i typów uczuciowości tłumaczą, dlaczego nie można pozyskać kogoś, kto nas nie lubi. A poza tym istnieją jeszcze różnice osobowościowe, szczególnie cechy charakteru, które także mają wpływ na postępowanie. W końcu w ogóle przestałem sobie łamać głowę nad motywami ludzkich uczynków, stwierdziwszy, że życie jest zbyt zawile i nie sposób dojść prawdy.

Trudno było nie zauważyć, jak bardzo Albertynie zależało na wizycie u pani Verdurin, i jakich dokładała starań, by owo gorące pragnienie przede mną zataić. Nie pomyliłem się. Lecz zawsze kiedy uda się nam w podobny sposób pochwycić któryś z faktów, pozostałe zwodzą pozorami i wyślizgują nam się z rąk, a zamiast rzeczywistości ukazuje się naszym oczom jej spłaszczona makieta, na którą patrząc, mówimy sobie: „Więc to tak, a to znów tak; to z powodu tej albo tamtej”. Wydawało mi się, że wiadomość o przybyciu panny Vinteuil wszystko wyjaśnia, tym bardziej że Albertyna, jakby wychodząc naprzeciw mojej dociekliwości, sama się wygadała. A czyż nie mówiła mi potem, gdy kazałem jej przysięgać, że spotkanie z panną Vinteuil nic dla niej nie znaczyło? Teraz zaś, w związku z tym młodym człowiekiem, przypomniałem sobie o czymś, co już dawno uleciało mi z pamięci. Raz spotkałem go w czasach, kiedy Albertyna u mnie mieszkała; inaczej niż w Balbec odnosił się do mnie nadzwyczaj przyjaźnie, wprost nadskakiwał mi. Chciał mnie koniecznie odwiedzić, ale z wielu powodów wolałem tego uniknąć. Pojąłem, że zamierzał nawiązać ze mną stosunki, wiedząc o pobycie Albertyny w naszym domu, bo chciał ją bez przeszkód widywać i miał nadzieję w swoim czasie sprzątnąć mi ją sprzed nosa; uznałem go za niegodziwca. W jakiś czas później obejrzałem pierwsze z jego przedstawień. Nie zmieniło to mojego przekonania, że jeśli chciał złożyć mi wizytę, to w rzeczywistości chodziło mu tylko o Albertynę, i nadal osądzałem go surowo. Przypomniałem sobie jednak, że sam kiedyś odwiedziłem Roberta w Doncières, w rzeczywistości mając na względzie panią de Guermantes, w której się wtedy kochałem. Prawda, że to niezupełnie to samo: Saint-Loup nie był zakochany w pani de Guermantes, i jeśli nawet moja serdeczność wobec niego była odrobinę nieszczerą, to przynajmniej nie pachniała zdradą. Potem pomyślałem sobie, że taka dwuznaczna serdeczność wobec człowieka, który posiada coś, czego bardzo pragniemy, może zrodzić się w nas równie dobrze wówczas, gdy ten ktoś ceni i kocha skarb, znajdujący się w jego rękach. Bez wątpienia należałoby wtedy zwalczać w sobie uczucie przyjaźni, które prowadzi nas prosto do zdrady. Chciałbym wierzyć, że sam tak postępowalem. Są jednak ludzie, którym nie starcza na to siła, i nie jest prawdą, że cała przyjaźń, jaką mają oni dla posiadacza skarbu, jest tylko podstępny wybiegiem. Żywią ją szczerze i okazują z takim zapalem, że kiedy zdrada stanie się faktem, oszukany mąż albo kochanek może zawołać w gniewnym zdumieniu: „Trzeba było słyszeć, jak mnie ten łajdak zapewniał o przyjaźni! Mogę jeszcze zrozumieć, że ktoś wydziera drugiemu, co ten miał najdroższego. Ale ta szatańska potrzeba, by przekonywać go przedtem o swym przywiązaniu, to już jest szczyt perfidii, to się po prostu nie mieści w głowie!” Otóż nie: nie ma w tym żadnej perfidii, nie ma nawet świadomego kłamstwa.

Ta serdeczność, jaką owego dnia okazał mi mój niby-konkurent do ręki Albertyny, tłumaczyła się jeszcze inaczej, nie będąc tylko bezpośrednim następstwem jego miłości,

lecz czymś znacznie bardziej złożonym. Od niedawna uważał się i chciał być uważany za intelektualistę. Po raz pierwszy znalazł w życiu coś ważniejszego od przewag sportowych i hulank. Wiedział, że cenili mnie Elstir i Bergotte, być może Albertyna powtarzała mu moje opinie o różnych pisarzach i dodała swoją, o tym, co byłbym w stanie stworzyć, toteż stałem się dla niego (który właśnie odkrył w sobie nowego człowieka) kimś interesującym, z kim warto utrzymywać stosunki towarzyskie, komu chętnie zwierzyłby się ze swoich projektów, a może nawet poprosiłby, żebym go przedstawił Bergotte'owi. Był więc szczery, kiedy się do mnie wpraszał, wyrażając sympatię, którą jej intelektualne tło, wraz z opromieniającą mnie swym blaskiem przychylnością Albertyny, czyniło całkiem wiarygodną. Zamiar zbliżenia się do Albertyny z pewnością nie był jedynym wyjaśnieniem jego stanowczo wyrażonej chęci złożenia mi wizyty, na której tak mu zależało, że gotów był rzucić wszystko, by przybiec. Ale intencja ta rozpałała w nim do szaleństwa inne, jawne pobudki jego działania, podczas gdy sama pozostała ukryta w cieniu. Nie inaczej było z Albertyną, kiedy tak bardzo chciała pójść w dniu próby do pani Verdurin; mogło odezwać się w niej najzupełniej niewinne oczekiwanie przyjemnego spotkania z przyjaciółkami dzieciństwa, w jej oczach nie bardziej zepsutymi niż dla nich ona sama, oczekiwanie radosnej sposobności, by zamienić z nimi parę słów, a także dać do zrozumienia przez samą swą obecność u Verdurinów, że biedne dziecko, które znały kiedyś, należy teraz do elity przyjmowanej w tym wykwintnym salonie — nie wspominając już o przyjemności, jaką być może sprawiłaby jej sama muzyka Vinteuila. A jeśli wszystko to było prawdą, to rumieniec, który zabarwił jej policzki, kiedy wspomniałem o panie Vinteuil, miał za jedyną przyczynę zamysł ukrycia przede mną prawdziwego celu tej wizyty, związanego z intrygą matrymonialną uknutą za moimi plecami. Nie chciała mi przysiąc, że spotkanie z panną Vinteuil jest jej obojętne, i roznieciła tym burzę w moim sercu, utwierdzając mnie w podejrzaniach; teraz jednak uznałem to za dowód jej prawdomówności w tej niewinnej sprawie, prawdomówności, na którą pozwoliła sobie może tylko dlatego, że sprawa była niewinna w istocie. Z drugiej jednak strony pamiętałem, co mówiła mi Anna o swoich stosunkach z Albertyną. Nawet nie posuwając się do przypuszczenia, że zmyśliła to wszystko od początku do końca, bym nie czuł się wybrańcem losu, kimś wywyższonym ponad nią, i tak mogłem pomyśleć, że bardzo przesadziła, opisując mi swoje zabawy z Albertyną, której znowu wewnętrzne zahamowania kazały bagatelizować to, czemu się oddawała z Anną. Pojęciami, których, mówiąc o tych sprawach, użyłem kiedyś bez zastanowienia, Albertyna manipulowała z jezuicką obludą, chcąc sobie udowodnić, że jej stosunki z Anną nie wchodzą w zakres tego, co miałem na myśli; wówczas mogła już uznać, że nie splami się kłamstwem, gdy zaprzeczy faktom. Ale skąd pewność, że to właśnie ona kłamała, nie zaś Anna? Prawda jest rzeczą równie zawiłą jak życie. Wszystkie moje wysiłki, by zgłębić prawdę i pojąć życie, spełzły na niczym, pozostawiając we mnie osad smutku przykryty powłoką znużenia.

Pewnego dnia, na długo po ostatniej wizycie Anny, po raz trzeci uświadomiłem sobie, jak blisko mi do całkowitej obojętności wobec Albertyny (tym razem czułem naprawdę, że już osiągnąłem ten stan); gdy się to zdarzyło, byłem w Wenecji.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Matka zabrała mnie do Wenecji na kilka tygodni; skoro zaś piękno opromienia rzeczy najcudowniejsze na równi z tymi całkiem pospolitymi, doznawałem wrażeń żywo przypominających inne, którymi karmiłem się w swoim czasie w Combray, choć teraz powróciły w nowej tonacji i z nieporównanie większym bogactwem brzmień. Gdy o dziesiątej rano pokojowa przychodziła otworzyć okiennice, zamiast blasku czarnego marmuru, jaki roztaczał łupkowy dach kościoła Św. Hilarego, widziałem złotą lunę, bijącą od anioła z dzwonnicy Św. Marka. Płonąc odbitą światłością, oślepił tak, że nie sposób było zatrzymać na nim wzroku, lecz jego szeroko rozpostarte ramiona niosły mi obietnicę niebiańskiej radości, czekającej mnie już za pół godziny na Piazzetcie, i to bardziej niezawodnie niż tamta, którą niegdyś zwiastował ludziom dobrej woli. Póki leżałem w łóżku, nie widziałem nic prócz anioła. Lecz cały świat jest jak wielki zegar słoneczny: by wskazać godzinę, wystarczy promień światła padający na mały skrawek jego tarczy; toteż pierwszy poranek przypomniał mi o sklepikach na placu Kościelnym w Combray, które właśnie się

zamykały, kiedy szedłem na niedzielną mszę, a w słońcu prażącym mocno już o tej porze przenikliwy fetor podnosił się znad słomy porozrzucanej po rynku. Ale drugiego dnia tym, co ujrzałem zaraz po przebudzeniu i co skłoniło mnie do zerwania się z łóżka (zajawszy w mojej pamięci i w pragnieniach miejsce wspomnień z Combray), były wrażenia pierwszej wczorajszej przechadzki po ulicach Wenecji, na których toczyło się codzienne życie nie mniej niż w Combray rzeczywiście. I tak samo jak w Combray, z przyjemnością wychodziło się w niedzielny poranek na odświętną ulicę, choć tutaj ulicą była marszcząca się w podmuchach ciepłego wiatru tafla wody o barwie szafirowej i na tyle mocnej, by moje znużone spojrzenie mogło na niej spocząć bez obawy, że zmąci czystość szafiru. Tak samo jak w Combray poczciwi mieszkańcy ulicy Ptasiej, w tym nowym dla mnie mieście ludność wylegała z domów, stojących jeden przy drugim wzdłuż ulicy, tyle że w Wenecji cień pod stopy rzucały pałace z porfiru i jaspisu, o portalach sklepionych łukiem, nad którym brodaty bożek wystawiał głowę poza linię muru, tak jak w Combray sterczały kołatki u drzwi, i jakimś błyskiem podkreślał głębię cienia kładącego się jednak nie na brunatnej ziemi, tylko na olśniewającym błękitnie wód. Na Piazzie cień przypominał mi tamten, który w Combray rzucała markiza rozpięta nad sklepem z konfekcją i szyld fryzjera, lecz tu był on usiany mnóstwem niebieskich kwiatków, padających u stóp zdobnej w płaskorzeźby renesansowej fasady na zalany słońcem bruk pustego placu; kiedy słońce prażyło najmocniej, w Wenecji, mimo bliskości kanałów, tak samo jak w Combray nie obywało się bez opuszczania stor. Tyle że tutaj story wisiały w gotyckich oknach z ozdobnym czteroliściem i zawitym ornamentem. Tak właśnie wyglądało ukryte za balustradą balkonu hotelowe okno, w którym matka, wpatrzona w zieleń kanału, zwykła czekać na mnie z cierpliwością, na jaką nie było ją stać w Combray w dawnych czasach, kiedy jeszcze pokładała we mnie nigdy później nie spełnione nadzieje i kryła się z tym, że zbyt mocno mnie kocha; teraz wiedziała już, że udawaniem chłodu niczego więcej nie osiągnie, a czułość, jaką dla mnie miała, była niczym owe zabronione potrawy, których przestaje się choremu odmawiać z chwilą, kiedy wiadomo już, że jego przypadek jest beznadziejny. Pewne szczególne właściwości nadawały niepowtarzalny charakter oknu ciotki Leonii w Combray, w jej domu przy ulicy Ptasiej: asymetryczne położenie związane z rozmieszczeniem dwóch sąsiednich okien, nadzwyczaj wysoki drewniany parapet, zagięta sztaba służąca do otwierania okiennic, firanki z dwóch sztuk lśniącej błękitnej satyny, przewiązanych w połowie tasiemkami. Każdy z owych szczegółów znalazłby swój odpowiednik w tym weneckim hotelu. Tak samo jak dom w Combray, przemawiał on do mnie tym wymownym i sobie właściwym językiem znaków, po których z daleka rozpoznajemy swoją siedzibę, wracając do niej na obiad. Pozostają na zawsze w pamięci na dowód, że w swoim czasie tam był nasz dom. Tyle tylko że inaczej niż w Combray albo w innych miejscach, gdzie znakami takimi bywają rzeczy najzwyklejsze i najlichsze, w Wenecji przyzywał mnie łuk na poły arabski, zdobiący fasadę reprodukowaną we wszystkich albumach historii sztuki jako arcydzieło średniowiecznej architektury mieszkalnej, fasadę, której makiety spotykamy w muzeach. Rozpoznawałem ją z daleka, ledwie minąwszy San Giorgio Maggiore, ona w tejże chwili spoglądała na mnie, a porywająca strzelistość ostrołuku, niczym powitalny uśmiech, nadawała całości wyraz dystyngowanej pogody, wzniosły i nieodgadniony. Za balustradką z wielobarwnego marmuru moja matka skracala sobie lekturę czas oczekiwania, chowając twarz pod tiulem woalki, która swą bielą rozdzierała mi serce tak samo jak jej siwizna, bo czułem, że ukrywając łzy, matka zarzuciła ją na swój słomkowy kapelusz nie tylko po to, by strój prezentował się lepiej w oczach gości hotelowych, lecz także dla mnie, chcąc ukazać mi się nie tak całkowicie pogrążoną w żalobie, mniej smutną, nareszcie trochę pocieszoną po śmierci mojej babki; nie od razu zauważyła mnie w gondoli, lecz kiedy zawołałem, udzieliła mi swej miłości prosto z serca, posłała ją ku mnie na skrzydłach spojrzenia, tak daleko, jak tylko to możliwe, aż po granicę, za którą ono samo traciło ostrość; złożyła przy tym wargi w uśmiech, który wydawał się pocałunkiem — ujętym w ramę uśmiechu jeszcze bardziej nieuchwytnego, pod baldachimem ostrołuku skąpanego w blasku południowego słońca. W mojej pamięci to okno nabrało słodczy właściwej rzeczom towarzyszącym nam w jakiejś pamiętnej godzinie naszego życia, która wybiła równocześnie dla nas i dla nich. I przy całym zachwycie, jaki budziły proporcje tego słynnego okna, pozostało w nim dla mnie coś intymnego, niczym osobiste wspomnienie o wielkim człowieku, jakie zach-

waliśmy, spędziwszy z nim cały miesiąc na letniku, gdzie zdążył nas trochę polubić. Za każdym razem, kiedy w jakimś muzeum natrafiałem na makietę tego okna, z ledwością powstrzymywałem łzy, przemawiało do mnie bowiem słowami, od których nic już bardziej nie mogło mnie wzruszyć: „Pamiętam twoją matkę”.

A jeśli nie zastawałem mamy przy oknie, udawałem się na poszukiwanie; przyszedłszy prosto z rozprężonej upałem otwartej przestrzeni, zanurzałem się w chłodzie, z tym samym uczuciem co niegdyś w Combray, gdy szedłem na górę do swojego pokoju. Tylko że w Wenecji chłód płynął od morza i owiewał mnie, kiedy stąpałem po lśniących stopniach majestatycznych marmurowych schodów, tamte zaś były drewniane, wąskie i ciasne. Marmur niebieskawo połyskiwał odbitym światłem słonecznym, do kształcącej lekcji udzielonej nam przez Chardina dorzucając jeszcze lekcję Veronesego. Jeśli w Wenecji doznania życia codziennego przesycane są pięknem najwspanialszych dzieł sztuki, to uciekanie się do przedstawiania jedynie nędzy zapadłych zaułków, gdzie gaśnie splendor tego miasta, jak też próby uczynienia Wenecji prawdziwszą, bardziej ludzką przez nadanie jej cech jakiegoś pospolitego Aubervilliers — z czystej niechęci do dzieł paru malarzy, którzy uwiecznili chłodno i estetyzująco oblicze co bardziej okrzyczanych jej zabytków (nie mówimy tu o wspaniałych szkicach Maxime’a Dethomas) — należy uznać za przejaw niezrozumienia jej istoty. Podobny błąd popełniło wielu artystów, którzy w odruchu zrozumiałego buntu przeciwko sztuczności, przeciwko Wenecji złych malarzy, nie chcieli widzieć nic prócz realistycznej nędzy zaniedbanych *campi* i *rii*.

W podobne miejsca zapuszczałem się popołudniami, jeśli akurat nie towarzyszyłem matce. Tam najłatwiej mi było zawierać znajomości z kobietami z ludu, sprzedawczyniami zapalek, nawlekaczkami pereł, robotnicami z fabryki szkła i koronczarkami, z ciężko pracującymi dziewczętami w wielkich czarnych chustach zdobnych we frędzle, i nic nie stanęłoby na przeszkodzie, gdybym zechciał je kochać, bo już prawie nie pamiętałem Albertyny; a jeśli wydawały mi się bardziej od innych godne pożądania, to z kolei dlatego, że nie zapomniałem jej jeszcze całkiem. Nikt zresztą nie potrafiłby powiedzieć, ile w owej namiętności, która pchnęła mnie w pogoń za wenejkami, było urzeczenia ich wdziękiem, ile sentymentu do Albertyny, ile zaś moich dawnych fantazji na temat Wenecji. Nawet najbłahsze z pragnień, choć każde z nich wydaje się niepodzielną jak akord całością, niesie w sobie pewne tony podstawowe dla kompozycji, jaką jest nasze życie. I gdyby uległ stłumieniu któryś z tych tonów, to choć dla naszych uszu są one niesłyszalne, obce świadomości i na pozór bez związku z tym, o czym marzymy, okazałoby się wkrótce, że i pragnienia uleciały bez śladu. Były jedną z wielu rzeczy uchodzących mojej uwagi, kiedy ogarnięty gorączką podążałem tropem wenejkanek.<sup>19</sup> Moja gondola płynęła wąskimi kanałami; mógłbym pomyśleć, że to niewidoczny duch Orientu wiedzie mnie przez kręte zaułki tego miasta; w miarę posuwania się naprzód, doznawałem wrażenia, że otwiera się przede mną szlak władczo przecinający cienką brudną pisaną na wodzie samo serce tej dzielnicy, podczas gdy po obu stronach kanału zostawały w tyle wysokie domy o wąskich mauretańskich okienkach. I wydawało się, że mój niewidoczny przewodnik trzyma w dłoni świecę, żeby oświetlać mi drogę: to mury przepuszczały tu i ówdzie słoneczny promień, pozwalając mu na chwilę rozbłysnąć.

Czuło się, że gdyby tych ubogich kamienic nie rozdzielił kanał, utworzyłyby zwartą bryłę bez jednego skrawka wolnej przestrzeni; dzwonnice kościołów i altanki wyrastały już wprost z tafli wody, jak w mieście nawiedzonym przez powódź. Ale za sprawą tej samej metamorfozy, dzięki której wody morza, wypełniające Canale Grande, z tak znakomitą skutkiem mogły unieść ruch uliczny — połączyły one także liczne kościoły i ogrody wynurzające się z wód po obu stronach *canaletto* w tej starej i ludnej dzielnicy gęsto stłoczonych parafii, biednych i noszących widoczne piętno ubóstwa, odwiedzanych tłumnie przez prosty lud. Przecięte kanałami ogrody pozwalały wodzie unosić liście i strącone z drzew owoce, a pod ścianami z szorstkiego piaskowca, jakby dopiero co ociosanego w pośpiechu, można było natknąć się na miejscowych wyrostków tkwiących godzinami na krawężnikach, z nogami zwieszonymi w dół dla równowagi, niczym majtkowie, którzy obsiedli skrzydła ruchomego mostu, rozsunięte na chwilę, by dać morzu

<sup>19</sup>i nic nie stanęłoby na przeszkodzie (...) podążałem tropem wenejkanek — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

wolną drogę. Od czasu do czasu pojawiała się budowla piękniejsza od innych, wyskakując niczym niespodzianka na sprężynce z otwartego przez nas pudełka: jakaś maleńka świątynka o barwie kości słoniowej zdumiewała mnie korynckim porządkiem kolumnady i alegoryczną figurą na frontonie, jakby nieco speszoną sąsiedztwem rzeczy pospolitych, tłoczących się wszędzie wokół, podczas gdy zamiast dziedzińca musiało wystarczyć nabrzeże kanału, które zawsze wyglądało jak pomost służący handlarzom warzyw do przeładunku towaru. Miałem poczucie — od którego jeszcze gwałtowniej płonęły moje żądze — że nie jestem tu postronnym widzem, lecz uczestnikiem zdarzeń, zbliżającym się do sedna jakiejś tajemnicy. Coraz to bowiem po jednej albo drugiej stronie pojawiała się coś nowego, zaskakująca przestrzeń jakiegoś *campo*, jakiś budynek, który wydawał się sam sobą zadziwiony, jak wszystkie rzeczy piękne, gdy nam się ukazują po raz pierwszy i nie znamy jeszcze ich dziejów ani przeznaczenia. Wracalem pieszo wąskimi zaułkami, zaczepiając dziewczęta z ludu, jak kiedyś, być może, Albertyna, i żalowałem, że nie możemy być w tej wyprawie współnikami. Dziewczęta z pewnością nie były te same. W czasach, kiedy Albertyna przechadzała się po Wenecji, te musiały być jeszcze dziećmi. Ale tyle już razy małodusznie zdradziłem, w sensie najdosłowniejszym, każde z moich pragnień, które w swoim czasie było największym i jedynym, i zawsze przy tym szukałem obiektu przypominającego z grubsza ten właściwy, nie zaś identycznego, którego nie miałem nawet nadziei spotkać — że jeśli teraz wypatrywałem kobiet, to z rozmysłem nie tych, które mogła znać Albertyna, tak jak nie interesowałem się już tamtymi, których sam pragnąłem przed laty. Co prawda, zdarzyło mi się nieraz w gwałtownym przypływie żądz wspomnieć dziewczętko napotkane dawno temu w Méséglise albo w Paryżu, choćby tę mleczarkę dostrzeżoną rankiem u stóp wzgórza, podczas mojej pierwszej podróży do Balbec, lecz niestety! Pamiętałem je nadal takimi, jakimi niegdyś je ujrzałem, i jakimi teraz z pewnością już nie były. Jeśli więc dawniej życie skłaniało mnie, bym przełamując swoje poczucie wyłączności pragnień rozglądał się za pensjonarką z klasztornej internatu, podobną do tej, którą dopiero co straciłem z oczu, to gdybym dziś chciał znów ujrzeć te dziewczęta, których widok mógł w czasach młodości doprowadzić mnie, a może i Albertynę, do szaleństwa, powinienem przystać na inne jeszcze odstępstwo od owej reguły, głoszącej, że przedmiot pragnień jest niezastąpiony. Musiałbym zamiast ówczesnych szesnastolatek poszukać szesnastolatek dzisiejszych, gdy bowiem tamte twarze już się zatarły, rysem, który nadal w nich kochałem, była ich młodość. Wiedziałem, że ich dziewczęcy wdzięk przetrwał tylko w mojej rozgorączkowanej pamięci, i jeśli chciałbym osiąść tamtą młodość, której obraz podsuwały mi wspomnienia, powinienem zerwać świeży kwiat młodości rozkwitłej w ostatnim sezonie.<sup>20</sup>

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, kiedy wracałem, by zabrać matkę z Piazzetty. Wezwaliśmy gondolę.

— Jakże zachwyciłaby się Wenecją twoja biedna babka, jakże ceniłaby niewymuszoną swobodę, jaka tchnie z tych cudów i może się równać z naturalnością cudów przyrody: piękno rzeczy, które nie potrzebują żadnej oprawy — wystarczy, że są tym, czym są. Bryła pałacu, kolumny, które, jak mówisz, pochodzą z siedziby Heroda, w samym środku Piazzetty; filary od Św. Jana z Akry i te konie z frontonu Św. Marka! Twoja babka z przyjemnością patrzyłaby na słońce zachodzące za Pałacem Dożów jak za masywem górskim.

I przyznawałem słuszność tym słowom mojej matki, gdy<sup>21</sup> sunęliśmy gondolą wzdłuż Canale Grande, mijając pałace, jeden po drugim, i patrzyliśmy, jak na ich różowawych fasadach kładzie się światło, jak zmieniają się razem z nim, by nie pozostać w tyle za wskazówkami zegarków, bardziej niż do prywatnych rezydencji i zabytków przeszłości podobne do ściany przybrzeżnych skał wapiennych, u której stóp płynęlibyśmy łódką o zmierzchu, by ujrzeć zachód słońca. Budowle po obu stronach kanału przywodziły na myśl wytwór natury, ale natury obdarzonej ludzką wyobraźnią. Tymczasem jednak czuliśmy się jak na jakimś paryskim bulwarze, na Polach Elizejskich, w Lasku albo na którejkolwiek z modnych ulic, a to dzięki miejskim skojarzeniom, jakie zawsze budzą

<sup>20</sup>Miałem poczucie (...) w ostatnim sezonie — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>21</sup>Jakże zachwyciłaby się Wenecją twoja biedna babka (...) I przyznawałem słuszność tym słowom mojej matki, gdy — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

pejzaże Wenecji, widziane choćby z pełnego morza, którego wody po dwa razy na dobę przypominają o sobie przyplywem lub odpływem, to zalewając, to odsłaniając wspaniałe schody wiodące do pałaców. Mijaliśmy oprószone światłami zmierzchu szykowne niezajome, prawie same cudzoziemki, rozparte wygodnie na miękkich poduszkach swoich wodnych ekwipaży; ciągnęły jedna za drugą złożyć wizytę w którymś z pałaców i zatrzymywały się u jego wrót, by posłać służącego z zapytaniem, czy pani jest w domu, w oczekiwaniu zaś na odpowiedź już na wszelki wypadek szykowały bilet wizytowy, tak jak uczyniłyby przed bramą siedziby Guermantów. Jednocześnie zerkały do przewodników, żeby dowiedzieć się, co to za pałac, z jakiej epoki, w jakim stylu zbudowany, przy czym wznosiły się i opadały na połyskliwym grzbiecie błękitnej fali, wzbudzonej przez wodę szastającą się z gniewnym pluskiem w cieśninie między burtą roztańczonej gondoli a ścianą marmuru. Toteż każda przejażdżka, choćby wyłącznym jej celem była wizyta lub sprawunki, stawała się tu zdarzeniem jedynym w swoim rodzaju i zarazem potrójnego znaczenia, w Wenecji bowiem prócz uroków światowego życia przynosiła przyjemności, jakich szukamy w muzeach, a ponadto emocje podróży morskiej.

Spśród pałaców stojących nad Canale Grande niejeden został przerobiony na hotel; czy to z tęsknoty za odmianą, czy też z uprzejmości dla pani Sazerat, którą spotkaliśmy właśnie — a było to jedno z tych spotkań najmniej oczekiwanych i pożądaných, które jednak zdarzają się w każdej podróży — kiedy mama zaprosiła ją na obiad, przyszła nam ochota spróbować kuchni innego hotelu, o której powiadano, że jest lepsza. Gdy moja matka, zapłaciwszy gondolierowi, prowadziła panią Sazerat do uprzednio zarezerwowanego gabinetu, zajrzałem do głównej sali restauracyjnej, którą zdobiły wspaniałe marmurowe kolumny. Jej ściany były niegdyś w całości pokryte freskami, które ostatnio odrestaurowano niezbyt udatnie. Dwaj kelnerzy rozmawiali po włosku.

— Czy starzy będą jedli u siebie? Nigdy nie uprzedzą. Już mi to bokiem wychodzi, znowu nie wiem, czy mam zatrzymać dla nich stół (*non so se bisogna conservar loro la tavola*). Trudno, najwyżej będzie zajęty, kiedy w końcu zejdą. Nie mam pojęcia, dlaczego *forestieri* tego pokroju przyjmowani są w takim szykownym hotelu. To dla nich za wysokie progi.

Przy całej swojej pogardzie kelner musiał się upewnić co do stołu i właśnie miał prosić windziarza, żeby wjechał na górę zasięgnąć języka, lecz zanim ruszył się z miejsca, odpowiedź przyszła sama w osobie starszej pani, która pojawiła się u wejścia. Lecz ani nalot smutku i znużenia, jaki pozostawiły na jej twarzy mijające lata, ani nawet czerwonawa egzema podobna do trądziku, nie przeszkodziły mi rozpoznać w tej postaci w czepku na głowie i czarnej sukni szytej u samego W..., ale w oczach profana podobnej do kiecek starych dozorczyń — margrabiny de Villeparisis. Przypadek zrządził, że miejsce, w którym przystanąłem dla przyjrzenia się resztkom fresków, znajdowało się tuż za marmurową ścianką przepierzenia na tyłach stolika, przy którym pani de Villeparisis zasiadła.

— W takim razie i pan de Villeparisis zaraz nadejdzie. Jak są tu od miesiąca, raz tylko jedli osobno — powiedział kelner.

Zaczynałem się zastanawiać, którego to z krewnych, towarzyszącego jej w podróży, nazywają tu panem de Villeparisis, gdy po krótkiej chwili ujrzałem, jak zbliża się i siada obok niej przy stoliku jej długoletni kochanek, pan de Norpois. Podeszły wiek pozbawił jego głos dźwięczności, ale za to język, dawniej powściągliwy, teraz stał się zgoła niewyparzony. Należałoby może szukać przyczyny w jego wielkich ambicjach, na których spełnienie zostało tak niewiele czasu i którymi unosił się tym zapalczywiej; albo też w życiu, jakie prowadził, odsunięty na margines wielkiej polityki, wyskakując ze skóry, by do niej powrócić, i wierząc z całą naiwnością marzyciela, że wystarczy poddać miażdżącej krytyce posunięcia osób, których miejsce chciałby zająć, a wkrótce zwolnią się posady. Podobnie niejeden polityk sądzi, że rząd, do którego on sam nie został wciągnięty, upadnie w ciągu paru dni. Przesadą byłoby twierdzić, że pan de Norpois całkiem ztracił zdolność posługiwania się językiem dyplomacji. Kiedy chodziło o sprawy „najwyższej wagi”, natychmiast — jak się wkrótce okaże — odzywał się w nim ten sam człowiek, któregośmy znali kiedyś; lecz poza tymi momentami bez przerwy wylewał żółć na tego i na tamtego, zapamiętały w starczym rozdrażnieniu jak osiemdziesięcioletek, który ściga kobiety swoim gniewem, bo sam nic już dla nich nie znaczy.

Pani de Villeparisis pograżyła się na parę chwil w swym milczeniu starej kobiety zmęczonej życiem, której z trudem przychodzi porzucić na chwilę wspomnienia i pokonać stromiznę wiodącą ku teraźniejszości, po czym zadała mu kilka praktycznych pytań, pozwalających wyrobić sobie wyobrażenie, od jak dawna oboje trwają w tym związku.

— Wstąpiłeś do Salviatego?

— Tak.

— Czy jutro przysłą puchar?

— Woląłem sam go przynieść. Pokażę ci go po obiedzie. Zajrzyjmy do karty.

— Zleciłeś coś maklerowi w sprawie moich Suezów?

— Nie. Popyt ogranicza się teraz do spółek naftowych, ta branża właśnie się odbiła od dna. Akcje Royal Dutch jak dotąd zdrożały o niespełna trzy tysiące franków. A przewiduje się, że dojdą do czterdziestu tysięcy. Myślę, że nie byłoby rozsądnie czekać ze sprzedażą aż do tego momentu. Ale teraz nie potrzeba się śpieszyć, bo tendencje rynku wydają się nadzwyczaj obiecujące.<sup>22</sup> No, co tam w karcie? Jako *entrée* mają barwenę. Może weźmiemy?

— Ja chętnie, ale tobie zaszkodzi. Już lepiej zamów risotto. Tylko że tutaj nie potrafia go przyrządzić należycie.

— To nic. Kelner! Na początek barwena dla pani, dla mnie risotto.

Znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

— Przyniosłem ci gazety. „Corriere della Sera”, „Gazzetta del Popolo”, i tak dalej. Wyobraź sobie, że zaczyna się mówić o zmianach personalnych w dyplomacji, a pierwszy miałby wylecieć Paléologue, który się w Serbii popisuje notoryczną nieudolnością. Podobno ma go zastąpić Lozé. W takim razie powstałby wakat w Konstantynopolu. Ale — pośpieszył dorzucić cierpkim tonem pan de Norpois — gdy chodzi o ambasadę o takim znaczeniu, i to w dodatku w kraju gdzie oczywiste jest, że cokolwiek się wydarzy, Wielka Brytania musi zająć główne miejsce przy stole rokowań, rozsądniej byłoby, myśląc o nominacjach, zwrócić się do ludzi doświadczonych, którzy wobec ewentualnych prowokacji nieprzyjaciół naszego brytyjskiego sojusznika potrafią się znaleźć lepiej niż ci dyplomaci nowego chowu, polykający bez zastanowienia każdy haczyk. — Gniewną emfazę, z jaką pan de Norpois wyrzucił z siebie te ostatnie słowa, wywołały przede wszystkim dzienniki, które wbrew instrukcjom, jakich im udzielił, by jego nazwisko podawać jako „najlepszą kandydaturę”, nabrały na jego temat wody w usta, za to natrętnie wymieniały jednego z młodych dyplomatów. — Bóg świadkiem, że ludzi dojrzałych odsuwa się od stanowisk z pomocą jakichś podejranych machinacji, by na ich miejsce mianować mniej lub bardziej nieudolnych nowicjuszy! Spotkałem wielu tych pożałuj Boże dyplomatów, zwolenników metody eksperymentalnej, zawsze gotowych zdać się na los i wypuścić balon próbny, który musiałem sam czym prędzej przekłuwać. Jedno jest pewne, jeśli ten rząd jest tak szalony, że chce oddać stery państwowej nawy w nieodpowiedzialne ręce, zawsze się znajdzie jakiś cymbał, który stawi się na wezwanie. Ale kto wie... — i tu pan de Norpois przybrał tajemniczą minę człowieka, który kogoś określonego ma na myśli — ...czy równie ochoczo nie stawiliby się na wezwanie stary wiarus, któremu nie brak doświadczenia i zapału? Według mnie (każdy ma prawo do własnego sądu) należy wstrzymać się z wysyłaniem ambasadora do Konstantynopola, póki nie wyjdziemy z impasu w stosunkach z Niemcami. Nie mamy zobowiązań wobec nikogo, i jest rzeczą niedopuszczalną, by co pół roku zmuszano nas podstępnie i wbrew naszej woli do składania nie wiem jakich deklaracji, które nagłaśnia sprzedajna prasa. To się musi wreszcie skończyć i oczywiste jest, że tylko człowiek wielkiej prawości i wielkiego doświadczenia, cieszący się, że tak powiem, zaufaniem cesarza Wilhelma, dysponowałby odpowiednim autorytetem, by położyć kres konfliktom.

Jakiś pan, kończąc już obiad, uklonił się panu de Norpois.

— Toż to książę Foggi — powiedział margrabia.

— Nawet nie jestem pewna, czy wiem, kogo masz na myśli — westchnęła pani de Villeparisis.

<sup>22</sup>ta branża właśnie się odbiła od dna (...) tendencje rynku wydają się nadzwyczaj obiecujące — fragment o giełdzie, od „ta branża”, pominięty w wydaniach polskich. [przypis tłumacza]



— Ależ to on, bez wątpienia. Książę Odon. Jest szwagrem twojej kuzynki Doudeauville. Opowiadałem ci o nim, polowaliśmy razem w Bonnétable.

— Ach, tak. Odon to był ten, który malował?

— Skądże. Tamten ożenił się z siostrą wielkiego księcia N.

Pan de Norpois mówił to cierpkim tonem starego belfra, który nie jest rad z postępów uczennicy, a spojrzenie jego niebieskich oczu spoczywało całym swym ciężarem na pani de Villeparisis.

Książę dopił kawę i wstał od stołu. Pan de Norpois także się zerwał, ruszył energicznie w jego stronę, złożył mu pełen godności ukłon, a potem odsunął się z lekka na bok, by przedstawić go pani de Villeparisis. Książę przystanął przy ich stoliku, a pan de Norpois ani na chwilę nie spuszczał z margrabin błękitnego oka, dumnego, lecz krytycznego spojrzenia, w którym przede wszystkim wyrażała się obawa, by margrabina za chwilę nie popełniła znów któregoś ze swoich słynnych lapsusów; bawiły go, ale i wprawiały w zakłopotanie. Gdy tylko użyła wobec księcia jakiegoś niewłaściwego słowa, pan de Norpois zaraz ją poprawiał, wpijając się swym hipnotycznym spojrzeniem w zgaszone, pokorne oczy margrabin.

Podszedł kelner, by mi powiedzieć, że matka mnie oczekuje. Odnalazłem ją i przeprosiłem panią Sazerat, wyjaśniając, że zatrzymał mnie widok margrabin de Villeparisis. Na dźwięk tego nazwiska pani Sazerat pobladła; wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Zdołała się jednak opanować i spytała:

— De Villeparisis, z domu de Bouillon?

— Tak.

— Czy mogłabym popatrzeć na nią przez chwilę? To marzenie mojego życia.

— Więc proszę nie zwlekać, bo zdaje się, że zaraz skończy obiad. Ale co w niej aż tak ciekawego?

— Toż to właśnie pani de Villeparisis, z pierwszego męża księżna d'Havré, piękna jak anioł, przewrotna jak szatan, doprowadziła mojego ojca do szaleństwa, zrujnowała go i nie oglądając się, porzuciła. Choć postąpiła z nim jak ostatnia zdzira i przez nią musiałam razem z całą rodziną cierpieć niedostatek w Combray, teraz, kiedy ojciec już nie żyje, pocieszam się, że kochał najpiękniejszą kobietę swoich czasów. Nigdy jej nie widziałam, a mimo wszystko sprawiłoby mi to wielką przyjemność...

Poprowadziłem drżącą z emocji panią Sazerat do głównej sali restauracyjnej i wskazałem jej panią de Villeparisis.

Lecz spojrzenie pani Sazerat, zupełnie jakby dotknęła ją ślepotą, prześlizgiwało się obok stolika, przy którym margrabina jadła obiad, i odpływało w inną stronę, szukając gdzie popadnie jakiegoś punktu zaczepienia.

— Chyba już odeszła, nie widzę jej tam, gdzie pan pokazuje.

— Ależ tutaj, przy drugim stoliku.

— Bo chyba nie liczymy tak samo. Ja policzyłam jako drugi tamten stolik, przy którym siedzi ze starszym panem jakaś chuda garbuska, cała czerwona, odrażająca.

— To właśnie ona.

Wtedy to, na życzenie pani de Villeparisis, pan de Norpois zaprosił księcia Foggi, by usiadł przy ich stoliku. Wywiązała się między nimi ciekawa rozmowa. Mówili o polityce. Książę oświadczył, że nic go nie obchodzi los rządu i zamierza zostać w Wenecji jeszcze przynajmniej przez tydzień. Wyraził nadzieję, że do tego czasu kryzys rządowy zostanie zażegnany. Z początku książę sądził, że polityka nie interesuje pana de Norpois, ten bowiem, choć przedtem wypowiadał się z wielką swadą, nagle pogrążył się w milczeniu tchnącym spokojem niemalże anielskim, i miało się wrażenie, że gdyby odzyskał głos, to usłyszeliśmy z jego ust którąś z niewinnych, melodyjnych pieśni Mendelssohna albo Césara Francka. Księciu wydawało się nawet, że przyczyną tego milczenia była powściągliwość: że pan de Norpois jako Francuz nie chciał się w obecności Włocha wypowiadać o problemach włoskich. A jednak książę mylił się całkowicie. Milczenie i pozory obojętności nie oznaczały u pana de Norpois rezerwy, przeciwnie, było to właśnie preludium, jakim zwykł poprzedzać każdą swoją wypowiedź w sprawach najwyższej wagi. Jego ambicja domagała się placówki w Konstytucyjnym parlamencie w sprawie niemieckiej, czego miał nadzieję dokonać, wymusiwszy poparcie ze strony rządu włoskiego. Sądził, że podobne osiągnięcie o międzynarodowym znaczeniu byłoby godnym

zwieńczeniem jego kariery, a może i zapowiedzią nowych zaszczytów, nowych wyzwań, których wcale się jeszcze nie wyrzekł. Podeszły wiek zrazu niweczy w nas bowiem tylko zdolność do czynu, a nie ochotę gotowość. Ludzie, którzy dożyli zgrzybiałej starości, dopiero w tym ostatnim okresie życia porzucają pragnienia, tak jak wcześniej wyrzekli się działań. Wówczas nawet ci, którzy z nadzieją uczestniczyli w podobnie jałowych przedsięwzięciach, jak wybory prezydenckie, już do nich więcej nie stają. Chcą tylko jeść, spacerować, czytać gazety, chcą jeszcze przeżyć samych siebie.

Pragnąc ośmielić pana de Norpois i dać mu do zrozumienia, że mówi z nim jak z rodakiem, książę jął rozprawiać o różnych możliwych kandydaturach na fotel premiera. Nowego szefa gabinetu czekały niełatwe zadania. Gdy książę Foggi wymienił już nazwiska ponad dwudziestu polityków, jego zdaniem liczących się w tej grze, a pan de Norpois wysłuchał tej listy, kryjąc błękit oczu pod półprzymkniętą powieką, wreszcie wydał z siebie głos i wypowiedział tych kilka słów, które przez następnych dwadzieścia pięć lat dostarczały tematu do rozmów w kręgach polityków, a gdy w końcu wydawało się, że zostały zapomniane, wydobywał je znowu na światło dzienne osobnik podpisujący się „Poinformowany”, „Świadek” albo „Machiavelli” w jednej z gazet, dla których właśnie niepamięć, jaka pochłonęła już słowa pana de Norpois, nadawała im walor sensacji. Toteż gdy książę Foggi skończył wyliczać nazwiska milczącemu jak niemowa, zastygłemu w bezruchu eks-ambasadorowi, pan de Norpois z lekka uniósł głowę i tym samym tonem, którego używał w swoich najbardziej brzemiennych w skutki wystąpieniach politycznych, tyle że pozwalając sobie teraz na więcej odwagi i dosłowności, zadał błyskotliwe pytanie:

— A pan Giolitti, czy nikt nie wymienił jego nazwiska?

Na te słowa łuski spadły z oczu księcia Foggi, a jego uszy posłyszały muzykę sfer. A po chwili pan de Norpois zaczął mówić o czym innym, nawet nieco zbyt hałaśliwie, jak to bywa po koncercie, gdy wybrzmiała ostatnia nuta podniosłej arii Bacha i publiczność może wreszcie głośno rozmawiać, udając się do szatni po okrycia. Dał nawet niedwuznacznie do zrozumienia, że występ zakończony, prosząc księcia, by złożył wyrazy jego oddania u stóp Ich Wysokości Króla i Królowej, gdy będzie im składał wizytę, co zabrzmiało jak pożegnanie i odpowiadało mniej więcej słowom wykrzykiwanym po koncercie: „Stangret August z ulicy Belloy!” Nie wiemy dokładnie, co sobie pomyślał książę Foggi. Bez wątplenia pozostawał pod wrażeniem tego arcydzieła, które było mu dane usłyszeć: „A pan Giolitti, czy nikt nie wymienił jego nazwiska?” Albowiem pan de Norpois, w którym lata stłumiły i rozprężyły najpiękniejsze cechy osobowości, z wiekiem doszedł za to do perfekcji w tych swoich krótkich „ariach brawurowych”, jak to się zdarza u schyłku życia muzykowi, gdy całkiem już zgasło w nim to wszystko, co stanowiło o dawnej świetności, lecz wtedy właśnie objawiła się absolutna i nie ustająca w rozwoju aż po sam kres jego dni wirtuozeria — na przykład w dziedzinie kameralistyki, w której nigdy przedtem nie zabłysnął.

W każdym razie książę Foggi, który zamierzał spędzić w Wenecji dwa tygodnie, tegoż wieczoru wrócił do Rzymu, a parę dni później został przyjęty przez króla w sprawie posiadłości, które miał — o czym zapewne była już mowa — na Sycylii. Gabinet wegetował jeszcze nadspodziewanie długo. Po jego upadku król podjął rozmowy z przedstawicielami kręgów politycznych, by wyłonić kandydaturę na szefa nowego gabinetu, po czym wezwał do siebie pana Giolitti. Ów przyjął propozycję. Po trzech miesiącach jeden z dzienników opisał spotkanie księcia Foggi z panem de Norpois. Rozmowę przytoczono w tym samym brzmieniu, jedynie zamiast słów „zadał błyskotliwe pytanie”, użyto innych: „powiedział z owym subtelnym i czarującym uśmiechem, który wszyscy znają”. Pan de Norpois uznał, że gdy chodzi o dyplomatę, to słowa „zadał błyskotliwe pytanie” mają wystarczającą siłę oddziaływania i cytowane wyżej rozszerzenie było już raczej nie na miejscu. Zażądał na Quai d’Orsay oficjalnego dementi, ale Quai d’Orsay ugięło się pod nawalem pilniejszych spraw. Po ujawnieniu treści tej rozmowy, pan Barrère po parę razy na godzinę depešował do Paryża, by nikomu nie dać zapomnieć, że przy Kwirynale działa oficjalny ambasador, i donieść przy okazji o powszechnym niezadowoleniu, jakie wzmiankowany fakt wywołał w całej Europie. Była to nieprawda, ale pozostali ambasadorzy okazali się ludźmi zbyt dobrze wychowanymi, by zadać kłam panu Barrère, gdy ten opowiadał o oburzeniu całego świata. Pan Barrère z kolei, zdolny słyszeć tylko własne słowa, brał ich uprzejmie milcze-

nie za głos poparcia. Znowu telegrafował więc do Paryża: „Odbyłem godzinne spotkanie z markizem Visconti-Venosta...” i tak dalej. Jego sekretarze padali z nóg.

Pan de Norpois miał jednak „na każde skinienie” pewną francuską gazetę z tradycjami, która już w roku 1870, kiedy był ambasadorem Francji w jednym z krajów niemieckich, podała mu pomocną dłoń. Gazeta owa (zwłaszcza zaś artykuły wstępne) redagowana była z godną podziwu starannością. Tym bardziej znaczące bywały niedociągnięcia w tekście publikowanym na pierwszej stronie (zwanym w owych zamierzonych czasach „czołówką”, a dziś, nie wiedzieć czemu, „artykułem redakcyjnym”), różne powtórzenia, niezręczne sformułowania, które budziły dreszczyk emocji, wskazując, że nie obeszło się tu bez jakiejś „inspiracji”: pana de Norpois lub innej osobistości, przeżywającej właśnie swoje pięć minut. By dać czytelnikowi pewne wyobrażenie o wydarzeniach włoskich, pokażmy, w jaki sposób pan de Norpois posłużył się tym pismem w roku 1870, na próżno, można by rzec, skoro wojna i tak wybuchła; z wielkim pożytkiem, zdaniem pana de Norpois, którego pierwszą zasadą było zadbać o właściwe nastawienie opinii publicznej. W swoich artykułach ważył każde słowo, a w rezultacie przypominały one te optymistyczne komunikaty bezpośrednio poprzedzające śmierć chorego. Na przykład: w roku 1870, w przededniu wypowiedzenia wojny, kiedy mobilizacja została już prawie zakończona, pan de Norpois (pozostający, ma się rozumieć, w cieniu) uznał za stosowne posłać do tego słynnego dziennika taki artykuł na pierwszą stronę:

„W kołach miarodajnych zdaje się przeważać opinia, że od wczesnych godzin popołudniowych dnia wczorajszego sytuacja, na razie z pewnością nie dająca powodów do alarmu, powinna jednak zostać uznana za nadzwyczaj poważną, a z pewnego punktu widzenia nawet krytyczną. Margrabia de Norpois spotykał się kilkakrotnie z ambasadorem pruskim w celu rozważenia w duchu stanowczym i rzeczowym, zarazem z intencją pojednawczą, różnych przyczyn zaistniałego konfliktu. Niestety aż do chwili oddania bieżącego numeru do druku nie dotarła do nas wiadomość, czy próba zażegnania konfliktu na drodze dyplomatycznej doprowadziła do ogłoszenia wspólnego komunikatu.

Z ostatniej chwili: Koła dobrze poinformowane przyjęły z zadowoleniem nieznaczne odprężenie, jakie nastąpiło w stosunkach francusko-pruskich. Szczególną wagę miałby mieć fakt spotkania na Unter den Linden pana de Norpois z ambasadorem Anglii, trwającego około dwudziestu minut. W tutejszych kołach politycznych wiadomość ta została oceniona jako zadowalająca (*befriedigend*).

A nazajutrz artykuł wstępny głosił:

„Mimo zręczności pana de Norpois, zasypywanego z wszystkich stron wyrazami uznania za energiczne kroki w obronie żywotnych interesów Francji, zerwanie stosunków dwustronnych w chwili obecnej może wydawać się poniekąd nieuniknione”.

Dziennik nie oparł się pokusie opatrzenia takiego artykułu wstępnego paroma komentarzami, nadesłanymi, rzecz jasna, przez pana de Norpois. Czytelnik miał już okazję zauważyć, że w dyplomatycznych wypowiedziach ambasadora tryb warunkowy należał do ulubionych form gramatycznych. („Szczególne znaczenie miałby mieć fakt spotkania...” zamiast „Szczególne znaczenie przywiązuje się...”) Równie drogi był mu tryb oznajmujący, używany nie tak, jak to jest w zwyczaju, lecz raczej w miejsce zapomnianego optatywu. A tak oto brzmiał komentarz następujący po artykule:

„Społeczeństwo nasze daje dowody niezwyklego opanowania. (Pan de Norpois życzyłby sobie, żeby to było prawdą, ale obawiał się, że nią nie jest). Niejasna sytuacja obecna dała mu się we znaki, toteż z zadowoleniem przyjęło zapewnienie, że rząd Jego Cesarskiej Mości uczyni co w jego mocy, by podjąć wszelkie decyzje, jakich może wymagać dalszy rozwój wydarzeń. Społeczeństwo nie oczekuje (optativus!) niczego więcej. Nie traci zimnej krwi, co już jest zapowiedzią triumfu. Dorzućmy tu jeszcze wiadomość mogącą uspokoić opinię publiczną, gdyby zachodziła taka potrzeba: nasze źródła donoszą, że pan de Norpois, który ze względów zdrowotnych od dłuższego czasu zamierzał odbyć w Paryżu krótką kurację, opuścił właśnie Berlin, uznając swoją dalszą tam obecność za zbyteczną.

Z ostatniej chwili: Jego Cesarska Wysokość opuścił dziś rano Compiègne i udał się do Paryża, gdzie odbył konferencję z margrabią de Norpois, ministrem wojny i marszałkiem Bazaine’em, w którym opinia publiczna pokłada szczególne zaufanie. Jego Cesarska Wysokość odwołał obiad, który miał wydać na cześć swojej szwagierki księżnej d’Alba.

Decyzja ta, od razu po jej ogłoszeniu, spotkała się z powszechnym zrozumieniem. Cesarz dokonał przeglądu wojsk, ogarniętych nieopisanym entuzjazmem. Na rozkaz wydany bezpośrednio po przyjeździe pary cesarskiej do Paryża, część oddziałów pozostaje w gotowości do wymarszu w kierunku Renu, gdyby zaszła taka konieczność”.

O zmierzchu, kiedy wracałem do hotelu, czułem nieraz, że Albertyna z dawnych czasów, dla mnie samego niewidzialna, tkwi uwięziona w lochach mojej wewnętrznej Wenecji. Czasem nagły wstrząs, wywołany jakimś wydarzeniem, przesuwał ciężką klapę władu i powstawała szpara, przez którą mogłem spoglądać w przeszłość.

Tak oto pewnego wieczoru list od mojego agenta giełdowego otworzył wrota więzienia, w którym Albertyna żyła nadal, choć tak daleko i tak głęboko, że dla mnie nieosiągalna. Po jej śmierci zaniedbywałem spekulacje podjęte kiedyś z myślą o pomnożeniu pieniędzy, których potrzebowałem ze względu na nią. Lecz oto zmieniły się czasy, a niewzruszone pewniki minionej epoki obaliła ta nowa, podobnie jak kiedyś twierdzenia pana Thiersa, że kolej żelazna się nie przyjmie: najmocniej zniżkowały właśnie te papiery, o których pan de Norpois mówił nam kiedyś: „Może nie gwarantują nadzwyczajnych zysków, ale przynajmniej dają pewność, że kapitał nie stopnieje”. Na samych obligacjach rządu angielskiego i akcjach kompanii naftowych ponosiłem olbrzymie straty, płacąc jednocześnie procent i koszty transakcji prolongacyjnych, aż w odruchu zniecierpliwienia postanowiłem sprzedać wszystko, i wtedy okazało się, że ze spadku po babce została mi ledwie piąta część tego, co miałem jeszcze za życia Albertyny. Wieść o rozmiarach moich strat dotarła do Combray; znajomi i krewni, którzy słyszeli coś o tym, że utrzymuję stosunki towarzyskie z margrabią de Saint-Loup i z Guermantami, skwitowali ją tymi słowami: „Oto do czego prowadzi megalomania”. Byliby bardzo zdziwieni, gdyby ktoś im powiedział, że gdy rzuciłem swój majątek na szalę, uczyniłem to dla młodej osoby bez żadnej pozycji, niemalże protegowanej Vinteuilu, dawnego nauczyciela mojej babki, która w młodości brała u niego lekcje gry na fortepianie. Zresztą w Combray — gdzie podług wysokości rocznego dochodu, znanej całemu miastu, wszyscy zostali raz na zawsze zaliczeni do odpowiedniej kategorii, zamkniętej niczym hinduska kasta — nikt nie zdołałby nawet wyobrazić sobie tej nonszalancji, z jaką w świecie Guermantów lekceważono różnice majątkowe; ubóstwo uchodziło tam za przypadłość niemilą, ale nie dyskredytującą nikogo i nie mającą większego związku z sytuacją towarzyską niż na przykład dolegliwości żołądkowe. Mieszkańcy Combray sądzili zapewne, że Saint-Loup i pani de Guermantes to zrujnowana arystokracja, która tkwi po uszy w długach, obciążających hipoteki rodowych zamków, i pożyczka ode mnie pieniądze — choć było wprost przeciwnie: gdybym popadł w długi, oni pierwsi zaproponowaliby mi pomoc, której nie chciałbym zresztą przyjąć. Co się zaś tyczy mojej rzekomej ruiny, przejąłem się nią głównie dlatego, że moje tutejsze pasje zogniskowały się w końcu na pewnej młodej sprzedawczyni weneckiego szkła, dziewczynie o cerze jak płatek róży, zachwycającej bogactwem brzoskwińowych odcieni; wzbudziła we mnie taką żądzę widywania jej co dzień, że gdy już miałem wraz z matką na dniach opuścić Wenecję, myślałem tylko o tym, jak tę dziewczynę urządzić w Paryżu, bym nie musiał się z nią rozstawać. Uroda jej siedemnastu lat była tak szlachetna i promienna, że patrzyłem na nią niczym na płótno Tycjana, z którego kupnem trzeba koniecznie zdążyć przed wyjazdem. Ale czy resztki majątku, jakie mi pozostały, wystarczą teraz, by ją zwabić do Paryża, skłonić, by opuściła swój kraj ojczysty dla mnie jednego?

Tymczasem, kończąc czytać list od mojego maklera, zatrzymałem wzrok na tym oto zdaniu: „Będę miał w opiece pańskie opcje” — dopatrzyłem się w nim interesownej obłudy podobnej do tej, z jaką łaziebna z Balbec mówiła Aimému, że brała Albertynę „pod opiekę”. Od tych słów, których nigdy dotąd nie wspomniałem, zadrżały teraz i rozstąpiły się wrota — nie Sezamu, lecz lochu. Na chwilę jedynie, by znów się zatrasnąć i ukryć żywcem zamurowaną, wobec której byłem bez winy, nawet jeśli już nie pragnąłem jej odzyskać: przecież nie mogłem jej sobie nawet przypomnieć. Ludzie istnieją dla nas tylko przez obrazy, jakie pozostawili w naszym umyśle. W owej chwili, kiedy ujrzałem ją opuszczoną, w zapomnieniu, którego już nawet nie była świadoma, wydała mi się bardziej niż

kiedykolwiek wzruszająca, i przez mgnienie oka zatęskniłem za owym utraconym czasem, kiedy to dniem i nocą samym swym trwaniem w mojej pamięci nieustająco zadawała mi ból. Innego dnia w San Giorgio dei Schiavoni obok postaci jednego z apostołów zobaczyłem orla o stylizowanych kształtach i ożyło we mnie wspomnienie cierpień, jakich doznawałem z powodu tamtych dwóch pierścionków, których podobieństwo odkryła przede mną Franciszka, lecz nigdy nie dowiedziałem się, kto podarował je Albertynie.

Ale innego dnia zdarzyła się rzecz, która na dobrą sprawę powinna by rozpaść moją miłość na nowo. Gdy nasza gondola przybiła do hotelowych schodów, portier wręczył mi depeszę, z którą z kompanii telegraficznej przychodzili już trzy razy, chcąc pisemnego potwierdzenia odbioru, a to z powodu błędów w nazwisku adresata (rozpoznałem w nim swoje własne nazwisko, choć całkiem zniekształcone przez włoskiego telegrafistę). Otworzyłem depeszę, kiedy tylko znalazłem się w swoim pokoju, i rzuciłem okiem na jej treść. Roilo się w niej od przekreślonych słów. Mimo wszystko byłem w stanie ją odczytać:

„Drogi Przyjacielu, od dawna nie dałam znaku życia. Proszę o przebaczenie. Żyję jak najbardziej, zamierzam Cię odwiedzić i pomówić o planach małżeńskich, chciałabym wiedzieć, kiedy wracasz? Z serdecznymi pozdrowieniami, Albertyna”.

Nastąpiło wówczas, choć w odwrotnym porządku, to samo, co po śmierci babki: kiedy się dowiedziałem, że umarła, nie czułem jeszcze smutku. I jej śmierć nie zabolala mnie naprawdę, dopóki babka nie powróciła żywa we wspomnieniach. A teraz, kiedy Albertyna umarła już nawet w mojej pamięci, wiadomość, że jednak żyje, nie wzbudziła we mnie radości, jakiej można by oczekiwać. Albertyna była już tylko garstką moich myśli: w takim jedynie stopniu przetrwała swą fizyczną śmierć, w jakim te myśli nadal żyły we mnie. Teraz zaś, kiedy i one już umarły, nawet niespodziewane zmartwychwstanie nie mogło przywrócić jej życia.

I kiedy zauważyłem, jak mało jest we mnie radości na wieść, że ona żyje, pojąłem, że jej nie kocham. I byłem tym wstrząśnięty nie mniej niż ktoś, kto po chorobie albo po długiej podróży spostrzeża, że ma siwą głowę i pobrużdżoną twarz człowieka przedwcześnie dojrzałego albo starca. Przeraza go ona, znaczy bowiem tyle: „Jasnowłosego młodzieńca, którym byłem, już nie ma, stałem się kimś innym”. Czy przemiana może być głębsza, śmierć naszego dawnego ja równie nieodwracalna, rządy zaś nowego, które zajęło jego miejsce, bardziej bezwzględne, niż kiedy naszą dawną twarz zastąpi pomarszczona maska, a nad nią bieleją cudze włosy? Ale nikt nie popada w przygnębienie z powodu takiej przemiany, jeśli przyniosły ją lata upływające w zgodzie z porządkiem rzeczy, podobnie jak nie martwi nas, że bywamy na przemian, dzień po dniu, istotami tak różnymi, przeczącymi sobie nawzajem: grubianinem i nadwrażliwcem, skrupulantem i człowiekiem niedbałym, kimś, kto pragnie sukcesów i tym, któremu na niczym nie zależy. Przyczyna zaś, dla której nas to nie boli, jest zawsze ta sama: nasze liczne ja stają się niewidoczne jak ciała niebieskie, które uległy zaćmieniu na chwilę — albo też na zawsze. W jednym z tych dwu przypadków zmiana dotyczy cech charakteru, w drugim uczuć; ukryte w cieniu ja nie rozpacza z powodu własnej nieobecności, gdy drugie, oświetlone, na krótko, albo też na zawsze, przejmuje całkowitą władzę. Doszedłszy w nas do głosu, arogant każe nam cieszyć się własną arogancją, a zapominalski nie smuci się tym, że zapomniał, skoro nie pamięta.

Nie było w mojej mocy wskresić Albertynę, bo przecież nie mógłbym przywrócić życia nawet samemu sobie — swojemu dawnemu ja. Życie, które nie ustając w mrówczej pracy, codziennymi, niezauważalnymi posunięciami zmienia oblicze świata, nazajutrz po śmierci Albertyny nie powiedziało mi wprawdzie wprost: „Stań się teraz kim innym”, ale zapoczątkowało we mnie szereg procesów toczących się tak niepostrzeżenie, że sam nie byłem tego świadom, a mój umysł zdążył przywyknąć do mojego obecnego ja, swojego nowego pana, nim spostrzegł, że coś się zmieniło — i odtąd jego tylko uznawał. Wiemy już, że moja miłość do Albertyny, tak samo jak moja zazdrość, potrzebowała do życia tego promieniowania, które wysyłały ogniska miłych, albo też bolesnych, wspomnień, podsypane przez skojarzenia. Żywiła się wspomnieniem panny Vinteuil w Montjouvain i słodyczą wieczornych pocałunków, składanych przez Albertynę na moim karku. Lecz w miarę jak słabła we mnie pamięć tych doznań, rozległe obszary rozmaitych wrażeń, zabarwione odcieniami szczęścia i cierpienia, na powrót oblekały się w nijaką szarość. Skoro tylko niepamięć pochłonęła strategiczne punkty bólu i rozkoszy, złamany został

opór mojej miłości, i oto nie kochałem już Albertyny. Usiłowałem przywołać jej wspomnienie. Trafnym okazało się przecucie, które naszło mnie dwa dni po jej ucieczce, gdy zaniepokoiłem się myślą, że zdołałem przeżyć bez niej całe czterdzieści osiem godzin. Czulem się wtedy tak samo jak kiedyś, dawno, gdy pisząc do Gilberty, myślałem sobie: „Jeśli to potrwa ze dwa lata, niechybnie przestanę ją kochać”. Gdy potem Swann zapraszał mnie do złożenia wizyty jego córce, miałem wrażenie, że byłoby to dla mnie równie trudne, jak spotkanie z umarłą; śmierć (albo stan, który uchodził za śmierć) uczyniła z Albertyną to samo, co z Gilbertą dawno temu przedłużające się rozstanie. Śmierć bowiem ma to samo działanie co nieobecność. Zapomnienie, owo monstrum, przed którym drżała moja miłość, pożarło ją w samej rzeczy, właśnie tak jak się obawiałem. Wiadomość, że Albertyna żyje, nie zdołała wskrzesić mojej miłości, i nie tylko dała mi odczuć, jak daleką drogę już przebyłem, powracając do pierwotnego chłodu uczuć, lecz zgoła przyspieszyła ów powrót tak gwałtownie, że zapytywałem sam siebie, czy w swoim czasie wiadomość przeciwnej treści — o śmierci Albertyny — nie spotęgowała sztucznie wstrząsu związanego z jej wyjazdem i czy na powrót nie roznieciła miłości bliskiej już wygaśnięcia. Owszem, wiedziałem, że ona żyje i że mogę zobaczyć ją choćby zaraz, lecz przez to tak gwałtownie straciła w moich oczach na wartości, że zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie insynuacje Franciszki, a potem nagłe rozstanie, aż po ową rzekomą śmierć, którą miałem za rzeczywistą, przywróciły moc moim gasnącym uczuciom — tak jak intrygi osób trzecich albo zrządzenia losu zmierzające do rozłączenia nas z kochanką, które nas zazwyczaj jeszcze mocniej z nią wiążą. Ale toczący się teraz proces zmierzał w przeciwnym kierunku. Tak czy inaczej, szukałem jej postaci we wspomnieniach; być może dlatego, że znów mogłem mieć ją dla siebie na każde skinienie, pamięć podsuwała mi tylko obraz dziewczyny raczej korpulentnej, o męskich ruchach i policzkach już nie tak świeżych jak niegdyś; w jej rysach nieuchronnie, z mocą kielkującego ziarna, zaczynał się uwydatniać profil pani Bontemps. Cokolwiek wyczyniała kiedyś z Anną lub z innymi, stało mi się obojętne. Nie czulem już bólu, który przez tak długi czas wydawał mi się nieuleczalny; to w istocie było do przewidzenia. Żal po utracie kochanki albo uporczywie utrzymująca się zazdrość to oczywiście są choroby ciała, tak samo jak gruźlica czy białaczka. Wśród cierpień cielesnych należy jednak odróżniać te wywołane przez czynniki czysto fizyczne od innych, które oddziałują na organizm poprzez umysł. Gdy zaś czynnikiem wpływającym pośrednio na stan zdrowia jest pamięć, pierwotna zaś przyczyna zaburzeń oddaliła się lub uległa unicestwieniu, to choćby ból był najdotkliwszy, a powikłania bardzo poważne, prognoza rzadko bywa niepomysłna, choćby dlatego, że umysł ma w sobie większy potencjał zmian niż tkanki ciała, lub raczej mniejszą niż one zdolność odtwarzania własnej struktury. Tyle czasu, ile go potrzebuje nowotwór, by zabić chorego, wystarcza na ogół do uleczenia bólu niepokieszonego wdowca, zrozpaczonych rodziców. I ja także zostałem uleczony. Czyżby warto mi było — dla tej dziewczyny, którą w wyobrażeniach przed chwilą ujrzałem już zbyt tęgą i postarzałą o tyleż lat, co jej ukochane z dawnych czasów — wyrzec się piękna, zdolnego tchnąć nowe życie w moje wspomnienia, w moje nadzieje? Nie mógłbym dać złamanego grosza dziewczynie z Wenecji ani żadnej innej, gdybym ożenił się z Albertyną. Musiałbym wówczas zapomnieć o tej „nowej Albertynie”, „nie tej, którą znały piekła”, „lecz wiernej, lecz dumnej i po trosze dzikiej”. To ona stała się teraz dla mnie tym, czym niegdyś była Albertyna. To moje własne ubóstwienie młodości przybrało kiedyś przelotnie kształt zachwyty nad Albertyną. Wydaje się nam, że kochamy młodą dziewczynę — ale niestety! — kochać umiemy tylko ten odbłask jutrzeński, kładący się rumieńcem na jej policzkach.

Noc minęła. Rano chciałem oddać depeszę portierowi. Powiedziałem mu, że doręczono mi ją przez pomyłkę, bo nie dla mnie była przeznaczona. Odparł, że skoro ją otworzyłem, to lepiej, bym ją zatrzymał, inaczej będzie miał kłopoty. Włożyłem ją zatem do kieszeni, obiecując sobie, że zachowam się tak, jakbym nigdy nie miał jej w ręku. Na dobre przestałem już kochać Albertynę. I oto miłość, która odbiegła tak dalece od wyobrażeń, jakie mogłem o niej powziąć zawczasu, znając dzieje minionej miłości do Gilberty, w końcu zatoczyła koło, przysparzając mi tak wielu cierpień, i musiała poddać się temu samemu co tamta pierwsza prawu ogólnemu, choć tak długo zdawała się wyjątkiem: prawu zapomnienia.

Nie mogłem się nadziwić, że Albertyna, na której kiedyś zależało mi bardziej niż na własnym życiu, teraz nic już dla mnie nie znaczy, i to dlatego jedynie, że przez jakiś czas jej nie widywałem. Moje przywiązanie do życia, od którego nie chciałem zostać odcięty przez śmierć, i do nadziei na pośmiertne zmartwychwstanie, nie było tym samym, co uzależnienie od Albertyny, której także nie chciałem utracić. Tylko pierwsze z tych przywiązań utrzymało bowiem swą władzę nade mną. Czyż nie znaczy to, że miałem się za kogoś ulepionego z cenniejszej gliny niż ona i że kochając ją, w istocie kochałem tylko siebie? Otóż nie. Rzecz sprowadzała się do tego, że nie widując jej, nie mogłem jej nadal kochać, siebie zaś kochać nie przestałem, albowiem moje codzienne związki z samym sobą, inaczej niż tamte, które łączyły mnie z Albertyną, nie zostały zerwane. Lecz gdyby tak się stało? Z pewnością zapomniałbym o własnym ciele, o sobie samym. Całe nasze umiłowanie życia to nic innego, jak tylko trwający od dawna związek, z którego nie potrafimy się wyswobodzić. Czas dodaje mu mocy. Dopiero śmierć, która gwałtownie go rozerwie, uleczy nas z pragnienia nieśmiertelności.<sup>23</sup>

Po śniadaniu, o ile nie wybierałem się na samotną włóczęgę po Wenecji, musiałem wstąpić na górę, żeby się ubrać na wspólny spacer z matką i wziąć zeszyty z notatkami do mojego eseju o Ruskinie.<sup>24</sup> Poddawałem się wrażeniu, że mury budynku pod brutalnymi ciosami fal wciągnęły do środka swoje narożniki; dawało to odczuć ograniczenia podyktowane przez morze i przypominało, jak skąpe są tu zasoby stałego gruntu. Schodziłem do matki, która już na mnie czekała. Była to ta sama pora, kiedy w Combray można się było napawać jaskrawością słonecznego światła i mrocznym chłodem, w który zamknięte okiennice nie dawały wtargnąć promieniom. Tutaj zaś, na całej długości pysznych marmurowych schodów — po których wyglądzie, jak to bywa na renesansowych obrazach, nie sposób byłoby poznać, czy wznoszą się w pałacowych wnętrzach, czy może w środku wielkiej galery — odczuwało się świeżość bryzy. Blask przenikał z zewnątrz przez płócienną markizę, łopocącą nad wiecznie otwartymi oknami, przez które płynął ciągły prąd powietrza i sączył się łagodny cień; zielonkawe światło igrało jasnymi plamami na gładkich powierzchniach, imitując lśnienie, płynność i migotliwą zmienność fali. Wybierałem się najczęściej do Św. Marka, z tym większą przyjemnością, że aby tam dotrzeć, trzeba było wziąć gondolę. A sam kościół stawał się dla mnie czymś więcej niż budowlą: widocznym z daleka celem podróży, do którego zmierzałem przez morskie fale w wiosenny poranek; toteż Św. Marek był dla mnie wszystkim tym naraz, niepodzielną i żywą całością. Wchodziłem z matką do baptysterium, stąpaliśmy po marmurowych i szklanych mozaikach posadzki, mając przed oczyma szerokie łuki arkad, których bocznym krawędziom upływ czasu z lekka zaokrąglił kształty, a że uszanował przy tym świeżość różowego kolorytu, nadal wnętrzu w tych partiach nastrój grotty wyrzeźbionej w materii miękkiej i plastycznej niby wosk z jakiegoś przeogromnego plastra. Tam zaś, gdzie twardość substancji ścian, zeskorpowały pod działaniem czasu, podkreśliły ornamenty namalowane złotem przez artystów, wnętrzu kościoła wydawało się drogocennym futerałem z kordobańskiej skóry, kryjącym w sobie monumentalną ewangelię Wenecji. Widząc, że zatrzymałem się na dłużej przed mozaiką przedstawiającą chrzest Chrystusa, matka zarzucała mi swój szal na plecy, by mnie osłonić przed chłodem ciągnącym od posadzki baptysterium. Kiedy Albertyna w Balbec mówiła mi o specjalnej przyjemności (w mojej opinii był to czysty wymysł), jaką sprawiłoby jej obejrzenie tego lub innego płótna w moim towarzystwie, sądziłem, że ulega któremuś z tych egzaltowanych wyobrażeń, wypełniających mętne umysły. Dziś jednak wiem już, że podobne radości zdarzają się naprawdę i możemy ich doświadczyć, jeśli nie wtedy, gdy oglądamy dzieło sztuki razem z kimś bliskim, to w każdym razie później, wspominając, żeśmy z nim je widzieli. Dożyłem dnia, kiedy nie jest mi obojętne, że we wspomnieniu mrocznego chłodu baptysterium, fal Jordanu, w których św. Jan zanurza Chrystusa, i gondoli, czekającej w tym czasie przy Piazzetie, stoi obok mnie kobieta spowita w żalobną czerń. W swej żarliwej skromności podobną jest do staruszki z widzianych przez nas w Wenecji obrazów Carpaccia ilustrujących żywot św. Urszuli. Otóż ta kobieta o zaczerwienionych policzkach i smutnych oczach,

<sup>23</sup> O zmierzchu, kiedy wracałem do hotelu (...) uleczy nas z pragnienia nieśmiertelności — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>24</sup> wziąć zeszyty z notatkami do mojego eseju o Ruskinie — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

kryjąc twarz pod czarną woalką, po wieczne czasy zanurzona w łagodnie rozproszonym półmroku sanktuarium Św. Marka, którą odnajdę tam zawsze, ma bowiem swoje stałe miejsce, tak samo jak mozaika pod stopami — ta kobieta to moja matka.

Niewiele brakowało, by pewnego dnia wspomniany tu już Carpaccio, malarz, przy którego obrazach spędzaliśmy najwięcej czasu, gdy nie byłem zajęty u Św. Marka, przywrócił we mnie do życia miłość do Albertyny. Zobaczyłem po raz pierwszy *Ojca di Grando odprawiającego egzorcyzmy nad opętanym*. Patrzyłem na wspaniałą szkarłat i fiolet nieba, w które mierzą wysokie kominy o kształtach rozszerzonych u góry, zwieńczone tulipaną czerwieńią i przywodzące na myśl wiele weneckich pejzaży Whistlera. Potem wzrok mój krążył między dawnym drewnianym Rialto i owym Ponte Vecchio z XV stulecia a marmurowymi pałacami lśniącymi złotem kapiteli, powracał ku Canale Grande, ku barkom prowadzonym przez wyrostków w różowych szatach i czapkach z piórami, którzy do złudzenia przypominali chłopca z zachwycającej *Legendy o Józefie Serta*, Straussa i Kesslera; ten zaś — wydawało się — zszedł na scenę prosto z obrazu Carpaccia. Nim oddaliłem się, moje spojrzenie powróciło ku nabrzeżu, gdzie w scenach rodzajowych kipiało życie codzienne. Przyglądałem się cyrulikowi, wycierającemu brzytwę, Negrowi dźwigającemu beczkę, Saracenom pogrążonym w rozmowie, wielmożom weneckim w obszernych strojach z brokatu lub adamaszku i aksamitnych wiśniowych czapkach, gdy nagle poczułem ukłucie w sercu. Na ramionach jednego z towarzyszy della Calza, których łatwo było rozpoznać po złotych, wyszywanych perłami w emblematy wesołej konfraterni lamówek na rękawach i kołnierzach, ujrzałem nagle płaszcz Albertyny, ten sam, który włożyła, by pojechać ze mną kabrioletem do Wersalu tamtego wieczoru, kiedy nie przeczuwałem jeszcze, że od chwili, gdy miała mnie opuścić, dzieli nas zaledwie kilkanaście godzin. Zawsze gotowa — skoro tylko zażyczyłem sobie jechać, narzuciła na ramiona płaszcz od Fortuny'ego w ten smutny dzień, o którym potem napisała w swym ostatnim liście, że nie zapomni „zmierzchu, mrocznego podwójnie, bo wraz z nocą nadciągało nasze rozstanie”. Wyjeżdżając nazajutrz; musiała go ze sobą zabrać, nigdy bowiem nie widziałem tego płaszcza wśród pamiątek, jakie mi po niej zostały. Otóż to właśnie na obrazie Carpaccia utalentowany syn Wenecji zobaczył ten płaszcz, i zdjawszy go z ramion towarzysza della Calza, oddał paryżankom, które z pewnością nie wiedziały, tak jak ja sam nie wiedziałem aż do tamtej chwili, że wzór znajduje się w jednej z sal weneckiej Akademii Sztuki, w grupie patrycjuszki na pierwszym planie *Ojca di Grando*. Widok zapomnianego już płaszcza wrócił mi spojrzenie i stan ducha mężczyzny, którym byłem w tamten wieczór, kiedy jechałem z Albertyną do Wersalu. Przez kilka chwil targały mną najgwałtowniejsze porywy tęsknoty i rozpacz, lecz i one ucichły wkrótce, nie pozostawiając śladu.

Czasem nie dość nam było kościołów Wenecji; pewnego wyjątkowo pięknego dnia wyprawilem się z matką aż do Padwy<sup>25</sup>,<sup>26</sup> gdzie znajdowały się owe *Cnoty i Grzechy*, których reprodukcje, zapewne wciąż jeszcze wiszące w moim pokoju do nauki w Combray<sup>27</sup>, podarował mi kiedyś pan Swann; przemierzwszy zalany słońcem ogród Areny, znalazłem się w kaplicy słynącej z fresków Giotto, o tłach i sklepieniach tak niebieskich, jakby ten promiennie piękny dzień w ślad za mną przestąpił próg, by w cieniu i chłodzie złożyć na chwilę najczystszy błękit swego nieba, prawie nie pociemniały, choć pozbawiony słonecznej poźloty; taki bywa przez mgnienie oka w najpiękniejszą pogodę, gdy nie widać nigdzie żadnej chmurki i wydaje się, że to tylko słońce przelotnie zwróciło spojrzenie w inną stronę, a kojąca jak przedtem głębia lazuru pociemniała zaledwie o ton. W niebiosach rozpostartych na murze przesyconym błękitem unosiły się anioły, które widziałem po raz pierwszy, pan Swann podarował mi bowiem w reprodukcjach tylko *Cnoty i Grzechy*, nie znałem więc fresków przedstawiających historię Marii Panny i Chrystusa. Otóż ów lot aniołów miał w sobie coś z czynności powszednich, praktycznych i bardzo zwyczajnych, coś, co odnajdywałem również w gestach innych postaci, na przykład Miłosierdzia

<sup>25</sup> Czasem nie dość nam było kościołów Wenecji; pewnego wyjątkowo pięknego dnia wyprawilem się z matką aż do Padwy — w wydaniu Grasseta słowa „W przeddzień wyjazdu” zastąpiły tekst od *Czasem nie dość do aż do Padwy*. [przypis tłumacza]

<sup>26</sup> Wybierałem się najczęściej do Św. Marka (...) aż do Padwy — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>27</sup> zapewne wciąż jeszcze wiszące w moim pokoju do nauki w Combray — fragment skreślony. [przypis tłumacza]



albo Zawiści. Składając drobne dłonie<sup>28</sup> z wyrazem nieziemskiego lub przynajmniej dziecięcego zachwytu na obliczach, anioły z fresków Giotta wlatywały lekkie niby ptactwo szczególnego rodzaju, które — miałem wrażenie — żyło kiedyś naprawdę i powinno figurować w historii naturalnej czasów Starego i Nowego Testamentu<sup>29</sup>, zwykle bowiem towarzyszyć świętym, frunąc przed nimi, kiedy się przechadzali. Wśród tych stworzeń zawsze musiało się znaleźć kilka szczególnie zwrotnych, a ponieważ obdarzone były najprawdziwszą zdolnością lotu, widać było, jak się wznoszą wysoko i z wielką wprawą kreślą na niebie pętle, wykonują brawurowe loopingi, pikują głową w dół i z łopotem skrzydeł zatrzymują się tuż nad ziemią w pełnym rozpędzie, przecząc prawu ciężenia; istotnie mogły przypominać raczej jakiś nieznaną gatunek zoologiczny, albo też młodych elewów Foncka, ćwiczących lot ślizgowy, niż anioły malarstwa renesansu i epok późniejszych, noszące skrzydła jedynie jako umowny znak, a w swych pozach niczym się nie różniące od pozostałych, bezskrzydłych istot niebiańskich.

Po powrocie do hotelu natykałem się na młode kobiety, przeważnie Austriaczki, przybyłe do Wenecji, by w niej spędzić pierwsze piękne dni tutejszej wiosny, obywatelki się bez kwiatów. Podobała mi się zwłaszcza jedna z nich, która z pozoru nie przypominała wcale Albertyny, ja jednak rozpoznałem znajomą świeżość cery i lekkość roześmianego spojrzenia. Wkrótce spostrzegłem się, że przemawiam do niej tym samym językiem, co do Albertyny na początku znajomości, i że ukrywam przed nią ten sam co niegdyś ból, gdy mówiła mi, że nazajutrz się nie spotkamy, bo jedzie do Werony, a we mnie budziło się gwałtowne pragnienie, by jechać tam za nią. To trwało niedługo, wkrótce miała wracać do Austrii, wiedziałem, że więcej jej nie zobaczę, lecz mimo to ogarniało mnie coś w rodzaju zazdrości, jak zwykle, gdy zaczynamy być zakochani, i przyglądając się jej uroczej i nieprzeniknionej twarzy zadawałem sobie pytanie, czy ona także lubi kobiety i czy to, co miała w sobie z Albertyny — owa jasność cery i spojrzenia, ów wyraz pełnej wdzięku prostoty, którą podbijała wszystkie serca — było raczej oznaką niechęci do ferowania ocen, do wnikania w sprawy innych ludzi, których poczynania pozostawiały ją obojętną, niż szczerości co do własnych zamiarów, wprost przeciwnie, ukrywanych, i to za pomocą najbardziej dzieciennych kłamstw — czy wszystko to nie składało się na zewnętrzną charakterystykę kobiet, które lubią kobiety? Czyż nie to właśnie mnie w niej pociągało, czyż nie to stanowiło dla mnie o jej uroku, któremu ulegałem bezwiednie, i budziło we mnie niepokoje (oto być może głębsza przyczyna łatwości, z jaką lgniemy do tych, którzy przysporzą nam cierpień), czy nie stąd płynęła owa rozkosz pomieszana ze smutkiem, która mnie ogarniała na jej widok, zdradliwa niczym niewidoczne dla oka cząstki magnetyczne, obecne w atmosferze pewnych okolic i zdolne przyprawić nas o chorobę? Niestety, nie było mi pisane zaspokoić ciekawości. Gdy próbowałem czytać w jej twarzy, korciło mnie, by powiedzieć: „Powinna mi pani wszystko wyznać, jestem tym zainteresowany ze względu na moje dociekania z dziedziny historii naturalnej”, lecz ona i tak za nic nie udzieliłaby odpowiedzi. Zdawała się żywić szczególną odrazę do wszystkiego, co kojarzyło się z tym zboczeniem, a do swych koleżanek odnosiła się z chłodną powściągliwością. Samo w sobie mogło to już wskazywać, że chce coś ukryć — albo że ktoś ją kiedyś wyśmiał i poniżył z podobnego powodu, i że ten sposób bycia przybrała naumyślnie, by nie narażać się więcej na przykrości — na tej samej zasadzie nieufność zwierzęcia wobec ludzi może świadczyć o tym, że było przez nich bite. Wiedza o jej życiu była mi niedostępna: ileż czasu musiało upłynąć, nim dowiedziałem się czegoś o Albertynie! Trzeba było dopiero jej śmierci, by rozwiązały się języki, tak wielką przezorność

<sup>28</sup>które widziałem po raz pierwszy (...) Składając drobne dłonie — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>29</sup>W niebiosach rozpostartych na murze przesyconym błękitem (...) Starego i Nowego Testamentu — fragment od słów *W niebiosach* jest syntezą tekstu z wydań Grasseta i Gallimarda. Proust przeredagował go i skrócił. W wydaniu Gallimarda brzmiał on tak: „W niebiosach rozpostartych na murze przesyconym błękitem unosiły się anioły, które widziałem po raz pierwszy, pan Swann podarował mi bowiem tylko reprodukcje *Choty* i *Grzechy*, nie znalazłem więc fresków przedstawiających historię Marii Panny i Chrystusa. Otóż ów lot aniołów miał w sobie coś z czynności codziennych, praktycznych i bardzo zwyczajnych, coś, co odnajdywałem również w gestach innych postaci, na przykład Miłosierdzia albo Zawiści. Anioły z fresków Giotta składały drobne dłonie w nieziemskim natchnieniu albo przynajmniej w przyplwywie dziecięcego zapału i pilności, lecz jako ptactwo szczególnego rodzaju, który kiedyś istniał rzeczywiście, powinny figurować w historii naturalnej czasów Starego i Nowego Testamentu. To właśnie one zwykły towarzyszyć świętym, płynąc przed nimi (...)”. [przypis tłumacza]

zachowywała w swych poczynaniach, a przecież ta młoda kobieta była do niej podobna! I czy w końcu naprawdę dowiedziałem się o Albertynie czegokolwiek pewnego? Poza tym osiągnięte w życiu upragnione możliwości okazują się nieprzydatne, jeśli przeminęła miłość do kogoś, dla kogo, świadomie lub nie, podjęliśmy wysiłki, by polepszyć własną sytuację, być bliżej i bardziej się podobać. Tak samo przemijają różne fascynacje naszego umysłu. Zadawałem sobie pytania o rodzaj pragnień, wywołujących rumieniec na tych policzkach delikatnych niczym płatki kwiatu, pragnień, których nie ujawniało spojrzenie jasne bezśloneczną jasnością przedświt, pamiętające dni, o których ona nic mi nie powie. Ale moje pytania traciły znaczenie z chwilą, gdy opuszczała mnie miłość do Albertyny, gdy przestawałem kochać nieznajomą.<sup>30</sup>

Wieczorami wyruszałem samotnie w samo serce zakłętego miasta, by błądzić po jego ulicach niczym postać z *Tysiąca i jednej nocy*. Rzadko się zdarzało, bym podczas tych wypraw nie odkrył na przykład jakiegoś dużego placu, o którym milczały wszystkie bedekery i nie wspominał żaden podróżnik.

Czułem się wplątywany w ciasną sieć wąskich uliczek i kanałów. Gąszcz kominów rozszerzających się w górnej części, którą za dnia słońce powleka najżywszymi odcieniami czerwieni i różu, był jak kwitnący ogród rozpostarty wysoko, ponad miejskimi dachami, i należący, chciałoby się pomyśleć, do jakiegoś miłośnika tulipanów z Haarlemu albo Delft. A w niewyobrażalnej ciasnocie, w jakiej tłoczyły się te domy, futryna każdego okna zdawała się ramą obrazu, przedstawiającego to kucharkę o powłóczystym spojrzeniu, to znów młodą dziewczynę, dającą rozczesywać swe włosy starej wiedźmie, której twarzy skrytej w mroku wnętrza musiałem się po części domyślać.<sup>31</sup> Rozwidlające się we wszystkich kierunkach zaułki i *calli* cięły na wąskie skrawki ten zakątek Wenecji, wciśnięty między kanał a lagunę; na owej misternej siatce niezliczonych delikatnych linii osadzała się w procesie krystalizacji substancja zabudowy. Nagle u wylotu którejs z tych wąskich uliczek dostrzegałem jakby znaczniejsze skupisko krystalicznej materii. Okazało, przepyszne *campo*, którego skali ani położenia nigdy bym nie odgadł wśród płataniny zaułków, rozpościęrało się tuż przed moimi oczyma, w otoczeniu urzekająco pięknych pałaców, zalane bladym światłem księżyca. Był to jeden z kompleksów architektonicznych takiej miary, że w każdym innym mieście wszystkie ulice zbiegałyby się ku niemu, wskazując drogę. Tu jednak wydawał się ukryty naumyślnie w labiryncie zaułków, niczym pałac arabskiego księcia, do którego bohater wschodniej opowieści przybywa nocą śladem przewodnika, potem zaś, za dnia, na próżno szukając zaczarowanej budowli, dochodzi do wniosku, że widział ją tylko we śnie.

Nazajutrz wyruszyłem na poszukiwanie pięknego placu, który ukazał mi się nocą. Przemierzałem *calli* ludzaco podobne do siebie, uparcie odmawiające mi jakichkolwiek wskazówek prócz tych, które miały na celu zbić mnie z tropu do reszty. Wydawało mi się niekiedy, że rozpoznaję mgliście jakiś szczegół, i byłem już pewny, że za chwilę objawi się moim oczom w całej swej pustce, samotności i ciszy ten zmuszony do nieobecności cudowny plac. Lecz w tejże chwili jakiś złośliwy duch obleczony w kształt zaułka, którego się nie spodziewałem, w który skręciłem z konieczności, wywiódł mnie z powrotem nad Canale Grande. A że wspomnienie wyniesione ze snu niczym się nie różni od innych wspomnień, zaczynałem zadawać sobie pytanie, czy to czasem nie w moim śnie wykrytalizował przez jakiś dziwne zawirowanie ten ciemny fragment Wenecji, otwierający przede mną przestrzeń placu otoczonego romantycznymi pałacami, jakby stworzoną do kontemplacji w świetle księżyca.

Ale bardziej niż utrata pięknego placu zmartwiłaby mnie konieczność wyrzeczenia się sposobności do spotkania z pewną kobietą. Przez cały czas mojego pobytu w Wenecji obawa przed zaprzepaszczeniem tej szansy utrzymywała mnie w gorączkowym napięciu, rosnącym stale aż po dzień, na który moja matka wyznaczyła wyjazd; pod wieczór, gdy nasze kufry zostały już wyprawione gondolą na stację, przeczytałem w spisie cudzoziemców oczekiwanych w hotelu: „Baronowa Putbus ze służbą”. Wyobrażenie długich godzin rozkoszy, której miał mnie pozbawić nasz wyjazd, nadało mojej chronicznie utrzymującej

<sup>30</sup>Po powrocie do hotelu natykałem się na młode kobiety (...) przestawałem kochać nieznajomą — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>31</sup>Gąszcz kominów (...) musiałem się po części domyślać — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

się żądy wzniosłość najświętszych uczuć, te zaś od razu pochłonęła wysoka fala smutku.<sup>32</sup> Gdy w dniu wyjazdu dowiedziałem się, że pani Putbus, a z nią także jej pokojówka, mają przybyć do Wenecji<sup>33</sup>, poprosiłem matkę, by zgodziła się opóźnić nasz powrót o kilka dni. Wyraz jej twarzy, świadczący o tym, że nie miała zamiaru wysłuchać mojej prośby, ani przez chwilę nie biorąc jej na serio, wprowił mój system nerwowy, podrażniony wiosną wenecką, w znany mi sprzed lat stan zacieklego oporu przeciwko zmowie, zawiązanej, jak sobie niegdyś roiłem, przez rodziców (w nadziei że zdołają mnie tym sposobem wdroyć do posłuszeństwa) — i gotów byłem do bezlitosnej walki, by narzucić swą wolę tym, których kochałem, choćbym miał nawet, wymusiwszy przedtem ustępstwa z ich strony, skapitulować. Oznajmiłem matce, że z nią nie pojedę, ona jednak, sądząc, że zrzęcznie będzie zignorować moje słowa, pozostawiła je bez odpowiedzi. Zagroziłem jej, że jeszcze się przekona, czy nie należało słów moich potraktować poważniej. Podszedł do nas portier, by podać trzy listy, dwa dla niej, trzeci dla mnie. Włożyłem list do portfela między inne papiery, nie patrząc nawet na kopertę. Nadeszła godzina odjazdu i matka, zabierając moje rzeczy, wyruszyła na dworzec. Ja tymczasem kazałem sobie podać coś na tarasie nad kanałem i usiadłem tak, by patrzeć na zachód słońca; na łódce przycumowanej naprzeciw hotelu ktoś śpiewał *Sole mio*.<sup>34</sup>

Słońce jeszcze nie zaszło. Matka zapewne zbliżała się do dworca. Za chwilę miała odjechać, a ja zostawałem w Wenecji, sam ze swym smutkiem, że ją skrzywdziłem, pozbawiony jej niosącej ukojenie bliskości. Od godziny odjazdu pociągu dzieliły nas minuty. Moja nieodwołalna samotność była o krok, a mnie się wydawało, że trwa już w całej pełni.

Poczułem się opuszczony. Wszystko wokół nagle wydało mi się obce. Oto rozpościerała się już przede mną inna Wenecja, ta, w której miałem żyć bez matki. Nie tylko matki w niej zabrakło, ale nawet ze mnie samego niewiele pozostało, nie miałem bowiem w sobie dość spokoju, by oderwać się od bicia własnego serca i poszukać oparcia w tym, co zewnętrzne. Co więcej, to już nawet wcale nie była Wenecja.<sup>35</sup> Wydawałoby się, że to z mojego tchnienia zrodził się duch ożywiający przedtem kamienie pałaców i wody kanałów.<sup>36</sup> Cudowność tego miasta wydawała mi się już tylko fałszem i zmyśleniem, i nie miałem chęci dalej wmawiać sobie, że jego nazwa należy do murów, które miałem przed sobą. Pałace zostały w moich oczach zredukowane do materiałów, z których je wzniesiono, do zbliżonych ilości podobnego marmuru, a woda stała się oto jedynie związkiem wodoru i tlenu, substancją niezniszczalną, ślepą, starszą od Wenecji i do niej nie należącą, nie znającą dożów ani Turnera. Owo bezimienne miejsce było mi obce jak miasto, do którego właśnie przybywamy i które jeszcze nas nie zna, albo jak tamto, z którego wyjechaliśmy i które o nas zapomniało. Nie mógłbym mu o sobie powiedzieć nic więcej, nie znajdowałem w nim żadnego oparcia, przyprawiało mnie o dreszcz trwogi, cały byłem już tylko bijącym sercem i napiętą uwagą, śledzącą wzlot i opadanie linii melodycznej *Sole mio*. Choćbym w największej desperacji czepiał się wzrokiem słynnego i pięknego łuku Rialta, z trywialną oczywistością widziałem w nim po prostu most, nie dość, że nie dorównujący oczekiwaniom, to obcy im z gruntu, jak twarz aktora, o którym wiem to na pewno, że mimo czarnego stroju i peruki blond, w rzeczywistości wcale nie jest Hamletem. Tak oto pałace, kanał i Rialto odarte zostały z wyobrażeń, którym zawdzięczały swą niezwykłość, i rozłożyły się z powrotem na elementy materialne. Ale teraz całe to pierwsze lepsze miasto wydawało mi się zarazem niezmiernie odległe. Pod działaniem czynnika obiektywnego, jakim jest oddalenie, basen Arsenалу zyskiwał szczególne właściwości rzeczy na pozór swojskich, lecz w istocie do cna obcych, zadowolonych pod

<sup>32</sup> *Ale bardziej niż utrata (...) fala smutku* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>33</sup> *Gdy w dniu wyjazdu dowiedziałem się, że pani Putbus, a z nią także jej pokojówka, mają przybyć do Wenecji* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>34</sup> *Podszedł do nas portier (...) ktoś śpiewał Sole mio* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>35</sup> *Wszystko wokół nagle wydało mi się obce (...) Co więcej, to już nawet wcale nie była Wenecja* — Proust skreślił fragment następujący tu po zdaniu: „Poczułem się opuszczony”. Należał on do akapitu zaczynającego się od słów: „Matka z pewnością była już na dworcu”. Zawierał powtórzenie myśli wyrażonej wcześniej, w tym właśnie miejscu. Skreślonym fragmentem, lepiej napisanym i efektowniejszym, zastąpiono następujący tekst: „Nie miałem w sobie dość spokoju, by oderwać się od bicia własnego serca i poszukać równowagi w otoczeniu. Miasto, które się przede mną rozpościerało, nie było już Wenecją”. [przypis tłumacza]

<sup>36</sup> *Oto rozpościerała się już przede mną inna Wenecja (...) kamienie pałaców i wody kanałów* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

nie naszym niebem. Przeczuwałem, że przestrzeń, dzielącą mnie od tego niezbyt dalekiego miejsca na horyzoncie, gdzie mógłbym bez trudu dotrzeć w ciągu godziny, powinno się mierzyć inną miarą niż nad wodami Francji, a jeśli punkt leżący na końcu świata okazuje się zakotwiczony tuż obok, to tylko za sprawą iluzji, będącej efektem podróży i pozwalającej mi wyraźniej sobie uświadomić, że w rzeczywistości jestem stąd bardzo daleko. Toteż basen Arsenалу, odległy a zarazem nieważny, budził we mnie te same pomieszane uczucia odrazy i lęku, jakich doznałem w dzieciństwie, towarzysząc matce do kąpieliska Deligny; ujrzałem tam zdumiewający pejzaż, wypełniony ciemną wodą, nad którą nie wznosiło się niebo i nie świeciło słońce, tylko wokół ciągnęły się kabiny kąpielowe, mające, jak się wydawało, tajemne połączenia z przepastną głębią; mrowiły się nad tą wodą ludzkie ciała obleczone w kąpielowe stroje<sup>37</sup>, ja zaś zadawałem sobie pytanie o owe głębie, których patrząc od strony ulicy, niepodobna było odgadnąć, zasłaniały je bowiem przed wzrokiem zwykłych śmiertelników zabudowania — czy nie z nich brały początek lodowate morza rozlewające się aż po bieguny albo czy ta zamknięta przestrzeń sama nie była po prostu biegunem, wolnym od lodów skrawkiem polarnego oceanu; ta nierzeczywista, chłodna i obojętna Wenecja, w której miałem żyć sam, wyglądała nie mniej dziwnie i obco. A wznosząca się nad nią coraz wyżej linia melodii *Sole mio* zdawała się tę utraconą Wenecję, którą znałem, oplakiwać, biorąc na świadka mój smutek. Bez wątpienia nie należało już dłużej słuchać tej pieśni, jeśli miałem zdążyć na pociąg i wrócić z matką do domu. Trzeba mi było bez chwili zwłoki coś przedsięwziąć. Lecz tego właśnie nie mogłem uczynić. Ogarnięty bezwładem, nie byłem zdolny nie tylko wstać, ale nawet postanowić, że wstanę.

Mój umysł, z pewnością po to tylko, by nie stanąć oko w oko z koniecznością działania, Ignął do kolejnych zwrotek *Sole mio*, niemo towarzysząc śpiewakowi w rozwijającej się frazie, której porywy znałem zawczasu, gotów wlatywać wraz z nimi i z nimi opadać.

Nie poruszała moich uczuć ta banalna melodia, słyszana setki razy. Jeśli wysłuchałem jej w nabożnym skupieniu aż do samego końca, to nie dla własnej przyjemności, ani zresztą dla niczyjej. Żaden z pospolitych i ogranych do znudzenia motywów tej pieśni nie mógł mi pomóc w podjęciu postanowienia, które podjąć musiałem. Co więcej, każda kolejna zwrotka przeszkadzała mi w podjęciu działania, lub raczej narzucała bezczynność, oznaczającą tyle, że nigdzie nie pojedę, byłem bowiem coraz bardziej spóźniony. Toteż w tym samym czasie, gdy pozwoliłem, by owładnęła mną słuchana bez przyjemności pieśń *Sole mio*, pogrążałem się w beznadziejnej i coraz głębszej rozpacz. Rozumiałem, że jeśli nie ruszę się z miejsca, to także będzie oznaczało decyzję — że nie wyjadę. Ale nie umiałbym powiedzieć sobie po prostu: „Nie wyjadę”, stawało się to możliwe dopiero pod warunkiem użycia zastępczej formy: „Posłucham jeszcze jednej zwrotki *Sole mio*”. Te słowa łatwiej mogły mi przejść przez gardło, choć nie bez bólu.<sup>38</sup> Nie umykał mi ich prawdziwy sens, i nawet powtarzając sobie: „Przecież na razie tylko słucham kolejnej zwrotki”, wiedziałem, co to znaczy: „Zostanę sam w Wenecji”. Być może właśnie w dławiącym, zimnym tchnieniu owego smutku zawierał się dla mnie cały urok pieśni, rozpaczliwy i oszalamiający. Każda nuta, którą śpiewak wyrzucał w przestrzeń z dumą i mocą atlety, raniła moje serce. A kiedy kolejna zwrotka umilkła, zatoczywszy koło, i wydawało się, że to już koniec, niestrudzony rozpoczął następną, jakby chciał jeszcze raz obwieścić światu bezmiar mojej rozpacz i osamotnienia. Kiedy moja uwaga w jakimś bezrozumnym odruchu grzeczności wzbraniała się oderwać od jego pieśni, powiadałem sobie: „Jeszcze za wcześnie na decyzję; przedtem wysłuchajmy do końca nowej zwrotki”. I nowa zwrotka wtrącała mnie w samotność jeszcze głębszą, wszechogarniającą, za chwilę być może nieodwracalną.<sup>39</sup>

Matka z pewnością była już na dworcu. Za chwilę miała odjechać. Gardło ścisnął mi lęk na widok Canale Grande nagle skarłatego, gdy duch Wenecji go opuścił; na widok osuwającego się w banal Rialta, które Rialtem już nie było; ten krzyk rozpacz, w jaki zamieniła się pieśń *Sole mio*, wznosząc się pośród pałaców na poły już pozbawionych spistości, zdołał dopełnić dzieła zniszczenia i rozpadu; na moich oczach katastrofa z wolna stawała się rzeczywistością — budowaną misternie, nuta po nucie, przez śpiewaka o sza-

<sup>37</sup>obleczone w kąpielowe stroje — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

<sup>38</sup>Te słowa łatwiej mogły mi przejść przez gardło, choć nie bez bólu — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>39</sup>Kiedy moja uwaga (...) za chwilę być może nieodwracalną — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

lonych oczach, utkwionych nieruchomo w tarczy słonecznej, która zawisa nad kopułą San Giorgio Maggiore. To gasnące światło miało na zawsze pozostać w mojej pamięci, razem z drżeniem mojego własnego serca i spiżowym głosem śpiewaka; aliaż przejmujący, wieloznaczny i niezniszczalny.<sup>40</sup>

Siedziałem nieruchomo, bezwolnie, beczynn timer. Z pewnością w takich chwilach nasza decyzja jest już przesądzona, a ci, co nas znają, potrafiliby ją nawet przewidzieć. Tylko my jedni nie wiemy, gdzie jej szukać. Ileż cierpień zostałoby nam oszczędzonych, gdyby rzecz się miała inaczej!

Lecz niezbadane czeluści, ciemniejsze od tych, w których bierze początek przewidywalna trajektoria komety — kryjące w sobie nieoceniony obronny potencjał zadawnionych nawyków, ukryte rezerwy sił, rzucanych na szalę tylko w ostateczności — nareszcie wyłoniły z siebie ruch; zerwałem się do biegu co sił w nogach i zdążyłem, co prawda zamykano już drzwi wagonów, ale przypadłem do matki, czerwonej ze zdenerwowania, z ledwością powstrzymującej łzy, bo nie liczyła na to, że ją dogonię.

— Wiesz — powiedziała — twoja biedna babka mawiała: To osobliwe, jak ten mały potrafi być i najnieznośniejszy, i najmiłszy w świecie.<sup>41</sup>

Pociąg ruszył. Padwa i Werona wybiegły mu na spotkanie, by nas pozdrowić tuż przy dworcu i pozostać w tyle, żyjąc dalej własnym życiem, pierwsza nie miała bowiem powodu opuszczać swojej równiny, a druga swego wzgórza.<sup>42</sup>

Mijały godziny. Matka nie śpieszyła się z przeczytaniem dwóch listów, bym i ja nie sięgnął tak od razu do portfela po list, wręczony mi przez portiera w hotelu. Jak zwykle obawiała się, że jazda pociągiem znudzi mnie i zmęczy, żeby więc zająć mnie czymś w ostatnich godzinach podróży, odkładała najdłużej jak mogła moment rozpakowania jasek na twardo, zwlekała z wręczeniem mi gazet, z otwarciem paczki książek, kupionych w tajemnicy, by zrobić mi niespodziankę. Przyglądałem się jej; najpierw przeczytała list z widocznym zdumieniem, a potem podniosła wzrok, zdający się błędzić wśród rozproszonych wspomnień, ani trochę nie pasujących jedno do drugiego. Tymczasem na mojej kopercie rozpoznałem pismo Gilberty. Otworzyłem list. Gilberta donosiła mi o swoim bliskim ślubie z Robertem de Saint-Loup. Ponoć depešowała już na mój adres w Wenecji, lecz nie dostała odpowiedzi. Przypomniałem sobie, co mi mówiono o bałaganie panującym w tamtejszym urzędzie telegraficznym. Nie dostałem od niej żadnej wiadomości, w co — obawiałem się — ona nie uwierzy. Lecz z nagła ów fakt niedoręczenia depešy, zajmujący dotąd stosowne miejsce w mojej pamięci, nagle je opuścił, ustępując pola zupełnie innemu faktowi. Otóż sądziłem, że wiadomy telegram przysłała mi Albertyna, podczas gdy w rzeczywistości była to depeša od Gilberty. Siłą się na oryginalność, poprzeczną kreskę litery „t” Gilberta stawiała tak wysoko, jakby chciała podkreślić, jakieś słowo z górnego wiersza, a kropki nad „i” zdawały się rozdzielać przecinkami słowa, pod którymi przypadkiem się znalazły; za to ozdobne ogonki liter wplątywały się w słowa dolnego wiersza i zakłócały jego porządek. Nic dziwnego, że telegrafista włączył zbłąkane ogonki liter „s” i „y” do imienia „Gilberta”, dodając mu mylącą końcówkę. Kropka nad „i” wskoczyła, piętro wyżej, by tam udawać przecinek. „G” przybrało zaś wygląd gotyckiego „A”. Jeśli poza tym jeszcze ze dwa lub trzy wyrazy się ze sobą pomieszały (w istocie było tam kilka całkiem niezrozumiałych słów), to już wystarcza, by wyjaśnić pomyłkę, która i bez tego wcale nie dziwi. Ileż bowiem liter każdego słowa przeczyta uważnie człowiek roztargniony, a zwłaszcza człowiek uprzedzony, któremu się wydaje, że wie, kto jest autorem listu? Ile przeczyta słów w zdaniu? Czytając, zgadujemy i sami tworzymy znaczenia. Punktem wyjścia może być początkowy błędny domysł, a potem (co dotyczy nie tylko listów i telegramów, lecz wszelkich lektur w ogóle), nawet jeśli treść wydałaby się dziwaczna komuś, kto nie zna przyświecającego nam założenia, dla nas wszystko jest jasne. Lwia część naszych przekonań, nie wyłączając tych najważniejszych, tu właśnie bierze po-

<sup>40</sup> *Gardło ścisłał mi lęk (...) wieloznaczny i niezniszczalny* — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

<sup>41</sup> *Wiesz, powiedziała, twoja biedna babka mawiała: To osobliwe, jak ten mały potrafi być i najnieznośniejszy, i najmiłszy w świecie* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>42</sup> *Pociąg ruszył. Padwa i Werona wybiegły mu na spotkanie, by nas pozdrowić tuż przy dworcu i pozostać w tyle, żyjąc dalej własnym życiem, pierwsza nie miała bowiem powodu opuszczać swojej równiny, a druga swego wzgórza* — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

czątek: w uporze pomieszonym z ufnością, kiedy już pierwsze domniemanie wprowadziło nas w błąd.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

— Rzecz niebywała! — odezwała się matka. — Wiesz co? W moim wieku człowiek niczemu się już nie dziwi, ale wierz mi, że wszystkiego prędzej bym się spodziewała niż wiadomości, którą znajduję w tym liście.

— Poczekaj! — odparłem. — Nie wiem, co to za wiadomość, ale nie może być bardziej niesłychana od tego, czego się właśnie dowiedziałem. Szykuje się ślub. Robert de Saint-Loup żeni się z Gilbertą Swann.

— Och! — westchnęła matka. — O tym zapewne przeczytam w drugim liście, którego jeszcze nie otworzyłam. Poznaję pismo twojego przyjaciela na kopercie — i matka uśmiechnęła się do mnie z lekkim wzruszeniem, jakie od czasu śmierci babki budziło w niej każde zdarzenie, choćby najbardziej znikomej wagi, lecz znaczące dla którejś z istot ludzkich zdolnych do smutku, mających także swoje wspomnienia i swoich zmarłych. I uśmiechając się do mnie, mówiła dalej głosem tak łagodnym, jakby się obawiała zgrzeszyć brakiem powagi, nieposzanowaniem uczuć córki Swanna i wdowy po nim, zwłaszcza zaś melancholii, jaką w matce Roberta musiało budzić nieuniknione rozstanie z synem. Z dobroci serca i wdzięczności za okazywaną mi przez nich sympatię, gotowa była przypisać im swoje własne uczucia córki, żony i matki.

— Czy nie miałem racji, że trudno o coś bardziej niesłychanego? — spytałem.

— No cóż — odpowiedziała — to moja wiadomość jest bardziej zdumiewająca, nie powiem „ze wszystkich największa i najmniejsza”, bo te określenia, które cytuję teraz kto żyw, drażniłyby twoją babkę nie mniej niż zdanie: „Ileż uroku ma w sobie przetrząsanie siana”. Nie godzi się podnosić z ziemi tych cytatów z pani de Sévigné, które już przejął tłum. Dostałam w liście wiadomość o małżeństwie małego Cambremera.

— Tak? — zapytałem obojętnie. — Z kimże to? Zresztą wystarczy już nazwisko pana młodego, by odjąć twojej wiadomości posmak sensacji.

— Chyba że wywoła ją osoba panny młodej.

— Kto taki?

— Jeśli ci powiem od razu, nie będzie zagadki. Do dzieła, pomyśl — powiedziała matka, miała to bowiem na uwadze, żeśmy jeszcze nie minęli Turynu; inne rozrywki chciała mi zostawić na później.

— Ale jakże mam na to wpaść? Czy to jakaś olśniewająca partia? Jeśli Legrandin i jego siostra są zadowoleni, można być tego pewnym.

— Co do Legrandina, nic nie wiem, ale osoba, która mi o tym pisze, zapewnia, że pani de Cambremer jest zachwycona. Wątpię, czy nazwałbyś tę partię olśniewającą. Mnie się to raczej kojarzy z opowieściami o królach, biorących za żony pasterki, a w dodatku ona nie jest nawet pasterką, choć urocza. Twoja babka nie posiadałaby się ze zdumienia, ale raczej pochwalałaby ten związek.

— Któż więc jest narzeczoną?

— Panna d'Oloron.

— To mi wygląda na rzecz niebagatelną, wcale nie w guście pasterskim. Ale nie mam pojęcia, kto to taki. Tytuł należał do Guermantów.

— Otóż to. Pan de Charlus przekazał go siostrzenicy Jupiena, kiedy ją adoptował. To ona ma poślubić małego Cambremera.

— Siostrzenica Jupiena! Nie do wiary!

— Oto cnota nagrodzona. Małżeństwo jakby z zakończenia powieści pani Sand.

„Oto nagrodzony występki, małżeństwo jak z zakończenia powieści Balzaka” — pomyślałem.

— W istocie — zwróciłem się do matki — gdyby się nad tym zastanowić, rzecz jest całkiem zwyczajna. Cambremerom uda się teraz dostać wreszcie do klanu Guermantów, do towarzystwa, w którym dotąd nie mieli żadnej szansy się zahaczyć. W dodatku ta mała, dzięki hojności pana de Charlus, będzie miała pieniądze, co jest dla Cambremerów sprawą dużej wagi, bo oni ich już nie mają. A będąc adoptowaną córką, w ich oczach stała się córką najprawdziwszą — naturalną, jak to się mówi — człowieka, którego szanują

jako księcia krwi. Małżeństwo z bękartem któregoś z tych domów niemalże królewskich od niepamiętnych czasów schlebiali próżności szlachty francuskiej i cudzoziemskiej. Nie trzeba nawet sięgać do sprawy Lucinge'ów, pamiętasz, nie dalej jak pół roku temu pewien przyjaciel Roberta poślubił młodą pannę, która swą pozycję towarzyską zawdzięczała wyłącznie temu, że — słusznie lub niesłusznie — uchodziła za naturalną córkę panującego księcia.

Mama, niewolna od kastowych przesądów Combray, pod wpływem których szokowałyby babkę takie małżeństwo, usiłowała przede wszystkim oddać sprawiedliwość jej wnikliwym sądom, dodała więc:

— Ta mała jest zresztą wcieleniem ideału, i nie trzeba nawet niezmiernej dobroci twojej babki, jej nieskończonej życzliwości, by zdobyć się na wyrozumiałość wobec młodego Cambremera. Pamiętasz pewnie, ile mówiła babka o jej dystynkcji przed laty, owego dnia, kiedy wstąpiła tam, żeby jej zaszyli spódnicę? Wtedy to było jeszcze dziecko. A teraz, choć osiągnęła już swoje lata i dawno powinna by pójść za mąż, ma w sobie tej dystynkcji jeszcze sto razy więcej. Ale twoja babka widziała to już na pierwszy rzut oka. Po powrocie stwierdziła, że w małej siostrzenicy krawca znalazła więcej „szlachectwa” niż u księcia de Guermantes.

Ale moja matka jeszcze bardziej niż pochwalić babkę potrzebowała dać wyraz przekonaniu, że jest „lepiej” dla babki nie patrzeć już na to wszystko. Jej miłość osiągała swą najwyższą, najbardziej wysublimowaną postać w tym odruchu serca, pragnącego oszczędzić babce nowych zgryzot.

— Z drugiej strony, pomyśl tylko, czy Swann ojciec (prawda, ty go nie znałeś) mógł choć przez chwilę pomyśleć, że w żyłach jego prawnuków krew starej Moserowej, co mówiła „Czen dobry panów”, pomiesza się z błękitną krwią Gwizjuszy?

— Mamo, to jest jeszcze dziwniejsze, niż ci się wydaje. Bo Swannowie byli szanowaną rodziną, a ich syn, ożeniwszy się odpowiednio, przy swojej pozycji towarzyskiej mógłby dla córki czy syna znaleźć świetną partię. Ale to wszystko spaliło na panewce, kiedy wziął za żonę kokotę.

— No wiesz, z kokotą to może przesada, ludzkie języki są nieżyczliwe. Ja nigdy w to nie wierzyłam.

— Ależ tak, zwykłą kokotę. Kiedyś, przy okazji, powiem ci więcej... Znam parę szczegółów, które zainteresują cię ze względów rodzinnych.

Moja matka ciągnęła w zadumie:

— Córka kobiety, której twój ojciec za nic nie pozwoliłby mi się ukłonić, bierze ślub z wnukiem pani de Villeparisis, zdaniem twojego ojca stojącej od nas o tyle wyżej, że z początku zabraniał mi ją odwiedzać. — I dorzuciła po chwili: — Syn pani de Cambremer, której Legrandin obawiał się nas polecić, sądząc, że będziemy dla niej za mało szykowni, żeni się z córką człowieka, który nigdy nie ośmieliłby się zapukać do nas inaczej jak od kuchni! Mimo wszystko, twoja biedna babka miała rację, kiedy mówiła (pamiętasz?), że to, co wyczynia arystokracja, byłoby nie do przyjęcia wśród przyzwoitych mieszczan. Potępiła królową Marię Amelię za nadszkalowanie kochance księcia de Condé w nadziei, że ta nakłoni go do złożenia zeznań korzystnych dla diuka d'Aumale. Przypomnij sobie, gorszyło ją, że po paru stuleciach dziewczęta z rodu de Gramontów, zresztą istne święte, nosiły imię Koryzanda na pamiątkę nieślubnego związku jakiejś dalekiej prababki z Henrykiem IV. Być może i wśród mieszczaństwa zdarzają się podobne rzeczy, ale na pewno nikt nie trąbi o nich tak bezwstydnie. Powiedz sam, czy ta wiadomość nie byłaby zajmująca dla twojej biednej babki! — mówiła matka ze smutkiem. Przyjemności, z których ku naszej rozpaczycy babka została wykluczona, były drobnymi radościami codziennego życia, takimi jak nowa powieść, przedstawienie lub jeszcze mniej, choćby celna parodia znanej nam postaci. — Wyobrażasz sobie, jak bardzo by się zdziwiła? Ale mam wrażenie, że byłby to dla niej niemiły wstrząs, nie ucieszyłaby się z tych małżeństw. Może i lepiej, że nigdy się o nich nie dowie — dodała, w każdym bowiem wydarzeniu gotowa była dostrzec jakąś szczególną właściwość zdolną wpłynąć na usposobienie mojej babki, z racji jej najzupełniej wyjątkowej wrażliwości, jak i dla jego własnej nadzwyczajnej wagi.

W obliczu każdej godnej pożałowania okoliczności, spadającej na nas jak grom z jasnego nieba — nieszczęścia albo bankructwa wśród naszych starych znajomych, klęski żywiołowej, epidemii, wojny, rewolucji — matka mówiła sobie, że to by zanadto zmar-

twiło moją babkę, może nie byłaby w stanie tego znieść, lepiej więc dla niej, że na to nie patrzy. A kiedy mieliśmy do czynienia z niespodziankami tak szokującymi, jak owe rewelacje matrymonialne, moja matka ulegała odruchom serca podobnym do tych, które w złych ludziach rodzą nadzieję, że męki osób im niemiłych były cięższe niż w rzeczywistości, tyle że w tym wypadku mechanizm działał w sposób odwrotny, z miłości chciała bowiem wierzyć, że ominęły babkę przeżycia przykre i przygnębiające. W jej pojęciu babka była już poza zasięgiem wszelkiego zła, nie mogło jej ono dotknąć, i matka pocieszała się, że śmierć przyniosła babce wybawienie, że los oszczędził odrażającego widowiska nowych czasów tej szlachetnej istocie, niezdolnej się pogodzić z ich brzydotą. Optymizm to sposób myślenia żywiący się przeszłością. Spośród wszystkich możliwych zdarzeń znane są nam jedynie te, które naprawdę miały miejsce, zło, jakie zrodziły, wydaje się nam oczywiste i nieuniknione, za te nieliczne zaś okruchy dobra, których rozwój wypadków siłą rzeczy nie mógł nie przynieść, poczuwamy się do wdzięczności i odnosimy wrażenie, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, owo dobro przepadłoby bezpowrotnie. Usiłując odgadnąć, czym by te nowiny były dla mojej babki, matka zakładała jednocześnie, że nasze umysły, jako mniej szlachetne, nie są w stanie sprostać takiemu zadaniu. „Wyobraź sobie — powiedziała przed chwilą matka — jak bardzo twoja babka byłaby zdziwiona!” I czułem, że boli ją niemożność złożenia osobistego sprawozdania, żałowała, że babka się o tym wszystkim nie dowie. Co w oczach mamy było szczególnie dla babki krzywdzące, to że życie niosło zdarzenia, o których babce nawet się nie śniło, i w ten sposób podważało jej pojęcie o ludziach i świecie, jako zbyt ciasne lub niesłuszne. Małżeństwo siostrzenicy Jupiena z młodym Cambremerem zdolne było naruszyć fundamenty jej wiedzy o życiu w tym samym stopniu, co wiadomość, że rozwiązano problemy jej zdaniem nierozwiązywalne, takie jak telegraf bez drutu i nawigacja powietrzna — o ile matka znalazłaby sposób, żeby ją o tym powiadomić. Można się było jednak słusznie spodziewać, że owo pragnienie dzielenia się z babką zdumiewającymi nowinami o dobrodziejstwach techniki matka za chwilę sama uzna za nazbyt egoistyczne.

Dowiedziałem się później — byłem bowiem w Wenecji, kiedy rozgrywały się wszystkie te wydarzenia — że o rękę panny de Forcheville starali się diuk de Châtellerault i książę de Silistrie, podczas gdy Saint-Loup zamierzał poślubić pannę d'Entragues, córkę księcia Luksemburga. A oto co się stało: pani de Marsantes pomyślała o pannie de Forcheville, mającej sto milionów posagu, że byłaby to doskonała partia dla jej syna. Miała przy tym czelność rozpowiadać, że nic by jej nie obchodziło, czy ta urocza młoda osoba jest bogata czy biedna, nie pytałaby nawet o jej majątek, bo i bez niego rzadkie to szczęście dla młodego człowieka znaleźć taką żonę. Śmiało posunięcie, jak na kobietę, którą skusiło sto milionów i poza nimi nie widzi świata. Wszyscy w lot pojęli, że zapragnęła Gilberty dla swojego syna. Księżna de Silistrie, wznosząc gromkie okrzyki, rozwodziła się nad chwałą nazwiska Saint-Loup i rozpaczała, że jeśli Robert ożeni się z córką Odety, w dodatku pół-Żydówką, oznaczać to będzie upadek Faubourg Saint-Germain. Pani de Marsantes, choć zawsze tak pewna siebie, tym razem musiała spuścić z tonu i zaczęła się chyłkiem wycofywać, przestraszona hałasem wszczętym przez księżnę de Silistrie; ta zaś, nie zwlekając, sama wystosowała oświadczyzny w imieniu swego syna. Krzyk podniosła bowiem po to jedynie, by zaklepać Gilbertę dla siebie. Tymczasem pani de Marsantes, nie chcąc zostać na lodzie, podjęła na nowo starania o pannę d'Entragues, córkę księcia Luksemburga, która ze swoimi dwudziestoma milionami mniej się jej uśmiechała, ale zostało ogłoszone wszem i wobec, że Saint-Loup nie może poślubić jakiegś tam Swannówny (nazwiska de Forcheville już się nie wymieniało). W jakiś czas później ktoś puścił plotkę, że książę de Châtellerault uderza w konkury do panny d'Entragues. Pani de Marsantes, drażliwa jak mało kto, uniosła się pychą; na nowo zmieniła front, zwróciła się do Gilberty, poprosiła ją o rękę w imieniu Roberta, po czym, nie zwlekając ani chwili, wyprawiono zaręczyny.

Ogłoszone zapowiedzi były żywo komentowane w różnych kręgach. Znajome mojej matki, które zetknęły się z Robertem de Saint-Loup w naszym domu, przybiegały do niej w dniu wizyt, żeby zapytać, czy to ten sam, z którym się przyjaźniłem. A co do owej drugiej pary, niektórzy twierdzili wręcz, że zaszło nieporozumienie, bo nie o tych Cambremerów chodziło. Czerpali swe informacje z najlepszego źródła: sama margrabina



de Cambremer, z domu Legrandin, zdementowała wiadomość w przeddzień ogłoszenia zaręczyn. Ja tymczasem zachodziłem w głowę, jak to się stało, że ani pan de Charlus, ani Robert de Saint-Loup, pisząc do mnie w tym czasie bardzo przyjacielskie listy i rozkładając się w nich szeroko na temat zamierzonych podróży, ani słowem nie wspomnieli o tych uroczystościach, z którymi żadna podróż nie dałaby się przecież pogodzić. Nie wiedząc o zwyczaju utrzymywania tego rodzaju wydarzeń w ścisłej tajemnicy do ostatniej chwili, wyciągnąłem stąd wniosek, że nie jestem tak bliskim przyjacielem, jak sądziłem, co sprawiło mi przykrość, zwłaszcza jeśli chodzi o Roberta. Ale wiedziałem już, jaką komedią jest uprzejmość i prostota arystokracji, wiedziałem co warte jest „obcowanie” z tym towarzystwem „na równej stopie” — czemuż więc jeszcze się dziwiłem, że nie zostałem dopuszczony do tajemnicy? W pewnym domu publicznym, gdzie oprócz kobiet coraz liczniej rezydowali mężczyźni, tam właśnie, gdzie pan de Charlus kiedyś podglądał Morela, „wicedyrektorka”, namiętna czytelniczka „Le Gaulois”, która zwykła komentować wszystkie wiadomości z wielkiego świata, oświadczyła pewnemu opasłemu klientowi, przychodzącemu, by w towarzystwie młodych ludzi bez opamiętania zapijać się szampanem (mówił, że musi jeszcze utyć, chciał bowiem mieć pewność, że w razie wojny go nie „wezmą”): — Zdaje się, że Saint-Loup jest „z tych”, i Cambremerek także. Żal mi przyszłych żon! Ale w każdym razie, jeśli pan zna obu narzeczonych, proszę ich tu do mnie przysłać, znajdą wszystko, czego zapagną, a przy tym dadzą dobrze zarobić. — Na co gruby pan, choć sam był „z tych”, przy tym trochę snob, zakrzyknął, że obydwu spotyka często u swoich kuzynów d’Ardonvillers, i bynajmniej nie są „z tych”, odwrotnie, to wielcy amatorzy kobiet. — Cóż, być może — zakończyła tę rozmowę „wicedyrektorka” z widocznym niedowierzaniem; nie miała jednak dowodów, pomyślała więc sobie, że w obecnych czasach zepsucie obyczajów szerzy się na wyścigi z plagą wyssanych z palca oszczerstw. Parę osób, z którymi długo się nie widziałem, napisało do mnie z zapytaniem o „moją opinię” o obydwu małżeństwach, całkiem w tonie tych ankiet, które rozsyła się, pytając o opinię na temat rozmiarów damskich kapeluszy odpowiednich do teatru, albo też na temat powieści psychologicznej. Trudno mi było zmusić się do odpisywania na te listy. Co do owych małżeństw — nie miałem zdania; byłem pogrążony w głębokim smutku, dwie bowiem części mojej własnej przeszłości, mocno zakotwiczone i wypełnione po brzegi tajnymi nadziejami, jakie narastały we mnie z wolna dzień po dniu, nagle odpłynęły ku obcym brzegom z radosnym łopotem proporczyków niby dwa parowce, by nie powrócić już nigdy. Dla samych zainteresowanych była to rzecz najzwyczajniejsza w świecie, chodziło bowiem właśnie o nich, nie o kogo innego. Dawniej przy każdej okazji wyśmiewali się z tych „wielkoświatowych mariaży”, za którymi kryje się zawsze jakaś wstydliva tajemnica. Nawet Cambremerowie, rodzina tak stara i wolna od uprzedzeń, pierwsi puściliby w niepamięć osobę Jupiena, by napawać się niezaprzeczalną wielkością nazwiska d’Oloron, gdyby nie przeszkodził w tym ktoś, komu owo małżeństwo powinno właściwie najbardziej schlebiać: margrabina de Cambremer-Legrandin. Z natury była jędrą, toteż przyjemność upokarzania bliskich ceniła wyżej niż własną chwałę. Nie lubiła syna i dość szybko poczuła niechęć do przyszłej synowej, zaczęła więc głosić, że dla potomka Cambremerów to katastrofa pojąć za żonę pannę niewiadomego pochodzenia, mającą w dodatku krzywe zęby. Jeśli zaś chodzi o młodego Cambremera, który najchętniej zadawał się z literatami w rodzaju Bergotte’a lub chociażby Blocha, łatwo było przewidzieć, że ten świetny związek nie uczyni go snobem, ale kiedy się poczuje następcą diuków d’Oloron, „książąt krwi”, jak pisały gazety, pewien już całkowicie swej własnej wielkości, zacznie przestawać z byle kim. Drobną szlachtę zaniedbywał dla co bardziej oświeconego mieszczaństwa, gdy tylko nie zaprzętały go obowiązki towarzyskie wobec ich książęcych wysokości. Wszystkie zaś notki w gazetach, dotyczące Roberta de Saint-Loup, z wylizaniem jego królewskich przodków, dodawały mu co prawda w moich oczach nowego splendoru, lecz tym bardziej mnie przygnębiały, jak gdyby nagle stał się inną osobą, bardziej potomkiem Roberta Mocnego niż przyjacielem, który nie tak dawno w powozie siadł na strapontenie z troski o moją wygodę. Nie zgadłbym, że ożeni się z Gilbertą; nieoczekiwana wiadomość, którą znalazłem w jej liście, stała w całkowitej sprzeczności ze wszystkim, co jeszcze poprzedniego dnia wyobrażałem sobie o każdym z nich dwojga; zaskakiwała jak osad na dnie próbówki i zasmucała, choć z drugiej strony mogłem się domyślać, że Robert był w tym czasie bardzo zajęty i że małżeństwa w wielkim świecie

często zawiązują się w pośpiechu, gdy chodzi o to, by znaleźć coś w miejsce innej, chybionej kombinacji. A mój smutek, posępny jak wóz przesiedleńca, gorzki jak zazdrość, był efektem gwałtownego wstrząsu, którego doznałem z powodu tych dwóch ślubów, tak widocznym, że na wspomnienie tamtych chwil inni przypisywali mi później zdwojoną lub nawet potrójną i poczwórną moc przeczuć, myśląc się zresztą całkowicie, bo niczego nie przeczuwałem.

Ci z ludzi światowych, którzy wcześniej nie interesowali się Gilbertą, mówili mi z wielkim przejęciem: „Ach, więc to ona wychodzi za margrabiego de Saint-Loup”, i obrzucali ją uważnym spojrzeniem zlaknionym nie tylko ciekawostek towarzyskich Paryża, lecz zgoła rzetelnej wiedzy o życiu, przy czym pewni byli siły i bystrości swego wzroku. Ci zaś, którzy znali tylko Gilbertę, równie uważnie przyglądali się Robertowi i prosili mnie (niektórzy nie byli nawet dalekimi znajomymi), bym ich przedstawił narzeczonemu, a po tej ceremonii zwracali się do mnie, opromienieni odświętnym blaskiem cudzego szczęścia: „Prezentuje się znakomicie”. Gilberta była święcie przekonana, że nazwisko margrabiego de Saint-Loup jest tysiąc razy więcej warte niż tytuł księcia Orleanu. Ale należąca przede wszystkim do swego pokolenia, chciała uchodzić za równie dowcipną jak inni, z upodobaniem powtarzała więc *mater semita*, i chcąc się wydać wcieleniem figlarnej inteligencji, dorzucała: „Ze mną jest akurat odwrotnie, to *pater*”.

— Zdaje się, że to księżna Parmy wyswatała małego Cambremera — powiedziała mi matka. Była to prawda. Księżna Parmy знаła od dawna Legrandina, jej zdaniem człowieka nad wyraz dystyngowanego, znała też panią de Cambremer, która prędko zmieniała temat, słysząc pytanie księżnej, czy jest jego siostrą. Księżna rozumiała żal pani de Cambremer, od lat zmuszonej całować klamki arystokratycznych salonów, gdzie nikt jej nie przyjmował. Kiedy więc księżna Parmy, która obiecała, że znajdzie partię dla panny d’Oloron, spytała pana de Charlus, czy zna uprzejmego i wykształconego człowieka nazwiskiem Legrandin de Méséglise (bo tak się teraz kazał tytułować), baron w pierwszej chwili powiedział, że nie zna, lecz potem nagle przypomniał sobie pewnego podróżnego, którego poznał nocą w pociągu i który zostawił mu bilet wizytowy. Przez jego twarz przemknął lekki uśmiech.

— To pewnie o niego chodzi.

A gdy usłyszał od księżnej o siostrzeńcu tegoż Legrandina, oświadczył:

— Ależ to znakomicie! Nawet gdyby okazał się podobny do wuja, nie powinno nas to zniechęcić. Zawsze mówiłem, że z nich są najlepsi mężowie.

— Z kogo? — spytała księżna.

— O, pani, wytłumaczyłbym to dokładnie, gdybyśmy się częściej widywali. Można z księżną rozmawiać o wszystkim. Wasza Wysokość jest osobą inteligentną — odparł pan de Charlus, który poczuł nagłą potrzebę zwierzeń, lecz dalej się już nie posunął. Nazwisko Cambremerów uznał za odpowiednie, wiedział, że wiąże się z nim jedno z czterech baronostw bretońskich i choć nie lubił rodziców narzeczonego, rozumiał, że niczego lepszego nie może się spodziewać dla swojej przybranej córki. Rodzina była stara, powszechnie szanowana, z chlubnymi koligacjami w całej prowincji. Na żadnego księcia nie należało liczyć, zresztą nie byłby pożądanym. Pan de Charlus znalazł to, o co mu chodziło. Księżna niezwłocznie wezwała Legrandina. W jego wyglądzie już dawno zaszły znaczne zmiany, raczej korzystne, jak u owych kobiet, które poświęciwszy urodę oblicza dla wiotkiej talii, bez przerwy siedzą w Marienbadzie. Legrandin nabrał swobody w postawie i ruchach, wzięciem przypominał oficera kawalerii. W miarę jak z wiekiem pan de Charlus stawał się coraz cięższy i bardziej powolny, Legrandin przeciwnie: pod działaniem tych samych czynników zyskiwał na lekkości i zwinności. Ruchliwość miała zresztą związek z jego życiem osobistym. Odwiedzał pewne domy cieszące się złą sławą, a że nie chciał, by go widziano, gdy wchodzi do takich lokali, zwykł do nich wpadać jak piorun. Kiedy księżna Parmy zaczęła mówić mu o Guermantach i o Robercie de Saint-Loup, oświadczył, że zna ich od zawsze, i zmylił ją, stawiając na równi swe sięgające zamierzchłych czasów obcowanie z nazwiskiem mieszkańców zamku Guermautes i zawartą u mojej ciotki w Combray znajomość z ojcem przyszłej pani de Saint-Loup, Swannem, z którego żoną i córką wtedy nie życzył sobie zresztą utrzymywać stosunków.

— Ostatnio odbyłem nawet podróż w towarzystwie rodzzonego brata księcia de Guermautes, pana de Charlus. Sam nawiązał rozmowę, a to dobry znak, świadczący o tym, że nie jest nadętym bufonem i zarozumiałcem. Cóż, słyszałem, co o nim mówią. Ale

w takie rzeczy z zasady nie wierzę. Nigdy nie wtykam nosa w prywatne sprawy innych ludzi. Zrobił na mnie wrażenie człowieka wrażliwego, o wielkiej kulturze osobistej.

Skoro tak, księżna Parmy wspomniała o pannie d'Oloron. W kółku Guermantów wzruszało wszystkich szlachetne serce pana de Charlus, który z właściwą sobie dobrocią uszczęśliwił tę biedną, uroczą dziewczynę. Książę Błazej, którego martwiła nie od dziś podejrzana reputacja brata, dawał chętnie każdemu do zrozumienia, że przy całej swej szlachetności postępek barona jest na wskroś naturalny. „Nie wiem, czy się wyrażam dość jasno, ale w całej tej sprawie nie ma nic nienaturalnego” — powiadał, brnąc w niezręczność przez nadmiar chytrej zręczności. Książę chciał wywołać domysły, że panna była naturalną córką jego brata, teraz dopiero uznaną. Manewr posłużył zarazem za wyjaśnienie roli Jupiena. Księżna Parmy podsunęła Legrandinowi tę wersję, by przekonać go, że młody Cambremer miałby się żenić z kimś takim, jak panna de Nantes, jedna z nieślubnych córek Ludwika IV, którymi nie pogardził ani książę Orleanu, ani pan de Conti.

Dwa śluby, o których rozmawiałem z matką w pociągu w drodze powrotnej do Paryża, wpłynęły dość znacząco na losy wielu postaci występujących w tej opowieści. Pierwszą z nich był sam Legrandin. Nie trzeba nawet mówić, że wpadł on jak burza do pałacu pana de Charlus, zupełnie tak samo jak do tych lokali o złej sławie, gdzie nie chciał być widziany, przy czym jego sposób poruszania się pozwalał mu jednocześnie popisywać się brawurą i tuszować oznaki starości — nawyki bowiem nie odstępują nas nigdy, nawet tam, gdzie na nic już nie mogą się przydać — i prawie nikt nie zauważył, że witając go, pan de Charlus posłał mu nieokreślony, zagadkowy uśmiech, przypominający z pozoru — choć sytuacja była akurat odwrotna — uśmiechy wymieniane przez dwóch światowców z najlepszego towarzystwa, gdy przypadkiem natkną się na siebie w podrzędnym lokalu (na przykład w Pałacu Elizejskim, gdzie generał de Froberville na spotkaniu tam przypadkiem Swanna zwracał ironiczne, znaczące spojrzenie, i w ten sposób zawiązywała się między nimi milcząca komitywa dwóch stałych gości księżnej des Laumes, którzy zniżyli się do wizyty u pana Grévy<sup>43</sup>). Najbardziej jednak godne uwagi i korzystne zmiany zaszły w charakterze Legrandina. Od bardzo dawna — od czasów, kiedy jako dziecko spędzałem wakacje w Combray — pielęgnował on różne arystokratyczne znajomości, z których nigdy nie wynikało nic więcej niż zaproszenie na jakieś letnisko, i to wtedy, gdy innych gości się nie spodziewano. Małżeństwo siostrzeńca niespodziewanie scaliło rozproszone poletka, na których Legrandin kultywował swoje światowe stosunki, a gdy osiągnął wreszcie upragnioną pozycję, owe stosunki utrzymywane od dawna, lecz bez rozgłosu, od razu przydały jej szlachetnej patyny. Różne wysoko urodzone damy, gdy ktoś chciał im przedstawić pana Legrandin, obwieszczały, że już od piętnastu lat spędza on u nich na wsi co roku dwa tygodnie, a ten piękny antyczny barometr stojący na kominku w salonie dostały właśnie od niego. Przyjmowany był w zamkniętych „kółkach”, gdzie spotykał przypadkiem różnych diuków, z którymi teraz był skoligacony. I oto gdy stała się jego udziałem ta doskonała pozycja w świecie, stracił wszelką ochotę, by z niej korzystać. Nie tylko dlatego, że odkąd powszechnie wiedziano, iż jest przyjmowany wszędzie, zaproszenia przestały go cieszyć; z dwóch namiętności, ścierających się w nim przez długi czas, ustąpiła w końcu ta nabyta — snobizm, górę zaś wzięła druga, organiczna, popychająca go, choćby drogą okrężną, ku jego prawdziwej naturze. Bez wątpienia te dwie namiętności dałyby się pogodzić, można bowiem zapuszczać się w ciemne zaułki przedmieść, wyszedłszy prosto z rautu u jakiejś księżnej. Lecz upływające lata ostudziły w nim zapal do używania życia, toteż nie ruszał się już z domu bez ważnego powodu. Skłaniał się teraz ku rozkoszom raczej platonicznym, ku przyjacielskim spotkaniom, nieśpiesznym pogawędkom; najchętniej spędzał czas wśród ludu, na rozrywki światowe pozostawiało mu go niewiele. Pani de Cambremer także się zmieniła, rozwinęła w sobie niewzruszoną obojętność na laski księżnej de Guermantes. Tymczasem ta ostatnia, zmuszona nawiązać stosunki z margrabiną, odkryła, że pani de Cambremer obdarzona jest inteligencją i kulturą, których ja ze swej strony nie ceniłem zbyt wysoko, księżna jednak miała je za wybitne; zwykle tak bywa, kiedy zaczynamy poznawać zalety osób, z których wadami zdążyliśmy się już oswoić, w ludziach bowiem objawiają się nam na przemian to jedne, to drugie. Często więc u schyłku dnia księżna składała pani de Cambremer długie wizyty.

<sup>43</sup>pan Grévy — prezydent Republiki. [przypis redakcyjny]

Lecz niezrównany urok księżnej, opromieniający ją cudownym blaskiem w wyobraźni pani de Cambremer, od razu przygasł, gdy ta spostrzegła, że pani de Guermantes szuka jej towarzystwa. Toteż przyjmowała ją w końcu nie tyle dla przyjemności co z obowiązku.

W charakterze Gilberty zaszła zmiana jeszcze bardziej uderzająca, która zdawała się lustrzanym odbiciem i zarazem odwrotnością przeobrażeń, jakim uległ Swann po swoim ślubie. Przez kilka pierwszych miesięcy z pewnością była bardzo szczęśliwa, mogąc przyjmować u siebie najelegantsze towarzystwo. Z uwagi, być może, na spodziewany spadek, dla przyjemności Odety zapraszano także starych przyjaciół, ale tylko w te dni, kiedy nie było nikogo z wytwornych gości, jak gdyby zetknięcie pań Cottard i Bontemps z księżną Parmy lub panią de Guermantes groziło powstaniem wybuchowej mieszanki dwóch niebezpiecznych substancji oraz straszliwą katastrofą. W każdym razie państwo Bontemps albo Cottardowie, choć trochę zawiedzeni, że znaleźli się we własnym gronie, mogli potem, podobnie jak wielu innych, z dumą opowiadać: „Byliśmy wczoraj na obiedzie u margrabiny de Saint-Loup” — tym bardziej że niekiedy, zdobywając się na daleko posuniętą śmiałość, zapraszano wraz z nimi panią de Marsantes, która ze swoim wachlarzem z szylkretu i piór prezentowała się jak prawdziwa wielka dama. A wszystko to z uwagi na spadek. Przy czym pani de Marsantes nie zapomniała od czasu do czasu wygłosić pochwały osób taktownych, znających swoje miejsce; wraz z tym zawołanym upomnieniem, skierowanym do rozgarniętego rozmówcy, takiego jak Cottardowie i państwo Bontemps, posyłała im swój najbardziej czarujący i najwynioślejszy ukłon. Przez pamięć „mojej przyjaciółeczki z Balbec” i ze względu na jej ciotkę, najchętniej przychodziłbym razem z tym towarzystwem. Ale dla Gilberty byłem teraz przede wszystkim przyjacielem jej męża oraz Guermantów (a ponadto kimś, kogo widywała w Combray — będąc jeszcze w tym wieku, gdy nie tylko zaczynamy dostrzegać wartość rzeczy i osób, porządkując je według gatunków, lecz także z łatwością wyposażamy je w niebywały splendor, który nie zgaśnie nigdy — i pamiętała, że moi rodzice nie życzyli sobie poznać jej matki). Toteż owe wieczory jej zdaniem były dla mnie zbyt pospolite; a kiedy już wychodziłem, mówiła mi: „To miło, że pan przyszedł, ale lepiej będzie się pan bawił pojutrze, spotka pan moją ciotkę Guermantes i panią de Poix; na dziś zaprosiliśmy tylko przyjaciółki mamy, żeby jej zrobić przyjemność”. Nie trwało to jednak dłużej niż parę miesięcy, potem wszystko zmieniło się nie do poznania. Czyżby przeznaczeniem Gilberty były te same skrajności życia światowego, które wcześniej poznał Swann? W każdym razie Gilberta, która od niedawna była margrabinią de Saint-Loup, a w przyszłości miała zostać, jak się przekonamy, księżną de Guermantes, osiągnąwszy to, co może być najwspanialszego i o co w świecie najtrudniej, uwierzyła, że nazwisko księżnej Guermantes wtopiło się w nią jak ciemnozłoty ornament w porcelanę i że kogokolwiek będzie przyjmowała, w oczach świata nigdy nie straci ono swego blasku. Ale myliła się, nazwiska bowiem i tytuły, tak samo jak akcje giełdowe, zwyżkują, gdy są poszukiwane, a tracą gwałtownie na wartości w chwilach wyprzedazy; także to, co wydaje się nam niezniszczalne, zmierza ku unicestwieniu. Pozycja towarzyska, podobnie jak wszystko inne, nie bywa ustanowiona raz na zawsze, lecz tak jak imperialna potęga, musi rodzić się wciąż na nowo; by ją zachować potrzeba nie mającego końca twórczego wysiłku, z chwili na chwilę, bez wytchnienia. Reguła ta wyjaśnia różne zdumiewające zjawiska, na pozór zakłócające rozwój wydarzeń w wielkim świecie i w polityce w ciągu ostatniego półwiecza. Akt stworzenia nie dokonał się na początku świata, ponawia się on nieprzerwanie, każdego dnia. Margrabina de Saint-Loup powtarzała sobie: „Jestem margrabinią de Saint-Loup”, i pamiętała, że wczoraj sprawiła zawód aż trzem księżnym, wymawiając się od przyjęcia zaproszeń na obiad. Lecz jeśli jej nazwisko dodawało splendoru bardzo niearystokratycznemu kółku towarzyskiemu, które u siebie przyjmowała, to w zamian goście ci, bywając u niej, przyczyniali się do dewaluacji nazwiska. Taki obrót spraw nie oszczędza nikogo i niczego, nawet najświetniejsze nazwiska nie chronią przed zdeklasowaniem. Czyż nie był znany Swannowi przypadek pewnej francuskiej księżnej krwi, której salon stoczył się do najniższej kategorii, dlatego właśnie, że przyjmowała u siebie byle kogo? Pewnego razu, przez grzeczność wstąpiwszy na chwilę do Jej Wysokości, księżna de Guermantes ujrzała tłum ludzi, z których żaden nic nie znaczył; znalazłszy się po chwili u pani Leroi, rzekła do Swanna i hrabiego Modeny: „Czuję, że znowu żyję. Wracam od księżnej de X..., nie widziałam tam nawet trzech znajomych twarzy”. Zdając się powtarzać za pewną operetkową postacią: „Nazwisko moje

wystarczy, tuszę, za wszelkie wyjaśnienia”, Gilberta zaczęła demonstracyjnie pogardzać tym wszystkim, czego przedtem pragnęła gorąco; głosiła odtąd, że mieszkańcy Faubourg Saint-Germain to nadęci głupcy, z którymi przestawać niepodobna; po czym, przechodząc od słów do czynów, pozrywała z nimi stosunki. Ci którzy poznali ją później, już w początkach znajomości z ową księżną Guermantes słyszeli, jak z humorem wykpiwa wielki świat, w którym mogłaby do woli bywać; widzieli, że nie przyjmuje u siebie z tych kręgów nikogo, a jeśli jakiś gość owych salonów zabłądził pod jej dach, to choćby był najbardziej błyskotliwy, ziewała przy nim bez żenady — rumienili się więc na samą myśl, że mogli kiedyś ulegać czarowi arystokracji; nigdy nie odważyliby się zwierzyć z tej zawstydzającej tajemnicy kobiecie, której przypisywali nieskazitelną prawość charakteru i obawiali się, że nie byłaby zdolna zrozumieć ich słabości. Oto słyszą, z jaką swadą żartuje z jednego i drugiego diuka, a w dodatku, co jeszcze bardziej niezwykle, postępuje w tym samym duchu, w jakim się wypowiada! Rzecz jasna, ani im w głowie było dociekać, jakie to zrzędzenia losu uczyniły Swannównę panną de Forcheville, panną de Forcheville margrabiną de Saint-Loup, tę zaś księżną de Guermantes. Zapewne nie nawiedzała ich myśl, że zdarzenia, które doprowadziły do tych przemian, wraz ze swoimi przyczynami i skutkami nie przystają do późniejszej postawy Gilberty; dla damy, o której mówiono „księżna pani” i którą nadskakujące jej diuszesy nazywały „drogą kuzynką”, przestawanie z mieszczaństwem oznaczało już co innego niż kiedyś, dla młodej panny Swann. Równie łatwo pogardzamy tym, czego nie zdołaliśmy osiągnąć, jak tym, co osiągnęliśmy ponad wszelką wątpliwość. Pogarda ta zresztą wydaje się nam nieraz podstawową cechą tego lub innego człowieka — póki go lepiej nie poznamy. Ale gdybyśmy mogli cofnąć czas i zajrzeć w przeszłość, ujrzelibyśmy go w szponach pospolitych słabości, targanego jeszcze gwałtowniej niż inni tymi samymi pragnieniami, których później ostatecznie się wyzbył, albo też stłumił tak doskonale, że dziś nikt by go nie posądził, jakoby mógł ich kiedykolwiek doświadczać, i wydaje się zgoła, że nie znalazłby dla nich ani odrobiny pobłażania, nie będąc w stanie ich sobie nawet wyobrazić. Wkrótce zresztą salon świeżo upieczonej margrabin de Saint-Loup osiągnął swój ostateczny kształt (przynajmniej pod względem towarzyskim — będziemy bowiem świadkami innego rodzaju burz, jakie nawiedzą go w swoim czasie). Kształt ten był jednak z pewnego punktu widzenia zaskakujący. Pamiętano jeszcze wystawne, najświetniejsze w Paryżu przyjęcia, wspaniałością swą dorównujące rautom księżnej Marii, wydawane przez panią de Marsantes, matkę Roberta. Z drugiej strony salon Odety, choć notowany bez porównania niżej, stał się oazą nie mniej oszalałającego zbytku i ekstrawagancji. Tymczasem Saint-Loup, który dzięki bajecznemu posagowi swojej żony mógł nasycić się wszystkim, o czym tylko dusza zamarzy, nie potrzebował po dobrym obiedzie niczego więcej, jak tylko chwili spokoju z muzyką w przyzwoitym wykonaniu. I oto młody człowiek, który kiedyś wydawał mi się tak arogancki i wyniosły, życzył sobie teraz dzielić te przyjemności z kolegami, których jego matka za nic nie wpuściłaby za próg swego salonu. Gilberta, ze swej strony, wcielała w życie maksymę Swanna: „Na jakość nie zważam, ale wystrzegam się ilości”. I Saint-Loup, który przed żoną padałby co dzień na kolana — dlatego, że ją kochał, jak również dlatego, że jej to właśnie zawdzięczał swoje niezmierne bogactwo — ani myślał czegokolwiek jej narzucać, tym bardziej że upodobania mieli podobne. Tak przeto wielkie przyjęcia pań de Marsantes i de Forcheville, wydawane przez lata z nadzieją na znalezienie olśniewających partii dla ich dzieci, nie zaowocowały zwyczajem urządzania przyjęć w domu państwa de Saint-Loup. Trzymali najlepsze konie, by jeździć konno w pojedynkę; do nich należał najpiękniejszy jacht, na który zabierali najwyżej dwoje przyjaciół. W Paryżu miewali na kolacji dwie lub trzy osoby, nigdy więcej. Tak oto za sprawą nieoczekiwanej, a jednak całkiem naturalnej regresji, dwie tętniące gwarem matczyne ptaszarnie dały początek jednemu cichemu gniazdku.

Najmniej pożytku miała ze swego małżeństwa panna d’Oloron. Już w dniu ślubu trawiła ją gorączka. Z pierwszymi objawami tyfusu, ślaniając się na nogach, zdołała jeszcze dobrnąć do ołtarza, umarła zaś parę tygodni później. W nekrologach nazwisko Jupiena znalazło się w jednym rzędzie z najświetniejszymi nazwiskami Europy, na przykład wicehrabiego Montmorency z małżonką, hrabiny S. A. R. de Bourbon-Soissons, księcia Modeny i Este, wicehrabiny d’Edumea, lady Essex, i tak dalej, i tak dalej. Lecz nawet tych, którzy wiedzieli, że zmarła była siostrzenicą krawca, nie powinna dziwić wspaniałość

tych koligacji. Albowiem świetne koligacje są tu właśnie istotą rzeczy. Gdy wchodzi w grę *casus foederis*, może się zdarzyć, że śmierć małej parweniuszki okryje żalobą wszystkie domy książęce Europy. Tymczasem spośród młodych ludzi z pokolenia nie znającego już rzeczywistych stosunków w wielkim świecie, wielu sądziło, że Maria Antonina d'Oloron, margrabina de Cambremer, musi być damą najwyższego rodu; czytając owe nekrologi, wyciągali z nich jeszcze wiele innych, równie fałszywych wniosków. Skoro czerpali swą skąpą wiedzę o stosunkach w Combray od specjalnych wysłanników, piszących doniesienia z różnych stron Francji, nie dziwili się wcale, widząc, że w relacjach z pogrzebu na pierwszych miejscach wymienia się panią L. de Méséglise obok hrabiego de Méséglise, tuż za księciem de Guermantes. Strona Méséglise łączy się ze stroną Guermantes; „Wszystko to stara szlachta z tej samej prowincji, skoligacona od pokoleń — można było pomyśleć. — Kto wie, może hrabiowie de Méséglise to jakaś boczna linia Guermantów?” Tymczasem hrabia de Méséglise nie miał nic wspólnego z Guermantami ani nawet ze stroną Guermantes, już prędzej z włościami Cambremerów, ponieważ hrabią de Méséglise, który pojawił się w wyniku pośpiesznej metamorfozy, jakiej w ciągu zaledwie dwóch lat uległ pan Legrandin de Méséglise, był po prostu nasz stary znajomy Legrandin. Fałszywy tytuł jest bądź co bądź tylko fałszywym tytułem, ale mało który obrażałby uczucia Guermantów tak bardzo, jak właśnie ten. Byli bowiem kiedyś spowinowaceni z prawdziwymi hrabiami de Méséglise; ród ten wymarł, jeśli nie liczyć pewnej żyjącej jeszcze kobiety, wyzutej z majątku i stosunków, wydanej za mąż za wzbogaconego gospodarza, który najpierw dzierżawił, potem zaś kupił od mojej ciotki folwark Mirougrain, a że nosił nazwisko Ménager i był z Mirougrain, przedstawiał się jako Ménager de Mirougrain; kiedy zaś wspomiano, że miał żonę z domu de Méséglise, niezorientowani nawet nie wątpili, że ona jest de Méséglise akurat z tego samego tytułu, co on de Mirougrain.

Toteż każdy inny fałszywy tytuł byłoby Guermantom łatwiej przelknąć. Ale arystokracja zdolna jest nie do takich kompromisów, gdy wchodzi w grę małżeństwo oceniane jako pożyteczne z jakichkolwiek względów. Skoro więc książę de Guermantes nie pokwapił się zdemaskować Legrandina, ten już teraz stał się najprawdziwszym hrabią de Méséglise w oczach pospólstwa, w nadchodzącym zaś pokoleniu wszyscy bez wyjątku mieli widzieć w nim prawowitego dziedzica tego tytułu.

Młody i niezbyt dobrze zorientowany czytelnik prasy łatwo mógł powziąć inne jeszcze fałszywe mniemanie, że baron i baronowa de Forcheville uczestniczyli w uroczystościach jako krewni ze strony Guermantów, tak samo jak rodzice i dziadkowie margrabiego de Saint-Loup. Otóż nie należało ich wymieniać po stronie Guermantów, to Robert bowiem był Guermantem, nie Gilberta. Baron i baronowa de Forcheville w istocie nie reprezentowali strony Cambremerów, tylko rodzinę oblubienicy, lecz bynajmniej nie jako krewni Guermantów: Jupien, o czym pamięta uważny czytelnik, był ciotecznym bratem Odety.

Po ślubie przybranej córki pan de Charlus przelał całą swą łaskawość na osobę młodego margrabiego de Cambremer; w oddaniu mu za żonę panny d'Oloron nie przeszkodziły jego skłonności podobne do gustów barona, było więc rzeczą naturalną, że kiedy młodzieniec owdowiał, sympatia barona przybrała jeszcze na sile. Nie brakowało margrabiemu innych przymiotów, które mogłyby go uczynić uroczym kompanem w oczach pana de Charlus. Lecz nawet wówczas, gdy mamy do czynienia z człowiekiem niezwykłych zalet, jeszcze jedną dodatkową zaletą nie do pogardzenia, szczególnie pożyteczną, gdy zapraszamy go do siebie na wieczór, może się okazać umiejętność gry w wista. Młody margrabia odznaczał się wybitną inteligencją i w Féterne dotąd powtarzano, że już jako dziecko był „w każdym calu wnuczkim swojej babci”, jak ona muzykalny i pełen równie twórczego entuzjazmu. Niektóre jej cechy przeszły na niego, tak jak na innych członków rodziny, raczej przez naśladownictwo niż za sprawą dziedziczości. Przykładem list, który otrzymałem w jakiś czas po śmierci jego żony, podpisany „Leonor” — było to jego imię, którego wcale nie pamiętałem; domyśliłem się tego dopiero, gdy czytałem ostatnie zdanie: „Proszę przyjąć wyrazy mej życzliwości najprawdziwszej”. Słowo „najprawdziwszej” otworzyło właściwą przegródkę pamięci i uwienczyło imię Leonor nazwiskiem Cambremer.

Gdy pociąg wjeżdżał na dworzec w Paryżu, wciąż jeszcze rozprawialiśmy z matką o owych dwóch niezwykłych wiadomościach, które by skrócić mi czas podróży, zechciała zachować na drugą jej połowę i o których zaczęła ze mną mówić dopiero za Mediolanem. Szybko odnalazła jedyny możliwy dla siebie punkt widzenia, jaki wyznaczało jej przywiązanie do mojej babki. Najpierw pomyślała sobie, że babkę zdumiałyby te wiadomości, potem, że byłyby ją zasmuciły; znaczyło to tyle, iż zdaniem matki babce sprawiłyby przyjemność nowiny tak zaskakujące, ale nie mogąc pogodzić się z owym stanem rzeczy, który pozbawił babkę całej przyjemności, wołała dopatrywać się szczęścia w nieszczęściu, toteż doszła do wniosku, że wiadomość była z rodzaju tych dla babki najbardziej przykrych. Ledwie jednak weszliśmy do domu, uczucie żalu, że nie może dzielić z babką tych wszystkich niespodzianek, jakie przynosi nam życie, matka uznała za przejaw egoizmu. Zaczęła więc utrzymywać, że dla babki nie byłyby to żadne niespodzianki, tylko fakty potwierdzające słuszność jej przewidywań. Chciała w nich widzieć spełnienie proroczych wizji mojej babki, dowód, że jej umysł był jeszcze głębszy, jeszcze bardziej przenikliwy i bezstronny, niż nam się wydawało. Zmierając ku pełni najczystszej podziwu, matka pośpieszyła dorzucić:

— A jednak, kto wie, czy to by się twojej biednej babce nie spodobało? Była taka życzliwa ludziom. A poza tym, wiesz przecież, dla niej pozycja społeczna niewiele znaczyła, babka wyżej ceniła wrodzoną dystynkcję. I przypomnijże sobie, to nadzwyczaj ciekawe: obydwie od razu jej się spodobały. Pamiętasz, jak po raz pierwszy wróciła z wizyty u pani de Villeparisis i opowiadała nam, że pan de Guermantes wydał się jej pospolity, a za to pod niebiosa wychwalała Jupienów? Kochana mama, pamiętasz, co powiedziała o tym ojcu rodziny? „Gdybym miała w domu pannę na wydaniu, nie bałabym się oddać mu jej za żonę, a jego dziewczynka, tak mi się zdaje, jest jeszcze bardziej wyjątkowa”. A o małej Swannównie: „Moim zdaniem to urocza dziewczyna, i wspomnicie moje słowa, zrobi świetną partię”. Szkoda, że biedna mama nie może się teraz przekonać, jak trafnie zgadła! Do końca naszych dni, choć już jej z nami nie ma, będzie nam dawała lekcje rozumu, dobroci, właściwej miary rzeczy.

A skoro te przyjemności, których ku naszej rozpaczy babka nie mogła z nami dzielić, były prostymi radościami codziennego życia — takimi jak zabawna intonacja w głosie jakiegoś aktora, ulubione danie, nowa powieść chętnie przez nią czytanego pisarza — matka powtarzała: „Jakże by ją to zadziwiło, jakże by się z owego śmiała! Jakim pięknym listem odpowiedziałaby na tamto!” Matka ciągnęła dalej:

— Pomyśl tylko, biedny Swann tak bardzo pragnął, by Guermantowie zaprosili do siebie jego córkę, czyż nie byłby szczęśliwy, że weszła do ich rodziny?

— Nawet jeśli poprowadzono ją do ołtarza pod cudzym nazwiskiem, jako pannę de Forcheville?

— Otóż co mi właśnie przeszkadza cieszyć się szczęściem tej małej lisiczki, to myśl, że dla korzyści wyzbyła się bez skrupułów ojcowskiego nazwiska.

— Masz rację, i zważywszy wszystko, pewnie lepiej dla niego, że nie doczekał tej chwili.

Tak oto nigdy nie wiemy ani o umarłych, ani nawet o żywych, co mogłoby ich ucieszyć, a co zabołec.

— Podobno państwo de Saint-Loup zamierzają się osiedlić w Tansonville. Czyż ojciec Swanna, który tak pragnął, by twój dziadek przyszedł obejrzeć jego staw, mógł kiedykolwiek przypuszczać, zwłaszcza gdyby dożył niechlubnego ożenku swojego syna, że nad tym stawem będzie się kiedyś przechadzał książę de Guermantes? Saint-Loup, któremu tyle opowiadałeś o różowych krzakach tarniny, irysach i liliach Tansonville, teraz w końcu zrozumie, o czym mówiłeś. Będą bowiem należały do niego.

Jedna z takich oto pogawędek toczyła się w pokoju stołowym, w jasnym świetle lampy, które tak bardzo im sprzyja; wyraża się w nich rozum i suma doświadczeń — nie narodu, lecz jednej rodziny. Traktują o ślubach, pogrzebach, spadkach i bankructwach, umieszczając je pod powiększającym szkłem pamięci, które uwypuklił zarzysy, ukaże złożoność, odsłoni początki, pozwoli ujrzeć w różnych perspektywach przestrzeni i czasu to, co dla osób nie będących świadkami wydarzeń zlewałoby się w jednorodne tło pozbawione głębi, powstałe z pomieszania imion zmarłych, kolejnych adresów, źródeł i losów fortun przechodzących z rąk do rąk. Natchnieniem tej mądrości jest muza, której —

póki możemy się bez niej obejść — lepiej nie wzywać, jeśli chcemy zachować świeżość spojrzenia i choć trochę twórczej wyobraźni. Ale i ci, którzy nigdy się do niej nie odwoływali, mogą u schyłku życia, znalazłszy się w nawie jakiegoś prowincjonalnego kościoła, nagle zauważyć, że nieprzemijające piękno zaklęte w rzeźbach ołtarza obchodzi ich mniej niż zmienne koleje losu tych dzieł, należących kiedyś do słynnej kolekcji prywatnej, potem przechowywanych w kaplicy, potem przekazanych do jakiegoś muzeum i wreszcie przywróconych świątyni; że owo piękno porusza ich mniej niż posadzka, po której kroczą, mając, zda się, pod stopami okruchy myśli i prochy Arnaulta albo Pascala; mniej nawet niż przybite do klęczników miedziane tabliczki, na których wygrawerowano imiona córek miejscowego dygnitarza albo szlachciury, przywołujące na myśl postacie hoźych pannań z prowincji. Muza ta bowiem nie gardzi tym, co odrzuciły jej szlachetniejsze siostry, opiekunki filozofii albo sztuk pięknych, i czym nie rządzi reguła, lecz przypadek, choć i tu daje się zauważyć ślady działania jakichś niezmiennych praw, przejawy pewnego porządku. To muza Historii.

Dawne znajome mojej matki, pochodzące z Combray albo z okolic, składały jej wizyty, by porozmawiać o małżeństwie Gilberty, które nie znalazło w ich oczach uznania.

— Proszę pani, ta panna de Forcheville to jest przecież Swannówna. A świadek ślubu, niechże mu będzie „baron” de Charlus, bo tak się sam każe tytułować, to jest ten stary, co kiedyś utrzymywał jej matkę, nie bez wiedzy Swanna i za jego zgodą; bo Swann także coś z tego miał.

— Ale co też pani mówi! — próbowała zaprzeczyć moja matka. — Przede wszystkim Swann pieniędzy miał jak lodu.

— Widać nie aż tyle, skoro trzeba mu było cudzych. Ale cóż ta kobieta ma takiego w sobie, co po dziś dzień trzyma przy niej dawnych kochanków? Wydała się za pierwszego, potem za trzeciego z nich, drugiego wyciąga teraz nieomal z grobu, żeby zrobić go świadkiem na ślubie własnej córki, którą miała z tym pierwszym albo z jeszcze innym, bo niepodobna się ich wszystkich doliczyć — zapewne sama już nie wie, ilu ich w końcu było. Ja mówię o trzecim, a to był może i trzydziesty. Zresztą obie wiemy, że ona jest taka sama de Forcheville jak pani albo ja. To nie jest żona dla szlachcica. Niechże pani sama powie: czy wzięłby sobie taką kto inny niż zwykły awanturnik? Słyszałam zresztą, że to jakiś byle Dupont czy Durand. Żeby nie mer radykał, co nie kłania się proboszczowi, już dawno znalazłbym sprawę od podszewki. Bo rozumie pani, po ogłoszeniu zapowiedzi musieli się w merostwie podpisać prawdziwymi nazwiskami. Bardzo to ładnie wygląda w gazecie i na zaproszeniach, kiedy się ktoś podaje za margrabiego de Saint-Loup. Nikomu taka rzecz nie szkodzi, jeśli więc ludziskom sprawi uciechę, nie bronię im tego. Bo czy mnie czego ubędzie? I tak ani myślę utrzymywać stosunków z córką takiej kobiety, niechże ona sobie będzie dla swojej służby margrabiną do woli. Ale z aktami stanu cywilnego to już inna sprawa. Ach, jaka szkoda, że mój kuzyn Sazerat już nie jest zastępcą mera, napisałabym do niego, on by mi zdradził, pod jakim nazwiskiem dopełnili formalności!

W owym czasie niemało wiedziałem o sprawach Gilberty, z którą znowu byłem blisko; trwanie naszego życia ma bowiem inną skalę niż trwanie naszych przyjaźni. Oto po latach odradzają się (jak w polityce dawne gabinety, jak stare komedie na deskach teatrów) więzy przyjaźni między tymi samymi co dawno temu ludźmi, by być troskliwie pielęgnowane. Po dziesięciu latach wietrzeją przyczyny zerwania, nie jest już ważne to, że ktoś kochał zbyt mocno, a ktoś inny nie mógł znieść zaborczej tyranii uczucia. Pozostaje bliskość; wszystko to, czego kiedyś Gilberta uparcie mi odmawiała, mogłem teraz uzyskać bez żadnego wysiłku, z pewnością dlatego, że niczego już od niej nie chciałem. Choć kiedyś było to zawsze niemożliwe, nie do pomyślenia — teraz znajdowała dla mnie czas w każdej chwili i nigdy pośpiech nie zmuszał jej do skrócenia wizyty, bo choć nie padły między nami żadne wyjaśnienia, zniknęła największa przeszkoda: moja miłość.

Nieco później przyjechałem na kilka dni do Tansonville. Podróż niezbyt mi się w tamtym momencie uśmiechała, bo w Paryżu miałem dziewczynę, która sypiała w wynajętym przeze mnie mieszkanku. Tak jak innym potrzebny bywa do szczęścia zapach lasu albo szum wody, ja musiałem nocą słyszeć jej oddech u mojego boku, a za dnia mieć ją przy sobie w powozie. Miłość bowiem, nawet jeśli popadła w zapomnienie, zazwyczaj wpływa na kształt następnej miłości. Już w czasach tej poprzedniej ulegaliśmy różnym rytuałom,



sami nie pamiętając, skąd się wzięły. Jakaś obawa, której doznaliśmy pierwszego dnia znajomości, zapisała się w namiętym pragnieniu — obróconym później w nawyk, jak wiele innych zwyczajów, których sens został zapomniany — zawracania powozem pod dom ukochanej albo zatrzymywania jej u siebie, narzucania jej naszej nieustającej obecności, albo też korzystania z pomocy kogoś, komu ufamy, kto będzie ją miał na oku, gdziekolwiek by poszła: wszystkie te zwyczaje są niby wygodne i niezmiennie szlaki, które codziennie przemierza nasza miłość, a które wytopił dawno temu wulkaniczny żar rozpalonych uczuć. Zwyczaje te mogą nawet przetrwać śmierć kobiety, z którą się wiązały, mogą przetrwać i pamięć o niej. Stają się dla nas wzorcem miłości, jeśli nie każdej bez wyjątku, to przynajmniej wielu kolejnych. Oto dlaczego w moim domu, w miejsce pogrążonej już w niepamięci Albertyny, nieodzowna była obecność nowej kochanki, ukrywana przed składającymi wizyty, wypełniająca mi życie tak jak kiedyś obecność Albertyny. Żeby pojechać do Tansonville, musiałem wyjednać u niej zgodę, by przez kilka dni czuwał nad nią jeden z moich przyjaciół, który nie lubił kobiet.

Dowiedziałem się, że Gilberta czuje się nieszczęśliwa i że jest zdradzana przez męża, ale nie w taki sposób, o jakim plotkowano, o jakim ona sama chyba jeszcze myślała, a w każdym razie mówiła. Do oszukiwania innych i samej siebie popychała ją miłość własna, a także brak dostatecznej wiedzy na temat zdrady, właściwy wszystkim zdradzonym istotom, tym bardziej dotkliwy, że Robert, który wdał się całkiem w swego wuja de Charlus, wciąż afiszował się z kobietami, narażając ich cześć na szwank, bo wszyscy, nie wyłączając Gilberty, brali je za kochanki... Mówiono nawet, że zachowuje się bezwstydnie, nieraz przez cały wieczór nadskakując którejs z dam, by zabrać ją potem do powozu, tak że pani de Saint-Loup musiała się sama zatroszczyć o środek lokomocji, by wrócić do domu. Kto utrzymywałby, że kobieta, którą Saint-Loup w ten sposób kompromitował, nie była wcale jego kochanką, zostałby uznany za człowieka naiwnego, w swej ślepotie przeczącego oczywistości. Niestety na ślad prawdy, niezmiernie zasmucającej, naprowadziło mnie parę słów, które wymknęły się kiedyś Jupienowi. Jakże się zdziwiłem, kiedy na kilka miesięcy przed moim pobytem w Tansonville poszedłem spytać o zdrowie barona w związku z jego niepokojącymi dolegliwościami sercowymi — zastałem jednak tylko Jupiena i wdałem się z nim w rozmowę o przechwyconych przez panią de Saint-Loup listach adresowanych do Roberta, podpisanych „Bobette”; dowiedziałem się od starego totumfackiego pana de Charlus, że osobą podpisującą się „Bobette” był nie kto inny tylko ten skrzypek i pismak w jednej osobie, o którym była już mowa i który w życiu barona zdołał odegrać tak znaczącą rolę. Jupien nie posiadał się z oburzenia, kiedy mi o nim mówił:

— Ten chłopak mógł sobie robić, co mu się żywnie podobało, nie miał żadnych zobowiązań. Ale w tę jedną stronę nie wolno mu było nawet spojrzeć: w stronę siostrzeńca pana barona, tym bardziej że pan de Charlus kocha margrabiego jak własnego syna. A ten próbował rozbić małżeństwo. To rzecz haniebna. Musiał chyba posłużyć się jakąś diabelską sztuczką, bo nikt nie był z natury bardziej niechętny takim stosunkom niż margrabia de Saint-Loup. On, który tak szalał za kobietami! Porzucił barona, nędzny grajek, i to w sposób, trzeba powiedzieć, łajdacki — jego sprawa. Ale że nie zostawił w spokoju siostrzeńca! Są rzeczy, których się nie robi.

Oburzenie Jupiena było nieklamane. Ludzie, których określa się jako niemoralnych, okazują zgorszenie równie szczerze, jak wszyscy pozostali, choć z nieco innych powodów. Zazwyczaj też ci, w których miłość nie płonie, oceniając niebezpieczne romanse i niewłaściwe małżeństwa, zapominają o tym, że nie jesteśmy panami własnego serca; nie biorą pod uwagę rozkosznej uludy, która opromienia swym blaskiem przedmiot miłości w sposób tak zupełny i wyłączny, że „głupstwo”, popełnione przez zakochanego, żeniącego się z kuchcią albo z kochanką przyjaciela, w końcu może okazać się jedynym romantycznym porywem w jego życiu.

Pojąłem, że małżeństwo Robertaomal nie skończyło się separacją (choć Gilberta jeszcze nie całkiem rozumiała, co się święci) i że to pani de Marsantes, matka kochająca, ambitna i wyrozumiała, nakłoniła oboje do zgody, w ostatniej chwili ratując sytuację. Pochodziła bowiem ze sfery, w której na skutek ciągłego mieszania się tej samej krwi i topnienia fortun niezdrowe wykwyty dziedzicznych skaz i obciążeń objawiały się coraz to zarówno w namiętnościach, jak i w interesach. Z tą samą energią, z jaką przedtem

popierała panią Swann, przykładając rękę do wydania za mąż córki Jupiena i dążyła do małżeństwa swego syna z Gilbertą, pani de Marsantes zaczęła działać i teraz, wspierając się w swej pełnej bólu rezygnacji tą instynktowną mądrością, którą zawsze chętnie służyła całemu Faubourg Saint-Germain. Jeśli w pewnym momencie zdecydowała się doprowadzić do skutku małżeństwo Roberta, co z pewnością mniej kosztowało ją bólu i łez niż przedtem nakłonienie go do rozstania z Rachelą, uczyniła to przede wszystkim z obawy, by nie wplątał się na nowo z inną kokotą, albo i z tą samą, bo Robert o Racheli długo nie mógł zapomnieć, w kolejny skandaliczny związek, co dla niego byłoby zresztą ratunkiem. Teraz dopiero zrozumiałem, co miał na myśli, kiedy mówił mi u księżnej de Guermantes: „Szkoda, że ta twoja przyjaciółeczka z Balbec nie ma posagu, jakiego życzy sobie moja matka, myślę, że rozumielibyśmy się nawzajem bez trudu”. Chciał przez to powiedzieć, że była Gomorejka, tak jak on Sodomita; a jeśli jeszcze nie całkiem się nim stał, to w każdym razie lubił już tylko te kobiety, z którymi mógł oddawać się miłości w jakiś szczególny sposób, w obecności innych kobiet. U Gilberty także mógłbym zasięgnąć wiadomości o Albertynie. Gdyby nie to, że zainteresowanie życiem mojej przyjaciółki opuściło mnie do reszty, jeśli nie liczyć coraz rzadszych nawrotów choroby — mógłbym teraz rozpytywać o sprawy z nią związane nie tylko Gilbertę, lecz także jej męża. Jednym słowem, Robert i ja byliśmy gotowi żenić się z Albertyną przez wzgląd na to samo (na jej gust do kobiet). Ale przyczyny tych naszych pragnień, podobnie jak cele, które nam przyświecały, były zgoła przeciwne. Mnie popychała do tego rozpacz, w jaką wpadłem, dowiadując się o jej skłonnościach, Robert spodziewał się zadowolić własne żądze. Ja zamierzałem roztoczyć nad nią nieustającą kontrolę, by uniemożliwić jej zaspokojenie owych gustów, Robert chciał je w niej rozwijać, licząc na to, że gdy pozostawi jej całkowitą swobodę, ona mu zacznie sprowadzać swoje przyjaciółki.

Jeśli zdaniem Jupiena ten nowy kierunek, jaki uległszy całkowitej przemianie, przyjęła zmysłowość Roberta, był sprawą bardzo niedawnej przeszłości, to ze słów Aimégo, które zasmuciły mnie niepomiernie, rozumiałem, że *maître d'hôtel* z Balbec umiejscawia ów krytyczny moment znacznie wcześniej.

Okazja do rozmowy nadarzyła się podczas mojego kilkudniowego pobytu w Balbec, gdzie Saint-Loup, korzystając z długiego urlopu, przyjechał w tym samym czasie, razem z żoną, której w tym początkowym okresie ich małżeństwa nie odstępował na krok. Podziwiałem trwałość wpływu, jaki wywarł na niego związek z Rachelą. Jeśli młody mąż potrafił przy wejściu do restauracji zdjąć płaszcz z ramion żony, jeśli umie być wobec niej odpowiednio troskliwy, to właśnie dlatego, że przed ślubem przez długi czas miał kochankę. Pozostając w tamtym związku, Robert otrzymał wychowanie, jakie powinien mieć dobry mąż. Nieopodal ich stolika, a tuż przy moim, zasiadał Bloch w kompanii zmanierowanych młodych akademików. Silił się na swobodę światowca, zachowując się tak głośno, jakby z rozmysłem chciał zwrócić na siebie uwagę; kabotyńskim gestem podał nad stołem kartę któremuś z kolegów i przewrócił przy tym dwie karafki: „Nie, nie, mój drogi, pan zamawia! — wykrzykiwał. — Nigdy w życiu nie umiałem wybierać z karty! I proszę nie kazać mi komenderować garsonami!” Powtórzył to kilkakrotnie, z jakąś fałszywą dumą, po czym, przeszedłszy gładko od literackiej pozy do łapczywości, kazał natychmiast przynieść butelkę szampana, która „powinna się pojawić w postaci czysto symbolicznej”, jako gustowny dodatek do wymiany zdań. Co innego Saint-Loup: komenderowanie garsonami miał we krwi. Siedział obok Gilberty, która była wtedy w ciąży, tak jak sypiał obok niej we wspólnym łóżku hotelowym (odtąd miał z nią płodzić dzieci raz za razem). Rozmawiał tylko z nią jedną, wydawało się, że w całym hotelu nikogo poza nią nie widzi, ale w chwili gdy któryś z garsonów stawał tuż nad nim, by przyjmując zamówienie, Robert szybko wznosił ku niemu jasne oczy i rzucał spojrzenie trwające nie dłużej niż dwie sekundy, którego przenikliwość odsłaniała nagle z całą oczywistością ukryty porządek jego pragnień i zainteresowań, obcy zwyczajnym klientom; ci mogą bez końca przypatrywać się jakiemuś strzelcowi czy subiektowi po to jedynie, by zabawić swoje towarzystwo ciętą i zabawną uwagą na jego temat. Owo krótkie, bezinteresowne spojrzenie świadczyło zaś o tym, że Robert jest ciekawy garsona dla niego samego; gdyby ktoś je pochwylił, mógłby powziąć podejrzenie, że ten wzorowy mąż, ten namiętny niegdyś kochanek Racheli, prowadzi drugie, utajone życie, pociągające go o wiele bardziej niż to, w którym uczestniczył z obowiązku. Lecz można to było po nim poznać tylko

w tym mgnieniu. Po chwili jego spojrzenie wracało do Gilberty, która niczego nie zauważyła, Robert przedstawiał jej kogoś w przelocie, zabierał ją na spacer. W tejsze chwili Aimé opowiadał mi o czasach znacznie dawniejszych, kiedy dopiero co poznałem Roberta przez panią de Villeparisis właśnie tutaj, w Balbec.

— Ależ tak, proszę pana, to arcy pewne, wiem o tym nie od dziś. W tamtym roku, kiedy pan po raz pierwszy przyjechał do Balbec, pan margrabia zamknął się w pokoju z moim liftbojem pod pretekstem wywoływania zdjęć starszej pani, pańskiej babki. Mały uparł się wnieść oskarżenie, poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby rzecz całą zatuszować. Albo niech pan sobie przypomni ten dzień, kiedy przyszedł pan do restauracji na obiad z panem margrabią de Saint-Loup i z jego kochanką, służyła mu za alibi. Pewnie pan pamięta, że margrabia wyszedł, tłumacząc się rozdrażnieniem. Nie powiem, że słuszność była po stronie tej pani. Ona mu urządziła szopki nie z tej ziemi. Ale nikt mi nie wmówi, że z tym napadem rozdrażnienia to była prawda, bo myślę, że raczej chciał się pozbyć towarzystwa pańskiego i tej pani.

Miałem pewność, przynajmniej gdy chodzi o tamten dzień, że jeśli nawet Aimé nie kłamał świadomie, to w każdym razie grubo się mylił. Aż nadto dobrze pamiętałem, w jakim stanie był Robert, kiedy spoliczkował dziennikarza. I zresztą z windziarzem mogło być tak samo: albo wtedy skłamał, albo też teraz zmyślał Aimé. Tak sądziłem, a upewnić się i tak nie mogłem. Nie potrafimy dostrzec więcej niż jedną stronę zdarzenia, a gdyby to wszystko nie było dla mnie tak bolesne, znalazłbym jakąś radość i w tym, że kiedy ja dla swojej wygody posyłałem windziarza do Roberta, by zaniósł mu list i wrócił z odpowiedzią, dla niego była to okazja do spotkania z kimś, kto mu się spodobał. Na każdą rzecz można spojrzeć przynajmniej z dwóch stron. Nasze uczynki, choćby najmniej znaczące, wywołują w następstwie jakieś działania ze strony innych ludzi. Jest rzeczą pewną, że jeśli przygoda Roberta z windziarzem w ogóle miała miejsce, to dla mnie w najmniejszym stopniu nie była ona wpisana w banalną czynność wysyłania listu; tak samo dla kogoś, kto z Wagnera zna tylko duet w *Lobengrinie*, preludium z *Tristana* byłoby niemożliwe do wyobrażenia. Bez wątpienia tylko mała część niezliczonych cech właściwych przedmiotom otaczającego świata objawia się ludziom, a to z powodu ubóstwa naszych zmysłów. Rzeczy mają barwę, bo my mamy oczy; o ileż więcej trzeba by było określić, gdybyśmy rozporządzali setką zmysłów! Ale odmiennosc kształtu, który świat przybrałby wówczas, łatwiej nam przeczuć, gdy już znamy niepełność każdego, choćby najmniej znaczącego doświadczenia, które wydawało się nam obiektywne, podczas gdy ktoś, kto patrzył niejako z przeciwnego okna, zobaczył zgoła inną scenę. Gdyby założyć, że Aimé się nie pomylił, to rumieniec na policzkach Roberta, w chwili gdy Bloch wspomniał o liftboju, miał być może co innego za przyczynę niż pomyłka Blocha, który myślał, że mówi się „lajft”. Byłem jednak przekonany, że owa fizjologiczna przemiana nastąpiła znacznie później i że wtedy jeszcze Saint-Loup gustował wyłącznie w kobietach. Bardziej niż cokolwiek innego świadczyła o tym przyjaźń, jaką okazywał mi w Balbec. Był bowiem zdolny do prawdziwej przyjaźni, jedynie póki kochał kobiety. Później, przynajmniej przez długi czas, traktował mężczyzn, którzy go nie pociągali, z zimną obojętnością — jak sądzę, po części szczerą, stał się bowiem nad wyraz oschły, nieraz do przesady, jakby chciał w ten sposób umocnić mniemanie, że prócz kobiet nie lubi nikogo. A jednak pamiętam, jak pewnego dnia w Doncières, gdy jechałem na obiad do Verdurinów, obrzucił Charliego przeciągłym spojrzeniem i pozwolił sobie na taką uwagę: „To ciekawe, ten chłopiec ma coś z Racheli. Nie uderzyło cię to? Zdumiewające podobieństwo. A zresztą, nic mnie to nie obchodzi”. I mimo wszystko jego spojrzenie błędziło potem przez dłuższy czas w przestrzeni, jak u kogoś, kto zamiast wrócić do partii kart albo iść na obiad do miasta, zamyslił się nad daleką podróżą, w którą nigdy nie wyruszy, o czym dobrze wie, choć zatęsknił za nią przez chwilę. Robert znajdował w Charliem coś z Racheli, a Gilberta bardzo pragnęła w czymkolwiek ją przypominać, by podobać się mężowi, nosiła więc tak jak ona jedwabne wstążki we włosach, pąsowe, różowe albo żółte, i naśladowała jej fryzurę; wydawało jej się, że Robert wciąż kocha Rachelę, była więc o nią zazdrosna. Ze uczucia Roberta przekraczały chwilami granicę między miłością naturalną a perwersyjną miłością do mężczyzny, to więcej niż prawdopodobne. W każdym razie wówczas wspomnienie Racheli miało już dla niego wartość jedynie estetyczną. Niewykluczone, że było tak i w przeszłości. Kiedyś poprosił ją, żeby przebrała się po męsku i strąciła kosmyk

włosów na czoło, lecz w końcu tylko zmierzył ją wzrokiem, nieukontentowany. W każdym razie czuł się związany z nią nadal, i skrupulatnie, choć bez przyjemności, wypłacał jej horrendalnie wysoką rentę, którą był obiecał — co wcale jej nie przeszkodziło nękać go jeszcze i potem w najobrzydliwszy sposób. Gilberta zniosłaby łatwiej jego hojność dla Racheli, gdyby wiedziała, że w tym spełnianiu zobowiązań była już tylko rezygnacja, bez śladu uczucia. Ale on starał się — przeciwnie — stworzyć fałszywe wrażenie, że kocha Rachelę jak dawniej. Homoseksualiści byliby najlepszymi mężami na świecie, gdyby tylko nie musieli udawać, że lubią kobiety. Zresztą Gilberta nie skarżyła się. Właśnie z przeświadczenia, że jest od tak dawna i wciąż jeszcze kochany przez Rachelę, zrodziła się w niej gorąca chęć poślubienia go, która kazała jej odrzucić inne, lepsze partie. Zawsze wierzyła, że biorąc ją za żonę, w jakimś sensie wyświadczył jej łaskę. I w samej rzeczy, porównania, jakie czynił między dwiema kobietami (o nieporównywalnym typie urody i całkiem odmiennym stylu) były zrazu niekorzystne dla uroczej Gilberty. Lecz z czasem zaczął cenić ją coraz bardziej, podczas gdy jego szacunek dla Racheli topniał gwałtownie.

Jeszcze jedna osoba zmieniała się nie do poznania: pani Swann. Jeśli w oczach jej córki jaśniał nad Robertem nimb podwójny — jego miłości do Racheli, stale rozgłaszanej przez załamującą ręce panią de Marsantes, i uroku, jaki w Guermantach znajdował najpierw Swann, a potem sama Gilberta — to pani de Forcheville wolałaby poczekać na partię jeszcze świetniejszą, być może z tytułem książęcym (nie brakowało zubożałych książąt krwi ani starych rodów gotowych przyjąć pieniądze, zresztą, jak się okazało, znacznie mniejsze od obiecanych osiemdziesięciu milionów, lecz za to oczyszczone dzięki nazwisku Forcheville) oraz zięcia, który nie deprecjonowałby własnego nazwiska przez uporczywe uchylanie się od kontaktów z wielkim światem. Nie zdołała jednak narzucić córce swojej woli, i oto użalała się przed każdym, wyrzekając na zięcia. Ale wszystko zmieniło się pewnego pięknego dnia: zięć odtąd był według niej aniołem, kąśliwości przemyślała co najwyżej ukradkiem. Otóż mając już swoje lata, pani Swann (która tymczasem stała się panią de Forcheville) nie przestała znajdować zadowolenia w tym, że ją utrzymywano; tymczasem szeregi wielbicieli stopniały i coraz mniej można było liczyć na ich hojność. Każdego dnia zachciewało jej się to nowej koliai, to nowej sukni wyszywanej brylancikami, to nowego, jeszcze kosztowniejszego auta, ale nie było ją na to wszystko stać, bo Forcheville przepuścił prawie cały majątek, a jej córka — czyżby jakiś hebrajski przodek ponosił za to winę? — choć przeurocza, wyrosła na okropną sknerę, żalowała każdego franka mężowi, cóż dopiero matce. I oto pani Swann zwierzyła w Robercie swego protektora, a potem go w nim znalazła w samej rzeczy. Jej młodość dawno minęła, ale dla zięcia, który nie lubił kobiet, było to bez znaczenia. Od swej teściowej żądał jedynie łagodzenia różnych napięć powstających między nim a Gilbertą, oczekiwał, że wyjedna mu zgodę Gilberty, gdy chciał na przykład wyruszyć w podróż z Morelem. Wziąwszy jego stronę, Odeta mogła liczyć na wspaniały rubin w natychmiastowym rewanzu. Chodziło tylko o to, by Gilberta okazała swojemu mężowi trochę wielkoduszności. Odeta zachęcała ją do tego tym gorliwiej, że sama się spodziewała na owej wielkoduszności coś zyskać. Dobiegając pięćdziesiątki (a może sześćdziesiątki, jak głośno plotki), dzięki Robertowi mogła nadal olśniewać niesłychanym przepychem swych toalet towarzystwo zebrane przy każdym stole i w każdym salonie, gdzie tylko się pojawiła, i to nie potrzebując nowego „przyjaciela”, który może nie sięgałby już tak chętnie do portfela, bo trudno by jej było na stare lata nakłonić go do uległości, do jakiej przywykła. Tak przeto ostatni okres jej życia był czasem bezgrzesznym, przy czym nigdy wcześniej nie nosiła się równie wykwinicie.

Nie tylko zła wola i nienawiść człowieka z nizin do pana, który wyciągnął go z biedy i który (co zakorzenione było głęboko w charakterze, a zwłaszcza w sposobie mówienia pana de Charlus) zawsze dawał mu odczuć dzielącą ich różnicę stanów, pchnęła Charliego w ramiona Roberta ku tym boleśniejszej rozpaczy barona. Być może odegrał w tym pewną rolę interes. Miałem wrażenie, że Saint-Loup dawał Morelowi mnóstwo pieniędzy. Spotkałem Roberta pewnego wieczoru przed moim wyjazdem do Combray; siedł z elegancką kobietą, którą w towarzystwie uważano za jego kochankę, wtulony w nią i omotany jej suknią tak, że zdawali się stanowić jedno ciało, wystawione na widok publiczny. Wydawało mi się, że znam ten gest, będący rodzinnym dziedzictwem, choć w tym nowym wydaniu było w nim więcej nerwowości; widziałem go już u pana de Charlus, okrytego toaletą pani de Molé niby sztandarem donżuanerii, choć nie był to jego sztandar; ale

baron, nie troszcząc się o to, czy ma do niego prawo, lubił pod nim występować, może sądząc, że to go przed, czymś chroni, albo po prostu gwoli estetycznej satysfakcji. Co do Roberta, zdziwiło mnie, że chłopak, który był tak hojny, kiedy miał mniej pieniędzy, teraz stał się do przesady oszczędny. Ludzie zdają się przywiązywać wagę tylko do tego, co posiadają, toteż ktoś, kto szastał złotem, choć nie miał go w nadmiarze, później skrzętnie składa je do szkatułki; zjawisko to jest dość rozpowszechnione, lecz tutaj, jak sądziłem, przybrało formę skrajną. Saint-Loup nie chciał wziąć fiakra; zauważyłem, że zatrzymał powrotny bilet na tramwaj. Bez wątpienia, czyniąc tak, wykorzystywał, co prawda dla nowych celów, talenty nabyte w czasach swego związku z Rachelą. Młody człowiek, który przez długi czas żył z kobietą, rzadko bywa tak niezaradny jak początkujący mąż, który nie znał kobiet prócz swojej żony. W te nieliczne dni, kiedy zabierał żonę na obiad do restauracji, wystarczyło popatrzyć, jak zręcznie i z jaką atencją zdejmował z niej wierzchnie okrycie, z jaką znajomością rzeczy składał zamówienia i dawał się obsługiwać, jak starannie wyglądał rękawy Gilberty, nim pomógł jej włożyć żakiet — i można było zaraz poznać, że zanim się z nią ożenił, przez długi czas musiał być kochankiem innej. Podobnie też, zmuszony zajmować się w najprzystojniejszych drobiazgach gospodarstwem Racheli, po części dlatego, że ona sama nie miała do tego głowy, po części zaś z powodu własnej zazdrości, która kazała mu trzymać rękę na pulsie wszelkich domowych spraw, umiał teraz zarządzać dobrami swojej żony i dbać o wspólny majątek, nie wychodząc z roli sprawnego i bystrego intendenta, w której Gilberta być może nie umiała się znaleźć i której z ulgą się rzekła. Bez wątpienia jednak robił to wszystko z myślą o Charliem, dla którego przeznaczał sumę wszystkich groszowych oszczędności domowego budżetu i w ten sposób zapewniał mu całkiem dostatnie życie, nie martwiąc Gilberty, która niczego nie zauważyła. Czynił tak, być może mając Morela za człowieka rozrzutnego „jak każdy artysta” (bez nacisku i bez śladu dumy Charlie nazywał artystą sam siebie, kiedy tłumaczył się z tego, że nie odpowiada na listy, i z całej masy innych przywar, które w jego przekonaniu niezaprzeczalnie składały się na artystyczną osobowość). Dla mnie było to z punktu widzenia moralności nieistotne, czy ktoś znajduje rozkosz u kobiet, czy u mężczyzn, przy czym rzeczą aż nadto ludzką i zrozumiałą wydawało mi się szukać jej tam, gdzie ją można znaleźć. Gdyby więc Robert się nie ożenił, jego związek z Charliem nie powinien mnie w żaden sposób zranić. A jednak czułem, że choćby nawet w swoim czasie zrezygnował z małżeństwa, ból, którego teraz doświadczałem, byłby równie żywy. Gdyby chodziło o kogo innego, niewiele by mnie to wszystko obeszło. Ale lży kręciły mi się w oczach na myśl, że Saint-Loup kiedyś był inny i że żywiłem dla niego serdeczne przywiązanie, którego, jak mogłem poznać z jego nowego sposobu bycia, chłodnego i powściągliwego, już nie odwzajemniał, odkąd bowiem jego pragnienia zwróciły się ku mężczyznom, nie przychodziło mu do głowy szukać u nich przyjaźni. Jak to możliwe, by taka zmiana zaszła w chłopaku, który do szaleństwa kochał kobiety, w tym samym, którego ujrzalem kiedyś całkiem załamanego i aż zląkłem się, żeby nie palnął sobie w łeb z rozpacz, bo „Rachela kiedy Pan” chciała z nim zerwać? Czyżby owo podobieństwo między Charliem i Rachelą, którego ja nie dostrzegałem, było pomostem, po którym Robert przeszedł od normalności ojca do specjalnych gustów wuja, i tak dokonała się w nim fizjologiczna ewolucja, która u pana de Charlus także nastąpiła dość późno? Od czasu do czasu powracały do mnie słowa Aimégo, zasiewając niepokój. Kiedy Robert rozmawiał z windziarzem, przybierał ten wyraz lekceważącego roztargnienia, który widywałem u pana de Charlus, kiedy zwracał się do niektórych mężczyzn. Ale mogło to równie dobrze wynikać z wrodzonej wszystkim Guermantom wyniosłości, z właściwej im od wieków fizycznej postawy, nie zaś ze specyficznych skłonności barona. Dlatego to książkę de Guermantes, który w najmniejszym stopniu nie podzielał gustów swego brata, miał zwyczaj tym samym nerwowym ruchem nadgarstka strzępywać nieistniejący koronkowy mankiet, a w jego głosie rozbrzmiewały podobne tony, ostre i afektowane, którym u pana de Charlus chciałoby się przypisać jakąś szczególną wymowę, a właściwie on sam im ją nadawał, człowiek bowiem wyraża osobliwości swojej natury poprzez atawistyczne, bezosobowe cechy, które zapewne są po prostu utrwalonym od pokoleń w głosie i ruchu wyrazem natury któregoś z przodków. Jeśli przyjmiemy tę ostatnią hipotezę, wkraczającą w dziedzinę historii naturalnej, nie przyjdzie nam już do głowy widzieć w panu de Charlus Guermanta dotkniętego zбочeniem, które objawia się w nim częściowo poprzez bezoso-

bowe, atawistyczne cechy rodu, lecz raczej to księcia Błażeja będziemy musieli uznać za jedyną w tej zdegenerowanej rodzinie postać całkowicie wolną od dziedzicznego defektu, którego zewnętrzne przejawy właśnie u niego zatraciły swój podtekst. Miałem w pamięci dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Roberta de Saint-Loup w Balbec, jasnowłosego, utkanego z materii drogocennej i rzadkiej, podążającego za rozhuśtanym na łańcuszku monoklem; dostrzegłem w nim wtedy jakiś znak kobiecej miękkości, który, rzecz jasna, nie miał żadnego związku z tym, czego się teraz o nim dowiadywałem; tak bowiem przejawiał się urok Guermantów, urok tej delikatnej saskiej porcelany, z której wymodelowana była również księżna. Miałem w pamięci przywiązanie, jakie okazywał mi w sposób tak uczuciowy i delikatny, że mogłoby to pewnie wprowadzić w błąd niejednego, ja jednak dobrze wiedziałem, że wtedy nie miało to znaczenia, o jakim usłyszałem teraz, wprost przeciwnie. Lecz kiedy zaszła w nim ta zmiana? Jeśli wtedy, gdy po raz drugi bawiłem w Balbec, to dlaczego ani razu nie spojrzął na windziarza, nawet o nim nie wspomniał? A jeśli za pierwszym razem, gdy był do szaleństwa zakochany w Racheli, to jak mógł go w ogóle zauważyć? Podczas mojego pierwszego pobytu w Balbec wydał mi się kimś wyjątkowym, jak wszyscy Guermantowie. I oto okazał się człowiekiem jeszcze bardziej zdumiewającym, niż mogłem kiedykolwiek przypuszczać. Ale z tej wiedzy, do której nie dochodzimy bezpośrednio dzięki intuicji, lecz przejmujemy ją gotową od innych, dusza nasza nie ma żadnego pożytku, nie możemy jej tego przekazać: przypaść, pozostanie już pozbawiona dostępu do prawdy; i nie możemy nawet cieszyć się swoim odkryciem, na to także jest za późno. Zresztą i tak nie mógłbym się nim cieszyć, było dla mnie nazbyt bolesne. Pamiętając, co mi mówił pan de Charlus u Verdurinów w Paryżu, rozumiałem, że przypadek Roberta nie był wyjątkiem, podobny los stawał się udziałem wielu ludzi godnych szacunku, a wśród nich nawet tych najrozumniejszych i najszlachetniejszych. Rzecz byłaby mi całkiem obojętna, gdyby chodziło o kogokolwiek innego — oprócz Roberta. Wątpliwości, jakie nurtowały mnie z powodu słów Aimégo, rzuciły cień na naszą przyjaźń z czasów Balbec i Doncieres, i chociaż nie wierzyłem już w przyjaźń ani w to, że naprawdę łączyła mnie z Robertem, za każdym razem, kiedy powracałem w pamięci do historii o windziarzu albo do obiadu w restauracji z Robertem i Rachelą, z trudem powstrzymywałem łzy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/proust-utracona>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, Utracona, tłum. Magdalena Tulli, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2001.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Magdaleny Tulli. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0714-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).